

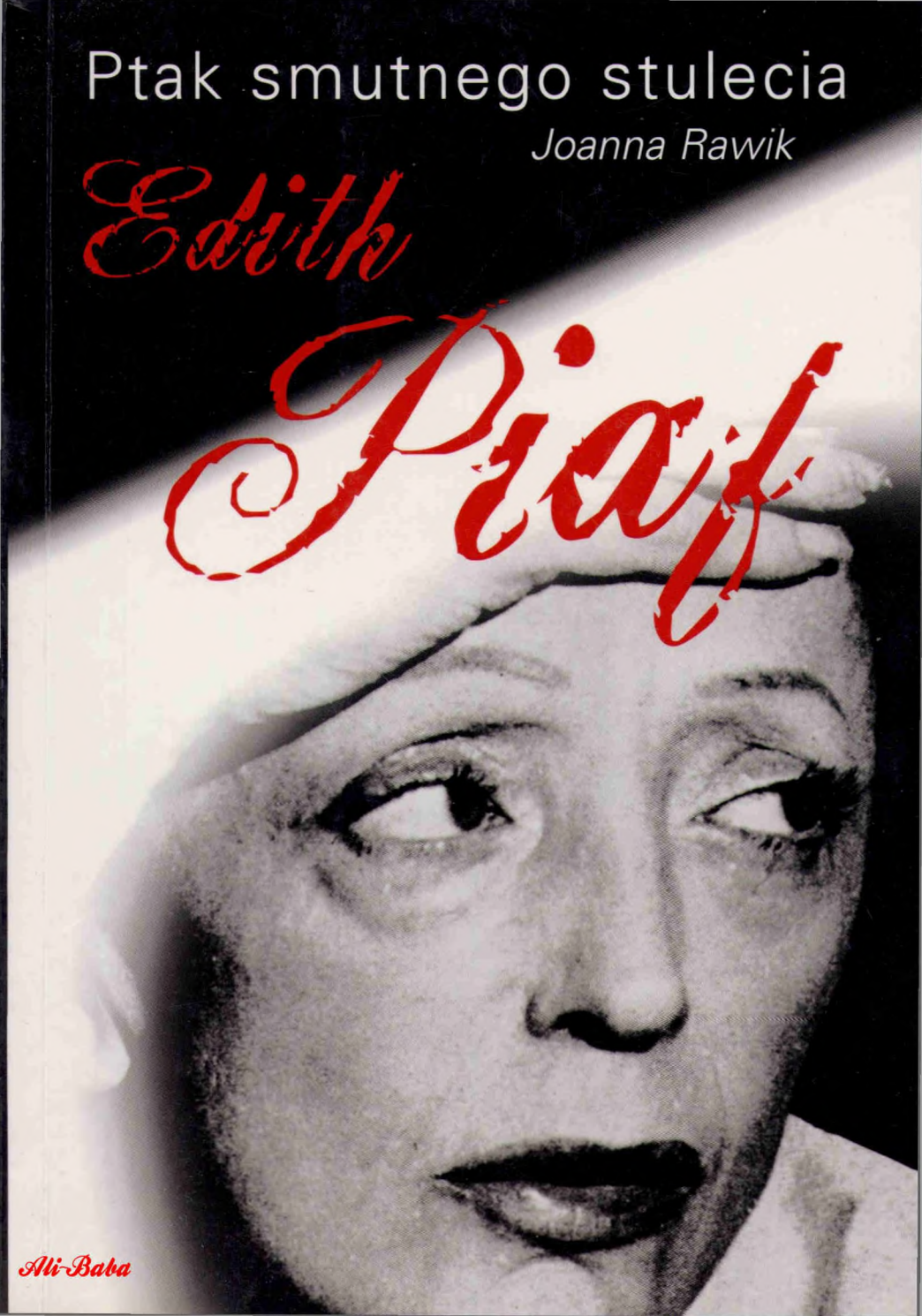
Ptak smutnego stulecia

Joanna Rawik

*Edith*

*Piaf*

*Ali-Baba*



**Projekt okładki:** *Jarosław Bryćko*  
**Przekłady tekstów piosenek:** *Jerzy Menel*  
**Redakcja:** *Ita Turowicz*

**Zdjęcia:**

*Joanna Rawik* str.: 4, 6, 7, 262  
*Jan Bogacz* skrzydełko okładki; *Roger Viollet* str. 19  
Red. str. 23; D.R. str.: 26, 27, 35, 75, 126  
*Jean-Gabriel Seruzier* str.: 38 46; *Syigma* str.: 64, 172  
Keystone str. 114, 158, 209; AFP str. 244

© Copyright Joanna Rawik  
© Copyright Studio EMKA

**ISBN 83-88607-36-7**

**Wydawnictwo Studio EMKA**  
**Al. Jerozolimskie 101, 02-111 Warszawa**  
**tel./fax 628 08 38**  
**E-mail:** [wydawnictwo@studioemka.com.pl](mailto:wydawnictwo@studioemka.com.pl)  
**Internet:** <http://www.studioemka.com.pl>

Warszawa 2003

**Wszelkie prawa, włącznie z prawem do reprodukcji tekstów  
w całości lub w części, w jakiegokolwiek formie - zastrzeżone.**

**Skład i łamanie:** ANTER s.c., ul. Tamka 4, Warszawa, tel. 827 69 87  
**Druk i oprawa:** Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex”

Ptak smutnego stulecia

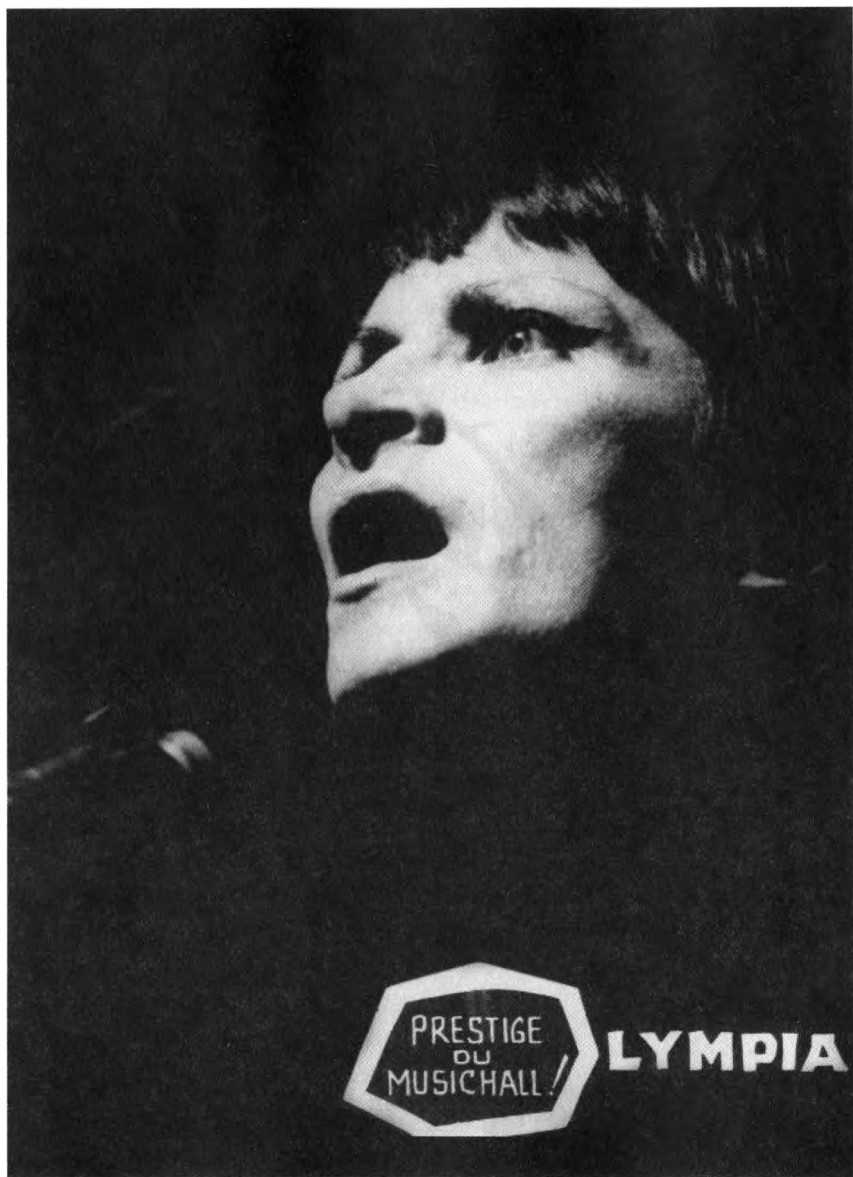
*Edith*

*Piaf*

*Joanna Rawik*

WYDAWNICTWO  
**Studio  
Emka**

Warszawa 2003



Joanna Rawik w Olympii

Zimą 1998 roku śpiewałam recital w Brukseli. Wracając z kolejnej próby do hotelu, zabłądziliśmy z moim pianistą i znaleźliśmy się w nieznaną, odległą od centrum dzielnicę. Na stromej, wąskiej ulicy załśniła witryna antykwariatu. Janusz powiedział: „Masz tu swoją Piaf!”. Był to ogromny album, opracowany i wydany kilka lat wcześniej przez Bernarda Marchois, założyciela i dyrektora Association des Amis d’Edith Piaf pt. *Piaf - emportée par la foule (Piaf - tłumem uniesiona)* (Editions de Collectionneur, Paris 1993). Zawiera pełną dokumentację prasową artystki, od najmłodszych lat życia i kariery.

Wiedziałam od dawna, że Mademoiselle Piaf była spokrewniona w tajemniczy sposób z siłami natury i przeznaczenia, co zauważył w 1938 roku poeta Jean-Paul Fargue. I tu muszę znowu wrócić do Brukseli. Gdy przyjechałam tutaj przed laty po raz pierwszy, był późny wieczór. Odszukałyśmy z przyjaciółką piękny, zabytkowy hotel „Les Tourelles”, w którym miałyśmy rezerwację. Wsiadłam, żeby sprawdzić, czy można zaparkować w bocznej ulicy. Stałam jak wryta. Na tabliczce z nazwą ulicy przeczytałam: Edith Cavell, angielska pielęgniarka, rozstrzelana przez Niemców za szpiegostwo w 1915 roku. To na cześć tej bohaterki Edith Gas-sion otrzymała swoje imię.

Uplłynął dłuższy czas, zanim zrozumiałam, że Piaf kieruje moimi poczynaniami - przecież była istotą, jaką kiedyś nazwano by

czarownicą. Kilkaset lat wcześniej spalono by ją na stosie; spłonęła na własnym stosie, do którego dążyła uparcie od zarania dziejów. Owa ulica z antykwariatem w Brukseli bardzo przypominała paryską Belleville, gdzie pod numerem 72 w dniu 19 grudnia 1915 roku ujrzała światło dzienne Edith Giovanna Gassion, znana później światu jako Edith Piaf.

I chociaż od lat można oglądać tam tablicę upamiętniającą ten fakt, okazało się, że legendę stworzył pewien dziennikarz w roku 1935, gdy rozpoczynała swoją karierę w restauracji Gernys. Tablicy nikt nie zdykał. Ja także wierzę w opowieść o urodzinach na paryskim bruku. Nie pierwsza to legenda, która stała się prawdą.

Edith Piaf nadal dyktuje mi, co mam robić w jej sprawach. Zdarzyło się kiedyś, że po przylocie do Paryża nie poszłam od razu na Pere Lachaise z kwiatami. Dwa dni później okazało się, że na kliszy w moim aparacie nie utrzymało się żadne zdjęcie, w tym liczne znad jej grobu, który zawsze stanowi ważny cel moich paryskich wędrówek. Oczywiście, klisza była kiepska, ale dlaczego



zepsuł się właśnie ten film, w tym momencie, skoro nigdy nie zdarzyła mi się podobna przygoda? Od wielu lat chodzę śladami Edith Piaf po Paryżu. Nie zaglądam do Klubu Przyjaciół (wymienionym wyżej jako wydawca albumu), gdyż nie pociąga mnie muzeum, do którego trzeba się telefonicznie zapisywać i umawiać na godziny. Moim osobistym muzeum Piaf jest jej skromny grób na stromym stoku cmentarza Pere Lachaise, z którego udaję się zawsze na pobliski plac jej imienia, w skromnej dzielnicy niedaleko Belleville. Przy niewielkim trójkątnym placu mieści się Bar Edith Piaf, zwyczajny, dla zwyczajnych ludzi z okolicy. Wszyscy się tu znają i czują swojsko. Nic zresztą dziwnego, bo zarówno wystrój, z całym mnóstwem fotosów i plakatów, jak i sympatyczna atmosfera przenoszą w dawne czasy. Tamte czasy, kiedy gdzieś tu w okolicach śpiewała mała chuda dziewczynka, nie marząc nawet o czekającej ją sławie. W Paryżu każde miejsce może być tym, gdzie śpiewała. Dopiero kilka lat temu odnalazłam słynny róg Avenue Mac Mahoń i rue Troyon na tyłach Łuku Triumfalnego, gdzie usłyszał ją Louis Leplee, pierwszy impresario.

I choć istnieje też inna wersja tego wydarzenia, wybieram właśnie to miejsce. Nie ma tam żadnej tablicy pamiątkowej, ale przecież cały Paryż musiałby być usiany takimi tablicami. Zamiast nich tu i ówdzie katarynka wygrywa piosenki Piaf, a stare karuzele przypominają minione czasy.

Od lat ukazują się wciąż nowe książki o wielkiej pieśniarce. Piszą je różni ludzie, pod rozmaitymi pretekstami, chociaż zdarza się, że piszą ze zwykłej potrzeby serca i to jest chyba najważniejsze. Bywa także, iż ktoś spotkał się krótko z Edith Piaf, która być może nie zwróciła nań uwagi, ale to wystarczy, by ten opisał zdarzenie i czuł się upoważniony do napisania książki. Poważne wydawnictwo Flammarion firmowało w roku 2000 książkę *Piaf et moi* (Piaf i ja) Marcela Cerdana juniora, w której syn sławnego boksera opisuje swoje spotkania z gwiazdą. Miał wtedy dziewięć lat i doprawdy mało prawdopodobne, by artystka zwierzała mu się



podczas długich, poufnych rozmów. Cała bogata literatura o Piaf to odrębny rozdział godny omówienia.

Monodram o Edith Piaf napisałam dla młodej aktorki. Spodobał się, ale jej reżyser miał idiotyczne zastrzeżenia, które mnie zdumiały. Aktorka była zajęta innymi sprawami. Pewnego dnia zaproponowano mi występ na Ogólnopolskim Konkursie Prozy i Poezji Francuskiej w Bydgoszczy. Podjęłam decyzję: wystąpię z monodramem. Do aktorki zadzwoniłam: miałaś monodram, ale już go nie masz. Powiedziała zaskoczona: może to i lepiej. Była w tym jakaś myśl. Wiedziałam od dawna, że Piaf nie wolno reżyserować. Piaf to żywioł i naturalność. Początkowo ilustrowałam monodram nagraniami Edith Piaf. W roku 1999, podczas Festiwalu imienia Jana Kiepury w Krynicy, odbyła się prapremiera monodramu *Hymn życia i miłości* z piosenkami na żywo. Każda publiczność, w każdych warunkach, reaguje nań fantastycznie. Choć jest to forma trudna i wyczerpująca - prawie półtorej godziny występu mówionego i śpiewanego bez przerwy - kocham ten mono-



dram i jego wykonywanie dostarcza mi ogromnych emocji. Ostatnio skróciłam go o połowę dla zaprezentowania w ramach godziny lekcyjnej - 45 minut i zauważyłam, że nie tylko nic nie stracił, ale przeciwnie, nabrał tempa i mocy. Podczas recitalu w Wiedniu ( 2 maja 2003) wmontowałam jeden z monologów do bloku piosenek Piaf, wrażenie było kolosalne. Publiczność zgromadzona tam na zaproszenie Klubu Inteligencji Polskiej w Austrii (jego twórcą i prezesem jest Jadwiga Hafner) prezentowała najwyższy poziom, co także stanowi ważny element spektaklu.

Na początku lat siedemdziesiątych znakomita aktorka i reżyser Lidia Zamków grała monodram o Piaf, zatytułowany, o ile dobrze pamiętam, *Była wróblem*. Napisała go krakowianka Lidia Żukowska. Nie mam pojęcia, z jakich korzystała źródeł, w Polsce mało kto posiadał apokryf Simone Bertheaut *Piaf*, natomiast *Ma vie* chyba nikt poza mną. Lidia Zamków na pewno była znakomita w roli Piaf. Fizycznie trochę podobna, równie niewielkiego wzrostu, posiadała także ogromny ładunek siły wewnętrznej. Zapewne ilustrowała monodram nagraniami Piaf, bo była muzycznie głucha jak pień. Nigdy nie miałam okazji zobaczyć tego monodramu. Sprawa intrygowała mnie, aż spotkałam podczas festiwalu w Krynicy pewną damę z Krakowa, która go oglądała. Jego fabuła polegała na prostym chwycie „je cherche un millionnaire”, co miałoby tłumaczyć liczne romanse gwiazdy... Jeśli tak to wyglądało w istocie, to zamysł był kiepski i niesprawiedliwy, ale i to nic wobec tzw. musicalu *Piaf* popełnionego przez Amerykankę Pam Gems, nad którym lepiej zapuścić miłosierną zasłonę milczenia.

W 1988 roku miałam stałą audycję w programie I Polskiego Radia. Zaproponowałam cykl monograficzny z okazji dwudziestopięciolecia odejścia Edith Piaf, czyli jej DISPARITION (określenie piękniejsze od trywialnej śmierci). Zaplanowałam trzynaście odcinków, w trakcie pracy rozrosły się do siedemnastu. Musiałam wyjechać na koncerty z zaprzyjaźnioną ekipą, by zastąpić koleżkę,

który złamał nogę. Pisałam nocą w hotelach. Wracałam z występów, nie czując żadnego zmęczenia, przez cały dzień wyczekując chwili, kiedy siądę do maszyny i pozostanę sam na sam z moją bohaterką. Dojeżdżałam do Warszawy, aby nagrywać kolejne odcinki *Hymnu życia i miłości*. Tak doszło do mojego książkowego debiutu, którego bohaterką stała się Edith Piaf. Dwudziestotysięczny nakład rozszedł się nie wiadomo kiedy. Była także wersja na kasetach wydana przez Polski Związek Niewidomych. W 1998 roku ukazała się druga edycja tego tytułu, z okazji mojego spektaklu *Kochankowie Paryża*, który napisałam oraz grałam w nim i śpiewałam. Inicjatorem tej rewii piosenki francuskiej był Daniel Kustosik, dyrektor Teatru Muzycznego w Poznaniu, dzięki któremu odważyłam się śpiewać „Hymn do miłości” oraz „Kochanków jednego dnia”. Właśnie w Poznaniu dotarł do mnie wiersz o Edith Piaf ówczesnego maturzysty Jana D., z którego pochodzi tytuł tej książki:

*Edith  
ptaku smutnego stulecia  
małych uliczek tętniących  
umieraniem minionych epok...*

Po wygranym pierwszym moim konkursie muzycznym (Lublin 1959 r.) prasa nazwała mnie nową Edith Piaf, co było oczywiście bzdurą, ale byłam młoda, naiwna i bardzo z tego porównania dumna. Nie mogło być i nigdy nie będzie żadnej nowej Piaf. Kilka miesięcy po jej zgonie pojawiła się w telewizji francuskiej laureatka konkursu w Avignon, Mireille Mathieu. Śpiewała repertuar Piaf, dysponowała ogromnym głosem. Ale nic poza tym. Przez jakiś czas wiele osób myślało, że Mathieu będzie godną następczynią wielkiej Nieobecnej, tym bardziej, że też pochodziła z biednej rodziny, miała dwanaścioro rodzeństwa i pracowała od dziecka w fabryce. Nadal śpiewa i osiągnęła swoją pozycję, dość jednak umiarkowaną. Nawet gdy zaśpiewała na wielkim koncercie w Pa-

ryżu z towarzyszeniem chóru Zespołu Estradowego Armii Czerwonej, także nic nie wynikało z tego wydarzenia.

Edith Piaf była zjawiskiem wyjątkowym, niepowtarzalnym, jedynym w swoim rodzaju. Upływające od jej odejścia lata zamiast oddalić, zbliżają ludzkość do jej sztuki. Nawet nie wiem, czy można to nazywać sztuką? Śpiewanie było jej życiem, biologiczną koniecznością. Północnoafrykańscy, kabyłscy po matce przodkowie zawadzili w górach Atlas przy wypasie owiec, śpiew należał do ich życiowych funkcji. Wszystko razem sprawiło, że Piaf nie była artystką jak inni. Nie mieści się w wymiarze sztuki, wyraźnie ją przekracza. Niczym Szekspir wyśpiewała los człowieka. Słuchają jej nagrań osoby nie znające francuskiego i czują, że dzieje się w nich coś ogromnie ważnego. Ludzkie dramaty nabierają w interpretacji Piaf niesłychanej mocy, jej śpiew jest krzykiem rozpaczliwego człowieka samotnego, zagubionego w gąszczu bezdusznej cywilizacji.

Głos Edith Piaf znałam z radia jeszcze w rumuńskim czasie dzieciństwa. Do Polski dotarła na radiową antenę wiele lat później. Po raz pierwszy zapaliłam świeczkę na jej grobie w dniu premiery spektaklu *Grand Music-hall de Varsovie* w paryskiej Olympii 15 lipca 1966 roku. Kilka miesięcy później zakończyłam w Berlinie tournée międzynarodowej gali *Bulwary naszych stolic*. Nie odleciał do Warszawy mój samolot i znalazłam się w mieszkaniu pisarki niemieckiej Anny Kraze, z którą przegadałyśmy całą noc. Chciała wiedzieć o mnie wszystko, a gdy opowiedziałam o francuskiej nauczycielce muzyki z łaśi, odeszła na chwilę do jednej z półek gigantycznej biblioteki i wręczyła mi małą książeczkę, świeżo wydaną przez Rohwolta. *Mein Leben* - pierwsza niemiecka edycja *Ma vie*, wspomnień, które Edith Piaf dyktowała w szpitalu dziennikarzowi „France-Dimanche”. To był kamień węgielny mojego archiwum Piaf. Wkrótce tłumaczyłam *Ma vie* i odcinkami czytałam w magazynie muzycznym programu I Polskiego Radia.

Myślę, że w roku 2003, czterdzieści lat po pożegnaniu największej pieśniarki XX wieku, powinnam przypomnieć o niej.

To mój obowiązek teraz, kiedy wzbogaciły mnie lata wiedzy i nieustannego obcowania z jej piosenkami, których większości zwykły meloman nie zna. Tak zwanej potomności przekazano zubożoną sylwetkę zarówno duchową, jak i artystyczną Edith Piaf. W ostatnich latach jej życia media gorliwie donosiły, że jeszcze nie umarła, że znowu śpiewa, ale jej dni są policzone. O, zmartwychwstała po kolejnej operacji. Wyszła za mąż i jest szczęśliwa, ale wkrótce znowu prawie umiera. Mniej mówiono o jej rozwoju artystycznym, trochę o wpływie osobistych przeżyć na to, co robiła w swojej sztuce, która przemawia nadal silnie i jest zawsze aktualna. Wśród jej nagrań są także protest-songi. Najwybitniejszy z nich to „Soeur Anne” (Siostra Anna), w którym pielęgnarka opowiada o grozie wojny, o żołnierzach uzbrojonych po zęby, gotowych zabijać i umierać. O łzach, do których ludzkość już przywykła.

By zrozumieć zjawisko Piaf, trzeba sięgnąć nie tylko do epoki piosenki, jaka istniała w Paryżu w chwili jej narodzin. Należy cofnąć się w głąb historii, do czasów rewolucji francuskiej, kiedy piosenka była śpiewaną gazetą, co ukształtowało ją w określony sposób, wytyczając dalsze drogi. Paryska piosenka uliczna rodem z XIX wieku wydatnie wpłynęła na rozwój kabaretu, a kabaret na piosenkę uliczną. Wszystko to uległo wymieszaniu, tworząc piosenkę realistyczną. Takiego gatunku poza Francją nie było. Istniały w innych krajach piosenki kabaretowe, polityczne, była piosenka plebejska, ale ta posiadała inny wymiar, dużo niższy artystycznie. W Niemczech była dość trywialna, Bertolt Brecht udostępnił ją światu w swoistej stylizacji. Podobnie angielska, choć dzięki balladom Roberta Burnsa sięgała nieco wyższych regionów. W Paryżu twórczość łączy się ściśle z życiem, bywa wręcz dokumentalna. Tutaj dokonują się jedyne w swoim rodzaju fuzje, gdyż poeci obcują z ulicą. To jeden z fenomenów kultury francuskiej, nie tylko w dziedzinie piosenki. Kiedy na świat przyszła mała Edith, Francja miała za sobą doświadczenia Baudelaire'a, który penetrował

mroczne zaułki, ciemne zakątki, przyglądał się mętnym stronom życia, przetwarzając je na poezję.

Edith Piaf nie miała wykształcenia, tym bardziej zaskakuje jej piękny charakter pisma, można powiedzieć, charakter pisma inteligentnego mężczyzny. Pisze bez błędów gramatycznych czy ortograficznych, a listy do boksera Marcela Cerdana ujawniają zmysł poetycki, podobnie jak listy do największego przyjaciela - Jeana Cocteau, który zmarł na atak serca po otrzymaniu wiadomości o zgonie przyjaciółki. Piaf chętnie przebywała w towarzystwie artystów i intelektualistów. Łaknęła tego świata, podobnie jak namiętnie słuchała Beethovena czy innych wielkich klasyków. Była niewrażliwa na piękno natury, nie interesowała się otrzymanymi kwiatami, przeglądała jedynie załączone bileciki. Chłonęła z otoczenia wszystko, by budować swoje artystyczne wnętrze. Czyniła to podświadomie.

W albumach z nagraniami Piaf można obserwować nie tylko jej rozwój wokalny. Pierwsze, najwcześniejsze nagrania są wyraźnie w stylu *voyou*, gawroszowatym. Agresywny sposób śpiewania, atakowanie słuchacza dźwiękiem, przekrzykiwanie gwaru ulicy, by zmusić do słuchania. Potem cała długa droga aż do końcowego, niemal oratoryjnego stylu. I zdumiewająca, wykwinna francuszczyzna Piaf, godna artystów z Comédie Française, z idealnie artykułowaną każdą spółgłoską czy samogłoską.

Z portretu słynnego fotografa Henri Cartier-Bressona melancholijnie spogląda w przestrzeń subtelna, elegancka Mademoiselle Piaf. W latach powojennych jest gwiazdą filmową, artystką sławną i popularną. Jej osobowość także ulegała ewolucji przez kolejne lata, wzbogaciła się o wiele elementów, nie odchodząc jednak od siebie. Osobowość bujna i barwna, władcza, świadoma własnej wartości. Pięć lat po śmierci Piaf telewizja francuska emitowała duży program z udziałem jej znajomych i przyjaciół. Przeważnie mówili: była cudowna, wspaniała, jak bardzo nam jej brak! Jedynie Charles Aznavour, wieloletni współpracownik,

odważył się na ocenę okrutną: była tyranem, potworem! Świętym potworem, to prawda, ale despotką bezwzględną.

Z upływem lat Edith Piaf stawała mi się coraz bliższa także jako człowiek. Wizerunek, jaki przedstawiam w tej książce, jest z pewnością subiektywny, choć oparty na rzetelnych dokumentach. Aktualna wersja stanowi rozwinięcie pierwszej edycji, z której usunęłam elementy mniej istotne, wzbogacając obficie materiały dokumentalną. Każdy miłośnik Edith Piaf nosi w sobie własny obraz tej niezwykłej artystki i kobiety. Mam nadzieję, że przynajmniej częściowo pokrywa się on z wizją przedstawioną w niniejszej książce.

Jej życie było tak smutne, że aż zbyt piękne,  
by mogło być prawdziwe.

*Sacha Guitry, reżyser*

# 1

Grudniowy Paryż 1915 roku był mroczny, chłodny i głodny.

Nawet świergot wróbli dźwięczał inaczej, brakło w nim niegdysiejszej wesołości. Louis Gassion szedł zmęczony smutnymi ulicami wśród przechodniów o zatroskanych twarzach. Miał za sobą kilkadziesiąt godzin podróży w przepelnionych ponad miarę pociągach. Na froncie szeptali, gdy nie było w pobliżu oficerów: po co, dlaczego strzelają jedni do drugich, tylko dlatego, że mieszkają w różnych krajach, a przecież są takimi samymi ludźmi. Widzieli to na własne oczy, gdy przyprowadzano jeńców. Dawali im papierosy, rozmawiali, bardzo często w tym samym języku. Nie czuli do siebie nienawiści. No tak, ale ci decydujący o wojnie, wydający rozkazy, nie brali w niej udziału. Wysyłali innych, którzy nie mogli jej uniknąć. Niech będzie przeklęta wojna.

Znalazł się na daleko wysuniętej linii frontu. Zdarzało mu się marzyć o ranie, żeby tylko uciec z tego straszego miejsca. Stało się coś innego: z krótkiego listu od żony dowiedział się, że zostanie wkrótce ojcem. Bez wielkich zachodów udało mu się otrzymać przepustkę, chociaż tylko na kilka dni. Dobre i to. Cieszył się, że wraca do domu. Zimowy wieczór z dala od okopów to dla żołnierza zapach świeżej pościeli, ciepło ciała ukochanej kobiety. I to wszystko już zaraz, za chwilę będzie miał dla siebie. Uśmiechnął się. Kilka miesięcy żołnierskiej doli oderwało go brutalnie od

zwykłego życia. W takiej chwili, daleko od frontu, bliżej rodzinnego domu, nawet wojna wydaje się mniej straszna. Nie tak straszna, jak sobie wyobrażają cywile.

Długa podróż dała wiele do myślenia. Nareszcie miał na to czas. Wędrówka z dworca do dzielnicy Belleville uświadamiała z każdym krokiem, że dom, do którego z radością w sercu wraca, niewiele ma z ciepłej oazy w przygnębiającym mieście. Belleville znaczy piękne miasto. Jakże to groteskowo brzmi! Być może kiedyś, w zamierzchłych czasach, była to piękna dzielnica, ale czasy jej świetności minęły bezpowrotnie. Od wielu lat jest to siedlisko nędzy, a on sam należy po prostu do lepiej sytuowanych biedaków. Jest wprawdzie miernym akrobatą, nie ma co do tego złudzeń, jednak wszelkie braki można nadrobić pewnością siebie i wdziękiem. Pomaga w tym także uroda, a że jest przystojny, mówi mu codziennie przy goleniu lusterko. Natura wprawdzie poskapiła wzrostu - w rodzinie ojca rzadko kto przekraczał metr pięćdziesiąt - ale poza tym obdarzyła nad wyraz szczerze. Harmonijnie zbudowany, postawny, należy do typu mężczyzn, którym żadna się nie oprze. Piękną, godną arystokraty głowę nosi dumnie i uśmiecha się z wyższością nie pozbawioną szczypty próżności, gdy wpatrzone weń kobiety szepczą: „Wiesz, Louis, twój ojciec był z pewnością jakimś hrabią! Jesteś taki elegancki, delikatny, skórę masz białą i gładką jak aksamit”.

Podoba się kobietom. Wie o tym. Ułatwia mu to życie. Kiedy zbierał datki za występy na ulicach, podwórkach, rzadziej w kawiarniach, jego uwodzicielski uśmiech otwierał damskie sakiewki. Hojność wobec takiego mężczyzny wydawała się wręcz obowiązkiem.

Los, przypadek, przekora natury ludzkiej, a może wszystko razem sprawiło, że Louis Gassion spośród licznych kobiet, z którymi miał do czynienia, na towarzyszkę życia wybrał sobie Anetę Maillard, wywodzącą się także ze środowiska cyrkowców. Prowadziła niewielki straganek ze słodczami. Ponieważ interes nie



przynosił zadowolających dochodów, dorabiała, śpiewając na ulicy. Wybrała sobie pretensjonalny pseudonim artystyczny - Line Marsa. Wzrostu niewielkiego, sylwetkę miała przeciętną, nogi fatalne. Dość pospolitej twarzy dodawały blasku ogromne, nieco wylupiaсте oczy. Mogło to świadczyć o nadczynności tarczycy, co usprawiedliwiałoby trudny charakter młodej kobiety.

Uśmiech nie gościł zbyt często na jej wargach, ale gdy się już pojawił, filigranowa Line Marsa wydawała się całkowicie odmieniona, śliczna i promienna. Właśnie ten uśmiech urzekł Louisa Gassion i zauroczenie to nie opuszczało go przez czas nielekkiego współżycia. Z natury łagodny i skłonny do wszelkich ustępstw, zrobiłby wszystko, byle tylko ujrzeć ten najpiękniejszy uśmiech na ukochanej twarzy.

Miała głos silny, o szorstkiej, ostrej barwie. Słuchając jej śpiewu, ludzie musieli w pierwszej chwili oswoić się z jego agresywnym brzmieniem, trwała wszak epoka belcanta i słodycz świeciła największe triumfy. Line była świadoma swoich walorów i zaczynała uliczne występy ostrym atakiem głosu, co było zresztą konieczne, żeby zwrócić na siebie uwagę i zgromadzić grupkę słuchaczy. Gdy stali już blisko, uśmiechała się najbardziej promiennym z uśmiechów. Wydawała się ciepła, miła, toteż słuchano jej chętnie. Później, w okresie sławy Edith Piaf, świadkowie epoki twierdzili, że barwę głosu odziedziczyła w pełni po matce, która nie była pozbawiona zdolności artystycznych.

Moja kochana żoneczko, myślał z czułością. Wkrótce zobacze cię wreszcie. Tak mi cię brakowało. Ale czy na pewno? Z niejakim zdziwieniem odkrył, że na froncie, w towarzystwie kolegów, troski życia rodzinnego znacznie się oddaliły. Odwykł po prostu od tego. Teraz trzeba rozpocząć prawie od nowa. Tylko jak? Mieszkali wprawdzie wygodnie we dwoje, lecz niebawem dołączy do nich nowa, mała istota, rozważał z radością i niepokojem. Jak to będzie? Trudno sobie wyobrazić.

- No, nareszcie jesteś - przywitała go ostro na progu.

- Kochanie moje, po twoim liście przyjechałem najszybciej jak tylko mogłem. Ale jest wojna, pociągi kursują nieregularnie.

Zamkną ją w ramionach.

- Dobrze, już dobrze, zajmę się wszystkim. Moje ty biedactwo, nie masz nic dojedzenia? Czy sąsiadki nie zaglądały do ciebie?

- Och, daj mi spokój, tego jeszcze brakowało, lak mnie irytują, że wołę ich nie oglądać.

- Line, kochanie, dawniej przyjaźniłaś się z nimi, gadałyście dniami i nocami, aż mnie czasem złościło...

- Łatwo ci mówić. Jesteś mężczyzną, wy myślicie całkiem inaczej. Wam zawsze łatwiej ze wszystkim. I właśnie teraz, kiedy ten cholerny brzuch rośnie z każdym dniem, kiedy wyglądam tak okropnie, kiedy ledwo mogę się ruszać, ty sobie najzwyczajniej w świecie wyjeżdżasz!

- Co ty wygadujesz, kobieto! Powołano mnie do wojska! Pojechałem na front, nie na Lazurowe Wybrzeże!

- Wszystko mi jedno! Tak czy owak zostawiasz mnie w najgorszej sytuacji. Zawsze miałeś głupie pomysły.

- O czym ty mówisz, jak pragnę zdrowia?

-Jak to o czym? Czy ty w tym wojsku straciłeś resztki rozumu? Przecież to jasne, och, że ja głupia wcześniej na to nie wpadłam! Zmachaleś mi bachora na złość, właśnie teraz, żeby na tym swoim cholernym froncie mieć pewność, że na taką pokrakę z brzuchem żaden facet nie poleciał!

- Moje biedne maleństwo, widzę, że samotność działa na ciebie fatalnie. Nie warto nawet wracać do tych głupot, o których przed chwilą mówiłaś.

- To nie są głupoty! Przez ciebie muszę teraz myśleć o pieluchach zamiast o karierze, a przecież latem facet z kawiarni Aurore, no wiesz, przy koszarach w Wersalu, już mnie prawie angażował.

- No pewnie. Tak przewracałaś oczami, tak się mizdrzyłaś, że chłop zgłupiał doszczętnie. Ale jak już o tym mowa, powiem ci

teraz prawdę. Wcale nie dla twoich piosenek chciał cię zatrudnić. Sama wiesz najlepiej, że twoje śpiewanie to nie żadne чудо.

-Też mi koneser. Już dawno zauważyłam, że tobie podobają się te wszystkie bezczelne dziwki, co pokazują nogi po same pachy, a śpiewają, pozał się Boże. A ja, ja jestem artystka prawdziwa! Przeżywam to, o czym śpiewam, nie robię głupich min.

- Line, to nie ma sensu. W twoim stanie potrzebny jest spokój. Zobacz lepiej, co ci przywiozłem. Okazuje się, że na froncie mamy całkiem nieźle. Spróbuj, jaki smaczny jest wojskowy chleb. Nareszcie nie będziesz musiała jeść tego czarnego z plewami, którym karmią was oszuści z paryskich piekarni, zdzierając w dodatku skórę, takie porobiły się ceny. I zobacz, co jeszcze dla ciebie mam: prawdziwy pasztet strasburski! Zaraz zrobię ci pysznej kawy, w życiu takiej nie piłaś! No, malutka, uśmiechnij się! Tak długo czekałem na ciebie.

- Och, Louis, jaki ty jesteś dobry i kochany. Wybacz mi, że tak się uniosłam, ale jestem u kresu sił. Pomyśl tylko, mieć dziecko właśnie teraz, w czasie wojny. Za Boga nie chcę, żeby to był chłopak. Zabiorą go na wojnę i zabiją.

- Uspokój się, kochanie. Spróbuj zasnąć.

Dołożył węgla do piecyka, w mieszkaniu było nadal dość chłodno. Rozebrał się tylko częściowo, lada moment trzeba będzie wstać. Zdawało mu się, że spał chwilę, gdy zbudziła go mocnym szarpnięciem.

- Louis, posłuchaj, mam straszne bóle. Obudź się wreszcie.

Była bardzo błada. Zdążyli dojeść niedaleko od domu.

- Nie pójdę dalej, nie mogę! - jęknęła, osuwając się pod latarnią gazową.

Wąska ulica pięła się stromo w górę, mimo to biegł, jakby mu wyrosły skrzydła u nóg. Wkrótce wrócił z dwoma policjantami.

Pod domem numer 72 przy rue de Belleville, na pelerynie policjanta, przyszła na świat Edith Giovanna Gassion, znana później światu jako Edith Piaf. Była godzina piąta rano 19 grudnia 1915



roku. Imię wybrała dziewczynce matka. Chciała w ten sposób uczcić pamięć młodej Angielki Edith Cavell, bohaterskiej pielęgniarki, rozstrzelanej kilka dni wcześniej przez Niemców za szpiegostwo. Poza tym, uznała młoda matka, Edith brzmi dystyngowanie. Z takim imieniem nie można przejść przez życie niezauważonym.

Na tym zakończyły się macierzyńskie troski. Wkrótce Louis czytał w okopach list od żony: „Między nami wszystko skończone. Małą oddałam do matki. Nie próbuj spotkać się ze mną po powrocie”.

Dziadek Maillard obudził się z bólem głowy, suchość w gardle też mocno dawała się we znaki.

- Mena, staruszeko, gdzie schowałaś flaszkę, którą przyniosłem wczoraj?

- Jaką flaszkę, co za flaszkę! Przecież wytrąbiłaś wszystko do ostatniej kropli.

- Nie krzycz, staruszeko. Obudzisz małą.

- Nic z tego. Wlałam jej wieczorem do herbatki sporo wina. Po takiej mieszance śpi jak aniołek.

- No, masz szczęście, że znalazłem w kuchni trochę wina. Wystarczy na śniadanie, a potem skoczysz coś kupić.

- Nie wiesz przypadkiem za co?

- Jak to, przecież Louis przysłał trochę grosza dla dzieciaka.

- Dobrze powiedziałaś: trochę! I to nawet mniej niż trochę.

- Przestań zrzędzić. Powiedz lepiej, co się dzieje z naszą córką? Podrzuciła nam małą, a sama znikła jak kamfora.

- Dziwisz się, przecież to jeszcze dziecko. Po co ona wychodziła za tego Gassiona? Skończyła dopiero siedemnaście lat i już zrobił z niej niańkę. A ile on miał dziwek w życiu, nikt nie zliczy.

- Nie można tak mówić, Mena. Louis pochodzi z porządnej, cyrkowej rodziny. Z dziada pradziada pracowali w solidnych, znanych grupach, a nasza córka, cóż, sprzedawała ciasteczka. Nie dam o nim złego słowa powiedzieć. To on próbował z niej zrobić artystkę.

- No i co z tego? Ledwo koniec z końcem wiązali, a teraz ta przeklęta wojna i nie ma chłopca.

- To prawda. I przez to wszystko teraz, na stare lata, musimy zajmować się dzieciakiem. I to takim nieudanym, nie wiadomo po kim. No, nasz zięć tego pił, może to też swoje robi. Lepiej, że Aneta go zostawiła. Świeża, ładna, niech sobie jeszcze użyje światła, a nuż znajdzie kogoś porządnego, a nie takiego akrobatę od siedmiu boleści.

Dziecko obudziło się i poprosiło o mleko.

- Nie ma mleczka, Didi. Masz herbatkę.
- Nie chcę. To nie herbatka, to wino.
- Winko jest zdrowe. I przestań marudzić. Idź na ulicę, pobaw się z dziewczynkami.

Pod koniec 1917 roku Louis Gassion postarał się o przepustkę. Był niespokojny o córeczkę. Teściom wysyłał regularnie pieniądze, ale nie mieli zwyczaju pisać, czyje otrzymali.

Z dworca skierował się pośpiesznie do mieszkania Maillardów. W miarę zbliżania się do celu niepokój wzrastał. Rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. Zobaczył małą na ulicy obok innych dzieci. Trochę był zdziwiony, że nie ucieszyła się na jego widok. Dopiero gdy zawołał: „Didi!”, krzyknęła i podbiegła do niego.

- Tata!

Podniósł ją wysoko, a potem przytulił do piersi.

- O, moje małe biedactwo. Aleś ty mizerna i strasznie brudna. Czy babcia cię nie myje?

- Myje, myje. Myła mnie ze trzy dni temu. Och, tatusiu, jak to dobrze, że jesteś. Kupisz mi lalkę? Moja jest taka stara i brzydka.

Był wstrząśnięty. Wszedł energicznie do ponurej meliny starsuszków. Nie próbował nawet ukryć gniewu.

-Jak wam nie wstyd! Coście zrobili z dzieckiem? Boga w sercu nie macie! Z trudem poznałem własną córkę.

- Czego krzyczysz, Louis? O co ci do diabła chodzi? Małej podoba się u nas, a jak chce się bawić, cała ulica jest dla niej. I wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa.

- A wśród tych dzieci jest najbardziej obdarta. Wygląda jak mały kloszard, cała zarosła brudem. Czy wy w ogóle nie używacie wody? Muszę z nią iść do lekarza, ma jakieś strupy. Straszne.

- Zięciu, co się tak gorączkujesz? Zimą niezdrowo myć się często, można się przeziębnić. Niedługo Boże Narodzenie, wykapiemy małą w szafliku.

- Nie ma mowy. Dość tego. Nie będzie żadnych kąpielii w szafliki. Nie będzie też Bożego Narodzenia, w każdym razie nie z wami. Jeszcze dzisiaj odwożę małą do Bernay.

-Tyś chyba zwariował! Jak ci nie wstyd wymawiać tę nazwę przy nas, zacnych, szanowanych ludziach? To, że twoja mamusia na stare lata otworzyła dom publiczny, można jeszcze zrozumieć. Jest wdową, nie miała z czego żyć. Jej sprawa. Żadna praca nie hańbi, ale żeby niewinne dziecko oddawać w takie miejsce! Nie, nie mogę tego zrozumieć. Mena, idź szybko, przynieś jakąś flaszkę. Weź na kredyt, ale szybko, bo zwariuję!

## 2

Ludzie, ludzie, chodźcie tu! Zapraszam! Panowie, panie! Za chwilę zobaczycie światowy numer salto mortale! Wykona go ta oto moja córeczka Didi! Przyszła gwiazda cyrków świata! Miejsca nie zabraknie! Zapraszam na występ słynnej akrobatycznej rodziny Gassion, która od pokoleń znana jest na arenach wszystkich krajów.

Mężczyzna z nerwowym uśmiechem zbierał datki do swojej czapki. Dziewczynka stała z opuszczonymi oczami na wytartym dywaniku, rozpostartym na bruku przedmiejskiej uliczki. Wstydziła się za każdym razem tego momentu, kiedy zebrani, nieliczni na ogół przechodnie, ufnie wrzucali do czapki swoje groszaki, spodziewając się Bóg wie jakiego widowiska, a ona wiedziała, że to wszystko błaga i oszustwo. Po pierwsze, ma dziewięć a nie sześć lat, choć może na tyle wyglądać, mała i drobna, anemicznie blada. Po drugie, umie zrobić zaledwie mo-





stek, czasami udaje jej się stanąć na rękach, ale z oparciem o ścianę. Bardzo tego nie lubi. Za chwilę nastąpi jeszcze gorszy dalszy ciąg.

- Kochani ludzie! Patrzcie na to biedne dziecko, ona jest bardzo chora, jak zbladła! Czoło jej płonie. Didi, ty na pewno masz gorączkę! Ona może umrzeć od tego salto mortale. Czy nikt się nie ulituje?

Każdy się litował. Ubodzy mieszkańcy przedmieścia są solidarni z równie ubogimi artystami, zresztą niewiele wrzucali do czapki cyrkowca. Niech mu tam. Czasami ktoś podszedł, spytał, czy nie lepiej pójść z dziewczynką do lekarza, jest taka mizerna. Tak, naturalnie, zaraz ją obejrzy najlepszy w okolicy doktor. Louis Gassion szybko zwijał dywanik i pośpiesznie opuszczali miejsce „występu”, aby go powtórzyć w innej dzielnicy. Do niedawna mieli jeszcze małpkę, która jedynie skakała, ale podobała się ludziom bardziej niż artysta Louis Gassion. Didi nie lubiła zwierzątka, bo było złośliwe. Nie dbała o małpkę, która w końcu przeziębła się i skończyła w drgawkach. Nie czuła żalu. Ojciec wymyślał różne formy występów, byle tanio i bez wysiłku. Przez jakiś czas był to gadający stolik. Pod niewielkim stolikiem przykrytym serwetą chowała się Didi, stukaniem odpowiadając na głupie pytania ojca. Na przykład:

- Zaczarowany stoliczku, powiedz nam, za ile miesięcy wyjdzie za mąż ta piękna pani blond, w czerwonym płaszczyku?

Stolik stukał dwa razy, a pani w czerwonym płaszczyku siedziała po chwili w kawiarni z tatą Gassionem, mającym osobliwy dar zjednywania sobie kobiet. Jeśli pora była dostatecznie wczesna, Didi dostawała kilka sous na kino.

- Najlepiej zostań do końca seansów.

Często powroty do taniego hotelu kończyły się snem na wycieracze. Kilka razy zdarzyło się, że jedna czy druga pani zostawała z ojcem przez wiele dni i nocy. Proponował, by Didi zwracała się do niej „mamusiu”, ale dziewczynce jakoś to słowo nie prze-

chodziło przez gardło. Matki nie pamiętała. Ojciec mówił o niej niechętnie, dziadkowie także.

Pewnego dnia było bardzo zimno i zanosilo się na deszcz. Niedaleko Placu Republiki zebralo się najwyżej pięć, może sześć osób i tata Gassion bez przekonania wieścił chorobę córeczki, gdy jakiś rośły drab warknął:

- Takie gadanie. Zapłaciłem i ma być salto mortale, albo oddawaj kasę.

Zabrzmiało to groźnie. Ojciec zbladł, dziewczynka zamarła. Pomyślała chwilę. Wyprostowała się, otworzyła szeroko oczy, spojrziała dumnie w niebo i zaśpiewała najgłośniejsz jak tylko mogła „Marsylianke”.

*Allons enfants de la patrie*

*Le jour de gloire est arrive'!*

Był to jedyny znany jej przyzwoity tekst piosenki, jeśli tak można nazwać hymn Republiki Francji. Znała tylko jedną zwrotkę, zakończyła ją i dygnęła, nagle bardzo zawstydzona. W czasie gdy śpiewała, zebrala się spora grupa słuchaczy, (idy wybrzmiały ostatnie tony mocnego głosu dziewczynki, zapadła uroczysta cisza, a po chwili rozległy się gromkie oklaski. Brawo, brawo, wołali niektórzy. Kilka osób podeszło do Didi.

- Mała, ty śpiewasz jak prawdziwa artystka!

Jeszcze nigdy nie zebrali tyle pieniędzy. Poszli do nieco lepszej kawiarni. Przy obfitym niż zwykle posiłku, bardziej podпиты niż zawsze ojciec mruczał:

- Ze też nie masz w nogach tego, co w gardle, byłabyś akrobalką jak ja!

Od babci Gassion wiedziała, że jej matka nie była cyrkówką, tylko sprzedawała ciastka w sklepiku Wesołego Miasteczka. Robiła to z marnym skutkiem, bo jej pragnieniem była kariera artystki, która też się nie udawała. Ojciec wygadał się kiedyś, że matka

Didi próbowała śpiewać na ulicach i chyba dlatego nie lubił, gdy córka usiłowała robić to samo. Śpiewanie traktował jako coś gorszego niż ewolucje cyrkowe.

- Chyba że ktoś śpiewa w operze, no, to już artysta prawdziwy! Bo można się napić i pośpiewać sobie, ale to jest zabawa, a nie praca. Każdy to potrafi.

Któregoś dnia zabrał córkę do wielkiego, prawdziwego cyrku. Miał tam trochę znajomych. Spędzili kilka godzin w wozie cyrkowym wśród dziwnych, zupełnie innych ludzi. Innych niż ci, których spotykała na co dzień. Przypatrywała się cyrkowcom zachłannie. Gdy nadeszła pora występu, wszyscy zrobili się nagle piękni, kolorowi, lśniący w swoich kostiumach jak zabawki na choince, które widziała w dużym sklepie. Kobiety były jaskrawo umalowane. Widowisko rozpoczęło się od barwnego korowodu, w którym kroczyły bogato przystrojone słonie, śliczne, różnokolorowe konie i wszyscy artyści, jeszcze piękniejsi w silnym świetle reflektorów. Arena tonała w tych światłach, otoczona czerwoną, aksamitną balustradą. Nad areną, w specjalnym miejscu, grała orkiestra. Ach, jak oni pięknie grali! Był tam nie tylko akordeon, ale także wielki bęben i różne trąbki. Chyba ta orkiestra najbardziej spodobała się Didi w wielkim cyrku. I jeszcze grzmot oklasków tłumu, który wypełniał olbrzymi namiot. Śpiewała tam jakaś pani, ale zdecydowanie nie przypadła do gustu dziewczynce, bo była stara, gruba i wydawała z siebie piskliwe dźwięki.

Wieczór w cyrku sprawił, że rozumiała teraz jeszcze wyraźniej, jak nędzne są ich produkcje na wytartym dywaniku. Zobaczyła wreszcie prawdziwe salto mortale. Piękny młodzieniec w srebrzystym kostiumie szybował wysoko pod kopułą niczym ptak, a może nawet anioł. Miała go ciągle przed oczami.

Od dnia, kiedy zaśpiewała „Marsylianę”, sprawiała ojcu coraz większe kłopoty. Stała się uparta. Za nic w świecie nie chciała już robić numeru z zaczarowanym stolikiem. Taki świetny numer, najlepszy w repertuarze ojca Gassiona! Pewnego dnia wypił o jeden

Na plakacie Matylda i Zephora - dwie siostry

ojca Edith

kieliszek za dużo, źle ułożył przykrycie na stoliku i cała konstrukcja runęła, odsłaniając przykucniętą dziewczynkę. Ludzie pękali ze śmiechu. Mała zaczerwieniła się, potem zbladła. Tego wstydu nie zapomni do końca swoich dni.

Nie można powiedzieć, że Gassion był złym ojcem. Miał dużo dobrych chęci. Zapisywał ją do kolejnych szkół, ale pobyty w nich stawały się coraz krótsze, bo często zmieniali miejsce zamieszkania, i zanim przypomniał sobie znowu o szkole, upływał dłuższy czas. Dziewczynka garnęła się do nauki, starannie przechowywała swoje



małe zeszytiki w kratkę, zaglądała do nich. Wtedy ogarniały go wyrzuty sumienia. Próbował udzielać jej lekcji, stosując dość oryginalną metodę. Zadawał znienacka pytanie:

- Kiedy urodziła się Joanna d'Arc?

Jeśli odpowiedź nie była natychmiastowa, wymierzał córce siarczysty policzek, nawet gdy „lekcja” odbywała się na ulicy w biały dzień. Trudno powiedzieć, ile to miało wspólnego z lekcjami tatki Gassiona, ale artystka z upływem lat będzie się coraz bardziej interesować historią Francji.



Ojciec Edith w czasie występu

Odczuwała często żal do ojca, że zabrał ją od babci Gassion. Przeżyła tam kilka szczęśliwych lat. Przedtem mieszkała u dziadków ze strony matki. Maillardowie zajmowali ciemny pokój w smutnej kamienicy i nie zapamiętała z tych czasów nic dobrego. Gdy po wielu godzinach podróży pociągiem znalazła się w wielkim domu z ogrodem, poczuła się jak w niebie. Tak się złożyło, że akurat nie było żadnych klientów, gości zaprowadzono od razu do reprezentacyjnego salonu, który tonął w aksamitach i atłasach. Didi dotykała mebli i kotar. Babcia Louise Gassion prowadziła w Bernay przybytek uciech,



Dom rodzinny małej Edith - ulica Belleville 72

nazywany przez mieszkańców miasteczka familiarnie

„maison”. Było to ciche, spokojne miejsce, co może się wydawać dziwne, ale jedynie komuś, kto nie zna francuskiej prowincji i jej leniwego rytmu życia.

Dziewczynkę otoczyły piękne, pachnące panienki, a było ich osiem. Ożywiła się, takie były miłe i śliczne. Zaprotestowała głośno, gdy po zdjęciu ubranka znalazła się w wielkiej wannie wypełnionej po brzegi wodą. Krzyczała i płakała, bo w życiu nie zetknęła się z tak ogromną ilością wody. Bała się, że za chwilę utonie, a kiedy oswoiła się trochę z nową sytuacją, panienki zaczęły mydlić jej wychudzone ciało. Trochę mydła dostało się do oczu i mała znowu uderzyła w płacz. Wreszcie wyjęły ją z wanny, otuliły wielkim pachnącym ręcznikiem. Były to nowe, bardzo miłe doznania. Łóżko okazało się wielkie, wygodne, z gładką pościelą. Panienki pocałowały ją na dobranoc, każda po kolei, zgasiły światło

i zamknęły za sobą drzwi. Wszystko to było tak zaskakujące, odmienne od tego, co знаła, że długo nie mogła zasnąć. To dziwne, ale nie boi się leżeć sama w ciemnym pokoju. Czuje się spokojnie i błogo. Z dalszych pomieszczeń dochodzą przytłumione głosy. Dotychczas sypiała z babcią Meną, ale tamto łóżko nie było tak przyjemne, a babcia pachniała winem, czosnkiem i czymś jeszcze, nieokreślonym. Tuliła się do babci w poczuciu bezpieczeństwa. Tutaj, w pachnącej pościeli jest rozkosznie. Zapadła w sen jak w studnię.

W salonie trwały jeszcze rozmowy, niebawem panienki udały się do swoich pokoiów. Madame Louise przeszła z synem do kuchni. Wszystkie ważne sprawy omawia się najlepiej w kuchni. Otworzyła butelkę wina.

- Nie, mój drogi, nawet nie myśl o przysyłaniu pieniędzy. Masz, biedaku, parę groszy żołdu, ledwo ci starczy na papierosy. A tu, sam widzisz, interes idzie bardzo dobrze, dziewczyny są miłe i spokojne. Żyjemy jak w rodzinie. Kupiłam nowe meble do salonu, piękne, prawda? Od zeszłego roku odwiedzają nas marynarze, dowiedzieli się, że u mnie taniej i spokojniej niż w Caen. Dorabiam się na stare lata. Chwała Bogu, twój ojciec Wiktor pomyślał o wszystkim na długo przed śmiercią. Powtarzał uparcie: słuchaj, matka, trzeba mieć nareszcie kawałek ziemi! No i kupił ten dom z ogrodem. Przez całe życie wędrowaliśmy z cyrkami, a człowiek powinien się trochę nacieszyć życiem. On sam zresztą niewiele się nacieszył, bo tyrał jak wół, żeby utrzymać gromadę dzieci. Louis, przecież was było razem z tobą czternaścioro! Mój Boże, połowa nie żyje. Pomyśl, ja was wszystkich wykarmiłam i dbałam jak mogłam, a nie było to łatwe w cyrkowym wozie.

- Mamo, kiedy pomyślę, że moja żona zostawiła malutką i poszła sobie, ogarnia mnie taka złość...

- Daj spokój, proszę cię! Nie wspominaj nawet o tej lafiryndzie. Tak nie mieć sumienia! Nigdy jej nie lubiłam, miała w oczach coś niedobrego, ale ty byłeś zakochany jak osioł. Myślą-

łam, że skoro jesteś dla niej taki dobry, to cię doceni, ale gdzie tam! Była wietrznicą i taka pozostanie. Przy niej moje panienki to anioły, naprawdę, wierz mi. Mają takie dobre serduszka, szanują mnie i kochają. Twoja córka będzie tutaj żyła jak w pałacu. Niczego jej nie zabraknie, a zamiast matki, tej, która wydała ją na świat, a potem zostawiła, będzie ich miała kilka. Rose i Carmen pracują u mnie najdłużej, mają dzieci daleko stąd, muszą na nie pracować. One najlepiej zajmą się małą. Idź już spać, synku. Tak się cieszę, że przyjechałeś. Jutro musisz wstać wcześniej, by zdążyć na pociąg. Możesz być spokojny o Didi. Będzie tutaj szczęśliwa.

Dziewczynka obudziła się rano. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Zaraz jednak przypomniała sobie wszystko i radosna, uśmiechnięta, przytrzymując zbyt długą koszulinę, powędrowała po wielkim domu. Zastała wszystkie panienki przy stole, u którego szczytu królowała babcia Louise. Poczuli silny głód i zaczęła się wspinać na wysokie krzesło.

- O nie, Didi. Najpierw cię umyjemy - powiedziała Rose.
- Po co, przecież wczoraj było tyle wody!
- Dzisiaj nalejemy trochę mniej.

Jakaż była radość dziewczynki, gdy po umyciu ubrały ją w nowiuteńką sukieneczkę i pantofelki.

-Jakie to ładne dziecko! Dopiero teraz widać - zachwyciła się Carmen.

- Nic dziwnego, moje drogie - rzekła spokojnie Madame. - W stanie, w jakim była wczoraj! Ach, mój Boże, lepiej nie mówmy o tym. Najważniejsze, że ma apetyt. Jest bardzo chudziutka, musimy ją podreperować.

- I cerę ma taką bladą. Paryskie powietrze jest okropne! Tutaj, u nas, odżyje i poprawi się tak, że za pół roku rodzony ojciec jej nie pozna.

Skończywszy śniadanie, dziewczynka wyszła do ogrodu. Po szarych brukach i brudnych podwórkach Paryża otaczający dom wielki ogród robił wrażenie bajkowe. Panowała tu niczym nie

zmącona cisza, a ćwierkanie ptaków nie zakłócało tej ciszy. Chodziła ścieżkami, alejkami, dotykała krzewów i drzew. Tu i ówdzie siedziały wrony. Mogłaby tak chodzić godzinami.

- Didi, wracaj do domu, możesz się przeziębici! - zawołały panienki.

Weszła do salonu. Siadała kolejno na fotelach. Były miękkie, kolorowe i przyjemne w dotyku. Nie знаła czegoś podobnego, krzesła u dziadków Maillard były twarde i brzydkie. A tutaj nawet na podłodze leżał mięciutki dywan, na którym można fikać koziółki. Ogarnęła ją wesołość.

- Co to jest? - Wskazała na duży, czarny mebel stojący w kącie.

- Pianino!

Posadziły Didi na taborecie. Delikatnie dotykała klawiszy, a przy każdym dotknięciu przenikał ją dreszcz. Dźwięki były piękne, inne od dotąd znanych. Na ulicach Paryża, w kawiarniach słyszała dźwięki akordeonu, lubiła łagodne melodie walczyków. Ze świata dźwięków miły był dla ucha świergot wróbli. To wesołe ptaszki, obserwowała je na ulicach. Kiedyś w sąsiedztwie widziała kanarka, śpiewał pięknie. Słyszała go często z okna. Gdy było otwarte i świeciło słońce, kanarek śpiewał jeszcze głośniejsze. Ale te tony, które wydobywały się za najlżejszym dotknięciem klawiszy, to było coś zupełnie nowego. Cieszyło ją to odkrycie i wystukiwała dziwne, nieskładne melodie. Była całkowicie tym pochłonięta, oczarowana. Jej oczy nabrały blasku.

W Bernay, malutkim miasteczku w Normandii, życie płynęło spokojnie, jakby nie było wielkiej wojny. Położony na skraju miasteczka dom Madame Louise wyglądał jak solidny pensjonat. W kinie Odeon, które po latach otrzyma dumną nazwę PIAF, odbywały się seanse: jeden w dni powszednie, dwa w soboty i niedziele. Ludność dzieliła wolny czas na wizyty w kościele, kinie i kawiarni. Zaledwie garstka mężczyzn bywała u Madame Louise, większość klientów stanowili przyjezdni.



Nadeszła wiosna. Dziewczynka spędzała coraz więcej czasu w ogrodzie. Miała swoją ulubioną ławkę, siadała na niej z coraz to inną lalką. Panienki pokochały Didi. Obdarowywały ją zabawkami, a ona odwdzięczała się czułością, której była spragniona, tutaj zaś doznawała jej na każdym kroku. Lubiła nucić ci-chutko. Znała teraz dużo melodii. Jedne grała elektryczna pianola, inne wynajęty z miasta muzyk, przygrywający w soboty na pianinie.

- Zaśpiewaj to głośniej, Didi.

*Nazywali ją jaskółeczką z przedmieścia*

*A to była tylko biedna Czarna Mańka...*

- Skąd to znasz?

- Znam dużo takich piosenek. Babcia Mena śpiewała je, kiedy była w dobrym humorze. Mogę wam zaśpiewać wszystkie. Chcecie?

Czas płynął w ciepłe i dostatku. Didi zaokrągliła się i stawała się z dnia na dzień coraz ładniejszą dziewczynką. Nad dużym, wypukłym czołem miała zawsze starannie zawiązaną wielką kokardę.

- Słuchajcie, dziewczęta, czy was to nie dziwi, że mała ciągle się potyka?

- Tak, masz rację. I wysuwa przed siebie rączki. To chyba nie jest normalne.

- Chodź tu, malutka. Spójrz na słoneczko, o tak. A teraz zamknij oczka. Dobrze, teraz otwórz. No tak, nawet nie mrugnęła.

Wizyta u lekarza potwierdziła najgorsze przypuszczenia: Edith zaniewidziała. Madame Louise nie żałowała pieniędzy. Specjalista w Caen stwierdził, że dziewczynka nabawiła się katarakty w okresie niemowlęcym. Nie poddana kuracji w porę, może teraz sprawiać kłopoty w leczeniu. Trzeba jednak próbować.

- Skoro żyła w warunkach nie najlepszych, pod opieką star-

szych ludzi, mogli tego nie zauważyć. Bądźmy dobrej myśli. Ale kuracja potrwa długo.

„Okres ciemności, jaki przeżyłam w dzieciństwie, pozostawił mi inny rodzaj wrażliwości, niż mają zwykle ludzie - wspomina artystka po latach. - Uświadomiłam to sobie dość późno, stało się to metodą w pracy. Kiedy chcę dobrze słyszeć, dobrze WIDZIEĆ piosenkę, zamykam oczy. Gdy piosenka powinna wydobywać się z głębi mojego jestestwa, z trzewi, gdy krzyk mojego śpiewu powinien przychodzić z daleka, wtedy także zamykam oczy”.

Dziewczynka wiedziała, że babcia Louise i panienki modlą się do świętej Teresy z pobliskiego Lisieux, żeby święta, której cuda były sławne nie tylko we Francji, ulitowała się i przywróciła jej wzrok. Niezależnie od modłów, jeździła dwa razy w tygodniu z Madame lub którąś panienką do Caen, gdzie doktor bardzo boleśnie pędzłował jej oczy. Znosiła to cierpliwie. Upłynął jakiś czas. W dniu świętego Ludwika, patrona ojca i babci Gassion, Didi odzyskała wzrok. Skończyła właśnie siedem lat i mogła jak wszystkie inne dzieci iść do szkoły.

Trudno powiedzieć, czy katarakta cofnęła się pod wpływem intensywnej kuracji, czy też dokonał tego cud. Artystka, uznając drugą wersję, przez całe życie uważać będzie świętą Teresę z Lisieux za swoją opiekunkę, a jej obrazek w ramach towarzyszyć będzie Piaf wszędzie.

- Śpiewanie to moja ucieczka, to inny świat - wyzna Edith Piaf w czasach sławy.

Miała piętnaście lat, gdy śpiewanie pozwoliło jej na ucieczkę w pełnym tego słowa znaczeniu: rozstała się z ojcem. Już wcześniej zarabiała samodzielnie, zdarzało się, i to nierzadko, że ojciec Gassion chorował, wysyłał wtedy córkę na zarobek. Początkowo, pomna pierwszego sukcesu, śpiewała „Marsyliankę”. Stopniowo rozszerzała repertuar o modne przeboje, głównie przeboje paryskiej ulicy.

*Wczoraj rzucił mnie ten drań  
Spalam ze wszystkimi jego kumplami  
Tak, zasłużyłam na porządne lanie,  
Jestem bydlę!*

Powoli budzi się w dziewczynie świadomość artystki. Zauważa, że bardziej podobają się ludziom piosenki smutne niż śmieszne czy wulgarne. Pieniądze nie są takie ważne, czuje, że swoim śpiewem przyciąga publiczność jak magnes. Coraz chętniej bywa na Pigalle. Tutaj czuje się swojsko, ulica jest domem, przechodnie życzliwi. Wolna jak ptak, podąża dokąd chce i kiedy chce. Czy można wyobrazić sobie cudowniejsze życie? Zjada coś w pośpiechu, idzie do kina, najchętniej na filmy z Charlie Chaplinem. Czy widzi w postaci Chaplina siebie? Może do jakiegoś stopnia, na pewno jest jej bliski. Zdarza się, że zatrzymuje ją policjant, czasami tylko dlatego, że słuchacze tworzą zbiegowisko, zakłócając ruch uliczny. Kłamie wtedy, że ma osiemnaście lat. Nie posiada zezwolenia na uliczne występy. Nie płaci nigdy kary za zakłócenie porządku, policjanci wolą posłuchać śpiewu dziewczyny, potem wypuszczają ją na wolność. Po kilku takich incydentach wiąże się z artystami uprawiającymi sztukę uliczną. W gromadzie zawsze różniej. Wieczorami, przed snem, myśli z radością o tym, że jutro znowu słuchać jej będą przechodnie, że będą klaskać. Tak będzie także pojutrze i zawsze. „A potem będę śpiewać nawet w kabaretach, będę bogata, będę jeździć białym samochodem z czarnym szoferem”.

Nauczyła się, pracując w grupach, że praca na podwórkach, zwłaszcza w lepszych dzielnicach, jest bezpieczna. Nie zagląda tam prawie nigdy policja. Ale właśnie w tych eleganckich miejscach mało kto słucha w zadumie piosenek o miłości i zdradzie. Adresatem piosenki ulicznej jest przede wszystkim ulica, jej szary przechodzień pojmuje najlepiej namiętności, które są jego namiętnościami.

Edith jest już w pełni dojrzałą, rasową artystką. Potrzebuje widowni, jaką stanowi grupka przechodniów, którzy koncentrują się na niej i pozostają w zasięgu jej wzroku. Warunkiem zaistnienia widowiska jest tajemnicza więź, jaka łączy artystę z publicznością. Dziewczyna czuje, że wtedy właśnie śpiewa najlepiej. Pustka podwórza eleganckiej kamienicy nie daje żadnych podniet. Nie liczy się wartość rzuconej z okna monety, jeśli zaraz potem okno zamyka się z trzaskiem. Edith nie chce litości. Artystka pragnie być rozumiana i budzić wzruszenie. Przyjmuje z wdzięcznością propozycję Camille'a Ribona, który posiada pozwolenie na występy podpisane przez samego generała Niegera. Odczuwa potrzebę opieki kogoś starszego. Didi uwielbia wolność, ale chwilami czuje się zagubiona i trochę niepewna. Na dłuższą metę jest to męczące. W późniejszych latach Edith Piaf opiekować się będzie troskliwie starym Ribonem, który, niestety, przeżyje swoją protektorkę i dokona żywota w nie najlepszych warunkach.

Występy w koszarach to już prawdziwe koncerty. Śpiew Edith budzi entuzjazm żołnierzy. To jedna z wdzięczniejszych widowni. W zamkniętych, wielkich pomieszczeniach dziewczyna ma lepszą możliwość panowania nad głosem. Tutaj słuchają jej z zapartym tchem, widzi setki par oczu wpatrzonych w nią z zachwytem. To coś zupełnie innego niż śpiewanie na ulicach, gdzie głos, nawet tak potężny jak głos Edith, rozplywa się w gwarze. Zresztą kilkuletnie występy uliczne zdeterminowały sposób jej śpiewania. Pozostanie na zawsze w jej głosie owa przestrzeń, dźwięk, który przychodzi do słuchacza z daleka. Zapewne jest w tym niesamowitym brzmieniu echo śpiewu przodków z afrykańskiego plemienia Kabyłów, z których wywodzi się babcia Maillard. Jakże mógł brzmieć ich śpiew na pustyni, roznosząc się w bezbrzeżnej dali, wśród świstu wichrów? Śpiew Piaf to także ich wołanie.

Podczas koszarowych występów rozbrzmiewają oklaski setek par dłoni, tak miłe dla ucha. Prawie jak w wielkim cyrku przed

laty. Żołnierska publiczność i jej uznanie pochlebia młodej śpiewaczce. To przedsmak sławy, może jeszcze nie tej prawdziwej, którą w głębi serca przeczuwa, a która na pewno będzie kiedyś jej udziałem. Jest w drodze ku niej.

Publiczność żołnierska jak widownia dziecięca - reaguje spontanicznie, bezbłędnie odróżniając prawdę od fałszu. Koszary kochają Edith, bo śpiewa jak nikt inny. Jest prawdziwa, należy do nich ze swoimi piosenkami, w których wibruje miłość we wszystkich odcieniach. Ten repertuar fascynuje ją, jest dla niej stworzony, choć jeszcze nie do niej adresowany. W jej czystym, jasnym głosie brzmi ludzka prawda. To głos ulicy, szczery i prosty, przemawiający nie tylko do uszu, ale przede wszystkim do serc. Edith-dziewczyna jest pełna naturalnego wdzięku. Po matce odziedziczyła wspaniały głos i rozbijający uśmiech. Piętno talentu sprawia, że gdy śpiewa, jej twarz promieniuje pięknem zniewalającym, nie do opisania. Na razie nikt ze słuchaczy nie zdaje sobie sprawy, iż obcuje z wielką sztuką w najwyższym jej wymiarze. W najczystszej, wysublimowanej formie.

Śpiewając o miłości, przeczuwa mgliście jej piękno. Pewnego dnia pojawia się On, ten jeden jedyny, Mały Louis. Śpiewała przy Porte de Lilas i dostrzegła go w grupce słuchaczy. Pochłaniał ją wzrokiem. Czuła się zmieszana, nie wiedziała, co o tym myśleć, ale nagle poczuła, że może z nim iść na koniec świata. Pomógł jej zebrać datki, a potem wziął za rękę i od tej chwili byli już razem. Louis Dupont pracował jako goniec. Zamieszkali w bardzo skromnym hoteliku na Belleville. Każda wspólnie spędzona chwila jest pasmem szczęścia. W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że miłość może być tak słodka, cudowna i tkliwa. Nikt nie mówił jej przedtem, co robi mężczyzna z kobietą. Myślała nawet, że to coś brzydkiego, skoro panowie przychodzili do panienek w Bernay, a dziewczynce nie wolno było o tym nawet wspomnieć, pod żadnym pozorem.

Młodzi kochankowie chodzili prawie co wieczór do kina. Oglądali Chaplina, Toma Mixa i Rudolfa Valentino. Byli szczęśliwi, kochali się i czuli dokładnie tak, jak mieszkańcy luksusowych salonów z białymi telefonami w amerykańskich filmach, choć w małym pokoiku Edith gotowała w puszkach od konserw, aż któregoś dnia rozpromieniony Louis przyniósł całą stertę rondli, talerzy, kubków i sztućców. Od tej chwili czuje się jak prawdziwa pani domu. Dopiero po kilku dniach Louis przyznał się, że ukradł to wszystko w kawiarniach, gdzie się zatrudniał dorywczo. Roześmiała się zachwycona.

-Jaki ty jesteś kochany, jaki zaradny!

Teraz mogę ci już powiedzieć. W samą porę przyniosłeś te kuchenne naczynia. Będą bardzo potrzebne, bo wiesz...

- Mów szybko!

- Nie domyślasz się?

- j u ż wiem, będziemy mieli dzidziusia! To cudownie, Didi!

Ale słuchaj, przecież oboje jesteśmy, no wiesz... Mamy za mało lat, żeby brać ślub! Pieniądzy też nie mamy.

- Czy to ważne? Kochasz mnie?

- Ile razy mam ci powtarzać! No, ale teraz koniec ze śpiewaniem. Jako przyszła matka powinnaś się zająć solidną pracą. Koniec ze śpiewaniem, Zresztą mamy szczęście, akurat szukają pomocnicy w pobliskiej mleczarni.

Niedługo pracowała w tym solidnym zakładzie. Nudne zajęcia sprzątanie i przelewanie mleka czy śmietany - urozmaicała tobie, nucąc ukochane melodie. „Przestań - powtarzał właściciel

-masz jakiś taki ochryply głos. Słyszałaś ty Lucienne Boyer? O, ta to śpiewa elegancko i gładko”.



Płakała w kącie. Dotychczas wszyscy mówili, że śpiewa bardzo ładnie. Wymówiła pracę mleczarzowi, ale Louisowi nie powiedziała prawdy. Kłamstwo przychodziło jej z trudem, nie leżało w jej naturze.

- Wiesz, bardzo mi szkodzi zapach sera. I jeszcze coś: ja wolę śpiewać, a wyglądam tak samo jak przedtem...

- To prawda, jesteś szczuplutka, ale czy to wypada w twoim stanie?

Louis nie był zbyt muzykalny. W tej sprawie nie zrozumieli się nigdy. Kiedy Marcelle przyszła na świat, Edith patrzyła już trochę inaczej na swoją wielką miłość, być może i za sprawą śpiewania, które bardzo pokochała. Pewnego dnia zdradziła Louisa z godniejszym od niego, prawdziwym mężczyzną, legionistą o niebieskich oczach. Mężczyźni w mundurach od dawna budzili jej podziw i zachwyt, a ten nowy był taki bardzo, bardzo silny i męski. Przy nim Louis to po prostu dzieciak. Była jednak Marcelle, do której wracała, płakała i znowu odchodziła w ramiona legionisty.

Marcelle zmarła na zapalenie opon mózgowych w wieku dwóch lat. W ten sposób Edith uwolniła się od wyrzutów sumienia i zarazem od pierwszej miłości. Zaczyna się okres Pigalle, nieco mroczny, ale nie aż tak, jak chcieli niektórzy. Edith jest ładną dziewczyną. Lubi zabawy, towarzystwo. Rzuca się z zapamiętaniem w wir życia. Niedawne obowiązki matki zabrały jej trochę młodości, pragnie to za wszelką cenę nadrobić. A może chce uspić wyrzuty sumienia? Dla mężczyzny porzuciła córkę. Wprawdzie sama doznała tego w dzieciństwie, ale czy to jest usprawiedliwienie?

W sierpniu 1935 roku, kiedy brakuje pieniędzy na pochówek Marcelle, a przyjaciele z okolic Pigalle i Belleville są równie biedni i nie zbierali potrzebnej sumy, Edith jedyny raz w życiu idzie z mężczyzną do hotelu, żeby zarobić dziesięć franków. Wszystkie ubogie dziewczyny tak robią. Przyzna się do tego w roku 1950, w wywiadzie dla „France Dimanche”. Podała szczegóły: w pokoju

hotelowym rozpląkała się spazmatycznie, opowiedziała mężczyźnie swoją historię. Dał jej pieniądze, nie chciał nic.

-Odwagi, mała. Życie nie jest łatwe.

Śpiewając na Pigalle i w jego okolicach, styka się z nocnym życiem Paryża. Ma nawet swojego opiekuna, pięknego Alberta, ale wszyscy wiedzą doskonale, że Edith egzystuje na wyjątkowych prawach. Zajmuje się tu, jak gdzie indziej, wyłącznie śpiewaniem. Jej osobowość jest już skryształizowana. Ma zdecydowane cechy przywódcze, te wrodzone predyspozycje, które łącznie ze sztuką śpiewania czynią jej sytuację odrębną. Potrzeba dominowania będzie się odtąd wzmagać. Edith potrafi sobie podporządkować nawet starszych i mądrzejszych od siebie. Ta dominacja zamieni się w przyszłości w rodzaj dyktatury.

Na kinowych występach ogląda gwiazdy epoki. Fréhel, indywidualność piosenki realistycznej, nie budzi zachwytu młodej artystki. Fréhel ma swoje lata, ale nie w tym rzecz. Spustoszenie, jakiego dokonał w niej alkohol, widać na pierwszy rzut oka. Żalotne widowisko. Druga gwiazda, Damia, jest w świetnej formie, to elegancka dama, ale jak na gust Edith, brak jej żywiołowości. Młoda artystka bezbłędnie potrafi ocenić i przyswajać sobie to, co może być przydatne dla jej własnej sztuki. Tak będzie zawsze. Wbrew pozorom, życie osobiste Piaf jest i będzie zawsze podporządkowane sztuce.

W okresie Pigalle osiąga ten stopień artyzmu, kiedy musi pojawić się na scenie jej życia mecenas i odkrywca w jednej osobie. Jesienne wieczory 1935 roku prowadziły ją niezmiennie w eleganckiej dzielnicy wokół Łuku Triumfalnego. Upodobała sobie obszerny róg rue Troyon i Avenue Mac Mahoń. Tego dnia wyjątkowo obojętnie śpiewała:

*Urodziła się wróblem, żyła jak wróbel,  
Umarta jak wróbel...*





Nie była w dobrym nastroju. Źle spała tej nocy. Myślała o tym, że życie pieśniarek nie jest chyba nadzwyczajne. Może Fréhel śpiewała kiedyś wspaniale, tak, na pewno, ale teraz wygląda na nieszczęśliwą. Może choruje, a musi zarobić na życie? Czy mnie czeka ten sam smutny los?

Śpiewała o wróblu i z niepokojem obserwowała w grupce słuchaczy bardzo eleganckiego mężczyznę w starszym wieku. Nie należał do jej publiczności. Ani do tych przypadkowych, którzy zatrzymują się na chwilę, aby iść dalej. Ten świetnie ubrany, nobliwy pan słuchał jej bardzo uważnie, przyglądał się podejrzanie badawczo. Był zbyt wytworny na tajniaka. Nie taksował jej też wzrokiem faceta, który chce iść z kobietą do hotelu. Jej dziewczęca, pełna wdzięku uroda narażała ją czasami na tego rodzaju propozycje, które zbywała krótko: „Pan się myli. Jestem artystką”.

Podszedł dopiero, gdy pozbierała datki.

- Nie boisz się, że zedrzesz głos na ulicy?

- A ma pan dla mnie lepszy kontrakt?

Rzadko bywała tak obcesowa. Miała wyraźnie zły dzień. Mężczyzna nie dał się zbić z tropu. Uśmiechnął się łagodnie.

- Oferta jest poważna. Nazywam się Louis Leplée, proszę, oto moja wizytówka. Myślę, że mogłabyś śpiewać w programie w mojej restauracji Gernys, to dwa kroki stąd, po drugiej stronie Łuku Triumfalnego. Oczekuję cię jutro w południe na próbie.

Louis Leplée pochodził z rodziny artystycznej, był siostrzeńcem słynnego Polina, gwiazdora café concerts. W młodości zrobił szybką karierę w music-hallach Paryża, ale wojenna rana uczyniła go kaleką. Utykał lekko i nie chciał już pracować na scenie. Autentyczny miłośnik sztuki estradowej, tworzył własne kabarety, efektowne i popularne, z wysokimi ambicjami, co wyróżniało go wśród innych. Formuła, jaką stworzył w kabarecie Gernys, była czymś nowym w Paryżu połowy lat trzydziestych. Restaurację otwierano o dziesiątej wieczorem, a program variété wypełniał czas, z przerwami, do czwartej rano.

Słuchając dziewczyny na ulicy, Leplée zorientował się, że jest obdarzona nieprzeciętnym talentem, ale to, co usłyszał na próbie przy akompaniamencie fortepianu, przerosło nawet jego oczekiwania. Ta dziewczyna jest geniuszem piosenki ulicznej. Nie tylko ulicznej. Ona wyrośnie na gwiazdę Paryża, Francji, a nawet więcej. Repertuar miała ogromny. Uczyla się bardzo szybko i знаła na pamięć wszystko, co było aktualnie modne, od słodkich pieśni Tino Rossiego, poprzez kawałki Mistinguett, aż po arie operowe. Próby z pianistą Jeanem Uremerem trwały trzy dni. Wybrano starannie piosenki z repertuaru, jakim dziewczyna dysponowała, by nic nie stracić z jej autentyzmu i świeżości.

-Jak się nazywasz?

- Edith Giovanna Gassion.

- To nie jest nazwisko na afisz.

- Kiedy śpiewam na balach i w kinach, nazywam się różnie, czasem Tania, Denise, albo Huguette Elia.

- Nic ciekawego. Wiesz, ty jesteś prawdziwym paryskim wróblem i wielka szkoda, że już jedna taka śpiewająca istnieje. Na szczęście wróbel to w znanej ci doskonale paryskiej gwarze - pif. Jesteś dzieckiem paryskiej ulicy i będziesz się nazywać la Môme Pif. Nic lepszego nie można wymyślić.

W piątkowy wieczór 25 października 1935 roku sala Gernys była wypełniona gośćmi bardziej niż kiedykolwiek. Leplée zaprosił mnóstwo swoich artystycznych przyjaciół, był nawet Maurice Chevalier z żoną. Edith oczekiwała na swoje wyjście w kuchni. Była spokojna, słuchała bardzo uważnie zapowiedzi.

- Kilka dni temu przechodziłem ulicą Troyon. Na chodniku śpiewała dziewczyna, drobna dziewczyna o twarzy bladej i smutnej. Jej głos przejął mnie do głębi. Chcę wam teraz przedstawić to dziecko Paryża. Ona nie ma wieczorowej sukienki, a jeśli potrafi się uklonić, to dlatego, że nauczyłem ją wczoraj. Zobaczycie ją taką, jaką spotkałem na ulicy: bez makijażu, bez pończoch, w skromnej spódnicy i sweterku za kilka sous. La Môme Pif!

„Wchodzi nieco zażenowana, że jest taka malutka, z głową wciśniętą między ramiona, ale nie ma w niej onieśmielenia” napisze nazajutrz Pierre de Regnier. „Zatrzymuje się przy fortepianie, mierzy salę spojrzeniem bez wyrazu i zaczyna śpiewać. Ten głos, zimny, o barwie otwartych świeżo ostryg, głos ogromny, bezkresny, ochrypliwy i potężny, zarazem zwyczajny i jedyny, tak - jedyny! Jak mam go opisać? Ten głos wilgotny, jakby zakatarzony, jeszcze dziecienny a już pełen rozpaczy, ten głos ogarnia słuchacza, ścisiska mu boleśnie serce i każe przestać myśleć. Słowa, które śpiewa dziewczyna, są najbardziej głupie i najbardziej pospolite. To przeboje znane od lat z kawiarni i knajp, śpiewane przez wszystkich ulicznych artystów, a ta mała Pif uczyniła cud: stały się nagle interesujące, porywające i - to najbardziej zadziwia! - bez najmniejszego wysiłku z jej strony, bez widocznych sposobów. Nie jestem w stanie wyjaśnić wam, jak tego dokonała. Ona nie robi nic, jest

mała, chudziutka, nieuczesa, w kusym sweterku i takich buciakach, że aż dziw, iż nie są zabłocone. I ma tylko ten swój zdumiewający głos”.

Zanim ukazała się ta pierwsza recenzja, Edith, zadyszana, przybiegła do swoich kompanów w La Belle Ferroniere. Rzuciła na stół garść banknotów.

- Fiu! - gwizdnął z podziwem Albert, ten najpiękniejszy. - No, no, słuchajcie dzieci. Didi jednak nie kłamała. Musiała śpiewać w jakimś naprawdę eleganckim lokalu. Na ulicy nie zarobiłaby tego nawet przez miesiąc, a może dwa.

-Jak ci nie wstyd! Czy kiedykolwiek was okłamałam? Jeśli śpiewałam w koszarach dla żołnierzy, nie mówiłam nigdy, że właśnie odniosłam sukces w Moulin Rouge!

- Mała, schowaj te pieniądze, postaw nam tylko dwie butelki szampana, musimy przecież uczcić twój wielki triumf. Pamiętaj, Didi, zawsze mówiłem, że jesteś wielką artystką, tylko dotąd żaden głupiec nie poznał się na tobie! Ja jeden wiedziałem o tym od początku! Chcę, żebyś te zarobione pieniądze wydała jutro co do grosza w jakimś lepszym magazynie. Kupisz sobie sukienki, pantofle, kapelusze, wszystko, co najpiękniejsze! Moja dziewczyna będzie jutro wyglądała jak panienka z Pól Elizejskich!

Ucałowała go z promiennym uśmiechem.

- Albercie, ty masz zawsze rację! Jutro ubiorę się jak księżniczka! Za taką furę pieniędzy można sobie kupić wszystko. Nawet boa z lisa!

Nazajutrz obudziła się w swoim pokoju hotelowym z dziwnym uczuciem. Nie bardzo pamiętała w pierwszej chwili, dlaczego jest taka szczęśliwa. Wróble ćwierkają na parapecie jak zawsze. Zobaczyła leżące na stole banknoty. Wstała, umyła się piorunem, jak nigdy dotąd. Pobiegła do Printemps i innych sklepów. W południe zjadła z przyjaciółmi obiad w zaprzyjaźnionej restauracji, potem odpoczywała. Zdrzemnęła się godzinę, może dwie. Potem przeglądała zakupy. Była w siódmym niebie.

Pod wieczór umalowała się jaskrawo, włożyła nową sukienkę z czarnego adasu, pantofle na obcasach, żakiet, kapelusz z woalką, na ramiona zarzuciła lisa. Przekraczając próg Gernys, rzuciła z szerokim uśmiechem: »Bonsoir!«

Louis Leplée otworzył usta zdumiony.

- Didi, czyś zwariowała? Chryste Panie, jak ty wyglądasz! Uliczna dziwka, jakiej świat nie widział.

- Chciałam być elegancka...

- Nic już nie mów. Biegnij do hotelu i przebierz się.

- Tamto były stare rzeczy, nie mam ich. Wyrzuciłam - broniła się.

- Nic mnie to nie obchodzi. Za godzinę masz wyglądać tak jak wczoraj. Dokładnie tak samo.

Kiedy stanęła niebawem przed lustrem z czystą, bladą twarzą, w czarnym swetrze i prostej spódnicy, pomyślała, że papa Leplée pewnie wie, co robi.

# 3

Od pierwszego występu Piaf staje się największą atrakcją Gernys. Cały Paryż przychodzi słuchać jej śpiewu. Jest bardzo pracowita, uczy się nowych piosenek z dnia na dzień. Natychmiast opanowuje pamięciowo materiał i w przeciwieństwie do innych artystów, nie musi żmudnie pracować nad ostatecznym kształtem piosenki. Przy fortepianie uczy się równocześnie słów i muzyki. W tym czasie przychodzą stopniowo różne pomysły. Nie goni za nimi, czeka, aż pojawią się same. Jeśli wykona jakiś gest spontanicznie, a potem powtarza go w tym samym miejscu, wynika z tego, że jest po prostu dobry. Nie używa wielu gestów. Mają sens jedynie wtedy, gdy pomagają w interpretacji piosenki.

Do swojego menadżera zwraca się „papa” i nie jest to czcze słowo. Przy swoich dwudziestu latach jest dziecinna, a bezbrzeżna ufność czyni ją naiwną. Odczuwa niedosyt miłości ojcowskiej. Louis Leplée, którego zainteresowania dotyczą mężczyzn, na stare lata czuje się samotny i ta wielka artystka wypełnia bez reszty jego uczucia. Odkrył jej talent, cieszy się jej sukcesami i czuje się za nią odpowiedzialny. Przepęlnia go duma, kiedy z końca sali obserwuje publiczność, chłonącą jej wspaniały śpiew. Ten śpiew zniewala, obezwładnia. Jakże w drobnym ciele może mieścić się tyle nieludzkiej siły, prawdy, żaru, bólu i rozpacz?

Szóstego kwietnia 1936 roku Louis Leplée został zamordowany. Śmierć absurdalna, bezsensowna. Padł ofiarą porachunków.

Jak większość homoseksualistów, obracał się w towarzystwie bardzo różnym, często wśród ludzi marginesu, ale dla policji nie ma to znaczenia. Największe podejrzenia budziła mała Piaf, dziewczyna z Pigalle. Jest przesłuchiwana godzinami, straż pilnuje jej nawet podczas posiłków. Cała sława w kabarecie Gernys okazuje się niczym wobec przeszłości. Marzyła, by pisała o niej prasa, śniła po nocach o pierwszych stronach gazet. I tak się stało, ale wciągnięto ją w bagno. „Kabaretowa pieśniarka skompromitowana w aferze Leplée nie nazywa się Piaf. Nie ma dymu bez ognia”. Przyjaciele zamordowanego nie zjawili się na pogrzebie. Garstka, która spotkała się na smutnej ceremonii, patrzy z litością na młodą artystkę. W ich oczach wyczytać można: twój protektor nie żyje, wracaj na ulicę.

Przyjaciele z Pigalle rozpierzchli się w trwodze. Każdy ma coś na sumieniu, od policji lepiej trzymać się z daleka. W znajomych kawiarniach właściciele pytają o wyniki śledztwa, ale nikt nie proponuje jej pracy. Któregoś dnia spotyka na ulicy znajomego, z którym występowała u papy Ribona.

- Dobrze, że cię widzę. Mam niezłą robotę.
- Spadłeś mi z nieba. Jestem bez grosza.
- Spakuj neseser i bądź za dwie godziny na Gare du Nord. Jechemy do Lille.

Uśmiechnęła się żałośnie.

-Ach, prawda. Proszę, oto zaliczka. Do zobaczenia.

Nie łudziła się, że tournée po zagłębiu węglowym dostarczy głębokich przeżyć artystycznych. Organizatorzy prosili ją o wykonanie „Międzynarodówki”. Zgodziła się, choć z oporami. Znała tę pieśń z wieców, na których czasami występowała. Była dzieckiem ludu, jednak nie czuła żadnych więzi z robotnikami, tym bardziej nie interesowały jej sprawy, o które walczą. Ale nie umiała śpiewać inaczej niż żarliwie, namiętnie. Gdy zabrzmiała „Międzynarodówka” w pełnym patosu śpiewie Piaf, górnicy osłupieli. Na ogół słuchali tej pieśni w nieudolnym, amatorskim wykonaniu. Za

sprawą tej drobnej, młodej dziewczyny zrozumieli nagle, że ich hymn jest piękny, że zawiera w sobie moc. Urządzili owację, zmuszono Edith, by zaśpiewała jeszcze raz. I tak już było na wszystkich koncertach górniczych. Godziła się z tym, chociaż było jej przykro, iż ulubione piosenki o miłości, rozpaczy, zdradzie i samotności nie wzbudzają takiego entuzjazmu jak robotniczy hymn.

Wiedziała już, że publiczność to żywioł nieokiełznany, trudny do rozszyfrowania. Jak każde zbiorowisko ludzkie, rządzi się własnymi prawami i odrębną logiką, jeśli można mówić o logice, gdy ma się do czynienia z tłumem. Nie miała pretensji do publiczności. Czuła żal do losu, że pozbawił ją tak brutalnie wieczorów w kabarecie Gernys, gdzie po raz pierwszy w życiu miała do czynienia z wrażliwą i pojmującą wszystko widownią, chłonącą każdy jej szept, każdy niemal oddech. Trwało to wszystko zaledwie kilka miesięcy, jakże bogatych w wydarzenia i przeżycia. Poznała w tym okresie sławy i chwały Raymonda Asso, poetę, autora tekstów piosenek. Być może nie zauważyłaby go, ale podając mu dłoń, usłyszała: „Kocham cię”. Patrzył jej głęboko w oczy. Nie był w jej typie. Tak się odezwać przy pierwszym spotkaniu? Dziwne.

Asso, nie zbity z tropu, dodał spokojnie:

- Zapisz sobie mój numer telefonu, Edith. Pewnego dnia będę ci potrzebny. Czekam.

Po latach Piaf odda mu sprawiedliwość w swojej autobiografii

*Ma vie:*

„ Pierwszym mężczyzną, który podał mi dłoń, który chciał mi pomóc, a nie zrobić ze mnie z dnia na dzień swoją kochankę, był autor tekstów Raymond Asso. Wkroczył w moje życie, gdy miałam złą passę. Po oskarżeniach o udział w zamordowaniu mojego patrona i odkrywcy byłam kompletnie załamana. Moja kariera skończona. Wszystkie drzwi zamykały się przede mną”.



Przyjął Edith w swoim domu ciepło, ale bez śladu czułości. Rozmawiali przez pół nocy, potem zaprowadził ją do łazienki, następnie otworzył drzwi sypialni z wielkim łóżkiem, rzekł cicho dobranoc i zamknął za sobą drzwi. Leżała w ciemnościach. „Powiedział kiedyś, że mnie kocha. Kiedy mężczyzna kocha, chce kochać ze wszystkim. A on zamyka drzwi i mówi dobranoc. No tak, ale Raymond jest poetą, oni pewnie wszystko robią inaczej”.



Edith Piaf i Raymond Asso

Upłynęło trochę czasu, zanim go pokochała, a Raymond traktował ją chwilami jak dziecko. Przeistaczała się powoli w kobietę. Miała świadomość swoich licznych braków i poddawała się z całą ufnością edukacji, choć zdarzało jej się mieć wszystkiego dosyć. Asso tworzy dla niej nowy, nieznaną świat, który przypomina dzieciństwo, jakiego zaznała jedynie częściowo. Codziennosc jest wypełniona drobnymi radościami, o których nie miała pojęcia. Pracują intensywnie, by przygotować Edith do występu w teatrze ABC. Na zdjęciach z występu jest w czarnej sukience z białym kołnierzykiem z koronki. Prasa oceni to właściwie: „Wszystko w niej wywodzi się z przedmieścia, za wyjątkiem jej toalety i fryzury w stylu Klaudyny z książki Colette”. Nie chciała tego kołnierzyka, ale uległa presji Raymonda i swojego impresario, który nazywa się Mitty Goldin. Początkowo nie wierzył w nową gwiazdę. Po premierze oświadczył: „Zaskoczyła mnie swoim majestatem. To wielka artystka”.

Długo czekała na swoją konsekrację, teraz ma prawo do pełnej satysfakcji. Prasa nie szczędzi pochwał, choć bywa powściągliwa. „Le Figaro” z 1 kwietnia 1937 roku ocenia:

„La môme Piaf ma na swoim koncie znaczące postępy. Nie sądzę, aby była przeznaczona na idealną wykonawczynię piosenek mocnych, potężnych, gdy jednak śpiewa repertuar opowiadający o przedmieściach, jest po prostu nadzwyczajna”.

Dwa dni później „Paris Soir” okazuje się łaskawszy:

„La môme Piaf, kruchy kwiat ulicy, nie wędnie już w oczekiwaniu. Wygrała swoją batalię z determinacją i pełną świadomością, osiągając zasłużony sukces. Mamy nową gwiazdę, która zawdzięcza wszystko wyłącznie swojemu talentowi”.

Niebawem prasa informuje, że nie ma już „la môme Piaf”, która zniewalała swoimi smutnymi oczami. Teraz Edith Piaf zdobywa

triumfalnie publiczność. To wielka artystka, która dzięki swojej pracy oraz inteligencji zaistniała jakiś czas temu jako swoisty fenomen pewnego kabaretu przy Polach Elizejskich. Od tamtej chwili przebyła ważną drogę do obecnej formy, w której podziwiamy całą gamę środków jej fantastycznego talentu. Pierre Hiégel, jeden z jej szefów artystycznych, który słyszał jeszcze trzynastoletnią Edith na ulicy, deklaruje: „Była od samego początku artystką totalną, kompletną i absolutną. Profesjonalnie rzecz biorąc, jest to najbardziej zdumiewające zjawisko w dziejach music hallu”.

Po kilku spektaklach Edith odrzuciła biały kołnierzyk. Raymond przyznał, że miała rację. Od najmłodszych lat umie czerpać z otoczenia wzory, z których przyswaja jedynie to, co uważa za niezbędne. Intuicja nie zawodzi jej nigdy.

- Wiesz, Raymond, teraz kiedy oglądam biały kołnierzyk już tylko na fotografiach, przyznaję, że wyglądam rzeczywiście ładnie. Ale to nie jestem ja. To mi przypomina Bernay, pamiętasz takie moje zdjęcie z wielką białą kokardą na czubku głowy. To gatunek fotografii rodzinnych, na których trzeba wyglądać nobliwie. Raymondzie, nalej mi szampana. Kocham cię bardzo, kocham cię czule, ale będziemy zawsze należeć do dwóch różnych światów. Możesz mnie uczyć nie wiem jak długo, będę cię naśladować we wszystkim, a jednak część mojej duszy pozostanie na zawsze w małym, biednym pokoju hotelowym, w którym mieszkałam z moim pierwszym mężczyzną. Wierzyłam bezgranicznie, że żyjąc z tobą, nauczę się tego wszystkiego, co ty potrafisz od dziecka. Bardzo tego pragnęłam, nie masz pojęcia jak bardzo! Staralam się jak mogłam. I co z tego? Dwa lata edukacji minęły, przeczytałam sporo książek, piszę bez błędów, potrafię się zachować lepiej niż kiedyś, ale ciągle czuję się obco, choć tak mi tu dobrze jak nigdzie na świecie.

Pod koniec roku 1938 pisze do Raymonda z podróży koncertowej:

„Mój biedny Kochasiu, jak ty musisz cierpieć, żeby mi pisać tak paskudne rzeczy. Ale masz rację, jestem głupia, zawsze Ci mówiłam, to Ty chciałeś mnie przekonać, że jestem inteligentna. Żeby popełnić te wszystkie głupstwa, które robiłam, zanim Ciebie poznałam, na to trzeba było całego mojego krety ństwa i czas już najwyższy zapłakać, tak jak ja płacę nad istotami, które unieszczęśliwiłam. Nie mam już do siebie zaufania”.

To rozterki kobiety. Artystka pnie się drogą sławy coraz wyżej. Najgłębszej analizy pieśniarki i człowieka dokonuje poeta Leo-Paul Fargue:

„Popularna piosenka realistyczna to problem godności, przekonałem się o tym dzięki Edith Piaf, która wydaje się spokrewniona z siłami natury. Jej spojrzenie sięga daleko, aż po horyzonty cudów, za którymi rozpacz tworzy swoje opowieści. Artystka przekazuje nam z wielką siłą triumfy miłości, surowość losu, niepokój i trwogę pędzących pociągów, radość światła czy niepokój serca. Czyni to w dźwiękach najwyższych, klarownych i czystych, przypominających dotyk boskich pędzli, które pojawiają się w mrocznych historiach Goi i Delacroix”.

Podczas fatalnego okresu po tragicznej śmierci papy Lepléejechała pociągiem na Lazurowe Wybrzeże, miała tam kontrakt.

- Siedziałam sama w przedziale - opowiadała Raymondowi Asso. - Za oknami padał deszcz, było mi smutno i chłodno. Czulałam się samotna i nieszczęśliwa. Ucieszyłam się, gdy na jakiejś stacji wsiadł pośpiesznie mężczyzna. Nie widziałam dobrze jego twarzy, zapamiętałam tylko uśmiech, kiedy podawał mi ogień do papierosa. Rozmawialiśmy. Było coraz chłodniej, zdjął marynarkę i okrył mnie, objął ramieniem i przytulił. Było mi ciepło i błogo. Noc upływała w półśnie, bałam się nadchodzącego dnia, kiedy wszystko minie niczym piękny sen. Obudziłam się nagle i zo-

baczyłam niewielką stację skąpaną w promieniach słońca. Pociąg wjeżdżał powoli, a mój mężczyzna wyskoczył w biegu na peron. Otoczyli go jacyś ludzie i założyli kajdanki. Kiedy pociąg ruszał, rzucił w moją stronę błagalne spojrzenie. Może był mordercą? Dziwnych ludzi spotyka się w pociągach.

Tak powstała piosenka „Paris-Méditerranée”. Wiele innych Raymond Asso napisał, czerpiąc z jej opowiadań. Bardzo lubił ich słuchać. Obserwował pilnie Didi. Ta dziewczyna składa się z samych sprzeczności. Na co dzień obraz radosnej pogody, przeobraża się jednak w kogoś innego, gdy tylko zaczyna śpiewać. Gaśnie uśmiech na jej twarzy, kiedy usłyszy pierwsze dźwięki muzyki. Kto lepiej od niej zna nędzę, głód, rozpacz i tęsknotę? Ulica i jej dramaty to dotychczasowe życie tej dziewczyny, która uosabia szarego człowieka, podnosząc go do wymiaru antycznej tragedii. Jak przy tym wszystkim zachowała tę niespotykaną radość życia? Istotnie ma coś z wróbla, będąc w gruncie rzeczy bardzo poważna. Opowiedziała mu historię swojego imienia.

- Wiesz, Raymondzie, przy tobie stanę się naprawdę kimś lepszym!

- Ty już jesteś najlepsza. Z każdym dniem będziesz coraz wspanialsza. Wiedziałem o tym, kiedy przyjechałaś do mnie pierwszy raz.

Marzenia o sławie stają się rzeczywistością. Piaf realizuje swój pierwszy film. Gra tytułową rolę w *La Garçonne (Chłopczyca)* obok sławnych artystów. Pewnego wieczoru, wychodząc z atelier, natknęła się na Rositę, starą znajomą z Pigalle.

-Ależ się naczekałam na ciebie, Didi. Mam ważną sprawę, wstąpmy gdzieś na chwilę.

Znalazły mały barek.

- Rosita, co tak milczysz? Zawsze byłaś pierwsza do gadania. Co się dzieje?

- Didi, może ty tego nie rozumiesz, aleja nie mam odwagi. Jesteś teraz prawdziwą artystką. Twoje nazwisko, to znaczy twój

pseudonim, można czytać na afiszach i w gazetach, pisany wielkimi literami. Nie śmiem, właściwie... Nie przyszląbym nigdy, ale chodzi o Alberta.

- Ach, piękny Albert! Co u niego?

- Powiem wprost: on chce się koniecznie z tobą zobaczyć. Przyszłam w tej sprawie.

- Nie bardzo rozumiem, po co mam się spotkać z Albertem?

- On uważa, że przedtem, no wiesz, kiedy byliście razem, nie traktował ciebie tak jak powinien. Albert myśli o tobie tak jak dawniej, dawniej też myślał bardzo poważnie i...

Edith wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ej, Rosita, może on chce się ze mną ożenić?

- O tym też wspominał.

- Dobry Boże! W najśmielszych snach nie spodziewałam się, że dożyję takiej chwili! Piękny Albert, ozdoba Pigalle, prosi mnie o rękę!

Śmiała się długo i głośno. Nagle spoważniała.

- Słuchaj, Rosito, powiedz Albertowi, że był dla mnie zawsze liiirdzo miły i wspominam go serdecznie, ale na tym koniec. Spotkanie jest zbyteczne. Powiem ci szczerze, ja już i Raymonda tak liiirdzo nie kocham. Naprawdę to ja chyba kocham tylko moje piosenki. Dużo o tym myślałam i nagle wszystko stało się jasne. Kochałam kilku mężczyzn i za każdym razem byłam pewna, że to ten jeden, jedyny, na zawsze. I co się okazywało? Mężczyźni przychodzą i odchodzą, to znaczy ja odchodzę. A piosenka jest ze mną zawsze i wszędzie. Powiem ci więcej: kiedy moje uczucie do mężczyzny przygasa, wtedy kocham jeszcze bardziej swoje piosenki, naprawdę. Coś w tym jest. Rozmawialiśmy o tym z Raymondem, ale im więcej mówiliśmy, tym bardziej gmatwało się wszystko. On mnie kocha bardzo, dlatego pisze mi takie piosenki. Ach, to przykre, że właśnie teraz, kiedy tak wiele dla mnie zrobił, właśnie teraz przestają go kochać. Nie lubię siebie.

Wróciła do domu pogrążona w gorzkich myślach. Raymond przywitał ją w drzwiach radośnie, ale jego wrażliwość odbierała

stany Edith niczym najczulszy barometr. Wiedział, że traci ją z każdym dniem. Piosenkę „On danse sur ma chanson” (Tańczę nad moją piosenką) napisze dopiero w 1940 roku, ale wcześniej nosi w sobie to przecucie.

*Chciałem skończyć tę piosenkę  
którą zaczynałem wiosną  
ale ciebie nie ma już w domu  
a słowa które mówiłaś  
już się tańczy  
dzisiaj nad przeszłością  
tańczę ja*

W 1939 roku Piaf święci wielkie triumfy w music-hallu Alhambra. Śpiewa prawie wyłącznie piosenki Raymonda Asso. Recenzenci podkreślają, że młoda artystka w sposób niespotykany traktuje na równi i muzykę, i teksty swoich piosenek. Udało jej się stworzyć własny, niepowtarzalny styl.

Raymond zostaje powołany do wojska. Edith odprowadza go na dworzec. W mundurze wydaje się nieco obcy, co rozczulają do łez.

- Będzie mi bardzo ciężko. Przeżyliśmy razem trzy lata. Nie umiem sobie wyobrazić, jak będzie bez ciebie.

- Uważaj na siebie, Didi. Nie pij za dużo, wiesz, jak ci to szkodzi. Jak ty sobie poradzisz, malutka?

- Na czarne godziny mam Marguerite, spotykamy się ciągle na próbach. Pocałuj mnie, pociąg rusza.

Gdy wieczorem śpiewa „Legionistę”, ma w oczach łzy.

*Szczęście zgubione, szczęście stracone  
ciągle myślę o naszej nocy  
wspominam i płaczę  
on był tak blisko  
był przy moim sercu  
nie wykrzyczałam swojego szczęścia*

Samotną noc w wielkim łóżku spędzi niemal bezsennie. Nie zdawała sobie sprawy, że przez te trzy lata tak bardzo przywiązała się do Raymonda.

Marguerite Monnot to jedna z nielicznych przyjaciółek w życiu Piaf, zawsze bowiem wolała zadawać się z mężczyznami. Jest kompozytorką wielu znaczących przebojów Edith. Ich porozumienie opiera się między innymi na całkowitej odmierności. Marguerite, zwana pieszczotliwie Guite, pochodzi z zamożnej mieszczańskiej rodziny, miała szczęśliwe dzieciństwo, nie brakowało jej niczego. Kochają się jak rodzone siostry. Edith ma świadomość, że bywa czasami nieznośna i kapryśna, ale kochający ją przyjaciele wybaczą wszystko. Marguerite jest istotą księżycową, żyje w niemal całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, nie dotyczy to jedynie pracy. Razem z Raymondem nauczyli Edith dyscypliny, solidnej pracy, która pozostanie artystce na zawsze. Pracy codziennej, żmudnej, zegarmistrzowskiej w swojej precyzji. Będzie tego uczyć swoich kolejnych faworytów, bezwzględna w wymaganiach, okrutna w dbałości o detale.

Nazajutrz po wyjeździe Raymonda pobiegła do przyjaciółki.

- Guite, siadaj do fortepianu, tylko praca może mnie uratować. Odkąd Raymond wyjechał na wojnę, coś się we mnie zmieniło, a razem ze mną w moich piosenkach. Zobaczmy, jak powinienam śpiewać je teraz. Wiesz, mówią, że śpiewam zawsze o miłości. Na pewno tak jest, ale coraz częściej odnoszę wrażenie, że śpiewając o miłości, śpiewam o śmierci.



# 4

Najdroższa Didi - pisze Raymond. - Czas niebiańskiej szczęśliwości odszedł jak sen. Dzisiaj, z odległości czasu i przestrzeni, wydaje mi się to zaledwie chwilą, a przecież przez te trzy lata z Tobą przeżyłem wielokrotność swojego życia. Dopiero teraz postrzegam, jak ubogie było ono przed spotkaniem Ciebie. Dziękuję losowi, że pojawiłaś się na mojej drodze. Tęsknię bardzo, myślę o Tobie bez przerwy i wierzę, że Ty też będziesz na mnie czekać. Bądź mądra i dzielna, Twój Raymond”.

Przeczytała długi i czuły list najpierw szybko, potem po raz drugi, powoli i uważnie. Niewiele to pomogło. Czuje się nadal samotna w pustce mieszkania, gdzie inaczej płynęło życie we dwoje. Ucieka z domu, dużo wcześniej wychodzi do pracy w Night Clubie. Paryska zima jest zaskakująco śnieżna, spowija ulice swoistą nostalgią. Po drodze wstępuje na drinka do baru Caravelle. Gdy nie ma nikogo znajomego, rozmawia z barmanem. Pewnego wieczoru zauważyła niezwykle wytwornego mężczyznę. Nienaganny w garniturze *English design*, siedział nieruchomy, milczący przy kontuarze. Dziwnym trafem zaczął przychodzić do Caravelle o tej samej porze.

- Słuchaj uważnie, Guite, droga przyjaciółko. Po kilku dniach nie wytrzymałam i przyszłam do Caravelle znacznie wcześniej, że-

by tego człowieka nie zastać. Wyciągnęłam z barmana wszystko, jak na spowiedzi. Wiesz, ten nieznajomy zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie widział. Traktuje niczym powietrze, ale to tylko pozory, bo nazajutrz po tym, jak mnie zobaczył, rozmawiał z barmanem. Wie, kim jestem, ale chciał dowiedzieć się więcej. Wiesz, jaki chytrus!

- Nie widzę w tym ani cienia chytryści. Elegancki mężczyzna zasięga dyskretnie informacji. Chce się zorientować, jakie ma szanse.

- Szanse, szanse! Za takim księciem z bajki każda poleci na skinięcie palcem!

- Zgoda, ale to nie ten gatunek mężczyzny, do którego przywykłaś. On musi mieć przygotowany grunt. Może jednak dowiem się wreszcie, kto to jest? - niecierpliwi się Marguerite.

- Nazywa się Paul Meurisse.

- Skoro ma na imię Paul, akceptuję go od razu, w ciemno. To najpiękniejsze imię świata - rozczuła się Guite na myśl o swoim narzeczonym.

- Tak. Paul Meurisse. Musisz przyznać, że to brzmi nadzwyczaj dystyngowanie.

- Dokładnie to samo mówiłaś o Raymondzie Asso. Pamiętam doskonale.

- Niemożliwe! Może mówiłam coś w tym rodzaju, ale nie dokładnie to samo! Z całą pewnością!

- Mów dalej.

- Ubiera się jak lord, co wieczór ma na sobie inny garnitur. Widać na pierwszy rzut oka, że szyte na miarę u drogiego krawca. Ach, Guite, gdybyś zobaczyła jego buty, lśniące tak, jakby błoto i kurz nie istniały! A jego koszule, krawaty, spinki przy mankietach! To musi kosztować majątek.

- Czy dowiem się wreszcie, skąd ten twój Meurisse posiada takie bogactwa?

- On śpiewa, wyobraź sobie, śpiewa! Podobno zresztą dość

marnie. Głos ma nieciekawy. Występuje w l'Amiral, niedaleko mojego Night Clubu. Dają tam zwykle dość słabe rewie, no i on właśnie w tej rewii śpiewa. Strach pomyśleć, taki elegancki facet, na widok którego zaczynam znowu popadać w kompleksy dziecka ulicy, on, takie panisko - i kiepsko śpiewa. Czy to nie śmieszne?

Roześmiała się nerwowo.

-I właśnie za to marne śpiewanie tak mu płacą, że nosi złote spinki, codziennie inne, jak powiadasz? To co najmniej dziwne.

- O, nie! Teraz dopiero cię zaskoczę. Jego ojciec ma bank w Aix-en-Provence. Mój książę z bajki pochodzi z rodziny flamandzkiej. Aby uniknąć wydziedziczenia, studiował prawo w Marsylii, gdzie wziął udział w jakimś konkursie muzycznym i wygrał. Możesz sobie wyobrazić, jaki był poziom tego konkursu. Chryste Panie!

-Jesteś okrutna, Didi. Nie każdego natura obdarzyła tak szczerze jak ciebie. Z tego, co mówisz, wynika, że to mężczyzna inteligentny, a zatem potrafi nawet niewielkim, może i nieciekawym głosem interpretować w sposób interesujący. Nie każdy jest Maurice'em Chevalier, za którego głosem, szczerze mówiąc, nigdy nie przepadałam. Przyznaję, ma wszelkie atuty rasowego artysty music hallu, ale akurat głos do nich nie należy, choć niektórym się podoba, nawet bardzo. Tak więc twój Meurisse niekoniecznie musi być marnym artystą.

-A jeśli nawet tak jest, on mi się podoba. Jest cudowny! Zresztą, on śpiewa dlatego, że lubi śpiewać, ale pracuje jako inspektor w towarzystwie ubezpieczeń.

- No właśnie. Widać, że zna swoją wartość i ma poważny stosunek do życia. To w sam raz ktoś dla ciebie, Didi. Ale co z Raymondem?

- On coś przeczuwa i nie ukrywa tego w swoich listach. Jest zbyt mądry i delikatny. Od dawna wiedział, że nie umiem być wierna. To silniejsze ode mnie. Jestem okropna.

Gdy wojna oddzieliła Edith od Raymonda, musiała się rozejrzeć za jakimś autorem tekstów. Zastąpić Raymonda Asso to nie takie proste. Wśród setek autorów rzadko spotyka się wartościowych, utalentowanych. Szczęście jednak sprzyja artystce. Z Michелеm Emerem spotkali się przed wojną na korytarzu Radio-Cité. Polubiła go od razu. Jego oczy za grubymi szklami okularów błyszcząły inteligencją. Biel zębów zachwycała w uśmiechu. Rozmowa z Emerem była porywająca. Wiedziała od pierwszej chwili, że jest utalentowany, tyle że ukierunkowany zdecydowanie na jazz, z tekstami o kwiatach, niebie i wiosnie. Liryk urodzony. Nie dla niej, to zrozumiałe.

Od ogłoszenia wojny minęły dwa dni, gdy w apartamencie mademoiselle Piaf przy Avenue Marceau pojawił się Michel Emer, w mundurze kaprała. Oznajmiła, że nie ma chwili czasu, wybiera się na próbę. Nalegał, za godzinę jedzie na front. Musi go przyjąć, napisał dla niej piosenkę.

- Daję panu dziesięć minut, kapralu Emer.

Wyborny pianista, śpiewał słabo. Słuchała go z zapartym tchem. Od pierwszych taktów wiedziała, że otrzymuje jedną z najważniejszych swoich piosenek: „Akordeonistę”.

Któregoś dnia Meurisse podszedł.

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Ośmiela mnie to, że jesteśmy kolegami po fachu. Paul Meurisse.

- Ach, jak miło.

Onieśmielają, paraliżuje. Nikt z nią dotąd nie rozmawiał w tak wytworny sposób. W ciągu kilku wieczorów lody topnieją. Meurisse, z natury małowówny, tokuje, czarując Edith. Dziewczyna ma dwadzieścia pięć lat, wygląda prześlicznie, zadbana i wypoczęta. Zauważyła to: gdy pojawia się nowy mężczyzna, jej uroda rozkwita promiennie, oczy nabierają blasku.

Meurisse opowie w późniejszych latach, że Edith była bardzo ładna, gdy się poznali. Jej wzrok miał w sobie magnetyzm, spój-

rzenie niezwykle. Ten wzrok pochłaniał i porażał. To, co pisał pada o tajemniczym pokrewieństwie z siłami natury, dotyczyło nie tylko sceny. Tkwiła w niej nadludzka energia i promieniowanie.

Edith i Paul Meurisse w pierwszym stadium oczarowania piją drinki, a potem każde idzie w swoją stronę. To nowość. Z Raymondem także trwało jakiś czas, zanim znaleźli się w sypialni, ale to było co innego. Gdyby chciał, mogła należeć do niego już w pierwszy wieczór, ale nie była jeszcze zakochana. Meurisse to krańcowo inny typ mężczyzny. Tajemniczy, zagadkowy, ukrywa się w swoich wykwintnych manierach jak w fortecy. Jego uśmiech jest nieprzenikniony, oczy chłodne, tylko chwilami błyskają w nich ogniki, nie zawsze idzie to w parze z uśmiechem, ale wiele obiecuje. Fascynacja doprowadza Edith do stanu wrzenia. Takiego mężczyzny nie spotkała. Meurisse to uwodziciel w wielkim stylu, dzięki niemu czuje się uniesiona do wyższej rangi. Podaje jej płaszcz królewskim gestem, a kiedy otwiera przed nią drzwi, cofając się lekko, Edith omdlewa z zachwytu. On czyta to w jej promiennych oczach i świadomie przedłuża grę. Jest w tej sztuce niezrównany.

Po kilkunastu dniach zaprasza do siebie. Będzie trochę znajomych i przyjaciół, czy zechce zaszczyścić go swoją obecnością? Uszczęśliwiona przyjmuje zaproszenie. Zaczynała się już niepokoić, a nawet niecierpliwie przedłużającym się okresem uwodzenia. Nie wie o tym, że oglądał ją wielokrotnie na scenie. Opíše to po latach w swoich wspomnieniach: „Jej głos to krzyk miłości. Delikatność dłoni spoczywających wzdłuż ciała na czarnym tle sukienki sięga absolutnej perfekcji. Jakby wyszła z obrazu El Greco”.

Przejrzał ją na wylot od pierwszej chwili. Czeka z całą premedytacją, aż zmięknie i będzie całkiem bezbronna. W ów wieczór u Meurisse'a jest sporo gości. Atmosfera wielce *bourgeois*, co oszalałam i tak już oczarowaną Edith. Pożera oczami tajemniczego amanta, który imponuje każdym słowem i gestem. Nie rozumie go, ale zachwyca się jego królewską, niepojętą osobowością. Zahipnotyzowana, ma w oczach światłość i bezsilną rozpacz małego

drapieżnika, który obserwuje upatrzoną ofiarę. Czy nie rozumie, że sama jest ofiarą? Nigdy nie była tak piękna.

Późną nocą, gdy ostatni goście znikają za drzwiami, piją resztki szampana. Patrzą sobie w oczy. Milczenie trwa. Edith omdlewa w oczekiwaniu. Za chwilę otworzą się bramy niebios, runie ziemia, stanie się cud. Zamiast tego wszystkiego, zamiast płomiennych wyznań, słyszy jego spokojne, chłodne słowa, które zapamięta bardzo dokładnie.

- Chyba nie ma sensu wracać o tej porze do domu. Dlaczego nie chce pani zostać u mnie? I tak dojdzie do tego któregoś dnia. Nic nie drażni mnie bardziej u kobiet, jak to idiotyczne krygowanie się przez kilka dni, albo jeszcze dłużej, przecież w końcu i tak ulegną. Po co te korowody? Podobasz mi się i wiesz o tym. Ja tobie też, prawda?

Inni mężczyźni postępowali podobnie, ale tu kontrast dotychczasowej, królewskiej wytworności z nieoczekiwaną rzeczowością był tak wielki, że skonsternowana i pokonana zostaje.

Nic nie trwa wiecznie. Pierwsze tygodnie szalonej bajki odchodzą w przeszłość. Edith powoli wraca do rzeczywistości, w której coraz częściej osaczają szarość codzienności. Przygląda się ukochanemu wzrokiem przytomniejszym. Jest spokojny, straszliwie spokojny, do tego stopnia, że Edith nie wie, czyją w ogóle traktuje na serio. Uporządkowany i zimny jak góra lodowa, do której przytula się wieloryb. Nadal uwielbia go, ale jakże jest odległy od jej wyobrażeń o ludziach. Dotąd miała do czynienia z pewnym określonym gatunkiem, który można nazwać mężczyznami w czapkach. Meurisse pochodził z całkiem innej warstwy, całkowicie jej obcej. Szaleje za nim, może właśnie dlatego, że ma sposób bycia wielkiego pana, kpi ze wszystkiego, jest cyniczny, dystansuje się od świata, z którego przychodzi jego ukochana kobieta. Zrozumiała jednak wkrótce, że za tą maską kryje się istota nadzwyczaj wrażliwa, o ogromnej kulturze, a za pozornym cynizmem - wrodzona godność.

Edith zastanawia się nad miejscem, jakie zajmuje w jego życiu. Spokój, ta intrygująca cecha, która tak ją oczarowała i która wkrótce uczyni z Meurisse'a jednego z najciekawszych aktorów filmowych, traci powoli swój urok. Dla egzaltowanej, otwartej i prostolinijnej Piaf codzienność z Paulem staje się wkrótce nie do zniesienia. Stwarza nieustanne konflikty. Ba! walki, bitwy niemal. Ma za sobą uniwersytet życia i bycia u boku Raymonda Asso, ale wszystkie tamte nauki nie przydają się na nic. Paul Meurisse to tajemnica i zagadka. Sfinks.

Kapryśną, władczą Edith irytuje opór, jaki stawia jej kochanek. Próbuje porównywać go z innymi. Zapomina, że bohaterowie poprzednich miłości byli z innej gliny. Louis Dupont, dziecko bezwolne i uległe. Piękny legionista to zaledwie przygoda. Nie zdążyli się nawet dobrze poznać, zapewne dlatego pozostaje w pamięci jako postać nieskazitelna, niemalże legendarna. Asso zakochany, wpatrzony, wyczekujący jak niewolnik na każde skinienie swojej władczyni. Robiła z nim, co chciała, a on traktował ją jak niesforne dziecko. Meurisse sprawia, że Edith traci panowanie nad sytuacją. Nie potrafi się z tym pogodzić. Pewnego dnia uświadamia sobie, że się nudzi. Przywykła, by wszyscy byli nią zaabsorbowani i od rana do nocy pozostawali do jej dyspozycji. Dotyczy to nie tylko mężczyzn, z którymi się wiązała, ale także przyjaciół obojga płci. To dwór Piaf. Nie umie żyć bez swojej świty. W dzieciństwie także miała wokół siebie ludzi, mówiła do nich, była słuchana, oczekiwana, upragniona. Nie znosi samotności.

Meurisse niby jest, ale częściowo nieobecny. Leży godzinami pogrążony w lekturze. Obok niego cichutko gra radio. W owych czasach aparaty radiowe były kosztownymi przedmiotami. Paul kupował sobie kolejne, najnowsze i szalenie drogie. Kocha muzykę klasyczną. Edith próbuje mówić do niego. Bez rezultatu. Prowadzi próby, zadaje pytania, na które nie otrzymuje odpowiedzi. Paul nawet nie udaje, że zauważa jej obecność. Tego już za wiele. Pochyla się nad nim wściekła, z rozwianym włosom i roziskrz-

nym spojrzeniem Walkirii, ale to też nie robi na nim wrażenia. Wreszcie znalazła sposób, który musi zadziałać. Skrada się na palcach, tak żeby jej nie zauważył spoza swojej gazety, i nagle rzuca się, głośno krzycząc mu prosto do ucha. Nie przestraszył się nigdy. Jego nerwy były chyba ze stali. Rzuciła weń wszystkim, co było pod ręką. Nad jego głową fruwały szklanki, talerze i inne przedmioty. Widząc jego spokój, jeszcze bardziej krzyczała, płakała, przeklinała go, złorzecząc. Paul leżał nieruchomo, twarz przykrywał gazetą. W pewnym momencie odzywał się spokojnym głosem:

- Bądź tak dobra i nie niszczy radia.

- No, nareszcie odzyskałeś głos. Paul, proszę cię, błagam na wszystko, porozmawiaj ze mną, albo chodźmy do kina. Tak strasznie się nudzę. No, chodź. Jeśli nie pójdziesz, roztrzaskam to twoje przeklęte radio o podłogę. Ostrzegam. Widzisz, mówię spokojnie. Nie będę już krzyczeć. Kochany mój, chodź.

Ostatecznie radio lądowało z trzaskiem i hukiem na parkiecie. Dywanów unikała, żeby osiągnąć maksymalny hałas. Dopiero wtedy Paul otwierał powoli oczy. Wstawał, podchodził do Edith.

- Zachowałaś się nieładnie.

Dawał jej lekkiego klapsa i kładł się z powrotem, by zatonąć w lekturze. Wychodziła w pośpiechu, po chwili wracała, stawiając przy jego łóżku nowszy, piękniejszy i droższy aparat radiowy. Po czym, pokorna i cicha, zabierała się do robienia na drutach.

W ten sposób zdobywa mozolnie kolejny stopień edukacji. Nowy fakultet nie jest łatwy. Drzemiący w niej Wezuwiusz temperamentu sprawia, że nie umie usiedzieć spokojnie dłużej niż kilka minut. Z trudem opanowuje sztukę pokory, chociaż nie chce się z nią pogodzić. Bardzo powoli zaczyna rozumieć, że mimo wszelkich uczuć, jakie do niej żywi, Paul pozostaje nieosiągalny w swojej duchowej fortecy. Trwa wojna i praca nie zajmuje artystce zbyt wiele czasu. Nie stara się o kontakty towarzyskie, nawet branżowe. Rzadko odwiedza Marguerite. Czuje, że mężczy bliskich łzawy-



mi skargami. Zakochana w swoim sfinksie, walczy uparcie o jego względy. Wierzy święcie, że musi w końcu ulec jej pełnym zapalą, upartym zabiegom. Nocą, w jego objęciach, ma niezbitą pewność, że należy do niej całkowicie, że nic ich nie dzieli. W świetle dnia Paul jest miły, lecz wytworny i chłodny. Edith traci grunt pod nogami. Czuje się niepewna i siebie, i swojej miłości.

Mieszkają w eleganckim, luksusowo urządzonej apartamencie w szesnastej dzielnicy, blisko Łuku Triumfalnego. Usługuje lokaj, Chińczyk Czang. Leżąc w pachnącej lawendą pościeli, Edith zastanawia się, dlaczego poranki są tak odmienne od tamtych z Raymondem, kiedy śmiała się z byle czego. Czy to możliwe, że jedynie przy Raymondzie czuła się swobodna i bezpieczna? Tutaj nawet wróble nie siadają na okiennych parapetach. Być może dlatego, iż mieszkanie na parterze nie stanowi bezpiecznego miejsca dla płochliwych ptaków. Pewnego dnia odkrywa z przerażeniem, że sama też nie czuje się bezpieczna. Czuje się jak wróbel zamknięty w złotej klatce, co z tego, że złota. Klatka to klatka.

Paul sypia w swoim pokoju. Nie ma odwagi budzić go w bezsenne noce. Wpatruje się w lustro. „Cóż, piękna nie jestem, daleko mi do Greta Garbo. Mam zbyt wysokie czoło, chociaż Garbo też ma wysokie, no, może nie aż tak. Wystarczy parę kosmyków i już jest w sam raz. Lepiej mieć czoło zbyt wysokie niż niskie”.

Bardzo dba o siebie. Kupuje masę różnych kremów, to wyraźny wpływ przyjaciółki - Marguerite Monnot. Używa ich z zapalem przez dwa, trzy dni, po czym dochodzi do wniosku, że to nic nadzwyczajnego i kupuje następne. Edith widzi w lustrze swoją delikatną, bladą z odcieniem różowym cerę, ale nie może zobaczyć promiennego uśmiechu i rozświetlonych oczu, które czynią jej twarz tak piękną. Zwłaszcza kiedy śpiewa, ma w sobie ów wewnętrzny blask, który dany jest istotom obdarzonym najwyższym geniuszem. Inaczej wygląda codzienność. Do stołu siada onieśmieszona, pełna kompleksów. Wytworny sposób posługiwania się sztuczkami jest dla Paula rutyną, wyniesioną z bogatego mie-

szczańskiego domu. Dla niej, dziecka ulicy, to skomplikowane manipulacje, w których dopiero przy Raymondzie osiągnęła pierwszy stopień wtajemniczenia.

Paul Meurisse pokochał szczerze to dziwne, egzotyczne niemal stworzenie. Kiedy poczuł, że stała się jego własnością, stara się zrobić z niej damę. Ale Edith jest prawdziwym dzieckiem ludu. Ma swoją dumę i godność, posiada też świadomość własnych wartości, co chroni ją przed przyjmowaniem owych mieszczańskich manier, które w samym założeniu opierają się na pozorach. Siła jej osobowości sprawi, że nie zmieni się do końca swoich dni.

Docenia to ówczesna prasa. W „Aujourd’hui” z 13 kwietnia 1941 roku czytamy:

„Wszyscy znają Edith Piaf. Spogląda na nas ze swoich plakatów na murach Paryża, wyrażając w sposób zdumiewający całą prawdę o sobie. Mała dziewczynka, która jest wielką gwiazdą. Odziana w skromną czarną sukienkę, z ciężką głową na wątłych ramionach, z obcym spojrzeniem, w którym kryje się tyle niezrozumiałych spraw. Najważniejsza jest jej piosenka. Swoją prawdę wyłaziła dawno temu, obierając przydomek PIAF. Pozostanie na zawsze, nawet na wyżynach sławy i luksusu, małym ptakiem, który wypadł z gniazda. Ruchy jej ramion przypominają złamane skrzydła, usiłujące dzielnie poruszać się w przestrzeni. Ta przeciętna z wyglądu dziewczyna, gdy znajdzie się w posiadaniu piosenki, staje się dziwnie, nieprawdopodobnie piękna. Przeżywa z niesłychaną intensywnością wszystkie historie, o których opowiada w swoich piosenkach. Jej głos ulicznej śpiewaczki, ostry i suchy, zaskakuje swoimi wzlotami. Głos ascetyczny, głuchy, chwilami zalamujący się ochryple. Głos nędzy, która ucieka w marzenia. Głos oczarowanego dziecka”.

Edith wie, kim jest, co sobą przedstawia, a jednak przy mężczyźnie, którego uwielbia, pragnie być kimś innym. Próbuje roz-

paczliwie upodobnić się do Paula. Ale wszelkie usiłowania spełzają na niczym. Chwilami szuka ratunku w ucieczce. Wychodzi sama z domu wieczorami. Spotyka się ze znajomymi i nieznanymi, włóczy się z nimi po knajpach Pigalle. Czasami wraca do dzielnicy dzieciństwa - Belleville. Czuje się tu dobrze i spokojnie. Gdy wraca z takiej wyprawy, Paul spogląda z niechęcią.

- Och, wypłam trochę z przyjaciółmi.

- Nie kładę się do łóżka z pijaną kobietą.

Bierze pod pachę aparat radiowy, idzie do swojego pokoju i zamyka się na klucz. Edith próbuje go przebłagać, wali pięściami w drzwi, płacze i rozpacza. Potem szlocha samotna w wielkim łóżku, a kiedy nie może zasnąć, skrada się do szaf z garderobą Paula. Głaszcząc jedwabne, starannie ułożone koszule, tuli się do wytwornych garniturów pachnących drogą wodą kolońską. Pachnących nim - Paulem. Łka jeszcze bardziej rozpaczliwie. „Dlaczego nie pozwoli mi kupić sobie chociaż jednego krawata? Raymond uwielbiał prezenty. Nic nie rozumiem”.

# 5

Wojenne kontrakty nie są atrakcyjne, co nie oznacza bynajmniej, że w Paryżu niewiele się dzieje. Nocne życie stolicy Francji toczy się niezależnie od okupacji, a życie artystyczne wręcz kwitnie. Wyżsi oficerowie niemieccy chętnie odwiedzają music halle i kabarety, które dotąd znali jedynie ze słyszenia. Niższe szarże zadowolają się tańszymi budami. Nocny Paryż funkcjonuje nieprzerwanie. Po wyzwoleniu specjalne komisje będą badać skrupulatnie i ustalać, kto kolaborował, a kto jedynie uprawiał zawód, aby się utrzymać przy życiu.

Niemcy wysoko cenią Edith Piaf, która odmawia udziału w wielkich, galowych koncertach, czyniąc wyjątek jedynie wówczas, gdy są to imprezy dobroczynne na rzecz jeńców wojennych lub na podobnie szlachetne cele. Ma dwóch impresariów, jednego w strefie okupowanej, drugiego w wolnej strefie południowej. Artystka nie wie już, co to troska o chleb codzienny. U boku Paula ma zapewniony luksusowy byt, sama zarabia dobrze. Ale pustka w sercu sprawia, że tęskni za piosenką. Tylko na scenie może wykrzyknąć swoją samotność, ból, żal do świata i do Paula. Śpiew to wyzwolenie. Już nie w ramionach mężczyzny znajduje szczęście. Jej śpiew to krzyk rozpacz i zagubienia.

Taką Piaf usłyszy po raz pierwszy Jean Cocteau, który pragnie poznać artystkę. Spotkanie aranżuje madame Breton, żona wydawcy. Posadzono ich obok siebie przy kolacji. Początkowo siedzi milczą-

ca, onieśmielona. Przytłaczają sąsiedztwo takiej sławy, lecz poeta nie pozwala jej długo trwać w tym stanie. Dotyka delikatnie jej dłoni.

-Edith, jakie to szczęście poznać panią. Pani jest poetką ulicy. Jesteśmy stworzeni, żeby się rozumieć.

Uśmiech rozjaśnia jej twarz, w oczach pojawia się światłość. Patrzy na poetę z wdzięcznością.

Wkrótce napisze o niej:

„Przyjrzyjcie się tej drobnej dziewczynie. Spójrzcie na jej czoło Bonapartego, jej oczy niewidomej, która dopiero odzyskała wzrok. Jak będzie śpiewać? Jaki znajdzie wyraz w swoim wołaniu? Jak wydobydzie ze swojej wątlej piersi smutne skargi nocy? I oto głos, który wydobywa się z samych trzewi, wypełniając śpiewającą od stóp do głów. Zalewa nas, przenika i wypełnia. Edith Piaf, ni-

Jean Cocteau



czym niewidzialny słowik na gałęzi, sama staje się niewidzialna. Pozostają jedynie jej oczy, jej blade dłonie, czoło pełne światła i ten głos, który wzbiera, wzbija się, unosi, rozrasta w niej i olbrzymieje jak jej cień na ścianie, zajmując triumfalnie miejsce tej małej, nieśmiałej dziewczyny. Od tej chwili geniusz Madame Edith Piaf staje się widoczny i każdy może to stwierdzić. Ona przekracza siebie, swoje piosenki, przerasta muzykę i słowa, przerasta nas. To duch ulicy, który wchodzi do cichych domów.

To nie jest już Edith Piaf, która śpiewa, to deszcz, który pada, to skarga wiatru, to światło księżycy rozpościera swoją zasłonę. Głos mroku”.

Zaprzyjaźnili się od pierwszej chwili. Przyjaźń to za małe słowo. Połączyło ich pokrewieństwo dusz. Więzy były tak silne, że nie mogła ich rozerwać nawet śmierć. Cocteau odszedł ze świata rażony atakiem serca na wiadomość o zgonie przyjaciółki.

„Mój Kochany Jean - pisze Edith z Florydy w lutym 1953 roku. - Jaka to radość czytać i odczytywać na nowo Twój list. Ja wiem, jak wielu masz takich, którzy Cię kochają, ale czy możesz sobie wyobrazić, do jakiego stopnia ja Ciebie kocham, chociaż tak rzadko mamy możliwość spotykać się, zwłaszcza ostatnimi czasy. Przy każdym naszym spotkaniu odnoszę bardzo dziwne wrażenie. Chciałabym uchronić Cię przed całym złem istnienia i uświadamiam sobie ciągle na nowo, że to Ty podnosisz mnie na duchu i dodajesz odwagi, żeby stawiać czoło okrutnemu światu. Nie sądzisz, że to cudowne kochać kogoś, niczego od niego nie potrzebując? Kochać go dla niego samego, wiedząc o tym, że to ktoś wspaniały. Ja Ciebie właśnie tak kocham, kiedy słyszę Twoje nazwisko, albo kiedy czytam coś Twojego. Czuję w sercu radosny ból. Co u Jeannota? Ucałuj go ode mnie. Ściskam Cię z całą siłą mojej przyjaźni, Twoja Edith”.

Jeannot, nieodłączny towarzysz Cocteau, to piękny jak młody bóg Jean Marais, wkrótce sławny amant teatru i filmu. Dzięki przyjaźni z Jeanem Cocteau, Edith znajdzie się w nowej grupie ludzi: to intelektualści, pisarze, malarze. Tworzą oni świętę wielkiego *bourgeois*, jakim był w rzeczywistości ów skromny i miły, kochający ludzi artysta. Rozległe zainteresowania uczyniły zeń twórcę w stylu renesansowym. Swoją świętę dobiera starannie. Zostać przyjętym do jej grona oznacza nie tylko wyróżnienie. Świadczy

po prostu, że jest się nie byle kim. Piaf zachwyca Cocteau nie tylko swoją wielką sztuką. Poeta uznaje jej nadzwyczajny umysł. Zlecać jej lektury to zbyteczne. Ona wie wszystko, co znajdzie potem w książkach.

Przy całej łagodności serca, Cocteau w sposób królewsko wytworny acz bezwzględny pozbywa się tych, którzy się nie sprawdzili. Piaf pozostanie jedną z ukochanych osób w bliskim kręgu poety. Jest bardzo sławna, ale nie bogata. Ubiera się w luksusowych domach mody, najchętniej wkłada jednak, zarówno w życiu prywatnym, jak i na scenę, proste w kroju kreacje. Przyjaźń z Cocteau pochlebia jej niezwykle. Znalazła w nim bratnią duszę i od pierwszego spotkania nie mają przed sobą tajemnic. Jedyne zmartwienie Edith, jak na razie nierozwiązywalne, to Paul Meurisse.

-Jean, to naprawdę nie do zniesienia. Kocham go, więcej, jestem w nim wciąż na nowo zakochana, ale nasze wspólne życie stało się piekłem. Paul doprowadza mnie do furii. Nie wytrzymam tego dłużej. Zastanawiam się nawet, czy on mnie kiedykolwiek kochał? Mam poważne wątpliwości. Pomyśl tylko, jesteście razem już ponad rok, zaczynałam robić mu na drutach co najmniej trzy swetry, ale nie skończyłam żadnego! Nie podobały mu się. Ani jeden, rozumiesz, ani jeden z trzech swetrów nie był w jego guście! Przyznasz, to chyba przesada. Coś podobnego nie zdarzyło mi się w życiu. Kiedy pomyślę, że Raymond zabrał na front dwa swetry, bo więcej nie było wolno, widzę coraz wyraźniej, że coś jest nie tak jak powinno być. Powiem ci szczerze: po tych wszystkich awanturach zniechęciłam się do tego stopnia, że od kilku tygodni nie wzięłam do ręki drutów. Boję się, że to początek końca.

- Moja droga Didi. Nigdy nie rozumiemy tych, których kochamy, ponieważ nie akceptujemy ich takich, jakimi są w rzeczywistości. Kochamy nasze o nich wyobrażenia.

- Takie tam mądrości! Wszystkie filozofie są oderwane od życia. Kocham Paula, należę do niego, a on powinien należeć do

innie. Tak mi się wydaje, ale tak bywa jedynie nocą, kiedy się kochamy. Skoro nie jest z nim tak jak ze mną, to znaczy, że mnie nie kocha, albo kocha za mało jak na moje kochanie. Ach, tak tylko mówię, ale chyba nie chcę, żeby Paul stał się inny. O, nie!

Wiele godzin przeplakała na ramieniu Jeana, który z anielską cierpliwością wysłuchiwał jej lamentów. Pewnego dnia wezwał ją do siebie.

- Siadaj i słuchaj uważnie.

Zaczął czytać.

- Możesz odchodzić i powracać, możesz robić wszystko, co ci przyjdzie do głowy, sypiać z całym światem, wiedząc, że ja, ja, którą ponoć kochasz, jestem zamknięta na czternaście zamków w kasie pancernej, do której klucz masz w swojej kieszeni. Tak więc możesz być spokojny. I jesteś spokojny. To podłe, to nikczemne. Twój egoizm przekracza wszelkie granice. Zapomniałeś jednak, że nie jestem byle kobietą, że śpiewam, że odnoszę sukcesy, że wygrałam swoje życie i tłumy ludzi gotowe są ruszyć mi na ratunek. Obcy ludzie, którzy znają mnie tylko z radia, z płyt...

-Jean, jakie to wspaniałe. Jesteś genialny!

- Przecież to twoje słowa! Nie poznajesz?

- Trochę tak, ale u ciebie są dużo piękniejsze!

- Nie zgadzam się. Opowiadałaś o tym dokładnie tak. Staraliśmy się zapamiętać twoje słowa i to jest cały urok tego małego dramatu. Zobaczysz, to będzie wielki sukces. Pomyśl tylko, jakie zaskoczenie w Paryżu. Znają cię wszyscy z twojego wspaniałego śpiewu, a tutaj nagle Piaf nie śpiewa, tylko mówi.

-Jak to, nie będę w ogóle śpiewać? Jean, na miłość boską, ja nic innego nie potrafię!

- Ciekawe, a któż to całymi godzinami opowiada tak, że nikomu nie da dojść do głosu, no kto? Skąd ja to wszystko wzięłam? Poznałaś własne słowa, własne sformułowania. Wystarczy, że na scenie będziesz mówić tak jak tutaj, w tym pokoju.

-Ale czy ja potrafię? Nie jestem aktorką!



- Śpiewu też cię nikt nie uczył, a śpiewasz jak nikt na świecie.

- To nic trudnego. Żadna sztuka. Od dziecka nic innego nie robiłam.

- Od dziecka też mówiłaś, i wiem od ciebie, że zawsze lubiłaś opowiadać, zmyślałaś rozmaite historie. A co do śpiewania, to chyba zrobimy tak, że przy podniesieniu kurtyny słyhać będzie z płyty twoją piosenkę...

- Już jestem nieco spokojniejsza.

- Zaufaj mi, Didi. Wszystko pójdzie wspaniale, zobaczysz.

- Nikomu na świecie tak nie ufałam.

- I to jest w tej chwili najważniejsze. Powinnaś już jechać do domu. Paul na pewno się niepokoi.

Do mieszkania weszła na palcach. Gdy przyłożyła ucho do drzwi jego pokoju, usłyszała delikatne chrapanie.

-Jak on to robi, że nawet we śnie jest taki cholernie wytworny! To się w głowie nie mieści.

Nazajutrz wstała wcześniej niż zwykle. Paul wyszedł bezszelestnie, Chińczyk udał się na zakupy. Nie było komu nawet podać kawy. Zrobiła to sama i pozostała w kuchni pogrążona w rozmyślniach. „Czy ja nie przesadzam? Na co narzekam? Paul jest jaki jest, taki pozostanie i należy go takim kochać. Wszystko układa się dobrze, mam szczęście do ludzi, i jeśli ktoś jest niedobry, to na pewno ja, a nie Raymond czy Paul. Nie, stanowczo powinnam się zmienić. Koniec z narzekaniem. Mam paskudny charakter. Ile osób na świecie ma takiego przyjaciela jak Jean? Muszę natychmiast powiedzieć mu o tym”.

-Jak to dobrze, że dzwonisz. Zapomniałem ci przypomnieć, że dzisiaj w Bouffes Parisiens jest premiera *Brytanika*. Wiem, iż lubisz Racine'a. W momencie premiery moja rola reżysera się kończy, ale dla Jeannota będzie lepiej, jeśli więcej przyjaciół siądzie na widowni. Zobaczysz, jakie on ma cudowne kostiumy! Chyba sam Neron, ten prawdziwy, nie był tak pięknie i bogato ubrany. Jeannot jest olśniewający. Przekonasz się sama.

Edith lubi chodzić na premiery, ale z Jeanem Cocteau te eleganckie spotkania towarzyskie sprawiają jeszcze większą przyjemność. Ach, ten Jean! Zna go cały Paryż i wszyscy uwielbiają. Będąc w jego towarzystwie, jest siłą rzeczy opromieniona nimbem jego sławy i popularności, aleją też rozpoznaje każdy.

Wkrótce w tym samym teatrze odbywa się premiera jednoaktówki Cocteau *Piękny i nieczuły* w wykonaniu Piaf i Meurisse'a. Spektakl jest wydarzeniem sezonu. Artystka od lat fascynuje krytyków, tym razem zaskoczyła ich całkowicie.

„Ona gra tak jak się umiera, nie wiedząc, co czyni. Wielkim talentem Piaf jest miłość. Ze swoimi szalonymi włosami gospodyni piekiew, drobnym ciałem odzianym w czerń demonów, Piaf gra kapłankę miłości” - czytamy w magazynie „Comodia”.

Piaf gra siebie, gwiazdę porzuconą przez ukochanego mężczyznę. Jeśli nawet miewa pewne kłopoty z rzemiosłem aktorskim, sprawa staje się drugorzędna, ponieważ stworzyła na scenie postać pełnokrwistą, autentyczną. Sztuka *Piękny i nieczuły* stała się wielkim sukcesem Piaf. Znużony Meurisse kwituje rzecz w wywiadzie prasowym:

„Mademoiselle Piaf nie jest dobrą aktorką. De Gaulle nie jest śpiewakiem, ale śpiewa dobrze »Marsylianek«. *Piękny i nieczuły* to »Marsylianek« Edith Piaf”.

Jak w sztuce Cocteau, związek dwojga artystów zmierza ku kresowi. Łączy ich już tylko wspólna praca. Zostali razem zaangażowani do filmu *Montmartre-sur-Seine*. Grają w otoczeniu znakomitości, jak: Jean-Louis Barrault, Serge Reggiani, Georges Marshall. Scenariusz filmu napisał André Cayatte, opowiada historię młodej kwiaciarki, która zostaje gwiazdą. Film jest naturalnym, kolejnym szczeblem rosnącej glorii Piaf. Nie odniesie sukcesu, ale

pozwała Edith uwierzyć w siebie. Najważniejsza jest atmosfera na planie filmowym. W tej specyficznej izolacji wojna wydaje się tak odległa, jakby nie było jej wcale. Ale nie dla Piaf, która wybiera się na kolejne koncerty dla jeńców francuskich w Niemczech. Przed wyjazdem udziela 9 sierpnia 1943 roku wywiadu dla „Paris-Midi”.

„ - Zaśpiewam im nowe piosenki, które przygotowałam specjalnie na tę okazję.

- Nie sądzi pani, że woleliby usłyszeć dawne przeboje, które znają sprzed lat?

- Być może. Obawiam się jednak, że zamiast im pomóc, piosenki te mogłyby wzbudzić dawne wspomnienia, które wzmogłyby tęsknotę i nostalgię. Mogłyby ich zbyt mocno zasmucić. Nie chcę niepotrzebnych łez w ich oczach. Wolę ich nieco rozerwać i stworzyć wrażenie, że słuchają mnie w paryskim music-hallu”.

Na planie filmowym pojawił się interesujący mężczyzna, krytyk filmowy Henri Contet. Przedstawił się szalenie poruszony.

- Tym razem jestem tu w charakterze dziennikarza, zbieram materiały. Ale przyznam się pani, że do grzechów młodości zaliczam pisanie tekstów piosenek.

- To interesujące. Czy mogę je zobaczyć?

-Są niegodne pani talentu, gotów jednak jestem napisać nowe, zwłaszcza teraz, natchniony pani czarującym uśmiechem. Mogę się wznieść na wyżyny poezji, jestem przekonany.

Pod koniec wojny w życiu Edith Piaf dzieje się bardzo wiele. Henri Contet stał się w krótkim czasie najbliższym jej człowiekiem. Jest pod każdym względem nadzwyczajny, chwilami odnosi wrażenie, że nie mogłaby istnieć bez niego. Czy dlatego, że pisze jej teksty, jakich dotąd nie tworzył nikt? Raymond Asso był pierwszym poetą, który stworzył podwaliny jej repertuaru, ale świat jego poezji opisywał artystkę, która nagięła się do tego

świata. Henri Contet to pierwszy autor, który pisze tak, jakby robiła to ona sama. Czy dzieje się tak za sprawą jego uczuciowego zaangażowania, z którego początkowo nie zdaje sobie sprawy? | est zakochany, jednak Edith nie odwzajemnia jego uczucia, choć bardzo by chciała. Końcowa szarpanina z Paulem Meurisse'em, bolesne wygasanie tej miłości wypaliło ją. Na razie marzy o uspokojeniu, nie w głowie jej jakiegokolwiek amory.

Jak przystało na gwiazdę, Edith ma sekretarkę, bardzo energiczną Andrée Bigard, która jest związana z ruchem oporu (*maquis*) i prowadzi tajemnicze interesy z madame Billy, właścicielką eleganckiego domu schadzek przy ulicy Villejust, po wojnie nazwanej imieniem poety Paula Valéry. Madame Billy to kobieta reprezentacyjna, ze śladami wielkiej urody. Jej *maison* cieszy się renomą dyskretnego miejsca rozrywki, a mądrość i spryt pozwalają tej kobiecie prowadzić podczas wojny skomplikowaną grę w trójkacie gestapo-policja-maquis. Nie tylko uratowała wiele osób, ale wyszła czysta jak lilia z powojennych komisji do spraw kolaboracji. Przybytek madame Billy znajdował się w pobliżu głównej siedziby gestapo w Paryżu, przy rue Lauriston.

Tutaj właśnie, gdzie nieustannie kręcili się niemieccy oficerowie, sekretarka Edith Piaf urządziła kryjówkę dla jej pianistów, Żydów. Norbert Glanzberg, urodzony w Polsce, skomponował jeden z największych przebojów artystki „Padam, padam” do tekstu Henri Conteta. Michel Emer, którego semicki wygląd rzucał się w oczy, nie opuszczał pokoju u madame Billy. Edith odwiedza regularnie swoich muzyków, urządzając wielogodzinne próby Wreszcie wynajmuje dla siebie i przyjaciół całe trzecie piętro tej solidnej kamienicy

- Didi, jestem absolutnie zachwycony! - jęknął Jean Cocteau. -Jakie to podniecające! Będę odwiedzać moją sławną przyjaciółkę w burdelu! Już się na to cieszę jak dziecko. A jeszcze zobaczyć minę Jeannota, kiedy spyta: gdzie idziesz? Do domu publicznego, powiem, on zaś chyba zemdleje z wrażenia. Cudownie, wspaniale! Kiedy mogę ci złożyć pierwszą wizytę?

- Muszę cię rozczarować, mam osobne wejście.

- Jak możesz! Myślałem, że będę wchodzić przez salony tonące w czerwonych pluszach, wśród pięknych dziewcząt pachnących ciężkimi perfumami, rozpartych niedbale w przepastnych fotelach.

- Nie rozśmieszaj mnie. Należ trochę wina, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Nie zamierzam przed nikim ukrywać swojego adresu, mam na myśli instytucję, która znajduje się pod tym samym numerem cztery. Robię to celowo i mam do tego szczególne prawo. Nigdy nie kryłam się z tym, że kilka lat dzieciństwa spędziłam w domu publicznym, a młode lata na ulicy. Wiedzą o tym wszyscy. Teraz, gdy moje życie jest ustabilizowane, pozycja pewna, zamieszkam u madame Billy na złość mieszcuchom, którzy nie mogą mi darować, że wyszłam z nizin i jestem kimś, kogo muszą szanować.

Lata 1942-1944 spędzone pod nowym adresem to okres wyjątkowej pracy Edith ma tutaj świetne warunki. Zdarza się, że świt zastaje ją przy fortepianie. Buduje ogromny repertuar, który częściowo nagra dopiero po wojnie. Henri Contet tworzy coraz doskonalsze teksty, ich ukoronowaniem stanie się „Brawo dla clowna”. Edith pozostaje z nim w czułej przyjaźni i nawet więcej, ale taka miłość, jaką zdążyła już poznać, nadal nie chce przyjść. Henri jest subtelny, przyjmuje z pokorą to uczucie, które artystka jest w stanie mu ofiarować. Trwa czas, kiedy najważniejsza jest dla niej piosenka.

W imponującej monografii *Histoire de Piaf* Monique Lange opisuje pikantną historię, którą opowiedziała jej madame Billy pod koniec lat siedemdziesiątych. Mąż madame, artysta Josselin, jeździł czasami na koncerty z Edith Piaf. Krótko przed kolejnym wyjazdem artystka rzekła:

„— Pani Billy, czy możemy porozmawiać?

- Słucham, panno Edith.

-Jak pani wiadomo,jeziemy na dłuższe tournée. Tym razem

chciałabym, żeby pani mąż był całkowicie cło mojej dyspozycji. Pani rozumie, co mam na myśli. Zarówno w dzień, jak i nocą. Pragnę mu panią zastąpić. Zrobię z niego gwiazdę. Daję pani czterdzieści osiem godzin do namysłu.

- Moja odpowiedź brzmi: nie.

- Może popełniłam błąd - wzdycha madame Billy kilkadziesiąt lat później. - Ona tyłu przecież wylansowała artystów”!

Te dwa lata w domu madame Billy to praca do białego świtu. Zaczynają się też okresy bezsenności Piaf, co akurat sprzyja sztuce. Edith próbuje samodzielnie tworzyć. Pod koniec wojny powstaje wielki przebój, którego autorką jest ona sama. Piosenkarka Marianne Michel poprosiła o jakąś piosenkę. Początkowo Edith nie miała pomysłu na tekst. Któregoś dnia ołsnienie:

*Quand il me prend dans ses bras  
il me parle tout bas  
je vois les choses en rose*

Marianne Michel proponuje : *je vois la vie en rose*. Tak powstał światowy, nieśmiertelny przebój. Piaf włączy go do repertuaru dopiero trzy lata później, wkrótce śpiewa go także Marlena Dietrich.

Ma już na swoim konczie teksty do kilku piosenek, ale dopiero po czwartym egzaminie zostaje przyjęta do SACEM - Stowarzyszenia Autorów i Kompozytorów. Sprawa nie tyle istotna profesjonalnie, co bardziej ambicjonalna. Żadne prawa i paragrafy nie obejmują tej sfery działań Piaf, którą znają jedynie najbliżsi. Przede wszystkim potęgi jej inspiracji, sugestii dotyczących zarówno muzyki, jak i tekstów. Tego wpływu nie da się zmierzyć, zważyć ani zapisać. Zrozumieć to można tylko, poznając dokładnie jej ogromny dorobek nagraniowy, zwłaszcza odnaleziony w ostatnich latach w magazynach nieistniejących już wytwórni płytowych.

Kontakty z Cocteau i innymi intelektualistami sprawiają, że staje się tematem licznych debat o sztuce. „Czym jest Piaf dla współczesnego świata? Czy ta pieśniarka nie stanowi przypadkiem wcielenia dekadentckiej epoki? Ze swoim drobnym ciałem, zbyt wielką głową, dramatycznym spojrzeniem, każe myśleć o końcu rasy. Ta drobna, biedna dziewczyna samym istnieniem oskarża społeczeństwo, prawa oraz instytucje. Przypatrzmy się jej. Kojarzy się z całą nędzą wielkich miast: smutne ulice, puste, głuche wielkie kamienice, mieszkania pozbawione komfortu, podejrzane kawiarnie, bezduszni lekarze, sfrustrowani rodzice, brudne podwórza. A może ta dziewczyna wyszła z deformującego lustra w gabinecie śmiechu wesołego miasteczka? Takie wrażenia pozostawia widzom w filmie *Montmartre-sur-Seine*, gdzie gra główną rolę współczesnej kobiety”.

W rzeczywistości jest najnormalniejszą na świecie młodą kobietą, która chyba spotkała wreszcie tak wyczekiwaną miłość.

- Nie pogniewa się pan? Już po kilku słowach wiem, że przyjechał pan do Paryża z daleka. Z południa.

-Tak, wiem o tym. Ten mój okropny akcent. Nic na to nie poradzę. Marsylia pozostawiła swoje piętno. Jestem Włochem.

- Nazywa się pan Ivo Livi, ale to niczego nie dowodzi, artyści miewają pseudonimy. Powinna się była domyślić od razu. Nie spotyka się tak przystojnych Francuzów.

- Pani jest bardzo dla mnie miła. Teraz mogę się przyznać: bałem się pani. Kiedy się dowiedziałem, że mam być filmowym partnerem samej Piaf, myślałem, że umrę ze szczęścia, ale ze strachu także.

-Jak pan widzi, nie jestem groźna. Sama też kiedyś debiutowałam i wszyscy byli dla mnie wyjątkowo sympatyczni. Nigdy o tym nie zapomnę. To bardzo ważne w momencie, kiedy człowiek stawia pierwsze kroki w branży.

- Mogę mówić o szczęściu od samego początku. Pani o tym nie wie, ale głównym moim zajęciem jest śpiew.

- Słyszałam o tym. Śpiewał pan *en americaine* w ABC. Nie bywam tam nawet na widowni, bo szef tego teatrzyku zatrął mi życie przed laty. Nie jestem mściwa, ale mam swoje zasady. Ja też debiutowałam w ABC przed wojną, tak jak pan *en américaine*. Znam ten ból, nie jest to łatwe ani przyjemne wychodzić na odstrzał na samym początku programu, kiedy spóźnieni widzowie szukają swoich miejsc, a w ogóle to przyszli oglądać gwiazdy. Jak nazwa wskazuje, ten idiotyzm wymyślili Amerykanie. Ciekawe, czym nas jeszcze uszczęśliwią? Pełno tych *ricains* w Paryżu, wszędzie, na każdym kroku. W dzień i w nocy, w mundurach i w cywilu. Przecież skończyła się wojna, czego tu jeszcze szukają?

- Paryż jest atrakcyjny dla każdego. Wiem coś o tym.

- Rozumiem. Urodziłam się w Paryżu i nawet dla mnie jest on niezmiernie frapujący. Przed wojną też bywali tutaj turyści, najczęściej chyba Amerykanów, ale to, co dzieje się teraz, przekracza granice rozsądku. Nie znam się na polityce, nie lubię tych spraw. Na pewno mają jakiś głębszy sens, ale ja i tak nic z tego nie rozumiem. Denerwuje mnie ten cholerny zalew *ricains* w moim mieście. To wszystko.

- Prosimy na plan!

- Miły z pana chłopiec. Mówmy sobie po imieniu.

- To wielki zaszczyt, Edith.

- Dla przyjaciół Didi.

- Dziękuję, Didi.

Scenariusz filmu *Gwiazda bez świateł* powstał w czasie okupacji. Realizację rozpoczęto niemal nazajutrz po zakończeniu wojny. Autor scenariusza Marcel Blistene miał zapewne najlepsze intencje, nie udało mu się jednak stworzyć dzieła na miarę Piaf. Historia pieśniarki, która ma dublować aktorkę, jest naiwna i melodramatyczna. Nie ma to jednak wielkiego znaczenia, gdyż Piaf ciągle fascynuje widzów, a budząca się z wojennego letargu Francja pragnie słuchać jej z płyt, z radia i oglądać w nowych filmach. Osobowość artystki sprawi, że wybroni się nawet w utworach niegodnych jej talentu.





Edith Piaf i Yves Montand

Po pierwszym dniu zdjęciowym wraca do domu zmęczona, lecz promienna.

- Co sądzisz o moim partnerze? - pyta sekretarkę.

- Ładny dryblas. I nic poza tym. Ale widzę po twoich oczach, że podoba ci się. Będę okrutna, to twoja szkoła, i powiem ci, że mam nad tobą przewagę...

- Co ci proponował?

-O, widzę, że sprawa jest poważniejsza niż myślałam! Jesteś zazdrosna! Biedny makaroniarz, nie wie, co go czeka.

- Tym razem przesadziłaś, moja kochana. Makaroniarz, makaroniarz! Jak się dobrze zastanowić, spośród narodów romańskich Włosi są rasą najczystsza. Wywodzą się w prostej linii od Cezarów.

- Wybacz, szefowo. Od dzisiaj słowo makaroniarz przestaje istnieć.

Na planie filmowym para amantów spędza razem wszystkie

wolne chwile, a że scenariusz umieszcza ich przed kamerą także razem, stają się nierozłączni. Roziskrzone oczy Piaf mówią to wszystko, czego nie zdążyła mu wyznać słowami. Słucha go uważnie. Chce wiedzieć o nim wszystko.

Yvo Livi, syn ubogich emigrantów włoskich, podobnie jak jego ojciec, pracował od najmłodszych lat. Najpierw w Marsylii w fabryce produktów spożywczych, potem jako doker w stoczniach. Od dziecka interesował się muzyką, lubił śpiewać. Najbardziej interesowali go Fred Astaire i Charles Trenet.

- Wiesz, Didi, kiedy zacząłem śpiewać na sobotnich zabawach, nie myślałem o tym poważnie. Cieszyłem się, że moje śpiewanie podoba się ludziom. To było coś całkiem innego niż praca w stoczni. Odkąd pamiętam, ojciec ciężko harował, w domu nigdy się nie przelewał. Początki we Francji też nie były łatwe, na szczęście takich jak my, co uciekli od reżimu, było sporo. Ojciec był działaczem związkowym, nie chciałem iść w jego ślady. Śpiewałem sobie ballady kowbojskie i to był trafny wybór, bo już pierwszy występ na estradzie niedzielnego festynu wzbudził ogromny entuzjazm. Aż nie mogłem uwierzyć. Wtedy pomyślałem po raz pierwszy, że chyba mógłbym poświęcić się śpiewaniu, ale nie bardzo w to wierzyłem. Sam nie wiem, jak do tego doszło, skąd miałem tyle odwagi, jednak już w lutym 1944 roku śpiewałem w paryskim ABC. Za pierwsze honorarium kupiłem sobie najmodniejszą marynarkę w kratę i poczułem się prawdziwym artystą. O takiej marynarce marzyłem jeszcze w Marsylii, pożyczałem podobną od kolegi na soboty i niedziele.

Andrée Bigard oglądała ów spektakl w ABC.

- Włoch ma niezły głos, jest muzyczny. Publiczność przyjęła go ciepło, ale zęgnęła nieco zawiedziona. Twój Włoch okazał się straszliwie prowincjonalny, co marynarka w kratę podkreśliła w sposób prawie komiczny. I właśnie dlatego, Didi, nie podzielałam twoich zachwyty. Może wyrośnie z niego aktor filmowy, ale ze śpiewaniem niech sobie lepiej da spokój.

- Moja droga, mam na ten temat swoje zdanie i nie zamierzam go zmieniać.

Przygotowuje Włocha do recitalu w Etoile. Praca jest nadspodziewanie trudna. Yvo okazuje się uparty, ponosi go duma i ambicja. Edith bezwiednie przejmuje rolę, jaką niedawno w jej życiu spełniał Raymond Asso. Najpierw pseudonim.

- Yvo Livi mogło być dobre na festynach w Marsylii i okolicach. W Paryżu to nie jest nazwisko na afisz. Wierz mi, wszystkim, co dzieje się w branży artystycznej, rządzą pewne prawa, których nikt jeszcze nie zmienił i nie zanosi się na to.

- Moi rodzice byli szczęśliwi, kiedy śpiewałem w Marsylii, potem w Paryżu. Dlaczego mam się wstydzić swojego nazwiska? Może ty tego nie rozumiesz, ale my, Włosi, jesteśmy bardzo rodzinni. Szczęję się tym.

- Szczęć się, proszę bardzo, nikt ci nie zabrania, ale na prywatny użytek.

Wygłosiła dłuższy wykład o żelaznych prawach rynku, który rządzi artystami. Przekonała go bez trudu. Marzył o sławie, szczerze podziwiał swoją protektorkę. Na pewno ona ma rację.

- Od jakiegoś czasu zaakceptowałeś francuską wersję swojego imienia, Yves.

- Bo wymawiasz je tak pięknie, Didi.

- Jeden makaronizm mamy z głowy. A teraz posłuchaj. Opowiadałeś mi, że mieszkaliście kiedyś w domku nad morzem. Nie bardzo umiałeś jeszcze chodzić, a rodzice z piętra wołali: „monta, Yvo, monta!”. W języku francuskim *monter* znaczy to samo co we włoskim - iść do góry, wspinać się. I tak mamy gotowy pseudonim YVES MONTAND. Czy to nie brzmi wspaniale?

- Edith, jesteś nie tylko wielka. Jesteś bardzo mądra.

W tym związku Edith ma wyraźną przewagę, czasami jednak dumny Włoch usiłuje się wymykać, wtedy na odsiecz przychodzą artystce wierni przyjaciele, zwłaszcza Henri Contet, z którym wdaje się w tak wysoce intelektualne dysputy, że Yves siedzi

zdruzgotany jak na tureckim kazaniu. Niepokoi się, traci pewność siebie.

Wiele kłopotów było z marynarką w kratę. Młody artysta zauważył wprawdzie, że paryska publiczność patrzyła pogardliwie na jego ulubione ubranie, ale czuł się doń szalenie przywiązany. Marynarka w kratę kojarzy mu się z dziewczynami z południa, które robiły do niego słodkie oczy i mówiły, że wygląda jak artysta z Hollywood. Z wrodzonym wdziękiem wybiła mu z głowy tę śmieszną kraciatą marynarkę i ubrała w czarne spodnie i czarną koszulę. Jej instynkt i wrodzone poczucie smaku są niezawodne. Edith wie, że to młode, muskularne ciało, które ją tak zachwyca, bierze także udział w procesie interpretacyjnym. Ubiór musi więc przylegać do ciała, które w ten sposób staje się instrumentem. Och, jakże wspomniałem! Jego dłonie to dłonie robotnika, trzeba je eksponować. Zauważą to miliony prostych ludzi.

Pracuje z Yves'em nad dykcją i artykulacją. Zmusza go do mówienia tekstów z ołówkiem w zębach. Walczy z jego południowym akcentem. Praca zbliża ich. Porozumiewają się łatwo, wywodzą się z podobnego środowiska.

Pisze dla niego piosenkę. Przewrotnie o sobie, nie pozostawiając do tego żadnych najmniejszych wątpliwości. „Ona” z piosenki ma nie tylko piękne oczy, dłonie i śmieje się porywająco, ale również śpiewa. Sprawa jasna.

Dużo wcześniej niż oboje przewidywali nadchodzi decydujący moment. Dzięki debiutowi w *Gwieździe bez światła* Włoch zostaje zauważony i otrzymuje propozycję, która stanie się początkiem jego międzynarodowej kariery filmowej. To rola w dziele Marcela Carné *Wrota nocy*. Odtąd wszystko toczy się błyskawicznie. Recital pieśniarski w Etoile jest ogromnym triumfem.

Najważniejszą sprawą dla Montanda pozostanie film. Powroty z planu to nieustające opowieści o tym, co się działo, co czeka go nazajutrz. Młody artysta wpadł w wir pracy i jest nią całkowicie pochłonięty. Edith czuje się zepchnięta na drugi plan. Nie chce

tego akceptować. Trwa w nerwowym wyczekiwaniu. Może coś się zmieni? Ale wszystko układa się dla niej niepomysłnie. Yves otrzymuje kolejne propozycje filmowe.

- Wiesz, moja droga - zwierza się sekretarce - musiałam gdzieś popełnić błąd. Nieważne, w jakiej to było sprawie, w jakim momencie. I tak już sprawa spóźniona. To nie jest normalna sytuacja, kiedy mężczyzna żywi przesadny szacunek dla ukochanej kobiety. Czy ty wiesz, on nawet w łóżku opowiada mi o tych swoich cholernych filmach! Mało tego, jeszcze wypytuje, radzi się mnie. Do diabła, nie mam ochoty być w łóżku kierownikiem artystycznym. Mam tego dość.

Tym razem nie ma w niej rozpaczy. Czuje znużenie. Wyjeżdża na tournée do Alzacji. Wraca po dwóch tygodniach, uśmiechnięta i radosna.

- Yves, mam dla ciebie bardzo dobrą wiadomość, na pewno się ucieszysz. Jestem zakochana.

W pierwszej chwili nie bardzo zrozumiał. Myślał, że żartuje. Zauważył jednak, że jej wzrok jest inny. W oczach miała wyczekiwanie. Oslupiał.

- Didi, ty chyba oszalałaś. Tak, na pewno. Nie wolno ci wyjeżdżać na tak długo. Jesteś przemęczona. Sama nie wiesz, co mówisz. Najlepiej będzie, jak się położysz do łóżeczka, mój mały kotku. A ja wezwę lekarza, zapisze ci coś na wzmocnienie.

Wysunęła się z jego objęć.

- Nigdy w życiu nie czułam się zdrowsza i silniejsza. Powiedziałam wyraźnie: jestem zakochana. Chcesz wiedzieć w kim?

- Didi, dość tych głupich żartów. To nie jest zabawne.

- Zadziewiasz mnie. Myślałam, że będziesz zadowolony. Nareszcie jesteś wolny. Jak ptak.

- Nie. To chyba ja zwariowałem. Didi! - Potrząsnął nią delikatnie. - Opamiętaj się, dziecino. Czy ty nie rozumiesz, jak bardzo cię kocham? Czy naprawdę nie wiesz, kim dla mnie jesteś, co ci zawdzięczam?

- No właśnie! O to chodzi! Tylko to jest ważne. Co mi zawdzięczasz, co dla ciebie zrobiłam! Ja chcę, żebyś mnie kochał dla mnie samej! Za to, że jestem kobietą, która ci się podoba, z którą jest ci dobrze, ale o tym nigdy nie ma mowy! Ty nie kochałeś mnie, mnie, Didi. Ty kochałeś tylko i wyłącznie Edith Piaf, gwiazdę filmu i music hallu. Gwiżdżę na takie miłości. Idź sobie. Możesz wracać do swoich panienek z Marsylii. Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chcesz wiedzieć, gardzę tobą, zawsze gardziłam. Wy, makaroniarze, macie w charakterze coś taniego. Nie, inaczej. Wy nie macie charakteru. Nie mieliście go nigdy. Nie chcę cię znać. Zapomnij o mnie. Zapomnij, że istnieję. Wykreślam ten rozdział z mojego życia. Och, Yves, jak mnie zmęczyło całe to gadanie. Naprawdę, trudno to wszystko wytłumaczyć.

Patrzył na nią z troską. Oczy miał wilgotne.

- Co ty wyprawiasz. Didi, uspokój się. Zobacz, ja, dorosły mężczyzna, płacę. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Nigdy w życiu. Ty sama nie wiesz, co mówisz. Byłaś i jesteś moją pierwszą wielką, piękną miłością. Tak bardzo jak ciebie, kocham tylko moją matkę...

- O widzisz, matkę! Ja nie chcę być twoją drugą mamusią! Może ty kochasz mnie na swój sposób, ale to nie jest miłość, jakiej oczekuje dojrzała kobieta. Zostaw mnie, proszę. Bardziej zmęczyła mnie ta nasza rozmowa niż całe tournée.

- Nie pozwolę ci zasnąć w takim stanie. To jakieś nieporozumienie, musimy je wyjaśnić, a potem zaśniesz w moich ramionach, tak jak lubisz.

- A ty będziesz mi opowiadać, jaki byłeś znowu wspaniały. Zerwiesz się nawet z pościeli, zapalisz światło i pokażesz mi, jak chytrze wymyśliłeś dzisiaj podejście do kamery i jaki to wzbudziło zachwyty całej ekipy! Mam tego dość. Idź spać do salonu. Dobranoc.

Wyszedł pokornie. Zamknęła drzwi na klucz. Nie czuła wyrzutu sumienia. Nazajutrz zastała na fortepianie pożegnalną kartkę. Zabrał swoje rzeczy osobiste, nie wszystkie. Po resztę przysłał

kogoś. Kupi sobie na otarcie tez nowy samochód, pomyślała. Pocięży się łatwo i szybko.

Prawda była inna. Yves odszedł przybity, urażony w swojej dumie. Za późno zrozumiał, jak bardzo ją kocha, jak silne więzi połączyły go z kapryśną, nieobliczalną, ale jakże cudowną istotą. Zbyt ambitny, żeby prosić, odchodzi zbołały. Szuka ukojenia w pracy, a tej ma pod dostatkiem. Nigdy nie wybaczy jej brutalnego zerwania. Była silniejsza, niż sobie mógł wyobrazić. W połowie lat pięćdziesiątych, w swojej autobiograficznej książce, *Du soleil pleine la tête (Głowa pełna słońca)* Yves Montand potraktuje swój związek z Piaf jako mało znaczący, koleżeński epizod. Dopiero po latach potrafi oficjalnie docenić zarówno uczucie, jak i to wszystko, co jej zawdzięczał.

Latem 2002 roku w paryskim Hotel de Ville otwarto wielką wystawę „Paris chante Montand”, w której znaczną część zajmowała Edith Piaf, tak jak to było w ich wspólnym życiu.

# 6

Wśród prasowych zachwyków na temat Edith Piaf nie brak głosów krytycznych. Po jej występie obok Yves Montanda w Théâtre de l'Etoile, Serge Veber apeluje:

„Pozwalam sobie udzielić pani rady, proszę nie próbować, Mademoiselle Piaf, zbytnio się wznosić. Ma pani cały tłum ludzi, którzy kochają panią za to, że jest naturalna, zwyczajna i że ma pani w repertuarze piosenki tak zwyczajne jak pani sama, z tekstami, które poruszają każdego. To dzięki nim zdobyła pani serca mas i wiernych wyznawców. Proszę tego nie dezawuować przy pomocy piosenek zbyt literackich, które stają się coraz bardziej mgławicowe. Pani admiratorzy nie rozumieją ich, co oddala ich od pani. Tym nowym gatunkiem (o którym nie zamierzam dyskutować w materii wartości poetyckiej) być może przyciągnie pani wąskie koła awangardy albo drobne kapliczki wielbicieli, ale wie pani dobrze, Mademoiselle Piaf, że to nie małe kapliczki wypełniają wielkie music-halle.

I bardzo proszę, niech pani nie usiłuje być piękna. Straci pani na tym. W jednej z nowych piosenek, która opowiada bardzo ładnie o wiosnie, śpiewa pani: *być może nie jestem ładna...* To »być może« jest niegodną pani kokieterią. Proszę nie kazać nam wątpić w kwestii swojej urody czy raczej jej braku. Posiadamy co do tego pewność, co zresztą nie ma dla nas najmniejszego znaczenia.



Z urodą nie byłaby pani tym, kim jest. Cierpienie, które pani ucieleśnia i wyraża, nie posiada rysów regularnych. Ono jest przygarbione, tak jak pani. Tak jak pani, ma oczy pełne skarg. Pani twarz wyraża całą nędzę świata (nigdy sobie nie wyobrażaliśmy, że ta nędza powinna udać się do fryzjera). Podobnie jak pani, ma spojrzenie udęczonego zwierzęcia. Aureola istoty bardzo godnej litości, oraz niemal nieludzkie promieniowanie, które wydobywa się z pani drobnej istoty, wyolbrzymia to wszystko w zadziwiający sposób”.

Może nawet nie czytała tej głębokiej analizy. Na pewno zrobił to bliski nadal przyjaciel Henri Contet, autor większości krytykowanych tekstów. Na uczuciowym horyzoncie artystki pojawił się zupełnie nowy mężczyzna. Jean-Louis Jaubert to najprzystojniejszy i najbardziej inteligentny śpiewak zespołu Les Compagnons de la Chanson. Zna ich od jakiegoś czasu, ale dopiero podczas koncertów w Alzacji nadarza się okazja do zacieśnienia znajomości. Śpiewają wspaniale, wzbudzając zachwyt najbardziej wybrednej publiczności, czasami większy nawet niż ona sama, ale jako jej to nie drażni.

-Jean-Louis, ty wiesz, jak bardzo podziwiam wasz śpiew. Przywiozłam z Lozanny przepiękną pieśń, ofiarował mi ją jej twórca Jean Villard-Gilles. Jego zdaniem nikt nie zaśpiewa lepiej ode mnie historii narodzin, życia i śmierci Jeana François Nicot, ale ja wiem, że sama tego nie udźwignę. Musisz to usłyszeć. To bardzo piękny utwór, właściwie małe oratorium. I dlatego potrzebne, wręcz niezbędne są męskie głosy.

- Didi, rozmawiałem wstępnie z kolegami na temat ewentualnego śpiewania z tobą. Nie chcieli wierzyć, że to możliwe. Wezmę nuty, pokażę im ten utwór. W naszym zespole panuje absolutna równość, zwłaszcza w sprawach artystycznych.

Początkowo Les Compagnons nie zaaprobowali pieśni „Les trois cloches” (Trzy dzwony). Wydała im się archaiczna. Piaf przyjechała na próbę z Jeanem Cocteau.

- Kochani, zanuemy tylko. Jean chce to koniecznie usłyszeć. Proszę. Zróbcie to nie dla mnie, ale dla pana Cocteau.

Zaśpiewali.

- *Mes enfants!* Czy zdajecie sobie sprawę, czym jest dla Francji laka pieśń nazajutrz po wojnie! Wymordowano tyle milionów niewinnych ludzi, a dzisiaj wreszcie można słuchać rzewnej ballady o tym, jak zwyczajny śmiertelnik Jean François Nicot rodzi się, żyje i umiera w tym samym łóżku swojego rodzinnego domu. Nie, nie możecie tego zrozumieć, jesteście zbyt młodzi. Uwiercie mnie, staremu poecie. Mam wycucie takich spraw. Jeśli moje oczy były mokre, to znaczy, że przeżyłem coś niezwykle pięknego.

Piaf włożyła więcej niż zwykle pracy w przygotowania do premiery z Les Compagnons de la Chanson. Zaskoczyła publiczność zmianą swego wyglądu. Zamiast tradycyjnej, znanej wszystkim krótkiej, czarnej sukienki, pojawia się w jasnoblękitnej, długiej. Śpiewa całkiem inaczej, głosem miękkim, lirycznym, dzięki czemu osiąga idealne współbrzmienie z dziewięcioma śpiewakami. Wspólny występ staje się wielkim sukcesem. Płyty z „Les trois cloches” osiągają na całym świecie kolosalne, niespotykane nakłady.

Edith przeżywa idyllę, czas tkliwej łagodności z Jean-Louis Jaubertem. Po kilkuletnim okresie szarpaniny, której apogeum był Paul Meurisse, a Montand ze swoją romańską wybuchowością też nie ułatwiał życia, Jean-Louis wydaje się aniołem. To błękitny okres w życiu artystki. Trwa także finansowa prosperity.

Talent Edith Piaf w okresie powojennym jaśnieje najczystszym blaskiem. Pieśniarka jest w doskonałej formie, wygląda prześlicznie, co widać na fotografiach. Zarzuty braku urody są dyskusyjne, piękno bowiem jest kategorią względną nie tylko w materii estetycznej.

-Jean-Louis, mój kochany. Ty chyba okradłeś jakiegoś ogrodnika!

- Przyniosłem tyle róż, na ile zasługujesz. Co ja mówię! Zawsze będzie ich zbyt mało.

-Jak na ciebie to niebywała rozrzutność. Czy dowiem się wreszcie, z jakiej to okazji? I jeszcze coś. Ile razy mam ci przypominać, że nie lubię róż. Nie znoszę róż. Są zbyt pretensjonalne.

-Wiem, wiem, wolisz kwiaty polne. Nauczył cię tego twój przyjaciel, poeta tramwajarz. Jak mu było? Jacques Bourgeat. Zbieraliście razem kwiaty na łąkach. Jestem zazdrosny.

- O tego moła książkowego? Daj spokój. Powiedz lepiej, co się stało.

- Kupiłem róże, bo ci do twarzy z czerwonym kolorem. Czy wiesz, że dzisiaj naszym gościem w Etoile będzie imprésario z Broadwayu, Clifford Fischer? Pomyśl, Didi. Wystąpimy w Nowym Jorku.

- Chwileczkę, skąd u ciebie tyle entuzjazmu? Ja myślę o tym z niepokojem. Czy nie słyszysz w Klubie Pięciu, jaką muzykę kochają *ricains*? Ten cholerny big band to maszyna do robienia hałasu. Na tym swoim dzikim kontynencie mają pełno takich. To brzmi jak orkiestra strażacka.

- Chyba przesadzasz, Didi. Zachwycałaś się Glennem Millerem.

- To chwalebny wyjątek. Nawet nie mam pretensji i rozumiem Amerykanów. Stworzyli big bandy i lubią taką muzykę, ich sprawa. Nie bardzo rozumiem tylko, dlaczego Michel Emer, taki utalentowany kompozytor, dlaczego on się fascynuje big bandami? Chryste Panie, kiedy zaczyna hałasować ta cała maszyna, którą Michel dyryguje, trudno mi uwierzyć, że to właśnie on tworzy dla mnie najlepsze piosenki! Jak to możliwe?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, ale to prawda, że „Akordeonista” udał się Emerowi jak rzadko, zarówno muzyka, jak i tekst. Opowiadałaś mi o waszym spotkaniu, jaki był uparty, jak nalegał, żebyś wysłuchała tej piosenki. Ale jak ty to śpiewasz! Słucham „Akordeonisty” co wieczór i za każdym razem przechodzi mnie dreszcz.

- A wiesz, że żadna z moich piosenek nie uległa przez lata śpiewania takiej ewolucji. Zwykle kiedy włączam nową pozycję do re-

pertuaru, wiem od razu, o co mi chodzi, i już w czasie prób rodzi się jej kształt wynikający z samego materiału, tekstu i muzyki, do których wprowadzam czasami nieco zmian. Z „Akordeonistą” było inaczej. Zachowałam sobie nagranie radiowe mojego recitalu, powracam do niego, bo wiele mnie to uczy. Na początku śpiewałam w sposób trochę szkolny i mało ekspresyjny, nawet mój wspa- niały pianista Robert Chauvigny miał pewne kłopoty z graniem. On, taki utalentowany! Dzisiaj, po blisko trzech latach nasz „Akordeonista” stał się rzeczywiście wspaniałą piosenką. Zwła- szcza ten krzyk: *arrêtez! arrêtez la musique!* Na początku było tam za mało dramatyzmu, aż któregoś dnia nareszcie udało mi się krzyk- nąć w taki sposób, w jaki nie umiałam przedtem. Sama nie wiem dlaczego! Coś się we mnie otworzyło. Teraz „Akordeonistę” ko- cham najbardziej ze wszystkiego, co śpiewam.

- Nie, Didi. Ty kochasz wszystko, co śpiewasz. Jesteś prawdzi- wa aż do bólu. Amerykanie będą tobą zachwyceni. Oszaleją, zoba- czysz.

- Czy ja wiem? Oni nie grzeszą smakiem. Podobno jakiś żoł- nierz na widok Notre-Dame powiedział: co te żabojady w tym wi- dzą, przecież to takie stare!

- Prostacy zdarzają się wszędzie. Błagam cię, Didi, nie powiedz przypadkiem w towarzystwie Fischera: *les ricains* ! To w gruncie rzeczy obraźliwe.

- Postaram się pamiętać o tym, ale głowy nie daję. Znasz mnie, zanim pomyślę, już powiedziałam. Zresztą Fischer jest chyba Niemcem.

- Ale urodzonym w Ameryce.

- Za to teraz mogę sobie pofolgować. Posłuchaj. Już widzę te ich idiotyczne reklamy: urodzona na ulicy, wychowana na bruku. Piaf to wcielenie tajemnic Paryża. To bohaterka Hugo - bez rod- ziny, poza prawem, od młodości wmieszana w afery kryminalne. Piaf to konik polny wyśpiewujący swój Paryż poetycko, ale naiw- nie. I tak dalej w tym duchu. Tylko nie myśl, że jestem taka mą-

dra. To wszystko wymyślił mój kochany przyjaciel Jean Cocteau. Pewnie ma rację, przecież był kilka razy w Stanach. Zresztą, jeszcze nie wiadomo, co z tym wyjazdem. Zobaczmy, co powie Fischer, kiedy nas usłyszy.

- Słyszał nasze płyty, ale chce jeszcze zobaczyć.

- O nas jestem spokojna. Powiedz mi tylko, czemu ten mały Ormianin z nosem jak gaśnica śpiewa w duecie z Rochem? Niedobre to, nawet mało zabawne. Mówiłam mu tyle razy, żeby śpiewał sam. Uparty jak osioł.

- Aznavourian jest ambitny i uparty jak większość jego rodaków. Kiedyś zrozumie, że masz rację i będzie ci na klęczkach dziękować. Na razie zostaw go, niech robi co chce.

- Wiem o tym, ale szkoda mi jego czasu.

- Z nim to nie takie proste jak z Montandem. Sama wiesz, to zupełnie co innego, gdy na scenę wchodzi kawał przystojnego faceta.

- Naturalnie, ale te jego teksty! I ten głos, drażniący, namiętny. Przyznam ci się, że początkowo mnie irytował i nie wierzyłam za bardzo w Charliego.

- Masz wrodzony smak, Didi, ale tu się chyba pomyliłaś. Z moimi chłopcami rozmawialiśmy o tym wiele razy. Wiesz sama, to nie są ignoranci. Wszyscy jak jeden mąż, ze mną łącznie, doszliśmy do wniosku, że ten mały Ormianin ma w sobie coś, to jasne jak słońce, ale głos będzie mu w życiu przeszkadzać. Obym się mylił.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Jean-Louis był w życiu Edith jasnym punktem. Pozwalał jej uwierzyć w siebie. Mądry, spokojny, napełniał ją ufnością. Jednak odczuwa coraz częściej, że to jej nie wystarcza. Czyżby jej najgłębsza istota pragnęła burz i niepokojów?

Kilka miesięcy przed śmiercią wyzna w autobiografii *Ma vie*, w rozdziale „Mój mężczyzna, moi mężczyźni”:

„Nigdy nie umiałam zatrzymać zbyt długo w ramionach człowieka, którego kochałam. Za każdym razem gdy już uwierzyłam,

że spotkałam mężczyznę swojego życia, nagle waliło się wszystko i znowu byłam sama. Być może dlatego, że nie byłam tym, co nazywają piękną kobietą. Wiedziałam o tym i dlatego poszukiwałam usilnie jakiejś rekompensaty od losu. Ale działało się tak również, bo nie byłam zbyt wierna i zniechęcały mnie rozczarowania. Wystarczył czasami drobny, jakiś nieistotny kłamstwo, jedno słowo więcej, i moja miłość gasła raptownie. Rzucałam się w inne ramiona, w których spodziewałam się cudu.

Zawsze gorączkowo poszukiwałam wielkiej, prawdziwej miłości, i może dlatego tylu było w moim życiu mężczyzn, że nie umiałam pogodzić się z kłamstwem i miernotą, które spotykałam w swoich przygodach. Pierwszy był Mały Louis, mój pierwszy mężczyzna. Miałam lat szesnaście, on starszy zaledwie o rok. Romeo i Julia? Niestety, była to raczej nieco komiczna lekcja życia i miłości, romantyzmu zawierała znacznie mniej, niż sobie początkowo wyobrażałam. W domu schadzki babci Gassion zaznałam wiele dobra i ciepła, ale wyobrażenia o uczuciach między kobietą a mężczyzną pozostały mgliste. Lata włości z ojcem obdarzały mnie co jakiś czas nową „mamusią”, bardziej lub mniej sympatyczną. Lata edukacja nie nauczyła mnie niczego nadzwyczajnego. Myślałam, że dziewczyna nie ma prawa powiedzieć NIE, kiedy skinie na nią młody człowiek. Byłam przekonana, że taka jest rola kobiety. Nie ociągałam się więc, kiedy Louis wziął mnie za rękę.

Wiem, że moja opowieść brzmi jak prymitywny brukowiec, ale całe moje życie tak wygląda, niczym nieprawdopodobna historia, a wszystko wydarzyło się tak po prostu, jak o tym opowiadałam. Louis powiedział: chodź! I poszłam z nim. Bez namysłu pozostawiłam mojego ojca i tę odrobinę ochrony i bezpieczeństwa, jakie mi zapewniał. Mały Louis wydawał mi się ładny i silny, absolutnie wyjątkowy. Kochałam go. Mieszkaliśmy w nędznym pokoju, chodziliśmy czasami do kina. Życie płynęło cudownie, być może tylko dlatego, że byliśmy oboje bardzo młodzi.

Nie byłam święta. Nie wystarczyłoby palców obu dłoni, żeby wyliczyć moich kochanków, i łatwo wam rzucić we mnie kamieniem. Ale niestrudzenie poszukiwałam mężczyzny, który byłby mi wierny przez całe życie, który by zapewnił mi opiekę. Szukałam nadaremnie, bo los przynosił co innego: Louis był dzieckiem jak ja, i pewnego dnia rzuciłam go dla prawdziwego mężczyzny, legionisty, którego znacie z piosenki Raymonda Asso »Mon légionnaire«. Ale straciłam swojego legionistę i pomyślałam, że być może nie jest mi pisane szczęście. Mój legionista pojechał do Afryki i zginął. Miałam osiemnaście lat i znałam jedynie doły społeczne. Mały Louis był zacy i porządny, ale nie doceniałam go. Nasza córeczka umarła, co odebrało mi resztkę radości życia. Ostatni etap staczania się po równi pochyłej pokonałam z łatwością”.

Trudno nie wracać do tych wspomnień, zwłaszcza teraz, kiedy jest sławna i bogata. Chwilami nie sposób sobie wyobrazić, że mogła żyć w tak ponurej, żalosalnej rzeczywistości. Nie może od niej uciec. Przypominają jej o tamtych smutnych latach rodzice, z którymi widuje się z rzadka. Ojciec ma kłopoty z utrzymaniem się na powierzchni, ale zachował resztki dumy i godności, czego nie można powiedzieć o matce, która nachodzi jej dom. W alkoholowym upojeniu (niebawem dojdą do tego narkotyki) bywa tak agresywna i nieprzyjemna, że Edith czasami nie przyjmuje jej osobiście, tylko przekazuje pieniądze za pośrednictwem służby. Czuje się wtedy winna, ale nie ma już siły na słuchanie narzekań i wypominania przeszłości. Jałowe to rozmowy, które nie prowadzą do żadnych wniosków, ani nie zmieniają tego, co było i jest. Trudno powiedzieć, że ma do matki żal. Nie o to chodzi. Ale nie może zapomnieć nory dziadków Maillard, w której spędziła jakiś bliżej nieokreślony czas. Było tam smutno, ciemno, przygnębiająco. Zapamiętała cierpki smak wina, które dolewali jej do herbaty, żeby lepiej spała. „Pij winko, winko jest dobre. Pij, malutka, a będziesz zawsze zdrowa”.

Słyszała czasami rozmowy dziadków na swój temat. „Zeby to chociaż było ładne dziecko, ale chude to, niedożywione, blade jak opłatek i na domiar złego te dziwne oczy, wielkie i mętne. Skąd coś takiego w naszej rodzinie? Czy ona nie ma wodogłowia?”. „Ciupie pytanie. Nasz zięć za kołnierz nie wylewa. Trochę alkoholu w swoim życiu przefiltrował, młodziutki też nie jest. Wcale się nie dziwię, że nasza córka rzuciła to wszystko”.

Dlaczego tak silnie zapisały się w pamięci okropne czasy „dziadków Maillard? Może dlatego, że nigdy nie obdarzyli jej ciepłym słowem. Najchętniej pozbywali się dziecka. „Idź na ulicę, pobaw się z koleżankami”.

Nie lubiła innych dziewczynek, nie były tak obdarte jak ona i miały ładniejsze lalki. Wołała bawić się sama.



# 7

Tego wieczoru przysła do Klubu Pięciu smutna i zmęczona.

Miała za sobą nieprzyjemny dzień. Przesłuchiwała ją Komisja do Spraw Kolaboracji. Chodziło o udział w filmie *Gdyby Wersal przemówił*, w którym Edith Piaf zagrała małeńki epizodzik. Ubrana w kostium Marianny, w czapce frygijskiej, śpiewała „Ça ira”. Rozmowa z komisją przeszła gładko. Nie obciążono jej zarzutami. Korzystnie oceniono koncerty dla jeńców francuskich w oflagach na terenie Rzeszy, a także to, że sekretarka gwiazdy - Andrée Billard, która organizowała te koncerty - należała do maquis i uczyniła dla ruchu wiele dobrego. Podczas rozmowy z komisją Edith dowiedziała się, że Sacha Guitry, reżyser filmu, pozostaje nadal w stanie oskarżenia. Nie ma nadziei na uwolnienie go.

Usiadła przed lustrem w malutkiej garderobie. Ujrzała w lustrze swoje smutne, pozbawione blasku oczy. Boże, wyglądam jak ciężko chora. Szminka nie trzyma się twarzy. Włosy okropne, nie pomagają grzebień, układają się jak chcą. Sama zrezygnowałam z garderobianej, a dzisiaj nie mogę sobie poradzić. Cholerny klub, tak go dzisiaj nie lubię. Też sobie nazwę wymyślili: Klub Pięciu! Pięciu byłych oficerów skrzyknęło się i otworzyli knajpę. Klub Pięciu. I tak nikt nie wie, co to za jedni. Ech, wszystko mnie dzisiaj denerwuje, przecież oni są bardzo mili, zwłaszcza patron Jo. Nawet nie mam ochoty dzisiaj śpiewać, to nie zdarza się często. Co za paskudny dzień! Lepki jakiś, upalny, ale w końcu ma pra-

wo, przecież to lipiec. Zapamięta ten dzień na zawsze: 7 lipca 1946 roku.

Zatelefonowała do baru.

- Nanette, przynieś mi, proszę, szklaneczkę burgunda, ale szybko! Za dziesięć minut wychodzę na scenę.

Wypiła duszkiem wino. Włożyła czarną sukienkę. Razem z nią, opinając lekko ciało, poczuła przyływ sił. Alkohol też zrobił swoje. Badawcze spojrzenie w lustro: oczy nabrały blasku. Tak jest zawsze na chwilę przed wyjściem na scenę, kiedy odczuwa lekki niepokój. Zna go od lat, towarzyszy jej wiernie. To coś w rodzaju lekkiego bólu w okolicy żołądka, połączonego z nikłym skurczem serca. Bez tych przyjaznych sygnałów czułaby się nie-swojo. A zatem, wszystko w porządku.

Zaczyna od „Akordeonisty”.

*La fille de joie est belle  
Au coin de la rue là bas...*

Przestaje istnieć wszystko dookoła. Jest ona, dziewczyna z ulicy, i jej akordeonista. Chwilami tylko przebłysk z innego wymiaru: jakże pięknie gra na akordeonie Marc Bonel, genialny samouk. Publiczność wspaniała, nie zawsze tak jest. Ósma piosenka „La vie en rose”. Śpiewają od niedawna i czuje się w niej coraz lepiej. Początkowo myślała, że to utwór zbyt liryczny. Wreszcie wraca do garderoby zmęczona i szczęśliwa. Śpiewała tak, jakby się nic ważnego nie wydarzyło. Biedny Sacha w więzieniu, ale przecież w pierwszej instancji dostał wyrok śmierci.

Ktoś zapukał do drzwi. To Jo.

- Moja kochana Didi, jesteś z każdym dniem cudowniejsza. Czy siadłabyś na chwilę przy moim stoliku? Tak rzadko proszę cię o cokolwiek.

- Szczerze mówiąc, jestem dzisiaj w podłym nastroju, ale skoro zależy ci na tym...

Przy stoliku podniósł się na ich widok rosły mężczyzna.

- Edith, pozwól, że przedstawię ci Marcela Cerdana.

Cerdan patrzył wzrokiem półprzytomnym. Nie mógł uwierzyć, że stoi przed tą nieprawdopodobną artystką, której śpiew przed chwilą spadł na niego jak lawina, poruszając boleśnie tajemne zakamarki duszy. Czy przedtem trwały uśpione? Ta artystka stoi teraz przed nim drobna, filigranowa i uśmiecha się promiennie, może oczy ma zbyt smutne. Co jej powiedzieć? Ze jest wspaniała, że ma piękny głos? Wszyscy jej to powtarzają codziennie setki razy.

- Brawo, to dobre, co pan robi - odezwała się. - Bardzo miło poznać mistrza Europy. Jest pan pierwszym bokserem, jakiego znam.

- Pani ma wstrząsający głos - powiedział cicho.

-A pan ma dłoń w bandażu!

- U mnie to rzecz normalna. Pamiątka z walki z Robertem Charronem, kilka dni temu. Jeszcze mam w kilku miejscach siniaki, ale są mniej widoczne.

- Nie jest to lekki chleb, jak niektórzy sobie wyobrażają. - Lubię boks, chyba ko drobiazg, gdy jest satysfakcja ze zwycięstwa.

- Nazywają pana bombardierem z Maroka. Nie znam się na boksie, ale o tym akurat słyszałam.

- To chyba przesada. Siła nie jest moją mocną stroną, raczej technika.

Przy stoliku siedziało kilka osób. Toczyła się ogólna rozmowa

o wszystkim i o niczym. Piaf niebawem wstała, pożegnała wszystkich skinieniem głowy. Rozstali się z Marcelem gładko i po prostu. Ot, dwie sławy spotkały się na chwilę towarzysko, wymieniając wzajemne uprzejmości. Myślała o tym spotkaniu czasami. Cerdan nie jest zbyt wysoki, ale potężnej budowy. Można się domyślać umięśnienia, które kryje garnitur. A przy tej masywnej sylwetce, niespotykana delikatność, przytłumiony głos... Marcel, Marcel.

Córeczka, którą straciła kilkanaście lat temu, także miała na imię Marcelle. Niedawno przeniosła jej małą trumienkę z cmentarza Thiais na Pere Lachaise, do rodzinnego grobowca obok dziadka Gassion.

Koncert z udziałem Clifforda Fischera na widowni odbył się w atmosferze napięcia. Nie do wiary, na widowni jest tysiąc trzysta osób, dlaczego jedna z nich działa paraliżująco? Nazajutrz w południe odbył się pokaz zamknięty z udziałem tylko Piaf i Les Compagnons de la Chanson. Po jego zakończeniu Fischer milczał bardzo długo, precyzyjnie wycierał okulary, wreszcie powiedział:

- Dziękuję wam bardzo. To było naprawdę piękne. W życiu nie słyszałem czegoś podobnego.

Potem jego milczenie trwało znowu wieczność, aż rzekł powoli:

- Obawiam się, że to, co robicie, jest po prostu zbyt piękne dla Amerykanów. I właśnie dlatego nie mogę was na razie zaprosić na Broadway.

Targany wątpliwościami, Fischer zarządził jeszcze jeden przegląd i poprosił o kilka dni do namysłu. Znał rynek amerykański jak mało kto. Jego instynkt wytrawnego menedżera podpowiadał mu, że nie należy działać pochopnie w przygotowaniach do występów Piaf na Broadwayu. To szalenie delikatna materia, ale też nie można rezygnować. Rzec nie do pomyślenia. Rozważał cierpliwie wszystkie za i przeciw, wreszcie podjął decyzję. Kontrakt podpisano. Edith Piaf i Les Compagnons de la Chanson będą występować przez cztery i pół tygodnia w Playhouse Theatre w Nowym Jorku.

Edith cieszy się jak dziecko. Robi ogromne zakupy w luksusowych domach mody. Przymiarki trwają godzinami. Żadna kreacja nie jest zbyt piękna ani zbyt droga.

- Didi - mówią przyjaciele - czy ty naprawdę nie masz co na siebie włożyć? Przecież występowałaś już w Niemczech, Szwecji, Belgii, Szwajcarii i tylu innych krajach!

- No tak, ale to jest inny kontynent, a *ricains* są jak wielkie dzieci. Trzeba im zaimponować. Koniecznie.

Na Gare Saint-Lazare tłumy odprowadzających: przyjaciele, znajomi i zupełnie obcy ludzie. Fotoreporterzy szaleją. Edith i Les Compagnons wsiadają na wózek bagażowy, na którym uwiecznią ich roześmianych, ożywionych przed odjazdem. Pociąg rusza do Havru, skąd popłyną luksusowym parowcem „Queen Mary”. Po wejściu na pokład Piaf mówi z uśmiechem:

- Obiecałam, że pojedziemy do Ameryki? I właśnie płyniemy! Zawsze dotrzymuję słowa.

Radość z podróży okazuje się nieco przedwczesna. Edith jada przy stoliku kapitańskim. Atmosfera zbyt sztywna jak na jej gust, konwersacja nudna. O czym można rozmawiać z jakimiś ludźmi interesu, którzy wyczerpali porcje komplementów pod adresem gwiazdy, po czym nie mają już nic do powiedzenia. Obcy świat. Wolałaby siedzieć ze swoimi chłopcami, ale musi odrabiać pańszczyznę konwenansów. Zaprzyjaźniła się z drugim oficerem, który wydaje się pogodny, miły i przystojny, ale na statku, nawet wielkim, nie można czuć się zbyt swobodnie. Jean-Louis Jaubert, który zyskał sobie przydomek Monsieur Piaf, jest zazdrosny, co czyni go nad wyraz poważnym. Kiedy tylko Edith wpada w nastroj bez troski, on wraca obsesyjnie do tematu:

- Myślisz, że jakoś nam pójdzie? Czy możemy się podobać Amerykanom?

- Mój kochany, nie udzielę ci odpowiedzi na to pytanie. Sam wiesz najlepiej, że nawet nasza, europejska publiczność jest nieprzewidywalna. A co dopiero widownia na obcym, nieznanym nam kontynencie, gdzie gusty są tak bardzo odmienne. Powiem ci uczciwie: staram się o tym wszystkim nie myśleć.

Ale to nieprawda. Gdy pozostaje sama w wykwinnym apartamencie, nerwowo pije jakieś płyny. Chwilami czuje chłód, owija się płaszczem z norek. Chrzękając, sprawdza stan gardła, to taki nawyk zawodowy. Potem nuci, ostatnio najchętniej „Un jeune

homme chantait". Mój Boże, ta piosenka ma już dziesięć lat. To jedna z pierwszych, którą napisał dla niej Raymond Asso. Opowieść tak prosta jak życie. Historia miłosna toczy się dokładnie tak, jak ludzie zwykli opowiadać. Nikt nie potrafi tak pisać tekstów jak Raymond. Nikt, nawet Henri Contet.

Dużo czasu poświęcają na próby. W barze jest pianino. Niektórzy z Les Compagnons cierpią na chorobę morską, ale nie Edith. Podobnie pianista - Robert Chauvigny. Ten ma żelazne zdrowie. Kilka osób siedzi w barze podczas prób. Nowy impresario Piaf, Loulou Barrier, prosi, aby nie bić braw, zapomnieć o tym, że słuchają gwiazdy. Mają wyjątkowe szczęście.

Gdy „Queen Mary” zbliża się do Nowego Jorku, widok drapaczy chmur jest imponujący. Wszyscy milkną z wrażenia. No tak, wybudowali sobie te dziwaczne gmaszyska, ale przecież są takimi samymi ludźmi jak my. Mają ręce, nogi, oczy i uszy. Było ich trochę w Paryżu po wyzwoleniu i bili brawo jak inni.

Pierwszy kontakt z nowym łądem rozczarowuje Edith.

- Ależ mała jest ta Statua Wolności! - wykrzykuje. - Wcale mi się nie podoba, wołę naszą na moście Mirabeau. Jest stokroć piękniejsza.

- Statua jest ogromna - tłumaczy Jean-Louis - ale przytłacza ją otoczenie. Wrażenie co najmniej dziwne.

- Teraz dopiero rozumiem Jeana Cocteau. Pisał do mnie z Nowego Jorku, że jest to miasto na stojąco.

Kiedy jechali do hotelu, zauważyła, że ludzie się potwornie śpieszą. Wszyscy bez wyjątku.

- W porównaniu z tymi pędzącymi jak wariaci *ricains*, Paryżanie chodzą wyłącznie spacerkiem.

W swoim apartamencie ustawia na nocnej szafce obrazek świętej Teresy z Lisieux, kładzie tomik Platona i książeczkę *Angielski bez trudu*, którą zaczęła studiować jeszcze w domu. Angielski śmieszy ją i drażni. Fischer postanowił wcześniej, że na miejscu wynajmie nauczycielkę. Bez znajomości języka trudno się tutaj poruszać.

Pierwsze pytanie podczas konferencji prasowej brzmi:

- Miss Idis... (Oni nawet nie potrafią wymówić Edith, śmieje się artystka). Jest pani po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Kogo chciałaby pani poznać?

- Alberta Einsteina. Dacie mi jego numer telefonu?

Po konferencji Fischer gratuluje pomysłu z Einsteinem.

- Sam bym nie wymyślił nic lepszego.

Nie wie o tym, że Einstein urzekają od dawna, nie tylko jako wybitny uczony. Jeśli człowiek tej miary lubi grać na skrzypcach, musi być niezwykle porządny i wspaniały, orzekła. A teoria względności tchnie pięknem i tajemnicą. Jak nie kochać jej twórcy?

- Jest pani pieśniarką realistyczną, tak to się nazywa u was we Francji. Myśli pani, że ten gatunek spodoba się Amerykanom?

- W moim pojęciu piosenka realistyczna to czarne charaktery w czapkach z daszkiem, uliczne dziewczyny, brudne podwórka i nory zamiast mieszkań. A ja śpiewam historie o miłości, które poruszają i robotnika z Saint Denis, i fryzjerkę z placu Bastylli. Nie uprawiam piosenki realistycznej. Raczej popularną.

- Ale w swoich piosenkach wyraża pani wszystkie nieszczęścia świata.

- Ludzie poszukują w moich piosenkach własnego nieszczęścia, jednak jest w nich także nadzieja. Zawsze kończę moje recitale piosenkami, które zawierają tę nadzieję.

Kilkanaście dni na próby i aklimatyzację. Zwiedzanie nigdy nie interesowało artystki. Nie lubi tłumów, a te nowojorskie przerażają. Patrzy z okna na kamienną pustynię miasta i od pierwszej chwili tęskni za ukochanym Paryżem. Tutejszy świat nie jest jej światem i nigdy nim nie będzie. Wszystko tutaj zbyt ogromne, monstualne, rozległe. Ulice straszą pośpiechem i ogromną ilością samochodów, które w powojennej Europie są jeszcze nieliczne. Piaf woli spędzać czas w swoim apartamencie. Nuci starą piosenkę Vincenta Scotto:

*Mówią wam o Ameryce, ale to wizje rodem z kina  
mówią - co za kraj wspaniały!  
a gdzieś mój młyn przy placu Blanche  
mój kiosk i moje w rogu bistro  
gdzie moi przyjaciele ?*

W okresie prób zastała w swoim hotelu Ambassador bilet z hotelu Waldorf-Astoria treści następującej: „Moja kochana Deditte, witam Cię w Nowym Świecie. Zapraszamy Cię jutro, w niedzielę, na małą garden party w okolicach Nowego Jorku - ja i mój mąż Jacques. Czy przyjmujesz zaproszenie? Nie powiesz mi, że masz już w Ambasadorze swoje plany! Zatelefonuj do nas wieczorem, przed albo po moim występie (śpiewam między 21 a 22). Czekam. Tysiące całusków - Lulute”.

Bilet pochodzi od Lucienne Boyer, gwiazdy francuskiej piosenki, która w roku 1925 stała się sławna dzięki piosence „Parlez-moi d’amour”. Zaprzyjaźniły się z Edith w 1939 roku, podczas wspólnych występów w kasynie w Knocke-le-Zoute. Lucienne Boyer uprawia inny styl piosenki, bardziej salonowy i liryczny. W USA przebywa w towarzystwie swojego męża - Jacquesa Pillsa, którego Edith Piaf poślubi w roku 1952.

Tamtej niedzieli pojechali pod Nowy Jork do restauracji Che/Jean - French Cooking.

- Dzięki za zaproszenie, Lulute, nasze spotkanie podnosi mnie na duchu. Dopiero od kilku dni jestem tutaj, a już wpadam w depresję. Okropna jest ta amerykańska kuchnia. Na widok śniadania, które przynoszą mi do apartamentu, robi mi się niedobrze. Słuchaj, oni tutaj jedzą naprawdę byle co!

- Wiesz, co robię w moim hotelu, tym cholernie luksusowym Waldorf-Astoria? Każdego wieczoru, po występie, gotuję sobie zupę jarzynową, do której wypijamy z Jacques’em butelkę białego wina. Nie muszę dodawać, że francuskiego. To oczyszcza człowieka. A w niedzielę przyjeżdżamy tutaj, do Jeana. Zaledwie pół



godziny jazdy i jesteś w innym świecie. Cisza, nie ma drapaczy Chmur. Trochę znajomych rodaków.

- Dałabym cały Manhattan za dobry befsztyk wołowy. Taki jak u Maxima.

Premiera w Playhouse Theatre nie była może katastrofą, należałoby ją raczej traktować jako kolosalne nieporozumienie. Dla przeciętnego Amerykanina gwiazda music-hallu, która przybywa z Paryża, stolicy French cancana, Moulin Rouge i Lido, to kobieta sexy, strojna w strusie pióra, pajety i futra. Krótko mówiąc, na scenie powinno olśniewać bogactwo i piękno kobiecego ciała. Amerykanin przychodzi na show, żeby się rozzerwać. Wszystkie zmartwienia zostawia w domu, a resztę w szatni music-hallu. A tymczasem na scenie pojawiło się mizerne stworzenie, blade chuchro z włosami w nieładzie, ubrane tak, że pozal się Boże. Po zakończeniu programu w foyer wymieniano wrażenia.

- I co ona miała na sobie, ta paryżanka! Jakąś czarną szmatę, której nie włożyłabym na znajomy pogrzeb. Po co im te wszystkie luksusowe domy mody, Diory, Balmainy, Chanele! Co to za gwiazda, która nie może sobie sprawić porządnej kiecki!

- Święte słowa! A jakie smutne te jej piosenki! Beznadziejne to wszystko. Po co to komu? Zresztą i tak nic nie rozumiałam.

- Podobno śpiewała też coś po naszemu.

- Nie, to chyba było po włosku.

- Być może. Konferansjer opowiadał czasami treść piosenek. Taka historia: ona jest nieszczęśliwa, bo go zabiła i zamknęli ją w więzieniu... Ta cała Piaf, czy jak jej tam, sama wygląda jakby dopiero co wyszła z kryminału.

- I jeszcze takie drogie bilety! Wyrzucone pieniądze. Nie ma to jak jazz. O, Bing Crosby, ten to śpiewa! Albo Frank Sinatra! Nasi artyści to jest coś.

- Dziwny naród te żabojady.

Jedynie „Les trois cloches” śpiewana z Les Compagnons de la

Chanson po angielsku, w której to wersji Jean Nicot nazywa się Jimmy Brown, wzbudziła entuzjazm i gwizdy zachwytu, których przerażona artystka nie rozumie.

Playhouse Theatre jako budynek i sala rozczarował ją od początku. Podobny do innych, licznych kabaretów na Broadwayu. Nazwa Theatre zdecydowanie przesadzona. Budynek jak budynek, na szerokim chodniku barierki. Kilku portierów w liberiach i czapkach otwiera drzwiczki podjeżdżających limuzyn. Zwyczajna fasada z dyskretnym szyldem, delikatnym oświetleniem. To ma być renomowane miejsce artystycznych wydarzeń? Wnętrze typowo amerykańskie: czyste, schludne, porządnie umeblowane. Ogromne okrągłe stoły, otoczone wielkimi fotelami z obiciem welurowym w kolorze granatowym. Klasyczny night club o międzynarodowej renomie. Nie różniący się niczym od innych.

Nocą szlocha w objęciach Jean-Louisa.

- Och, to ty miałaś rację. Wiedziałaś dobrze, co mnie czeka, a ja głupia myślałam, że jesteś zazdrosny i chcesz mi dokuczyć. Jean, ja podejrzewałam, że ci cholerni *ricains* różnią się od nas, ale żeby do tego stopnia! To się w głowie nie mieści. Nawet nie mam do nich żalu, przecież byli grzeczni, klaskali, mimo że nie rozumieli nic z tego, co śpiewałam. Tak mi strasznie wstyd. Na diabła mi ta cała Ameryka!

- Uspokój się, Didi. To nie ma sensu. Pamiętasz, Fischer przewidział to wszystko w Paryżu. To naprawdę inny świat.

- Przynajmniej wy odnieśliście sukces, to już coś. - Otarła łzy -Jutro rozmawiam z Fischerem. Wy zostacie, życzę wam powodzenia. Ja wracam do Europy pierwszym statkiem. Tak postanowiłam,

- To się jeszcze okaże. A co do naszych sukcesów... Zauważ, jaki jest poziom tutejszej publiczności. Najbardziej podobało im się to, co w naszym repertuarze najmniej wartościowe: pastisz „Au clair de la lune”.

- Nie zgadzam się, wręcz przeciwnie. To pozycja, w której pokazujecie całą swoją mistrzowską wszechstronność.

Nazajutrz, wśród idiotycznych, pozbawionych znajomości rzeczy recenzji, pojawia się jedna, obszerna, napisana przez krytyka leatralnego Virgila Thompsona, który nigdy nie zajmował się tematyką music-hallową. Stara się wytłumaczyć czytelnikom, na czym polega fenomen Edith Piaf, która jest zjawiskiem teatralnym w najczystszej postaci. Thompson kończy swój elaborat następująco: „Wszystko jest w niej piosenką - głos, oszczędne gesty, jej ciało i twarz. Jeżeli pozwolimy jej odjechać po niezasłużonej porażce, publiczność nowojorska da tym samym dowód swojej ignorancji i głupoty”.



Przyjaciółki

Czytając te słowa, Edith powraca myślą do pierwszego występu w Nowym Jorku. Nie miała nawet tremy, która zwykle objawia się lekkim drżeniem kolan. Zdarza się to nader rzadko. W Playhouse Theatre jej kolana były spokojne i pewne. W roku 1958 wyzna w wywiadzie dla „Le Parisien”:

„Zaproponowaliśmy koncert taki, jaki we Francji zwykle grywaliliśmy z sukcesem, i uświadomiłam sobie zbyt późno, że to było nieporozumienie. Nie znałam amerykańskich obyczajów. Nie byłam paryżanką, jakiej oczekiwali. Rozczarowały ich moje piosenki, tak odległe od ich gustów. W moim repertuarze brakowało radości, która w Ameryce jest w najwyższej cenie. Les Compagnons de la Chanson wzbudzili entuzjazm tej samej publiczności, która potraktowała mnie z rezerwą, choć gwizdano, co jest przyjętym tam wyrazem zachwytu. Gdyby nie Virgil Thompson, wróciłabym do Europy najbliższym statkiem. Poświęcił mi dużo miejsca na pierwszej stronie jednego z największych dzienników nowojorskich. Dodało mi to odwagi i pozwoliło przeżyć ten nieudany debiut amerykański. Dzisiaj mogę mówić o tym z dystansem, ponieważ od tamtych czasów publiczność USA daje mi nieustannie dowody uznania i sympatii. Wyznaję uczciwie, że ów debiut był dla mnie katastrofą. Po raz pierwszy w życiu zwątpiłam w siebie. Zrozpaczona myślałam jedynie o natychmiastowym powrocie do Paryża”.

Dzięki recenzji Thompsona Clifford Fischer zawarł kontrakt z dyrekcją Versailles, jednego z najbardziej ekskluzywnych kabeletów na Manhattanie. Przekonał ich, że należy dać artystce szansę.

Clifford Fischer odwiedził ją w hotelu uśmiechnięty, z nieodłącznym cygarem.

-Wszystko idzie dobrze. Artykuł Thompsona wart jest miliony. To najwyższy autorytet w dziedzinie teatru. Nie ma mowy o pani wyjeździe. Amerykanie kochają odwagę. Odważni wygry-

wają tutaj zawsze. Pretensję mam tylko i wyłącznie do siebie. Proszę włożyć futro, jedziemy na Manhattan, do Versailles. To najbardziej *chic*, najbardziej snobistyczny kabaret w tym mieście. Że też ja, stary dureń, nie pomyślałem o nim od razu. Musimy to uczcić, Edith.

Wypili bourbona. Edith nie lubi tego trunku, ale trzeba się przystosować, pod tym względem także. Potem pojechali na szczyt Empire State Building. Tam, na górze, Fischer tłumaczył artystce plan batalii.

- Przede wszystkim musi pani być sama na scenie. Mówili mi znajomi dziennikarze, iż pojawienie się pani w otoczeniu dziewięciu facetów sprawia wrażenie, że jest pani chórzystką w zespole. U nas, w Ameryce, kiedy artystka zjawia się na scenie otoczona mężczyznami, musi tańczyć i śpiewać, tak żeby partnerzy stali się dla niej tłem. W waszym układzie z Les Compagnons jest dokładnie odwrotnie. Potem robi się jeszcze gorzej, kiedy oni wychodzą, a pani zostaje sama na scenie. Wygląda to bardziej niż skromnie. Wygląda, proszę mi wybaczyć, nędźnie. Zostawmy The French Boys samych. Rozmawiałem o tym z właścicielem Versailles i udało mi się wytłumaczyć mu, że ludzie muszą przyzwyczać się do pani prostej, czarnej sukienki. Muszą zrozumieć, że paryżanka na scenie to niekoniecznie girlsa z pióropuszem na głowie i trenem przy wydekoltowanej sukni. A gdy już rozumieją, iż ten określony *exteneur* jest celowy dla wyeksponowania wyrazu dramatycznego, będą walczyć o bilety na pani recitale. Powiedziałem mu więcej: jeśli pan nie zarobi na mademoiselle Piaf, zapłacę różnicę.

Fischer oszczędził Edith informacji o wysokiej kaucji, jaką zapłacił właścicielowi Versailles dla uzyskania kontraktu.

Na widok Versailles pomyślała w pierwszej chwili, że Fischer postradał zmysły. Ona w takim wnętrzu? Czy, na litość boską, nie zanoszą się na kolejną kłeskę? Wygląda to wszystko jak dzieło dekoratora z Hollywood do komedii muzycznej w technicolorze. Posągi, drzewa, masa luster oraz ozdobnych drzwi i okien. Stanę-

ła przerażona. Jeśli nie sprawdziła się na scenie o zwykłym wystroju w nieszczęsnym Playhouse, to tutaj, otoczona dekoracją jak ze snu szalonego cukiernika, przypadnie całkowicie.

- Dear Edith, wręcz przeciwnie! To wnętrze jest idealnie francuskie, jest dla pani stworzone! Najważniejsza jest scena, na której będzie pani sama na tle czerwonej kurtyny z weluru.

Nie ma wyjścia. Podpisawszy kontrakt, pozostaje do dyspozycji swojego impresaria. Czuje instynktownie, że Fischer jest życzyliwy i robi wszystko, by ją ratować.

- *Keep smiling!* - powiedział, widząc jej zatroskaną twarz. - Pani ma przepiękny uśmiech. Amerykanie kochają ludzi uśmiechniętych. O tak, proszę mi wierzyć, teraz będzie wszystko w porządku. Amerykanie nie lubią zaskoczeń. Publiczność musi wiedzieć i będzie wiedziała wszystko o Edith Piaf. Jaka jest, i co powinni o niej myśleć.

Tym razem rzecz przygotowano bardzo starannie. W gazetach można przeczytać, że paryski wróbel, czyli Edith Piaf, została odkryta jako uliczna pieśniarka przez żołnierzy amerykańskich wyzwalających stolicę Francji. Na bruku. Poważniejsze pisma porównują artystkę do Sary Bernhardt. Fachowe „Variety” informuje:

„Statua Wolności, La Fayette, Chevalier, Dior, perfumy i Piaf - to doskonały eksport francuski. Jeden rząd odchodzi, następny zajmuje jego miejsce. Ale Charles de Gaulle może zawsze liczyć na tę drobną kobietę w czarnej sukni, która jest częścią Piątej Republiki”.

Wśród zaproszonych na premierę znaleźli się między innymi Marlena Dietrich, Charles Boyer, Lucienne Boyer i Jacques Pills. O nich informował w garderobie sam Fischer.

- Edith, ma pani dzisiaj taką publiczność jak w Paryżu, a nawet jeszcze lepszą. Same VIP-y, przysięgam. Nie ma chyba normalnych widzów.

- VIP-ów pan zaprosił.

- Częściowo, ale w małej liczbie. Cała reszta wprosiła się sama. Teraz będzie tak codziennie.

Została sama w garderobie. To najgorsze chwile dojmującej samotności, konieczne dla pełnej mobilizacji. Czas wlecze się nieznośnie, wydaje się, że stanął w miejscu. O tej porze Jean-Louis rozpoczyna z Les Compagnons show w innym miejscu. To bardzo dobrze. Chce być sama. Czuje się dziwnie. Podobnie jak przed laty, kiedy śpiewała po raz pierwszy w kabarecie Gernys. Różnica niewielka, prawie żadna. Była wtedy biedną, nieznaną nikomu dziewczyną, obdarzoną przez naturę olśniewającym głosem. Tutaj, w dziwacznym wnętrzu udającym Wersal, czuje się jeszcze bardziej obco. Jak rzucona przypadkiem na nieznaną łódź. Hollywoodzkie gwiazdy zapewne urządziły sobie tutaj kolejne rendez-vous. W Ameryce, tak jak w Europie, sławni ludzie lubią spotykać się przy łada snobistycznej okazji, żeby demonstrować nowe kreacje, nowe klejnoty, jak również nowych mężów i żony.

Marlena Dietrich. Widziała ją przed laty w filmie *Błękitny Aniol*. Wspaniała, oryginalna artystka. Śpiewa w sposób niespotykany, niewielkim głosem. Ale to chyba zimna kobieta. Chociaż nie wiadomo, bo po wojnie bywała w Paryżu, zabiegając o powrót w jej ramiona Jeana Gąbin, z którym mieszkała podczas wojny w Beverly Hills. Znany też był jej romans z niemieckim pisarzem, Erichem Marią Remarque. Może lepiej nie myśleć o tym, że Dietrich jest na widowni. Na pewno życzliwy będzie Jacques Pills. Czy on zawsze uśmiecha się tak promiennie?

Trzeci dzwonek wyrwał ją z zamyślenia. Przeżegnała się i wyszła z garderoby. Gdy wkroczyła na scenę w smugi świateł reflektorów, zapomniała o wszystkim. Pozostała sama ze swoim śpiewem.

Długie brawa. Okrzyki: *Vive la France, vive Paris, vive Edith*, obudziły ją z mglistego snu. Ze świateł „Akordeonisty”, skargi biednego Jeana. Włączyła się znowu po ulicach Pigalle. Publicz-

ność wstała z miejsc w niekończącej się owacji. Nawet nie była zdziwiona. Jak przed laty w kabarecie Gernys, tak i tutaj - tym razem bez trudu - podbiła nowy, nieznany świat.

Runęła śmiertelnie zmęczona w garderobianym fotelu. Szczęśliwa, że nie zawiodła swojego menedżera. Po chwili zjawili się wielbiciele. Najserdeczniej gratulowała pozornie zimna, nieprzystępna Marlena Dietrich.

- Edith, czy wolno mi ucałować panią? Czy mogę panią odwiedzić? Jestem zakochana w Paryżu, a pani to cały Paryż. Co za szczęście, że panią poznałam, że mogę z panią porozmawiać.

Po latach Piaf wypowie się w „Le Parisien”:

„Moja wielka przyjaciółka Marlene mówiła zawsze te słowa, których najbardziej potrzebowałam. Dla Francuzów, gdy znaleźli się w USA, była po prostu dobrą wróżką z bajki. Otaczała ich opieką, troszczyła się o nich. Okazywała mi zadziwiające oddanie. Spotykała mnie niespokojną, udręczoną, powaloną zmartwieniami. Chodziła moim tropem, nie pozwalała zostać samej z niedobrymi myślami. Przygotowywała mnie do nowych zmagania. Jeśli wyszłam z nich zwycięsko, to dlatego, że ona tak postanowiła, podczas gdy ja nawet nie marzyłam o tym. Zachowuję dla Marleny ogromną wdzięczność. Ojej niespotykanym talencie, ojej promiennej urodzie nie powiem nic. Wszyscy ją znają od tej strony. To wielka dama kina, obdarzona niezwykłą inteligencją i chyba najbardziej świadoma artystka, jaką spotkałam”.

Paryski „Regard” donosi 22 lutego 1948 roku:

„Publiczność Versailles zaakceptowała Edith Piaf od pierwszej chwili. Dziwne, ale każdego wieczoru dzieje się to samo: wszyscy naraz przestają jeść, zamawiać napoje, przestają nawet rozmawiać, gdy zaczyna swój recital.

Piaf zmodyfikowała nieco repertuar, ponieważ amerykańska



publiczność nie jest zbyt łaśna na dramaty w piosence. Ogromnie podoba się »La vie en rose«, która w przekładzie angielskim nazywa się »You too dangerous, chérie«. Piosenka ta została zakupiona do filmu. Na jeden z występów przybył do Versailles wielki amant Hollywoodu - Gregory Peck. Niebawem Edith Piaf powraca do Paryża, aby zagrać w filmie. Pod koniec roku jest oczekiwana ponownie w Nowym Jorku, kontrakty już podpisano”.

Wkrótce Marlena Dietrich włączy do swoich recitali „La vie en rose”. Tytuł stanie się też niebawem nazwą jednego z kabaretów na Broadwayu, w którym śpiewać będzie przyszły mąż Piaf, Jacques Pills. Na razie zachowuje się jak sympatyczny kolega. Nikt nie przypuszcza, że za kilka lat Marlena będzie świadkiem na ich ślubie. Piją razem szampana, żeby uczcić amerykański triumf Edith.

Po kłęsce w Playhouse Theatre sukces był artystce niesłychanie potrzebny. Zaznała już w życiu niepowodzeń, ale takie Waterloo to zbyt druzgocąca kłęska. Kontrakt w Versailles początkowo przewidywał krótkie terminy. Ostatecznie jednak Piaf śpiewa tam przez dwadzieścia jeden tygodni. Les Compagnons de la Chanson kończą kontrakt w Playhouse i udają się na tournée po Stanach. Rozstanie z Jean-Louisem jest łagodne, bezbolesne dla obu stron. Może ich uczucie nie było tak potężne, by musiało kończyć się dramatycznie.

Edith nie znosi życia w hotelu. Wynajmuje mieszkanie przy Park Avenue. Nie może narzekać na brak przyjaciół i znajomych. W Versailles każdego wieczoru pojawia się trochę Francuzów, przyjezdnych lub stale mieszkających w Ameryce. Przyjeżdża serdeczny przyjaciel, twórca „Akordeonisty”, Michel Emer.

- Kochany! Kiedy widzę twoją twarz mądrej sowy w okularach, robi mi się cieplej w sercu. Jak to dobrze, że jesteś! Co cię przywiodło do Nowego Jorku?

- Ta muzyka, której nie lubisz, i przyjaciele od jazzu.

- Okey. Nie znoszę tego słowa, ale ci cholerni *ricains* powtarzają je bez opamiętania, więc i ja zaczęłam mówić w kółko - okey, okey.

-Jak ci się tu żyje, Didi?

- Teraz znośnie, ale początki były trudne. Podobnej szkoły w życiu nie dostałam, nawet na ulicach Paryża. Tam podobałam się zawsze.

-Był jeden wyjątek, nie pamiętasz? Twój patron z mleczarni. Wolał głos Lucienne Boyer.

- Bóg z nim. Od pewnego czasu jest całkiem dobrze. Rozstaliśmy się z Jean-Louisem. Jestem sama.

- Ty sama? To coś zupełnie nowego. Wprost niewiarygodne. Nie podobają ci się Amerykanie?

- Nie, to nie tak. Nawet ich polubiłam. Są mili, życzliwi, ale ja-koś inaczej podchodzą do wszystkiego. Wiesz, chodził za mną taki jeden, bardzo znany artysta filmowy, mniejsza o nazwisko. Codziennie siedział przy stoliku w Versailles. Każdego wieczoru dostawałam ogromne bukiety róż, czerwonych róż. Te cholerne róże, których tak nie lubię. Kelnerzy liczyli nawet za każdym razem, ile wydał na nie.

- Róże to kosztowne kwiaty, a to się tutaj liczy.

- Wiem, ale zdania i tak nie zmienię. Róże to kwiaty dla słodkich blondynek. No i tak ten facet chodził i chodził, piękny zresztą mężczyzna, ale nie mój typ. Wreszcie wypadało zaprosić go na drinka. Wiózł mnie tą swoją limuzyną wielką jak autobus, posadziłam go w living-roomie i poszłam coś przygotować w kuchni. Po chwili wracam, nie ma go. Czekam, byłam pewna, że jest w łazience. Zaczynam się niepokoić. Chodzę po tym mieszkaniu wielkim jak stodoła i nic. Pomyślałam nawet, że może po prostu poszedł sobie. Tutaj wszystko jest możliwe. Idę do sypialni, a ten cholerny amant najbezzwłoczniej w świecie leży goły w pościeli. Garnitur ułożył porządnie na krześle. Znasz mnie, Michel. Nie jestem ani święta, ani zakłamana, ale miałam ochotę zabić faceta, albo

przynajmniej wygnać nagiego na ulicę. Teraz, kiedy ci to opowiadam, śmiesz mi sprawa, ale wtedy byłam naprawdę wściekła. Nazajutrz przysłał kwiaty.

- Czerwone róże.

- A jakże. Ogólnie rzecz biorąc, czuję się samotna. Ile można czytać Platona? Wiele nie wyjaśnia w tych sprawach, które mnie nękają. Angielski znam na tyle, że nie muszę brać lekcji, zresztą miss Davidson z Uniwersytetu Columbia to poczciwa niewiasta, ale nudna straszliwie. Wolę siedzieć sama. Napisz mi jakąś piosenką, to będzie świetna okazja, żeby trochę więcej popracować.

- Didi, dla ciebie mógłbym pisać ranki i wieczory, ale muszę wtedy być blisko ciebie, patrzeć na ciebie, słuchać twojego głosu. Na odległość nic z tego nie wychodzi. Próbowałem.

Nazajutrz przyniósł „Bal na mojej ulicy”.

- To bardzo dobre, Michel. Nawet piękne, i takie bardzo moje, ale teraz czuję potrzebę czegoś innego. Musi to być rzecz bezmiernie smutna, bardzo, bardzo smutna. Taka historia o facecie, który na końcu piosenki umiera.

Tak powstał utwór „Monsieur Lenoble”. Porzucony przez ukochaną kobietę, opuszcza ten świat, odkręcając gaz, i myśli, pograżając się w nicość: za chwilę będzie po wszystkim. Ale i tak ją kocham. I nigdy nie przestanę kochać. Nawet po śmierci.

Czyta uważnie tekst, a Michel gra na fortepianie melodię.

- Michel, mój kochany! Ty jesteś tak dobroduszny, że nawet śmierć pana Lenoble nie jest tragiczna. Wszystko odbywa się łagodnie, lirycznie, ale to nadzwyczaj piękne. Bierzemy się do roboty.

Uczy się nader szybko, praca nie zajmuje jej wiele czasu. Wieczorem śpiewa „Monsieur Lenoble’a” w Versailles.

Wieczory wypełnia sukces, potem trochę gości w domu, ale nie zawsze. I znowu straszliwa pustka bezsennych nocy. Nocy trwających wieczność.

Wszyscy interesują się artystką, gwiazdą, ale Piaf-kobieta jest

samotna jak nigdy. Marlena Dietrich, wierna przyjaciółka, wyjechała na tournée, lecz i ona też niewiele by pomogła. Edith Piaf śpiewa wspaniale, piękniej niż kiedykolwiek. Może również dlatego, że w tym śpiewie wykrzykuje swoją rozpacz samotności, prawdziwiej niż kiedykolwiek.

Amerykanie nigdy nie zrozumieją do końca Piaf i jej sztuki. Jest dla nich odległa zarówno w swoim jestestwie, jak i sztuce, bo te sprawy są nierozłączne. Stanowi przypadek egzotyczny. O takich istotach Amerykanin nie wie nic, nie podejrzewa nawet, że mogą istnieć. Jej sztuka jest dla przeciętnego Amerykanina oddalona niczym najbardziej od ziemi dalekie galaktyki. Do publiczności dociera zaledwie znikoma część potężnych treści jej śpiewu. Widownia amerykańska odbiera Piaf tak jak zapowiedzi dziewiętnastowiecznych konferansjerów cyrkowych:

-A teraz zobaczycie państwo to, co zobaczycie. I usłyszycie!

Wkrótce poznaje krytyka teatralnego Virgila Thompsona, który uratował jej kontrakt. Z wykształcenia jest kompozytorem. Różni się pod każdym względem od wszystkich poznanych tu Amerykanów. Wiadomo teraz dlaczego. Ten elegancki pięćdziesięcioletni mężczyzna ma na swoim koncie symfonie, nawet opery. Kocha Francję, przebywał w Paryżu przez wiele lat. Był uczniem sławnej Nadii Boulanger w paryskim konserwatorium, a także prywatnie w jej domu. Bardzo poważny pan, autorytet w dziedzinie teatru i muzyki. Od 1940 roku ma swoją stałą rubrykę w „New York Herald Tribune”, w której ocenia i przybliża czytelnikom wydarzenia muzyki klasycznej i współczesnej. Był na feralnym koncercie Edith Piaf w Playhouse Theatre, bo znalazł jej nazwisko z prasy francuskiej, a interesuje go wszystko z dziedziny śpiewu.

- Mademoiselle Piaf, to, co opublikowała „New York Herald Tribune”, to znikoma część mojego eseju o pani. Mam dla pani maszynopis całości. Nadaje się raczej dla poważnego pisma muzycznego, a nie dla dziennika mającego określone wymagania.

Po powrocie do hotelu chłonęła tekst Thompsona:

„Piosenka francuska jest sztuką o bogatych tradycjach, porównywalnych z europejską pieśnią (Lied) romantyczną. Piosenka francuska posiada wspaniałą historię i obszerny repertuar. We Francji autorzy piosenek są tak sławni, że ich nazwiska noszą ulice w Paryżu i nie tylko. Wykonawcy tych piosenek są artystami uznanymi i szanowanymi na równi z aktorami teatrów i przybytków bardziej rozrywkowych, jak music-halle czy café-concerts, istniejących od XIX wieku. Piosenkę francuską można zaliczyć do sztuki popularnej, albo nawet, w pewnym sensie, proletariackiej. Muzyka zwana klasyczną wyraża idee i gusty klas uprzywilejowanych. Piosenka opisuje życie i obyczaje klas niższych. Nie dotyczy tematyki wiejskiej, która należy do dziedziny folkloru. Piosenka francuska jest czystym wytworem proletariatu miejskiego.

Edith Piaf zaliczam jednak do sztuki klasycznej, ponieważ stanowi ona jej kwintesencję. Jej sztuka wokalna posiada styl i siłę. Dykcja jest wzorcowa i klarowna, interpretacja i gesty ascetyczne i proste. Podobnie jak czarna sukienka i skromnie ułożone włosy. Jej stopy nie odrywają się od sceny. Jest nieruchoma, z wyjątkiem ramion i dłoni. Zaskakuje oszczędnością gestów, które czasami rysują w powietrzu abstrakcyjne motywy, nie posiadające żadnej funkcji opisowej. Ciało wolne od jakiegokolwiek nerwowości, całkowicie rozluźnione. Daleka od spontaniczności, skoncentrowana w sposób hieratyczny. Posiada bajeczną siłę dramatyczną. Jej technika należy do rzadkiego gatunku wielkich tragiczek: minimum środków, którymi z ogromną siłą przekazuje nam historie zawarte w piosenkach. Taki sposób koncentracji pozwala jej wykonywać swoją profesję ze skromnością i prostotą, która porywa. Krótka - jeśli Edith Piaf jest, z punktu widzenia artystycznego, zbyt potężnym kawalkiem do przełknięcia przez przeciętną publiczność amerykańską. Mam nadzieję, że mimo to pokochamy ją i będziemy oklaskiwać tak, jak na to zasługuje. (...)

Marlena Dietrich zalicza się do nielicznych, którzy rozumieją i doceniają sztukę Piaf, ale i sama Dietrich należy do kręgu kultury europejskiej. Rozumie jak nikt Piaf-kobietę. Stara się w miarę możliwości poświęcać jej swój czas. Darzy ją prawdziwą przyjaźnią, odwzajemnioną szczerze przez. Kdith”.

Wspomnienia Marleny Dietrich *Ich bin, Goll sie Dank, Berlinerin* rzucają nieco inne światło na ten przyjacielski związek. Oto co pisze aktorka w rozdziale „Moja przyjaciółka Piaf”:

„Przeglądałam się przerażona, jak rabunkowo gospodaruje swoimi siłami, jak miewa równocześnie trzech kochanków, a mnie chwilami traktuje niczym kuzynkę ze wsi. Nie zwracała na nic uwagi, zajęta zawsze i wiecznie swoim życiem uczuciowym, swoją pracą, religią i całą masą różnych innych spraw, swoją namiętnością do świata w ogóle, a określonych mężczyzn w szczególności.

Była rzeczywiście wróblem, małym ptaszkiem, którego imię przybrała, ale byki także Jezebel, której nienasycone pragnienie miłości sprawiało wrażenie niedoskonałości tych uczuć. Drobne, smukłe ciało walecznej uwodzicielki, niczym syreny albo Lorelei, służyło jej z zadziwiającą energią, której pozazdrościłby niejeden atleta. Przyprawiała mnie o zawroty głowy swoimi amantami, których często musiałam ukrywać w różnych kątach, gdy zjawiali się niespodziewanie kolejni. Robiłam to, czego ocle mnie żądała. Nie rozumiejąc jej potwornej potrzeby miłości, oddawałam liczne przysługi. Lubiła mnie, może nawet kochała. Wydaje mi się, że prawdziwie umiała kochać jedynie mężczyzn. Przyjaźń była dla niej uczuciem niesprecyzowanym, niepewnym, które tylko mgliście i chwilami dochodziło do jej świadomości, albo muskało serce, Nie miała nigdy czasu, aby się poświęcić przyjaźni. I słusznie, bo siły jej nie były niewyczerpane. Pomagałam jej czasami w garderobie podczas występów w night-clubie Versailles. (...) Traktowałam Edith Piaf jak córkę marnotrawną, której zawsze trzeba współczuć, a nawet opłakiwać. Ma na zawsze miejsce w moim sercu”.

Biografowie Edith Piaf usiłują się doszukać pokrewieństwa duchowego między dwiema artystkami. Rzecz w tym, że dokonują paraleli między Lolą, postacią, którą stworzyła Dietrich w *Błękitnym Aniele*, szansonistką z taniej tancbudy, a niegdysiejszą uliczną pieśniarką - Edith. Zapomnieli o tym, że wprawdzie Piaf miała przodków, solidnych cyrkowców, ale w sumie jej rodzice nie należeli do elit nawet w tych kręgach. Wychowała ją ulica, podczas gdy Marlena Dietrich urodziła się w statecznej, mieszczańskiej rodzinie. Jej ojciec był wysokiej rangi oficerem policji i nie dożył nawet początków kariery artystycznej pięknej córki. Nie wiadomo, czy by się tym szczycił.

# 8

W ponurym okresie między klęską w Playhouse a występami w Versailles Edith przebywa głównie w domu. Uczy się słówek, czyta. Ulubione robótki na drutach na razie nieaktualne, bo bawi ją jedynie robienie swetrów dla ukochanych mężczyzn. Religijność artystki ma specyficzne korzenie i wywodzi się bezpośrednio z czasów pobytu w domu babci Gassion, w którym nikt nie chodził w niedzielę do kościoła, ale dziewczynce wystarczyła jedna pielgrzymka do Lisieux, by uwierzyć, że odzyskała wzrok dzięki tamtejszej świętej Teresie. Zapamiętała bardzo dokładnie ów letni dzień, kiedy wczesnym rankiem przez miasteczko kroczył dostojnie mały pochód. Madame Gassion podjęła bowiem ważką decyzję: zamknęła dom, na straży którego pozostał ogrodnik, a wszyscy - Madame, panienki, kucharka, pokojowe oraz kobiety zajmujące się gospodarstwem, udają się do Lisieux, aby prosić świętą Teresę o uzdrowienie oczu małej Didi. Dumnie kroczyła u boku babci. Cała ta pielgrzymka odbywa się na jej intencję. Czuje się tego dnia najważniejszą osobą. Madame uroczyście oznajmiła panienkom, że jeśli pielgrzymka przyniesie rezultaty, święta Teresa otrzyma dziesięć tysięcy franków.

- Ostatecznie to kupa forsy - dodała podczas porannego przejazdu. - Nasza święta powinna się dobrze zastanowić.

Przegląd dotyczył strojów, które w tym uroczystym dniu abso-



lutnie nie powinny się kojarzyć z profesją panienek. Madame ufa im, woli jednak sprawdzić wszystko osobiście.

- Rose, chyba przesadziłaś z tym czerwonym kapeluszem. Mówiłam przecież, macie wyglądać jak zwykle *bourgeoises*. Żadnych jaskrawości. Nanette, czy ty masz dobrze w głowie? Różowe prunelki!

- Mam czarne, Madame, ale na bardzo wysokim obcasie.

- Tyle u mnie zarabiasz, że możesz sobie na tę okazję kupić zwyczajne półbuciki. Przydadzą ci się, kiedy pojedziesz na wakacje do rodziny w Lille.

- Madame, rodzina i tak wie, czym się zajmuję, nawet sąsiedzi wiedzą. Dla nich jestem wielką panią, bo mam pieniądze.

-To już twoja sprawa. I żadnego różu na policzkach! Na pielgrzymce macie wyglądać jak zakonnice.

Panny zachichotały.

- Przestańcie rechotać, to poważna sprawa. Chyba chcecie, żeby nasza Didi znowu widziała, jak wygląda świat Boży. Nie wolno nam niczego zaniedbać.

Miasteczko obserwowało pielgrzymkę dyskretnie acz życzliwie. Rzadko zdarzało się oglądać mieszkanki *maison* w świetle dnia.

Cały dzień spędziły w kościele w Lisieux wpatrzona w obraz świętej. Modliły się gorąco i żarliwie, nie wiedząc już, czy modlą się za Didi, czy bardziej za siebie i własne grzechy. Pod wieczór opuściły świątynię. Czuli się jak najczystsze lilie. Niektóre ukradkiem wycierały splakane oczy. Były lepsze, szlachetniejsze. Uduchowanie tak uroczystego dnia sprawiło, że patrzyły na ludzi i świat inaczej. Mniej rozmawiały, a rozmowy były poważne, inne niż dotychczas. Niejedna przyrzekała sobie w duchu, że jeszcze rok, najwyżej dwa spędzi w *maison*, a potem wyjedzie, zapomni o wszystkim i zacznie normalne, uczciwe życie bez skazy u boku jakiegoś młodego, pięknego, a może nawet bogatego męża.

Gdy przekroczyły próg *maison*, powaga zamieniła się w zwyczajną wesołość młodych kobiet, a rozmowy w szczebiot. Dzień zakończył

czył się uroczystą kolacją z szampanem. Madame uznała bowiem, że po tak nabożnym dniu nie wypada przyjmować klientów.

- Skoro przez cały dzień modliłyśmy się o cud, wstyd byłoby, a nawet grzech myśleć wieczorem o interesach.

Wznosząc kolejny toast, Madame z całym przekonaniem stwierdziła, że cud musi nastąpić, inaczej gotowa pomyśleć, że święta Teresa jest głucha jak pień, skoro nie usłyszała tak gorących, szczerych modłów.

Upłynął jakiś czas i w dniu świętego Ludwika, patrona ojca i babci Gassion, Didi odzyskała wzrok. Święta załatwiła sprawę zgodnie z umową i dostała obiecane dziesięć tysięcy franków, a była to w tamtych czasach kwota niebagatelna. Kiedy Didi skończyła siedem lat, mogła iść do szkoły jak wszystkie inne dzieci. Trudno powiedzieć, czy katarakta cofnęła się pod wpływem intensywnej kuracji u miejscowego lekarza, czy też dokonał tego cud. Edith pozostanie zdecydowaną zwolenniczką drugiej wersji.

W życiu naszej bohaterki działa tajemnicze fatum, które sprawia, że nie może ona pozostawać długo w stanie spokoju, a co dopiero szczęścia. Po roku szkoły, która sprawiła jej wiele radości, bo uczyła się dobrze i lubiła towarzystwo rówieśników, przyjechał do Bernay na krótki odpoczynek Louis Gassion. Jak grom z jasnego nieba spadła na szczęśliwego ojca decyzja księdza proboszcza: dziewczynka nie może dłużej przebywać w Bernay. To obraza Boska. Póki była niewidoma, to co innego, ale teraz...

Mieszkańcy miasteczka nie posiadali się z oburzenia. Przecież każdy wie, że Gassion pracuje jako wędrowny akrobata. Na co będzie narażona dziewczynka w takich warunkach? Czy proboszcz pomyślał o tym? Mała powinna pozostać pod opieką kobiety. Co z niej wyrośnie, jeśli będzie się włóczyć z ojcem? Strach pomyśleć.

Decyzja księdza była wyrokiem. Ośmioletnia Edith rozpoczęła nowy, uliczny etap edukacji przyszłej gwiazdy.

I choć doskonale pamiętała rolę proboszcza, który zdecydował o jej losie, od tamtej pory widzi w różnych sytuacjach rękę

Boską, a w każdym razie swojej osobistej świętej, z którą dzięki obrazkowi na nocnej szafce czuje się zaprzyjaźniona. Nie przystąpiła w odpowiednim czasie do pierwszej komunii, co chwilami odczuwa jako pewien rodzaj niesprawiedliwości losu, ale przecież ojciec nie miał czasu pomyśleć o takiej ceremonii, wymagającej w dodatku nakładów pieniężnych. Brak stałej szkoły sprawił, że nie zauważała szczególnie braku jakichś obrządków.

Udręczona samotnością, ulega urokom aktora Johna Gardfielda, który nie tylko cieszy się popularnością i odnosi kolejne sukcesy filmowe, ale imponuje Edith swoją podejrzaną przeszłością, brzmiącą w jego opowieściach jak brukowy romans. Przypomina to jej własne życie, dzieciństwo ponure i smutne. Może dlatego Jo jest taki męski i silny? Jest także zakochany, jak ona, ale co z tego: żonaty, dwoje dzieci. W Ameryce w tych czasach niechętnie się rozwodzą. Nie jest to dobrze widziane. Mogą spotykać się jedynie potajemnie, co przez jakiś czas jej wystarcza. Opowiada przyjaciółom, jaki Jo jest nadzwyczajny, taki delikatny, dobrze ułożony. Chodzi do kinoteki, by obejrzeć wszystkie filmy, w których grał.

Opowiedział jej całe swoje dzieciństwo. Był synem żydowskiego krawca, ale interesy szły marnie i chłopiec poznał nędzę i głód. By uchronić go od złych wpływów ulicy, ojciec oddał Johna do domu dziecka, w którym wychowawca zwrócił uwagę na jego zdolności aktorskie. Okazał się wybitny w rolach gangsterów i morderców.

Idylla z Gardfieldem nie trwała zbyt długo, gdyż pojawił się Marcel Cerdan. Też zajęty, ale jego żona przebywa daleko, za oceanem.

Odebrała wieczorem telefon.

- Dobry wieczór, mademoiselle Piaf. Mówi Marcel.

-Jaki Marcel?

- Cerdan, bokser. Nie wiem, czy pani przypomina sobie...

- Naturalnie, jak miło! Wiedziałam z radia, że jest pan w Nowym Jorku. Nie spodziewałam się jednak...

- Czy nie jest zbyt późno, żeby panią zaprosić na kolację?

- Spędzam bezsenne noce. Żadna pora nie jest późna.

- Cieszę się. Oczekuję panią na dole za pół godziny.

Po szybkim prysznicu zagląda do szafy. Po co kupiła tyle sukienek? Prawie żadnej nie nosi. A dzisiaj i tak nie ma co na siebie włożyć. Ta zbyt wieczorowa, tamta zbyt skromna. Wreszcie coś znalazła. Suknia od Balmaina, w kolorze grafitu, o matowym połysku. Strój z gatunku bardzo kosztownych, wykwintny i skromny. I oczywiście norki. Nie. Dość ma norek. Dzisiaj włoży astrachańskie karakuly. Wiszą po klęsce w Playhouse w smutnym zapomnieniu.

Na makijaż poświęciła tyle czasu, że omal się nie spóźniła na spotkanie. Oblała się perfumami do przesady. „Pachnę jak cała drogeria”.

W windzie sprawdziła z zadowoleniem stan urody. „Chyba na scenę nie maluję się aż tak starannie”. Co to znaczy? Oczywiście błyszczą jak w gorączce. Cerdan czeka na dole. Jaki elegancki w jasnym płaszczu burberry. Bokserzy tak się stroją? Ruszył pośpiesznie. Ledwo nadąza za tym kolosem. Weszli do drugostoru w bocznej ulicy. Zamówił dwie suszone wołowiny, popili małym piwem.

- Rozrzutny to pan nie jest - rzuciła w drzwiach z czarującym uśmiechem.

- Edith, proszę mi wybaczyć. Jestem zwyczajnym bokserem. Nie znam obyczajów wielkiego świata. Zawsze tutaj jadam, bo szybko. Muszę dbać o wagę. Nie pomyślałem...

Wsiadli do taksówki.

- Restauracja Gourmet.

Wieczór z Marcelem w luksusowym lokalu z francuską kuchnią był bardzo miły, ale nic więcej. Chyba spodziewała się zbyt wiele. Bokser okazał się sympatyczny, prostolinijny, łagodny. Jego oczy rozjaśniały się, gdy opowiadał o żonie i dzieciach.

-Jak się pan czuje w Nowym Jorku?

-Jest ogromny, wysoki i chłodny. Brak mi Casablanki, dzieci, ale od dawna myślałem, by tutaj przyjechać. Boksuję od dziesięciu lat. A od końca wojny myślę tylko o tym, żeby zostać mistrzem świata. To moje marzenie. Potem skończę z boksem. Żeby Francuz mógł zrealizować takie marzenie, musi stać się znanym tutaj, publiczności amerykańskiej. Stany Zjednoczone to imperium boksu. Sportu, ale także biznesu. Tytuł, pieniądze, to wymaga dłuższego czasu. Muszę wygrać parę walk, to wszystko bardzo skomplikowane, bo na każdym meczu organizator musi zarobić.

- Widzę, że to się niczym nie różni od przygotowywania koncertów. Wiem coś o tym, niestety. We Francji to wygląda trochę inaczej.

- Musimy wracać, Edith. Jutro odlatuję wcześniej rano. Niebawem wracam na dłużej. Będę o pani myślał.

Śpiewała od kilkunastu dni w Versailles, kiedy po zejściu ze sceny ktoś zapukał do drzwi garderoby.

- Edith, bez ciebie Paryż nie jest Paryżem.

- Marcel! Wróciłeś.

Zamknął ją delikatnie w ramionach. Trwali w łagodnym uścisku i było tak, jakby świat zatrzymał swój bieg.

- Marcel, całe moje życie było oczekiwaniem ciebie.

- Moje też. Kocham cię.

Życie staje się snem. Budzi się w jego ramionach i nie może uwierzyć w to ogromne, nieprawdopodobne szczęście.

- Marcel, jak to możliwe, żeby bokser był istotą tak delikatną? Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego właśnie ty, dobroć i łagodność wcielona, zajmujesz się tak brutalnym sportem?

- Od dziecka marzyłem o piłce nożnej. Na podwórkach Casablanki kopalem szmaciane piłki razem z biednymi jak ja rówieśnikami. Moi trzej bracia też kopali, ale ja byłem najlepszy. Ojciec uwielbiał boks, jako najstarszy syn musiałem spełnić jego wolę.

Natura dała mi silne pięści i udało mi się wydobyć rodzinę z biedy. Nie lubię boksu, mówię ci to szczerze, ale kiedy wchodzę na ring, staję się chyba kimś innym. Myślę wtedy tylko o jednym: mam przed sobą przeciwnika i muszę go pokonać. Pomyśl, Didi! Przecież to straszne. Ty masz piękny zawód. Dajesz ludziom swój wspaniały, niepowtarzalny śpiew. Zazdroszczę ci.

- Nie mów tak, Marcel.

Chodzę przecież na twoje turnieje i widzę olbrzymie hale wypełnione niezliczonym tłumem. Ludzie kochają boks, w nim jest inne piękno niż piosence. Ale jest, na pewno. Czuję to, kiedy patrzę na twoje walki, choć tak bardzo się denerwuję. Kiedy przeciwnik uderza ciebie, to jakby uderzał mnie. Wprost czuję twój ból.

Pewnego dnia uśmiechnęła się tajemniczo.

- Przyznam ci się do czegoś. Bardzo mi się podobałeś od samego początku, jeszcze w Paryżu, w Klubie Pięciu.

- Nie mów, chyba bym zauważył.

-Jestem bardzo nieśmiała.

-Ja też.

- I chyba nie bardzo sobie zdawałam sprawę, że mi się podobasz. Kiedy zaprosiłeś mnie wtedy, w Nowym Jorku, do drugostoi u na kolację, przestraszyłam się, że jesteś skąpy. Nie znoszę skąpstwa. Czy zauważyłeś, że kto zanadto liczy się z groszem, nie potrafi być hojny w uczuciach? To moja osobista teoria.

Oboje są sławni, ale jego sława ma większy zasięg. Poznają go



Marcel Cerdan

nawet dzieci. W miejscach publicznych zachowuje się poważnie, z godnością. Nigdy nie odmawia podpisania autografu.

- Didi, tak nie można - skarcił ją, gdy zniecierpliwiona odmówiła autografu przy wyjściu z Versailles. - Popularność zawdzięczasz ludziom, nie zapominaj o tym. Oni cię też stworzyli, nie należysz tylko do siebie. Jesteś własnością wszystkich. To cena sławy, pamiętaj o tym.

Piaf nie byłaby sobą, gdyby nie rozpoczęła literackiej edukacji ukochanego. Marcel lubi komiksy, ona podsuwa mu poważną literaturę. Zaczęła od André Gide'a. Przybyły z wizytą Michel Emer zastał boksera nad tomem *Lochów Watykanu*.

- Michel, czy ten Gide to przypadkiem nie pedał?

Menedżer Cerdana, Lucien Roup, nie jest zachwycony romansem mistrza. Nigdy przedtem nie miał przygód. Sprawa wygląda poważnie, bardzo poważnie. Bokser wymyka się spod kontroli, zdarza mu się zaniedbywać treningi. Trudno się dziwić. Edith i Marcel przeżywają niebiańskie uniesienia. Ich miłość to życie na różowo, jak w piosence. Rzeczywistość przerasta nawet poezję, ale nie można uniknąć cieni w tej sielance. Marcel ma rodzinę, o którą dba pieczołowicie. Zbyt dobrze pamięta własne, spędzone w niedostatku dzieciństwo. Postanowił swoje dzieci uchronić od podobnego losu.

Edith widzi sprawy na swój sposób.

- Odkąd Marcel pokochał mnie, nic więcej się dla niego nie liczy. Jest mi wierny. Marinette urodziła mu synów, to święte. Ale ja jestem jego przeznaczeniem.

Nigdy nie była do tego stopnia szczęśliwa. Nie pracuje zbyt wiele, nie nagrywa płyt. Musiała się tu uczyć angielskich wersji niektórych piosenek, opanowała je bez trudu, co jednak bardzo zmienia postać rzeczy. Mówi do akordeonisty Bonela:

- Marc, stań trochę dalej, okropnie mnie dekoncentrujesz. Muszę się teraz pilnować, przynajmniej na początku. Jest satysfakcja, bo ludzie zachwycają się tymi interpretacjami, są doskonałe przyjmowane. Ale jeśli chodzi o inne piosenki, tę większość...

niech się Amerykanie uczą francuskiego! Dwie pozycje w ich języku, to wystarczy.

Impresario Lou Barrier stara się jak może, by nie wszystko docierało do jego gwiazdy. Zdarzyła się w jakiejś gazecie „recenzja”, w której ktoś opisał, że Piaf to mała kobieta o dużej głowie, z powiekami wysmarowanymi czarnym tuszem, o ustach zdolnych do wypicia jednym haustem szklanki soku pomidorowego. Reszta nie interesowała żurnalisty.

- Edith - tłumaczy cierpliwie Lou - ludzie nie mają pełnej satysfakcji. Staraj się ich zrozumieć. Oni wiedzą, że to, co robisz, jest bardzo dobre, ale nie rozumieją nic: ani słów, ani fabuły, ani stylu. To jest dla nich obce. Znąją jedynie rytm. Dlatego tutaj wymyślono jazz, a u nas w Europie - muzykę klasyczną. W Stanach nie znajdziesz jednego wokalisty, który by nie przytupywał podczas śpiewania. Amerykanie są jak dzieci przed obrazem Picassa, gdzie tłumaczą im, że to dzieło sztuki. I oni chcą wierzyć, ale nie rozumieją. Dla nich jesteś takim obrazem Picassa. Nie martw się jednak, poza tym są jak wszyscy: kiedy rozumieją, pokochają. U nas we Francji o piosence stanowi tekst, jego dramaturgia. Ale każdy go rozumie. A to, co ty robisz, co śpiewasz, to niemal opera. Problem w tym, że nie śpiewasz w operze, ale w music-hallu. Dla Amerykanów piosenka francuska to Maurice Chevalier w swoim słomkowym kapeluszu, amant salonowy. To Mistinguett piszcząca, ale ze strusimi piórami. Lucienne Boyer, solidna dama o łagodnym głosie. Dla Amerykanina piosenka powinna być wzruszająca, a jeszcze lepiej, jeśli śmiesz. Ty natomiast ich poruszasz i niepokoisz, może nawet przerażasz. Tak, tak, trzeba myśleć ich kategoriami. Powoli oswoją się z tobą, z twoim sposobem śpiewania. Publiczność amerykańska, jak każda inna, pragnie być uwiedziona. Nauczysz się teraz więcej tekstów angielskich. Trzeba uczynić jeden krok więcej.

- Chodź, Loulou, niech cię ucałuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła!



Master of ceremonies anonsuje:

- And now from Paris, the great lady of the French song, the whole music in a single name: miss Idiss Piaf (wymówione: PAIF).

Za każdym razem tak dokonując masakry na jej imieniu i nazwisku, master of ceremonies wychodzi przed kolejną piosenką, żeby opowiedzieć ją w skrócie, co niewiele daje, ale skutecznie przerywa sceniczny rytm recitalu. Oto zapowiedź „Akordeonisty”

- To historia dziewczyny ulicznej. Kiedy kończy swoją pracę, idzie potańczyć do knajpki, gdzie na akordeonie gra jej ukochany. Ale on poszedł na wojnę. Pewnego wieczoru dziewczyna dowiaduje się, że jej akordeonista już nie wróci.

Nawet najbardziej uważna widownia nie zawsze rozumie, dlaczego Piaf nagle krzyczy: *arrêtez!* Zatrzymajcie muzykę! A potem master powtarza znowu rytualnie: *And now from Paris, the great lady of the french song, the xvirole music in a single name, miss Idiss Piaf* czyli *paif..*

Najważniejsze piosenki śpiewa w oryginale. Publiczność siłą rzeczy słucha mniej uważnie. Słysząc brzęk szklanek, które się napełnia, wypija, znowu napełnia. Oklaski są w takich sytuacjach zawsze słabsze niż w sali widowiskowej. Ale Edith walczy z całym zapalem. Za każdym razem na nowo zdobywa publiczność i za każdym razem zwycięża, ogromnym kosztem energii. Każdy jest urzeczony tym wspaniałym głosem. Cdybyż jeszcze rozumieli słowa!

Clifford Fischer nie stracił na kontrakcie Edith Piaf, finansowo przynajmniej. Artystycznie jednak to nigdy nie będzie Europa.

Po powrocie do garderoby pada zawsze to samo pytanie.

- Czy telefonował Marcel Cerdan?

Zamiast wrócić parowcem, zostaje w Nowym Jorku na walce Cerdana, bo jej obecność mu pomoże. Robi to dla Mai cela, choć nie lubi samolotów. Zrezygnowała z kontraktów w Hollywood, Chicago i San Francisco. Trochę miała już dość amerykańskiej

publiczności, a kiedy jeszcze pomyślała, że w Paryżu teraz wiosna i kwitną kasztany, doszła do wniosku, iż pora wracać do domu. Wieczorem, na widowni Madison Square Garden, nie żałuje głosu, by pomóc Marcelowi.

Wkrótce pisze do Jean-Louis Jauberta. Zbyt wiele ich łączyło, by trwał w nieświadomości. To lojalny przyjaciel.

„Mój drogi, mój dobry Jean-Louisie. Nie smuć się i nie myśl o mnie. Posłuchaj uważnie. Zachorowałam ciężko. Och, to nie jest ciężka choroba, niemniej jednak poważna: choroba serca. Nigdy nie byłam tak ciężko chora. Kiedy Marcel zadzwonił do mnie w Nowym Jorku, wierz mi, to było zabawne, takie spotkanie wagi ciężkiej z piórkową! Nie wiedziałam, czego chce. Z niego emanuje potężna siła, chyba zgodzisz się ze mną. W końcu, jest jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. To napędza respektem. Pamiętasz, na początku marca, kiedy wróciłeś z Florydy i zatelefonowałeś do mnie na Park Avenue? To Marcel odebrał telefon i powiedział: Ona jest w domu, ale nie ma sensu, żeby pan dzwonił, panie Jaubert. Zrozumiałeś wszystko.

Myślę, że spotkałam porządnego człowieka. Kogoś, kto zajmuje się mną bez reszty, nie oczekując niczego w zamian. Sam widziałeś jego siłę na ringu, w walce z Laverne'em Roachem, pamiętasz? Wtedy oglądałam go po raz pierwszy boksującego: jego pięści, które uderzały bez cienia zmęczenia, jego wzrok, taki inny i mocny, jego oddech lokomotywy. Był całkiem sam, zagubiony na ringu wśród tłumu tysięcy Amerykanów. A jednak zwyciężył. Zdobył ich wszystkich. Wiem coś o tym, to nie jest łatwe! To wszystko do ostatniego uderzenia gongu. Po walce nic więcej, żadnej brutalności, odmieniony magicznie - spokojny, czuły. Mam wrażenie, że go oswoiłam. I że będzie posłuszny zawsze, o cokolwiek go poproszę. Zresztą, Jean-Louis, do pewnego stopnia ty możesz mnie zrozumieć, właśnie ty, który także uległeś czarowi Marcela”.

Paryska „Aurore” donosi gorliwie swoim czytelnikom:

„Pewien bokser (bardzo znany) powrócił wczoraj samolotem z Ameryki. Artystka piosenki (nie mniej znana) znalazła się przypadkiem w tym samym samolocie. Tłum fotoreporterów oczekiwał ich na Orly. To prawdziwy hołd dla boksera i artystki. I co się dzieje? Z powodów nieznanych nam artystka nie życzyła sobie, by wiadano, że była z bokserem, i wysiadła skrycie innymi drzwiczkami, z drugiej strony samolotu. Na nieszczęście dla niej, jakiś złośliwy fotograf zrobił zdjęcie tej dziwnej sytuacji. Dama rozgniewała się, rzuciła się z furią na mężczyznę z aparatem, obrzuciła go obelgami, podrapała i zawołała na pomoc swoich znajomych, którzy zniszczyli kompromitujące klatki. I nazwijcie ją *la vie en rose*, tę damę!”.

Kilka dni później w „Combat” można przeczytać obszerne wyjaśnienie, że prasa wysoko nakładowa narobiła hałasu wokół rzeckiego romansu Edith Piaf i Marcela Cerdan podczas ich pobytu w USA.

„Jestem oburzona i zmartwiona - wyznała artystka. - Jakie to głupie! Marcel to mój kompan, prawie jak starszy brat. Lubię go bardzo i nikt nam nie przeszkodzi widywać się. Cała reszta to czysty wymysł. Wszyscy wiedzą, że przyjaźnię się z kompozytorką Marguerite Monnot. Dlaczego na ten temat nie ma skandalu? To nie byłoby mniej groteskowe. Przypomina się stare powiedzenie: kłamać, kłamać, zawsze coś z tego kłamstwa zostanie...”.

Wkrótce „France-Soir” informuje, że od jakiegoś czasu Edith Piaf i dramaturg Marcel Achard są nierozłączni. O tym jednak nie było podejrzanych plotek, gdyż okazało się, że Achard zamierza napisać dla niej musical, uważając, iż jest niewykorzystana jako aktorka. Śpiew to za mało jak na jej ogromne możliwości. Na ra-

zie artystka udaje się do Kanady na dłuższe tournée, podczas którego spotka się ponownie z Les Compagnons de la Chanson. Potem powróci na trzy miesiące do Versailles, zaśpiewa także w Miami i Hollywood.

Przedtem spędzili kilka tygodni w Paryżu. Chciała mieć Marcela tylko dla siebie. Wynajęła mieszkanie w luksusowej szesnastej dzielnicy. Nareszcie miała gniazdko dla ich szczęścia.

- Zobaczysz, Marcel, będzie nam tu dobrze razem. Elegancko, bardzo spokojnie. Masz dwa kroki do Lasku Bulońskiego, gdzie możesz sobie biegać. W mieszkaniu są dwa osobne wejścia, to wystarczy, by uchronić się przed ciekawskimi, zwłaszcza dziennikarzami. Możemy wchodzić i wychodzić osobno.

Marinette Cerdan nie powinna się o niczym dowiedzieć. Marcel i Edith mają nieco przyjaciół wtajemniczonych, ale nie oczekują z ich strony żadnego ryzyka. Czy Cerdan może mieć wrogów? Cechuje go śródziemnomorski urok, ciepło, radość życia. Każdy w jego towarzystwie czuje się uprzywilejowany: przebywa z gwiazdą, która nie daje tego odczuć. A tu aż dwie gwiazdy takiego formatu! Ale on czuje się zawsze w jej cieniu. Podziwiał Edith, uwielbiają. Chciałby przebywać z nią nieustannie. Ich losy związały się na zawsze, lecz rodzina po drugiej stronie morza to świętość. Trzeba prowadzić życie podwójne. Jedno w ukryciu.

- Gdyby się okazało, że pod domem jest ktoś obcy, możesz położyć się na tylnym siedzeniu samochodu. To ci będzie zabawa w chowanego! - śmieje się Edith.

Najchętniej przebywają w domu, ukrywając swoją miłość przed światem. Wypełnia ona tak całkowicie życie artystki, że w ciągu dwóch lat nie nagra ani jednej nowej piosenki. Edith jest piękna i promienna. Zapala świece w kościołach i modli się do swojej świętej Teresy o zwycięstwa ukochanego boksera. Robi Marcelowi swetry na drutach. Kupuje włóczki w najbardziej wściekłych kolorach, a on jest tak zakochany, że nosi te okropne dzierzgany z chorobliwym upodobaniem.

Marcel nie trzyma się w życiu specjalnych rygorów, ale nie pije alkoholu w żadnej postaci. Przy nim Edith odstawiła wszelkie napoje. Żyje dla swojego mężczyzny. Metamorfoza, która czyni ją promienną i pewną siebie. W ciągu dnia każdy robi swoje. Edith pracuje przy fortepianie, Marcel trenuje z workiem. Edith chodzi późno spać, Marcel budzi się wczesnym rankiem. Wieczorami Edith miewa występy w music-hallach. Potem przyjmuje gości, najczęściej z branży. Marcel z trudem wytrzymuje, oczy mu się zamykają. Ona jest niezmordowana, ciągle na nogach.

- Ile ty wiesz różnych rzeczy - mówi do niej z podziwem. - Czy inteligencji można się nauczyć?

- Wystarczy chcieć. Jeśli myślisz, że mam jakiegokolwiek świadectwo...

Na razie dostarcza Marcelowi lektury i muzyki. Co do muzeów, przyjdzie i na to czas. A polityka?

- Wiesz, Marcel, nigdy nie czytam gazet. Z braku czasu. Poza tym, po co sobie stawiać pytania, skoro generał de Gaulle ma na wszystko odpowiedź.

To aluzja do słynnych konferencji prasowych generała. Pobożność Edith w tym spokojnym okresie życia sprawia, że zaczyna się niepokoić brakiem religijności Marcela. Poleca mu modlitwy.

- O co mam tych świętych prosić?

- To twoja rozmowa z nimi.

- Nie wiem, jak to robić, choć jestem wierzący.

- Brakuje ci praktyki. No dobrze. Na początku unikaj prób we własnych sprawach. Najpierw myśl o innych, o tych, których kochasz. Prosisz o opiekę nad nimi, dziękujesz za to, że święci pamiętają o twoich bliskich. Nie zapominaj o świętej Teresie. Wiesz, że jej zawdzięczam wszystko. Proś ją, by czuwała nad tobą, kiedy walczysz. Możesz sprzecyzować, że masz w takim a takim dniu walkę i nie chciałbyś być kontuzjowany...

- No tak, Edith, ale o to zazwyczaj dba mój trener.

Zorientowała się któregoś dnia, że Marcel, tłumacząc się mgli-

ście i pokrętnie, ocl pewnego czasu wychodzi z domu o tej samej porze. Półprzymna z niepokoju, pełna najgorszych podejrzeń, postanowiła go najzwyczajniej śledzić. Poczula się nieprzyjemnie, wręcz głupio, gdy zobaczyła, że Marcel wychodzi z bramy, prowadząc pod rękę ślepego Araba. Uciekła zawstydzona do domu i dopiero po kilku dniach odważyła się spytać o Araba. Był szkolnym kolegą Marcela, który sprowadził go na własny koszt z Maroka, ulokował w hotelu i prowadzał codziennie na zabiegi do sławnego specjalisty.

Niezwykle skromny Marcel niechętnie opowiada o swoich dobrych uczynkach.

-Ale jest sprawa, którą chcę ci się pochwalić, Didi. Postanowiłem kiedyś przegrać walkę ze starszym od siebie i słabszym bokse-rem. Wiedziałem, że wynik tej walki jest dla niego sprawą życia i śmierci. Nigdy w życiu nie wygwizdano mnie do tego stopnia. A jednocześnie nikt z gwizdzących nie miał pojęcia, jaką mi to sprawa satysfakcję.

Zdecydowanie najlepiej czują się w Nowym Jorku. Tu łatwiej zgubić się w tłumie. Ale też nie zawsze. Pojechali raz na Coney Island, do ogromnego lunaparku. Gdy jeździli na karuzeli, ktoś z tłumu krzyknął:

- Patrzcie, patrzcie, to Cerdan! Hip, hip, hura!

Gdy karuzela się zatrzymała, ktoś inny zawołał:

- Idiss, zaśpiewaj „La vie en rose”!

Zaśpiewała, czy raczej wykrzyczała. Miała praktykę od dziecka, mogła to robić bez mikrofonu. Tłum szalał z radości.

- Widzisz, widzisz - mówił rozpromieniony Marcel - jak oni cię kochają!

# 9

Gdy Marcel został mistrzem świata, coraz trudniej było zachować w tajemnicy ich związek. Spokojny z natury Cerdan zirykował się, gdy w jednym z dzienników przeczytał tytuł: „Idylla dwojga francuskich gwiazd w Nowym Jorku”. Zacisnął zęby, pomyślał chwilę i zwołał konferencję prasową. Powiedział Edith: „Ty nie masz tam nic do powiedzenia. Wolę być sam na tej konferencji”.

Nie zabrakło ani jednego z liczących się dziennikarzy. Cerdan przywitał wszystkich z godnością. Potem rzekł:

- Panie, panowie. Jest sprawa, która was interesuje. Nie tracimy czasu. Chcecie wiedzieć, czy kocham Edith Piaf? Tak, kocham ją. Czy jest moją kochanką? Gdybym nie był żonaty i nie miał dzieci, Edith Piaf zostałaby panią Cerdan. A teraz niech ten z panów, który nigdy nie zdradził żony, podniesie rękę.

Zapadła cisza.

- Zatem ten temat wyczerpaliśmy. Możecie mi zadawać pytania. Przekonam się jutro, czy jesteście dżentelmenami.

Nazajutrz w gazetach nie było słowa o parze Piaf-Cerdan. Edith otrzymała kosz kwiatów z bilecikiem: „Dla najczulej kochanej kobiety”.

„Paryż, piątek 20 maja 1949 roku

Mój Uwielbiony, czy ty wiesz, co to jest dom pusty bez Ciebie?...

Eh bien, to okrutne także dlatego, że jestem taka tchórzliwa w momencie twoich odjazdów! Och chéri, za każdym razem zadaję sobie pytanie, co zrobić, jak dalej żyć, kiedy Ciebie nie ma przy mnie... Aleja przestaję żyć i przede wszystkim dlatego to takie okropne, życie bez życia, voila. Mon amour, nie chciałam pisać do Ciebie wczoraj wieczorem, mój list sprawiłby Ci ból, byłam jednocześnie bezradna i zbuntowana. Marzyłam o tym, by cały świat cierpiał tak mocno jak ja. A Ty, mój mały, mój chłopcze, mój słodki kochanku? Co za rozdarcie! Ien samolot, który odleciał, zabierając moje serce, mój sens życia, mój oddech... Chciałam krzyczeć, tak bardzo cierpiałam. Miałaś dobrą podróż? Nie jesteś zbyt zmęczony? Pracuj dobrze, mon amour, żeby przynajmniej te poświęcenia miały jakiś sens. Co myślisz teraz o Nowym Jorku? Nie zapomnij numerować listów, żebyśmy wiedzieli, czy dochodzą wszystkie.

Pozdrów swojego brata i Jo Longmana. Jakież powrót do domu, wczoraj! Jacqueline i ja nie miałyśmy o czym mówić, zdarzały się długie chwile śmiertelnego milczenia, miałam tylko jedno marzenie: zamknąć oczy i udać się w podróż z tobą, tobą, tobą! To dziwne, nie mam pomysłu, refleksji, nie mam nic, mam wrażenie, że oczekuję jakiegoś wydarzenia. Zamiast serca mam lęk i smutek. Mój mały, malutki, tak bardzo Cię kocham, to szalone i niepokojące! Powinnam pojechać na próbę, ale nie mam odwagi. Wolę zostać sama.

Odwolałam wszystkie spotkania, ponieważ wszyscy ludzie ciągle coś mówią, co przeszkadza mi być z Tobą. Być może w przyszłym tygodniu będzie lepiej. Chwilowo nie mogę o niczym myśleć i mówić, jak tylko o Tobie.

Do jutra, mon amour. Bądź silny za nas dwoje, potrzebuję tego. Kocham Cię bezrozumnie, nienormalnie, szaleńczo i nic na to nie poradzę. To Twoja wina, bo jesteś nadzwyczajny. Zamknij mnie w swoich ramionach i powiedz mi, że nic na świecie nie liczy się poza Tobą dla mnie! Twoja E.”



„Sobota, 21 maja 1949

Ma chérie, Jak widzisz, zaczynam już pisać do Ciebie. Przywykłem widzieć Cię bez przerwy i nie myślałem, że mogłabyś jakiegoś dnia opuścić mnie. To potworne, wiesz, ale przyzwyczaiłaś mnie do życia, które jest nie do zniesienia dla Ciebie, ale przyjemne dla mnie, ponieważ mogłem Cię oglądać, kiedy chciałem. A teraz oto jestem sam z tymi wszystkimi drobiazgami, które przypominają Twój pobyt tutaj w Loch Sheldrake i, wierz mi, czuję okropny ucisk w sercu. Dlaczego kocham Ciebie tak, chérie, i pomyśleć, że mogłabyś myśleć inaczej, och, chérie! Ale, chérie, musimy być dzielni i przede wszystkim zarabiać dużo pieniędzy, żeby z nich potem korzystać.

Chérie, odżywiaj się dobrze, śpij dobrze i pracuj trochę także, bo musisz być tego roku w formie. Pomyśl, kochanie, że w następnym roku przeżyjemy jeszcze wspanialszy czas, warto więc pocierpieć trochę teraz (plotę głupstwa!). Napisz mi słówko, chérie. Kocham Cię, mon amour, jak prawdziwy szaleniec, ja, który tulę się do Ciebie bardzo, bardzo mocno. Twój M.”

Korespondencja Edith Piaf z Marcelem Cerdanem ukazała się drukiem w 2002 roku pt. *Moi pour Toi - lettres d'amour*.

Edith Piaf śpiewa recitale w legendarnej sali Pleyel, w której dotychczas występowały jedynie znakomitości muzyki klasycznej. To prawie świątynia. Koncerty renomowanej pod każdym względem artystki budzą ogromne zainteresowanie, ale oceniane są różnie. François de Roux poświęca jej obszerny esej w „Figaro Littéraire”, zatytułowany: „La môme Piaf przeistoczyła się w księżniczkę”:

„Czy to na pewno Mademoiselle Piaf, dzisiejsza gwiazda, którą pragnęliśmy usłyszeć w recitalach w sali Pleyel? Myślę, że publiczność żywiła ukrytą nadzieję rozpoznać przynajmniej cień osobo-

HOTEL *Statler* WASHINGTON

car j'en ai besoin! Et toi! que  
fais tu? Tu vas probablement  
partir en vacances aussi? Si  
parfois tu vois Roland avellys,  
mefie toi de lui et surtout ne  
lui prête rien ni en mon nom ni  
en sien car tu ne reverrais jamais  
rien, j'essais avec diplomatie de  
le vivre de chez moi car évidemment  
il est au courant de certaines choses  
et il en profite, joli monsieur, c'est  
bien fait pour moi, je suis toujours  
la seule à croire au Père Noël!  
je ressort toujours de ces histoires  
découragée et bien triste, c'est la  
vie, tu fais du bien au gens et tu  
t'en fais des ennemis!

Comment va Charlotte? Tu braves là

Hilton and Statler Hotels located in Principal Cities around the World

wości, którą sława zabiła. Na szczycie tej sławy Mile Piaf lamentuje o krótkiej, błyskotliwej przeszłości, której zaledwie ślad w niej pozostał. Po dłuższym pobycie w Ameryce, który ożywił nasze kroniki prasowe, nadal sprowadza tłumy do sali Pleyel. Dwa dni przed rozpoczęciem spektakli nie ma już ani jednego miejsca wolnego. Przed wypełnioną po brzegi salą odsłania się czerwona kurtyna z weluru. Ona podąża drobnym krokiem do środka ogromnej sceny, skróconej do połowy inną kurtyną. Ledwo zdążyliśmy ją zauważyć, gdy oznajmia grzecznie: zaśpiewam piosenkę w rytmie na trzy czwarte. I śpiewa. Słuchamy jej, ale pierwsze wrażenia nie są najlepsze. Jedno tylko olśniewa: potęga jej głosu. Oklaski. Stoi nieruchoma. Ręce złożone w tyle, twarz uniesiona, głowa pochylona ku lewemu ramieniu. Mocno stojąc na małych stopach, spogląda na publiczność bez uśmiechu, bez ukłonów.

W czasie przerwy elegancka dama szepcze do swojej towarzyszki: »Zaczyna być zbyt bogata, wolałam ją...« Kiedy? Gdy śpiewała na bulwarze Ménilmontant? Dama z sali Pleyel nie zatrzymałaby się tam nawet na chwilę, by jej posłuchać. Jest jednak w tej źle wyrażonej skardze prawdziwa nostalgia. Powiedziałbym: la mère Piaf, i nawet ta, która ją poprzedzała, mała Edith Gassion, nie przestają dostarczać fałszywych ubolewań admiratorom dzisiejszej gwiazdy.

Piosenka po piosence. Nie ma łatwizny ani pośpiechu. Nie można się dość napatrzeć, dość nasłuchać i nie dać uwieść. To znak, który nie zawodzi. Można być pewnym, że to artystka o nieskończonych możliwościach, śpiewaczka, która przez cały wieczór trzyma publiczność w napięciu. Ona walczy o widownię. To nie jest już statua, którą się oklaskuje. Skłania głowę, uśmiecha się lekko, kreśli dłonią niewielkie znaki pozdrowienia. Wyraźnie miała początkowo wątpliwości, czy wygra te zawody.

Jej sztuka jest skrajnie oszczędna w środkach. Głos nie stanowi jedyne z jej darów. Każdy gest nabiera intensywnego znaczenia. Te gesty są rzadkie, powolne i wymierne. Głęboka ekspre-

sją jej mimiki kończy śpiew, kiedy głos już zamilkł. Potrafi także krzyknąć. Jej krzyki są rozdzierające acz harmonijne. Oferuje nam znacznie więcej, niż mogliśmy podejrzewać. Do piosenki »Gdyby król wiedział o tym« włożyła na swoją czarną suknię inną szatę z czarnego weluru, z wielkimi rękawami i długą spódnicą. Piosenka ta nie pochodzi z przedmieścia, interpretuje ją z zaskakującą finezją. Można by przysiąc, że mamy przed sobą panienkę z najwyższych sfer. Gdy powolnym krokiem udaje się w stronę kulis, to doprawdy odchodzi księżniczka. Nie ma już dziewczyny z ulicy.

Na koniec oklaski stają się bardziej natarczywe. Ale ona pozostaje niewzruszona. Nie zaśpiewa ani jednej piosenki więcej. To mała, swawolna kobietka. Jesteśmy pewni, że robi tylko to, czego sama chce. Publiczności ofiaruje już jedynie swój szeroki uśmiech, a nawet trochę całusów. Odslania się kurtyna, za którą grała orkiestra. Cofa się do nich, aby tam pozostać do opadnięcia głównej kurtyny. Obraz Celnika Rousseau. Wieczór kończy się jak należy”.

Informacja w „Journal d’Egypte” w Kairze nie jest tak obfita w szczegóły, nie wdaje się w analizy. Czytamy:

„Wszystko już powiedziano na temat wielkiej gwiazdy. Słowa są zbyt ubogie, by wyrazić emocje, jakich dostarczyła nam ta mała wielka kobieta, ta nadzwyczajna tragiczka podczas swoich trzech recitali w naszym mieście. Potem Edith Piaf udała się na występy do Aleksandrii i powróciła do Kairu na dodatkowy koncert”.

Marcel Cerdan utrzymuje tytuł mistrza Europy od roku 1939. W boksie zawodowym nie ma zbiorowych mistrzostw. Najlepsi rozgrywają wyznaczone przez federacje walki. 23 maja 1948 roku na stadionie Heysel w Brukseli ma się rozegrać walka Marcela Cerdan z młodym Belgiem Cyrille Delannoit, zwanym Tarza-

nem. Mistrz Belgii ma dwadzieścia dwa lata. Perspektywa mistrzostwa Europy dodaje mu skrzydeł, a organizatorzy węższą w tym dobry interes i decydują się urządzić turniej na stadionie znanym z piłki nożnej. Ring ulokowano pośrodku murawy, dookoła ustawiono trybuny dla dwudziestu tysięcy widzów.

Prasa francuska jednomyślnie rokuje zwycięstwo Cerdana. Delannoit poniesie bezapelacyjną klęskę. Pytanie tylko, ile wytrzyma rund. „Figaro” zastanawia się nad ryzykiem utraty tytułu przez Francuza, chociażby z racji wieku. Podobnie spekuluje „Aurore”, dodając, że rok wcześniej Cerdan miałby większe szanse.

Z perspektywy Paryża walka Cerdana z młodym Belgiem wydaje się raczej formalnością. Bruksela świętuje, nawet cała Belgia: jest okazja do podziwiania walki najslawniejszego boksera Europy lat powojennych. Każdy chciałby zobaczyć wielkiego Cerdana. W Paryżu patrzą na sprawę nieco z góry. Dla zawodnika, który pretenduje do tytułu mistrza świata, cóż znaczy taka walka? Szybka i skuteczna, najlepiej zakończyć ją eleganckim nokautem.

Inaczej sprawa wygląda w najbliższym otoczeniu Marcela, który nie jest w najlepszej formie. Osłabiony fizycznie, cierpi na lumbago i prawa ręka daje mu się boleśnie we znaki. Ale do prasy nie ma na ten temat najmniejszego przecieku. Dziennikarze jednak zauważyli, że treningi Marokańczyka są mniej liczne i zdecydowanie mniej intensywne. Belg jest w doskonałej formie. Mają tę samą wagę: siedemdziesiąt dwa kilogramy i podobny wzrost, różni ich doświadczenie i wiek.

Pewny swojej młodości, Belg nie wydaje się onieśmielony atutami przeciwnika. Przez trzy rundy prowadzi zdecydowanie, choć nieco chaotycznie. Publiczność zachwycona, widząc szanse swojego rodaka. Cerdan nie czuje się jeszcze zdominowany, pozostawia Belgowi inicjatywę. Rzadkie ciosy, które otrzymuje Delannoit, zdają się nie robić na nim żadnego wrażenia. Zaskoczony Cerdan kończy trzecią rundę w wyraźnym osłabieniu. Czuje ostry ból prawego ramienia i obawia się najgorszego.

Czwarta runda zaczyna się od energicznego ataku Cerdana, który nabral w igoru i wygrywa. Kolejne rundy przynoszą stan remisowy, z przewagą mistrza Eurpy. Gdy w narożniku spojrział na swojego trenera z niepokojem, Roupp powiedział mu krótko: „Chyba jest w porządku, ale to nie był dobry mecz!”. Chwilę potem angielski sędzia Freddie Little ogłosił, że mistrzem Europy wagi średniej został Cecille Delannoit. Wrzawa na stadionie. Cerdan padł na ring we łzach, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Walczył nie najlepiej, to prawda, ale werdykt sędziowski jest niesprawiedliwy. Nic na to nie poradzi.

Nazajutrz wczesnym rankiem, po powrocie do Paryża, Marcel i Edith przeglądają prasę. Wszystkie gazety paryskie wytykają palcem angielskiego arbitra, który kontynuuje niechęć Albionu do Francji. Cerdan został zwyciężony nie przez przeciwnika, lecz przez sędziego. Wszyscy piszą o skandalu w boksie profesjonalnym. Potem zaczną się dalsze komentarze, w których mowa o złej formie Marokańczyka.

Tydzień po meczu „France-Dimanche” donosi na pierwszej stronie:

„Piaf przynosi pecha Cerdanowi. Już od ubiegłego roku zarówno rubryki sportowe, jak i towarzyskie ganiły styl życia czempiona, który spędza zbyt wiele czasu w okolicach Pól Elizejskich i uczestniczy w wieczorach organizowanych przez Jo Longmana, drugiego obok Luciena Rouppa menedżera. Bywanie Cerdana w wielkim świecie jest bardzo oczekiwane w paryskich kręgach elitarnych i snobistycznych”.

Lucien Roupp, przeciwieństwo Jo Longmana, stara się ograniczyć te imprezy, których nie uznaje i uważa za szkodliwe. Nie ceni tych środowisk, przedkłada nad nie zwyczajną publiczność sal sportowych. Marcel należy do tego typu osobowości, które nie potrafią odmówić. Ostatnie lata glorii nie dały mu zbyt wiele in-

nych satysfakcji poza finansami. Ale w jego życie wkroczyła Edith Piaf, co zmieniło cały dotychczasowy świat sportowca.

Marcel słucha, co mówi jego obecne otoczenie. Dla większości jest urodzonym, „naturalnym” bokserem, który potrzebuje jedynie odrobiny treningu dla szlifowania formy. Pochlebne argumenty, które przeciwstawiają się wymaganiom Luciena Rouppa. Ten jest zwolennikiem codziennych, intensywnych treningów. Cerdan woli mieć tylko kilka dni, by doprowadzić się do stanu gotowości. Doszedł do wniosku, że obecność Edith jest mu niezbędna dla wsparcia psychicznego, którego potrzebuje przed i w czasie walk. Ale klęska w Brukseli obala jego teorię. „France-Dimanche” uderza mocno, bardzo mocno, za jednym zamachem ujawniając związek Piaf-Cerdan. Do niej telefonuje zawsze po zejściu z ringu. Anonimowy dziennikarz informuje, że od powrotu z Ameryki w roku 1947 Cerdan widuje Edith codziennie. Ona bywa na wszystkich jego meczach. On słucha jej koncertów każdego wieczoru. Piaf jest dla Cerdana kobietą atrakcyjną, opowiada mu o muzyce, literaturze, poezji. Przy niej stał się osobą światową.

Anonimowy dziennikarz był doskonale zorientowany, podał nawet ściśle zastrzeżony, prywatny numer telefonu Edith Piaf - JAS 22-82. Szeroka publiczność dowiedziała się o codziennym życiu boksera i pieśniarki. Para przeżywająca miłość w stanie czystym, bliskim ideału, gdyby nie... Przynosi mu pecha, nieszczęście nawet. A Piaf? Jest szalenie przesądna! Co będzie teraz? Co pomyśli Marinette Cerdan? Złe wiadomości przenoszą się z szybkością błyskawicy. Artykuł w niedzielnym numerze „France-Dimanche” to bomba z opóźnionym zapłonem. Para kochanków, rodzina, kariera. Wszystko jest zagrożone.

Narada wojenna zebrała się w składzie: Joe Longman, Lucien Roupp i brat Cerdana, Armand. Postanowiono zastosować drańskie środki. Żeby pozostać zawodowym bokserem, poważnym

i poważanym, żeby przygotować się do rewanżu i powrócić na drogę wiodącą do mistrzostwa świata, Marcel musi opuścić Paryż i jego pokusy, a więc przede wszystkim Edith. Musi odnaleźć spokój, powrócić do Marinette i dzieci. Ale wiadomo, że nie chodzi tu o prowincjonalny marazm Maroka, o Casablankę. Cerdan musi intensywnie leczyć kontuzjowaną prawą rękę, której stan pogorszył się podczas walki w Brukseli. Wszyscy są zgodni co do programu, jedynie Marcel ma wątpliwości. Z sercem zranionym opuszcza apartament Edith i powraca na Montmartre do mieszkania swojego przyjaciela. Decyduje się na wizytę u lekarza. Diagnoza jest pomyślna: nie chodzi o złamanie ani nawet pęknięcie, a jedynie chroniczny ból sforsowanego mięśnia przedramienia. Konieczny jest odpoczynek. Żadnych treningów.

Nie ma mowy o pozostaniu w Paryżu. Po burzliwej rozmowie telefonicznej z Marinette, Marcel jedzie w pośpiechu na lotnisko. Nazajutrz jest w Casablance, a wkrótce w swojej nowej farmie w Sidi Marouf, niedaleko stolicy.

- Ty mi przysięgasz, że nic nie było między tobą i Edith! Ale ja stałam się pośmiewiskiem naszej okolicy. Cała Casablanka przygląda mi się z litością i pogardą. Jestem upokorzona. Marcel, przysięgnij mi, że to nieprawda!

- Przysięgam ci, moja Marinette, na głowy naszych dzieci. Edith jest przyjaciółką, wielką przyjaciółką. Odkryła mi tyle rzeczy. Ale ty, ty jesteś moją żoną, matką moich dzieci. Nie możesz odejść ode mnie. Przysięgam ci raz jeszcze: nic nie było między mną a Edith. Chodź w moje ramiona, Marinette. No, chodź.

Tonąc w szlochach, Marinette przeżywa rozterki. Wybacz mężczyźnie swojego życia. Czy uwierzyła w jego przysięgi? Rewelacje prasowe zraniły ją boleśnie. Do końca życia zachowa dyskretną postawę wobec męża. Jest przecież żoną, legalną żoną Marcela Cerdan, żywej legendy Maroka.

GORZEJ było z uzyskaniem satysfakcji od redakcji „France-Dimanche”. Skończyło się na głupiej bijatyce. Sprawa sądowa nie



wchodzi w grę ze względu na delikatność materii. Nie można zresztą robić szumu wokół afery prasowej Piaf-Cerdan, ponieważ bokser musi przed powrotem do Ameryki odbyć walkę rewanżową w Brukseli. Wszyscy się mobilizują i wierzą, że Marcel odzyska tytuł mistrza Europy. Edith bierze udział w tej kampanii i gotowa jest ponieść największe poświęcenia, nawet widywać się z nim jak najrzadziej. Tym bardziej, że Marinette Cerdan wraz ze starszym synem zostaje zaproszona do Francji na czas przygotowań. Dwie osoby są szczęśliwe w tej sytuacji: Marinette i Roupp. Po drodze jeszcze drobna kontuzja lewego ramienia, ale krótko przed walką Cerdan zdaje się być w takiej formie jak kilka miesięcy wcześniej.

Dziesiątego lipca Cerdan powraca na stadion Heysel, który opuszczał w maju po klęsce. Obciążenie większe niż wtedy, ale mimo to jest znacznie przyjemniej. Może dlatego, że zrobiło się cieplej i tym razem walka odbędzie się wieczorem, po zachodzie słońca. Belgowie nieco zignorowali spotkanie, na trybunach zaledwie czternaście tysięcy widzów. Francuzów brak. Zniechęcenie kibiców? W kawiarniach nikt nie robi zakładów. Akcje Marokańczyka zdecydowanie spadły. Afera „France-Dimanche” zrobiła swoje. Wczoraj jeszcze idol Francji, dziś Cerdan doczekał się niełaski. Jest tematem niezbyt pochlebnych rozmów.

Cerdan zdominował walkę, choć od ósmej rundy jego prawa ręka jest nie do użytku. Ale zdążył posłać Delannoita trzy razy na deski. Mimo to Belg jest w znakomitej formie, potwierdza swoją klasę mistrza Europy. Po każdym upadku podnosi się szybko, nie dając arbitrowi czasu na odliczanie. Cerdan próbuje możliwości znokautowania przeciwnika, daremnie. Publiczność dopinguje rodaka. Walka jest ostra, rozpaczliwa. Kibice nie mogą zrozumieć, jakim cudem Cerdan nadal dominuje. Nie przegrał ani jednej rundy i zdecydowanie wygrywa walkę. Jest znowu mistrzem Europy, jednak nie przekonał publiczności. To Cerdan waleczny, ale nie olśniewający. Jaka będzie jego przyszłość na arenie światowej?

wego boksu? Nikomu nie przychodzi do głowy, że kariera Marcela może się zakończyć w sposób nagły i niespodziewany.

Amerykanie przysłali do Brukseli obserwatorów, którzy mają inne zdanie niż kibice belgijscy. Odzyskując tytuł mistrza Europy, Cerdan zyskał prawo pretendowania do mistrzostwa świata. Był już znany w USA i powrót do tytułu uzasadnia taką decyzję. Prawda, że nieco zachwiał swoją reputacją bombardiera, ale to prawdziwy zawodnik, waleczny i ambitny. Publiczność amerykańska uwielbia takich. W wieku trzydziestu dwóch lat Cerdan nie ma wielkich szans na zdobycie mistrzostwa świata, zatem tytuł pozostałby na Nowym Kontynencie. Ważne, że będzie walka. Wkrótce Agence France Presse informuje, że 21 września 1949 roku Marcel Cerdan będzie walczyć z Amerykaninem Tonym Zale o tytuł mistrza świata wagi średniej.

Edith musi być tam obecna. Pragnie gorąco, żeby został mistrzem świata. Nic jej nie zatrzyma, zresztą od 14 września śpiewa recitale w Versailles. Marinette wróciła uspokojona do Casablanki. Droga wolna.

„Casablanca, 23 lipca 1949

Mon amour, mam już za sobą debiut w Casa. Zdecydowanie, prasa zrobiła mi wiele złego. Śpiewałam czternaście piosenek. Okazało się, że to stanowczo za mało. Myślałam, że zawali się budynek, tak bardzo publiczność tupiała. Twój brat Armand był z żoną, która powiedziała: Bardzo mi się pani podoba, nie wyobrażałam sobie, że jest taka ładna. W ten sposób, jeśli spotka Twoją żonę, sprawi jej przyjemność. W dodatku, w gazetach także pisano o tym, że jestem ładna, tym gorzej dla Ciebie. Jestem dumna za Ciebie, mon amour, chciałabym być najładniejsza ze wszystkich, najbardziej doskonała, żebyś nie mógł nigdy przestać mnie kochać. To dlatego pięknieję i oczyszczam się moralnie. Ty jesteś taki doskonały i pragnę bardzo upodobić się do Ciebie.

Dowiedziałam się, że zamierzasz zbudować w Casa willę za

dziesięć milionów i że za każdym pobycem jesteś tutaj coraz bardziej zadomowiony. Widzisz, to mnie dobija i sprawia, że nic nie rozumiem. (...) Uważaj, wyjaśnię Ci coś, co być może otworzy Ci oczy. Wiesz, że nigdy nie mieszałam się do tych spraw, ale tym razem zbuntowałam się, bo wszyscy mówią mi, że jeśli Ciebie kocham, powinnam otworzyć Ci oczy i zwrócić Ci uwagę. Chéri, musisz podjąć decyzję, najpierw dla Twoich dzieci, potem dla siebie. Jesteś ich ojcem i winien im jesteś ochronę. Po Twojej walce we wrześnieu powinienes przedsięwziąć surowe środki w sprawie dzieci. Mogę Ci zaproponować kilka rzeczy bardzo realnych dla szczęścia dzieci i Twojego. Będę Cię nękać, aż czegoś nie zrobisz. Zadzawisz się tym, co Ci powiem. Ale teraz wiem, dlaczego Bóg postawił mnie na Twojej drodze. On nigdy nie pozwoli mi zrobić czegoś złego i dlatego skutki każdego wydarzenia, które nas tak zaskakuje w tym, co dotyczy nas dwojga, nie są przypadkowe. To są znaki nieba, żebym Cię nigdy nie opuściła. Jestem pewna, że La Motta jest wezwaniem Boga, bym była zawsze przy Tobie. Za każdym razem, kiedy nas rozdzielają, spotyka Cię coś złego. Pomyśl o Delannoit i La Motcie, i Zale, Turpinie, Roachu - wszystkich znokautowałaś w identyczny sposób. Jestem teraz pewna, że Bóg chce, abym była zawsze przy Tobie. Kiedyś opowiem Ci kilka faktów tak zadziwiających, iż chwilami robi mi się zimno na plecach! Kocham Cię i moja miłość jest tak silna, że staje się ochroną.

Dzisiaj po południu będę śpiewać w Radio Casa. Proszę Cię, wierz, że tutaj mnie diabelnie kochają i chyba nie ma w Casa nikogo przeciwko mnie. Gdybyś słyszał owację, jaka wybuchła przy moim wejściu na scenę! Można przypuszczać, że ludzie spodziewają się czegoś nadzwyczajnego. Wczoraj wieczorem czułam się szczęśliwa, mogąc istnieć w Twoim życiu, bo jestem przekonana, że czemuś służę! Mój mały, posłuchaj mnie, Ty wiesz, że to moje serce mówi do Ciebie i że uczynię wszystko, co możliwe, aby uczynić Cię szczęśliwym. Daj się więc prowadzić, za każdym razem

kiedy mnie posłuchałeś, przyznawałeś sam, że miałam rację. Tulę się do Ciebie, do Twojego serca, chéri. Jestem taka szczęśliwa, że Cię Kocham tak jak Cię Kocham. Jeszcze dwanaście dni i będę mogła Cię dotykać i całować tak jak tego pragnę. Twoja całkiem malutka, malutka”.

[Dopisek na górze: „Gdybyś wiedział, do jakiego stopnia Cię Kocham, mój Boże!”]

Edith opowiadała później, że kontaktowała się ze sławną kobietą-medium, która oznajmiła jej: „Musi się pani widywać z Marcellem. Jest pani niezbędna dla jego życia. Jeśli nagle zerwie pani swój wpływ na niego, stanie się istotą zagubioną. Tak długo jak będzie pani przy nim, będzie zwyciężać”.

Dwudziestego szóstego sierpnia Marcel Cerdan ze swoją ekipą ląduje w Nowym Jorku, potem jadą na północ, do Loch Sheldrake, gdzie będzie trenować w odosobnieniu, w posiadłości braci Evans, którzy ofiarują mu komfortowy bungalow. Dookoła wspaniała, bujna i dzika przyroda, gęsty las. Po treningu spaceruje wśród wielkich drzew i ogarnia go tęsknota. Powraca myślami do magicznych chwil z Edith. Gdzie ona jest? Kiedy ją zobaczy? Poeci potrzebują muzy, żeby tworzyć wiersze. Czy bokser nie potrzebuje muzy dla dodania sobie sił?

Nie czekał zbyt długo. Nie skończył jeszcze kolejnego treningu, gdy zadzwonił telefon. To ona.

-Jestem w Nowym Jorku.

- Skąd masz ten numer telefonu?

- Nie denerwuj się. Przyjadę, wynajmę pokój w motelu niedaleko ciebie i będziemy się spotykać codziennie.

- W porządku, ale muszę to jakoś załatwić z panem Rouppem.

Edith wybiera się w nasze strony! Lucien Roupp oniemiał. Ale w gruncie rzeczy podziwiał tę drobną kobietę, która umiała być tak pokorna, gdy zapadały niekorzystne dla niej decyzje. Ku wielkiej radości Marcela, Roupp akceptuje sprawę, ale pod jednym

warunkiem: nikt nie może się dowiedzieć, że Edith będzie się z nim spotykać w trakcie obozu kondycyjnego. Zamieszka w pobliskim motelu pod obcym nazwiskiem i nie pokaże się publicznie. Nie ma mowy o romantycznych spacerach we dwoje polnymi ścieżkami, żadnych małych restauracyjek i wieczorów przy świeczkach. Wspólne posiłki będą składać się z sandwichów i hamburgerów, a całe dni spędzi przy drutach. Ale co tam! Grunt, że może być blisko Marcela.

Marcel powraca do formy. Wieczory w bungalowie Edith przeżywali w absolutnej niewinności, zajmowali się opowiadaniem różnych historii, jakie zdarzały się w tej niezwyklej sytuacji.

Wkrótce Edith wraca do Nowego Jorku na koncerty w kabarecie Versailles. Specjalny wysłannik „Le Figaro”, Felix Levitan, donosi:

„Od 14 września, odkąd Edith Piaf wróciła do Nowego Jorku, Versailles stał się bardzo modnym kabaretem. Stolik trzeba zamawiać z tygodniowym wyprzedzeniem, albo posiadać szalenie ważne nazwisko, by znaleźć się w budynku przy Pięćdziesiątej Ulicy, którego właściciele zbijają fortunę dzięki tej małej Francuzce obleczonej w czerń, o twarzy na zmianę tragicznej i uśmiechniętej. Podbiła całą Amerykę dzięki telewizji.

Trzy lata wcześniej amerykański debiut Edith Piaf zaskoczył nowojorczyków, dostarczając uczuć mieszanych, w ubiegłym roku zainteresowała ich. Tym razem po prostu oczarowała wszystkich. Ośmioma piosenkami (wśród nich »Hymnem do miłości«, którego Francuzi jeszcze nie znają, »Akordeonistą«, »La vie en rose« i »Monsieur Saint Pierre«) nasza rodaczka sprowokowała w premierowy wieczór pochlebne szeptu najbardziej surowych, wymagających krytyków. Earl Wilson napisał w »New York Post«: »Edith Piaf wystąpiła przed najbardziej elitarnym audytorium, jakie kiedykolwiek zebrano. Jest większa niż kiedykolwiek«. Inni wybitni koneserzy stwierdzają, że jest gwiazdą roku, że przerosła

Sarę Bernhardt, że podbiła Nowy Jork niczym huragan. Wśród artystów kabaretowych Piaf wyróżnia się osobistym czarem. Itd. Nic dziwnego, że przy takiej prasie Versailles osiąga z dnia na dzień najwspanialsze frekwencje od piętnastu lat istnienia”. Potem następuje długa lista wielkich nazwisk Hollywoodu, które zaszczyliły Versailles swoją obecnością.

Rytualny dzień ważenia zawodników 20 września, potem foto-reporterzy. Każdy żartuje, każdy myśli o swoim zwycięstwie. Marcel nie lubi tych momentów. Czuje się przygotowany, ma wszystko do wygrania lub do stracenia. Jest otoczony przyjaciółmi, samopoczucie świetne. Nazajutrz odwiedzi Edith w jej apartamencie 891 przy Park Avenue, stamtąd prosto udadzą się do Madison Square Garden.

W hali obecna jest cała kolonia francuska: brat Marcela, menedżerowie i przyjaciele Edith. Usiadła blisko ringu. Na wprost ukochanego, mężczyzny, którego po latach uwieczni jeszcze raz słowami: *Marcel Cerdan odmienił moje życie*. Rozstali się przed chwilą. On, gladiator nowych czasów, poskacze jeszcze, aby pobudzić poty. Ona udaje się na swoje miejsce i myśli o tych wszystkich, którym po tej walce Marcel odmieni życie.

W Paryżu gazety przypominają, że należy nastawić sobie budzik, jeśli ktoś chce słuchać radiowej transmisji walki w radio. Dla tysięcy paryżan ta nieprzespana noc zamieni się w noc pijaństwa, w dobrym i złym słowa znaczeniu. Każda okazja jest dobra. Po obydwu stronach Atlantyku napięcie wzrasta. Punktualnie o godzinie 21 czasu amerykańskiego uderzenie gongu. Cerdan rozpoczyna starcie dwoma potężnymi uderzeniami, które zaskakują imponująco umięśnionego Tony’ego Zale. Edith zamyka oczy i zaczyna się modlić. W drugiej rundzie Marcel atakuje regularnie, ale Amerykanin jest jak z granitu. Pięści Marokańczyka uderzają w ciało rywala pozornie bez skutku. Cerdan otrzymuje silny, bolesny cios w szczękę. Edith umiera ze strachu, wzywa Boga

i wszystkich świętych tego świata na pomoc. Robi tak zawsze, gdy Marcel jest w niebezpieczeństwie. Publiczność amerykańska wzmaga doping, widząc swego ulubieńca w stanie łaski! Edith ma jedynie swoje wątłe modlitwy do świętej Teresy od Dzieciątka Jezus, żeby się tym mocom przeciwstawić. Wzywa swoją świętą, by wspomniała, jak półtora miesiąca temu modliła się do niej w bazylice w Lisieux, tej znanej sobie od czasów dzieciństwa i cudu. Przeprowadziła nawet Marcela, by prosił świętą o pomoc. Jest przekonana, że obiecała mu zwycięstwo. W tym momencie Marcel wychodzi ze zwarcia. Gong. Marokańczyk nieco osłabiony siada w swoim narożniku.

W następnych rundach Cerdan atakuje nieustannie, Zale ogranicza się do defensywy. Publiczność wyje, dopinguje Amerykanina. Na próżno. Pod koniec jedenastej rundy Zale siania się i osuwa na liny. Po chwili sędzia Paul Cavalier ogłasza: Marcel Cerdan mistrzem świata wagi średniej. Tytuł powędrował z USA do Francji.

Marcel mistrzem świata! Edith krzyczy, skacze, ściska sąsiadów i sąsiadki z trybuny. Szaleje ze szczęścia. W tym czasie, otoczony tłumem gratulujących, Marcel wypatruje na widowni ukochanej kobiety. Nie widząc jej, rozsyła całusy na prawo i na lewo dla tysięcy widzów. Jest rozpromieniony. Osiągnął swój cel, spełniło się największe marzenie. Brat Armand płacze rzewnymi łzami. Inni także, tysiące kilometrów od Madison Square Garden, która stała się w jednej chwili legendą sportu Francji.

Mariette Cerdan wysyła telegram do męża: „Marcel, jesteś mistrzem świata, spełniło się twoje marzenie. Wróć do nas, przestań się włóczyć po świecie, przestań nas opuszczać dla przygody, rzuć ten okropny boks. Wróć do siebie, do Sidi Marouf, tu jest twoje miejsce, przy naszych dzieciach. Nie widują cię, rosną bez ciebie. Mamy pieniądze, niczego nam nie braknie. Nie potrzebujesz niczego więcej. Nasza przyszłość jest zabezpieczona. Twoja także. Możesz przerwać boksowanie teraz, natychmiast, jeśli tylko zechcesz?”.

Prawie w tej samej chwili, przy wejściu do szatni, Edith rzuca się w ramiona Marcela.

-Widzisz, Edith, jestem mistrzem, mistrzem świata!

- Byłam tego pewna, byłam zawsze pewna!

- W boksie nigdy nie można być pewnym zwycięstwa. Zresztą, nie wolno nawet mówić o tym, to przynosi pecha. Ty wiesz najlepiej, jaki jestem przesądny.

- Ale ja byłam spokojna, bo miałam podpisany kontrakt ze świętą Teresą.

-Jak to?

-Tak to. Już zapomniałeś?

- O czym ty mówisz?

- Przypomnij sobie - nalega Edith. - W sierpniu byliśmy w Lisieux, pamiętasz chyba. I właśnie wtedy prosiłam świętą Teresę, żeby się tobą zajęła. Powiedziałam jej, pamiętam dokładnie, jakby to było wczoraj: nie proszę o nic dla siebie. Przeciwnie, zostaw mi cierpienia i nieszczęścia. Zasłużyłam na nie. Ale jemu, przecież znasz jego wysiłki i poświęcenia, jemu, który oczekuje tej najważniejszej walki, błagam cię, daj mu zwycięstwo! Przypomniałam jej moją modlitwę podczas tej rundy, kiedy Zale tak boleśnie cię uderzył.

- Ach, to było to! Pamiętam dokładnie, poczułem coś takiego, jakby mi skrzydła wyrosły! - uśmiecha się Marcel.

- Żartujesz sobie ze mnie.

Edith nieco stropiona, przez cały czas tuli się mocno do swojego mistrza, który ucałował jej czoło.



# 10

Pod koniec września Marcel rozstaje się z Edith, która kontynuuje z ogromnym sukcesem występy w Versailles. Napisała tekst „Hymnu do miłości”, muzykę dostała od przyjaciółki Marguerite Monnot jeszcze w Paryżu. Muzykę tak piękną, że opisać się nie da.

- Och, Guite, w życiu nie miałam czegoś równie wzniosłego!

- Didi,, śpiewasz same piękne utwory.

- Owszem, sporo mam w repertuarze wspaniałych piosenek, chyba nawet pieśni raczej, ale to, co mi dzisiaj zagrałaś, zaparło mi dech. Jak myślisz, kto powinien napisać słowa?

- Didi, sama dokonaj wyboru, robisz to przecież bezbłędnie. Ile razy dokonywałaś poprawek w mojej muzyce, zawsze korzystnych! Okazuje się, że tego nie uczą w żadnych szkołach. Ty się z tym urodziłaś, moja droga.

- No dobrze, skoro mnie tak chwalisz: napiszę ten tekst. Nie wiem, jak mi to wyjdzie, ale zrobię to sama. To będzie pieśń o wielkiej miłości. O Marcelu i o mnie. Tak, na pewno nikt na świecie nie przeżył czegoś podobnego. Już wiem, tytuł będzie laki: Hymn do miłości.

- Chyba Hymn miłości - nieśmiało wtrąciła Guite.

- Nie, nie, to będzie Hymn do miłości. To całkiem co innego. Czuję, że wreszcie wyśpiewam całemu światu swoją miłość do Marcela.

Napisała jeszcze tej samej nocy:

*Niechaj w nas uderzy nieba skłon  
ziemi żar wciągnie w otchłań swą  
co mi tam, gdy twoja miłość  
starczy mi za cały świat  
póki świt w miłości blasku lśni  
ciało me w ramionach twoich śpi  
co mi tam świat, niebo z ziemią  
kiedy wiem, że jesteś ze mną!  
pójdę aż na świata koniec  
uczesanie zmienię sobie  
jeśli tego zechcesz ty  
skradnę z nieba księżyc, guńazdy  
ziemi wydrę wszelkie skarby  
jeśli tego zechcesz ty  
zdradzę nawet własny kraj  
rzucę wszystko to co naj  
jeśli tego zechcesz ty  
ludzie mogą szydzić lecz  
ja najgłupszą zrobię rzecz  
jeśli tego zechcesz ty!  
Niechaj dni przywdzieją nagle czerni  
z ramion mych cię wyrwie nagle śmierć  
co mi tam, bo moja miłość sprawi że odejdę też  
wtedy już na zawsze złączy nas  
piękny i nieustający blask  
powiedz czy tak będzie z nami  
powiedz czy my się kochamy*

Marguerite Monnot jest zachwycona.

-Wiesz, Didi, nikt by tego tak nie napisał! Cóż to za pieśń!  
Prawie oratorium! Ale powiem ci szczerze, z tą śmiercią to już  
przesadziłaś. Tak mi się wydaje.

- Nie zgadzam się z tobą. Przecież tak właśnie jest z Marcellem.

My możemy umrzeć tylko razem. Bez niego nie ma życia. Dlatego tak napisałam. To moje najszczerze wyznanie. Ach, jak Marcel to usłyszy! Zaczynam śpiewać „Hymn” dopiero w Nowym Jorku. Robert Chauvigny zaaranżuje go pięknie na orkiestrę. I musi być koniecznie chór, jak w oratorium.

Recitale w Versailles kończy teraz „Hymnem do miłości”. Ten utwór robi nadzwyczajne wrażenie, ale też Piaf śpiewa go z takim zaangażowaniem! Chwilami, przy słowach: „z ramion mych cię wyrwie nagle śmierć”, ogarnia ją lęk. Nie, nie, to się nigdy nie zdarzy.

Na razie sześć tygodni oczekiwania na Marcela, który w Europie i rodzimej Casablance zbiera żniwo swoich sukcesów. Telefонуje do Nowego Jorku, aby dzielić się z ukochaną wrażeniami. Daje im wyraz także w listach. Edith jest dumna ze swojego boksera, jego triumf jest także jej radością. Musi podziwiać Marcela, sprawiać mu przyjemność, bo to nie tylko jej największa miłość. On jest w pewnym stopniu jej dzieckiem. Zmieniła jego życie. Nauczyła go odkrywać światy, których nie znał. Radzi mu w najważniejszych sprawach. Po okresie wątpliwości, dzięki rozmowom z Edith, Marcel postanawia pozostać czynnym bokserem jeszcze przez jakiś czas. Nie czuje się zużyty. To zresztą jedyny sposób, aby nadal prowadzić podwójne życie. Cerdan nie chce wybierać między Edith i Marinette. One symbolizują dwa różne życia. Jedno z żoną i synami, którzy tworzą rodzinę marokańską, dawniej, teraz i z całą pewnością w przyszłości, kiedy wycofa się z profesji. Ale to również życie w izolacji, w wąskim kręgu rodzinnym, w kraju ojczystym. Inne jest życie u boku Edith, intensywne, pochłaniające bez reszty energię. Życie, które toczy się w zgoła odmiennym kręgu społecznym, w środowisku otwartym dla prasy, w świecie spektakli i kina. Te dwa życia nie mogą stać się jednym. Nigdy.

Boże Narodzenie Marcel spędza z rodziną w Maroku. Loulou Barrier zorganizował Edith z tej okazji koncert w Casablance. To-

talny triumf. Fetowano artystkę jak nigdzie. Potem spędziła ze swoją siostrą kilka godzin u państwa Cerdan na ich farmie w Sidi Marouf. Marcel pokazał jej swoje dominium z entuzjazmem młodego posiadacza. Jego ojciec przez całe życie sprzedawał mięso na małym straganie. Bokser zamierza tak rozwinąć hodowlę, żeby w najbliższej przyszłości zaopatrywać cały kraj. Razem z restauracją w Casablance stworzył już swoje imperium przedsiębiorcy. Ma teraz pokaźne dochody z reklamy, zamierza także zagrać w filmie, poświęconym swojej karierze. Zagra w nim siebie. Edith odradza mu. Wie na pewno, że twórcy tego filmu nie są w stanie stworzyć dzieła na przyzwoitym poziomie. Okaże się, że miała rację. Na razie, ponieważ Marcel zdecydował się zagrać, Edith udziela mu lekcji aktorstwa i dykcji. Przy okazji odkrywa przed nim świat dramatu. Od Moliera przechodzi do pisarstwa Rabelais'go, potem do Montaigne'a i wielkich filozofów XVIII wieku.

Ponieważ głos medium utwierdził Edith w przekonaniu, że jest Marcelowi niezbędna, stara się być przy nim, kiedy tylko czas jej pozwala. Kilka pierwszych miesięcy 1949 roku Edith Piaf śpiewa w Paryżu. Gdy ukochany przebywa w Maroku, przesyła mu listy bezpośrednio przez załogę samolotu do Casablanki, a Marcel za każdym razem wręcza tym ludziom swoje listy. Spotykają się w maju. Za kulisami music-hallu ABC Cerdan jest przyjmowany z należnymi honorami. Całymi dniami Edith jeździ po luksusowych magazynach, gdzie zamawia koszule na miarę z haftowanym monogramem MC. Kupuje mu krawaty według własnego gustu. Zakupuje właściwie wszystko, co personel eleganckich sklepów radzi. Po dwóch godzinach wychodzi z tuzinem koszul, stertą krawatów, rękawiczek, skarpetek, kamizelek i pasków do spodni. Gdy towarzyszy jej Marcel, wizyty w magazynach są znacznie krótsze i mniej obfite w nabytki. Inne są też miejsca zakupu materiałów na garnitury. Sławny krawiec Morenzi przychodzi robić miary do apartamentu artystki. Wszystko to sprawia Edith ogromną przyjemność.

- Kiedy kocham - mówi do przyjaciółki - zmieniam mojemu mężczyźnie wszystko. Jego samego też zmieniam, oczywiście do pewnego stopnia.

Marcel dostał od ukochanej cały złoty komplet od Cartiera: zegarek, zapalniczkę (choć nie pali!), spinki do mankietów, wieczne pióro. Kupiła mu nawet celuloidowe zabawki do wanny, jak dla dziecka.

Na skutek uporczywej infekcji w połowie maja Edith traci głos i musi odwołać koncerty. Ma wolne wieczory. Słuchają w salonie muzyki z płyt: Beethoven, Czajkowski, Mozart. Spotykają się z przyjaciółmi, należy do nich ostatnio Jean Gąbin, który dołączył do Jeana Cocteau i Maurice'a Chevaliera. Wszystko dzieje się jednak w cieniu oczekiwań na czerwcową walkę, którą Cerdan ma stoczyć z bardzo renomowanym zawodnikiem. Jest to Jake La Motta, a zawody odbędą się 16 czerwca 1949 roku w Ameryce. Marcel odlatuje do Nowego Jorku 19 maja w asyście menedżera oraz brata. Jake La Motta, Włoch urodzony w Nowym Jorku, znany z fatalnej reputacji i powiązań z mafią, a także z oszukańczych wyników walk, co nie wróży nic pomyślnego. Marcel Cerdan ma uzasadnione powody do obaw. Z powodu zadawnionych spraw z policją La Motte obowiązuje zakaz boksowania w Nowym Jorku, dlatego walka zostanie rozegrana w Detroit. Stadion Briggs wypełnia dwadzieścia pięć tysięcy widzów, ring ustawiono na środku murawy.

Publiczność amerykańska jest w siódmym niebie. Uwielbiają byka z Bronxu, który słynie bardziej z awanturnictwa niż sportowego boksu. La Motta od pierwszej chwili atakuje brutalnie. Jego ciosy są celne i bolesne, a rękawice robią wrażenie wypełnionych betonem. Po pierwszej rundzie Marcel siada ciężko w narożniku. Ma uszkodzony nos, prawy łuk brwiowy krwawi. Dalsze rundy przebiegają podobnie. Cerdan, mimo świetnej techniki, inkasuje liczne ciosy La Motty. Publiczność szaleje z radości. Walka jest brutalna, a faworyt Amerykanów w doskonałej formie. Klan francuzów traci nadzieję. Jo Longman proponuje Cerdanowi, by

się poddał, o czym mistrz świata nie chce nawet słyszeć. Lewe ramię jest nieruchome i zbolące. Pozostałe rundy służą jedynie do trzymania La Motta w dystansie, nie zawsze skutecznie.

Walka zostaje zakończona na skutek orzeczenia lekarza. Jake La Motta zostaje mistrzem świata. Nawet pobity, Marcel Cerdan pozostaje wielkim Cerdanem. Nikt nie ma wątpliwości, że stracił tytuł w fatalnych okolicznościach. Edith w Paryżu, Marinette w Maroku, obie toną we łzach i smutku, ale mogą być dumne ze swojego mężczyzny. Kariera zawodnika tej miary nie może się zakończyć tak nagle. Cerdan pragnie odwetu. Termin rewanżu wyznaczono na koniec roku 1949. Bokser przebywa w Casablance prawie cały październik. Z Marinette wszystko dobrze. Gra dużo w tenisa. Grywa z przyjaciółmi w karty, ale raczej dla towarzystwa i przyjemności. Trenuje trochę z bratankiem René, który zamierza iść w jego ślady. Tyle, jeśli chodzi o sport, niewiele, ponieważ głównie poświęca się rodzinie, dzieciom. Może z powodu wyrzutów sumienia? Ani przez chwilę nie przestaje myśleć o Edith, liczy dni i godziny do spotkania z nią. Zajmuje się także restauracją i kontroluje prace przy budowie willi, która powstaje na wzgórzach Anfa. Marcel i Marinette w ogóle nie poruszają tym razem tematu Edith i ewentualnego rozwodu. Sprawa ucichła, choć tylko pozornie.

Jest jeden kłopot: Jake La Motta robi wszystko, żeby opóźnić termin walki z Cerdanem, znak, że nie jest zbyt pewny siebie. A Marcel chce czym prędzej znaleźć się w Nowym Jorku, gdzie Edith śpiewa kolejną turę recitali w Versailles.

Wreszcie zapada decyzja: walka odbędzie się 2 grudnia. Święty termin dla Marcela, obywatela Francji: rocznica bitwy pod Austerlitz. Opowiada o tym Edith, z którą co dzień rozmawia telefonicznie. Gdy usłyszała datę walki, krzyknęła z radości.

- Musisz tu być dużo wcześniej!

- Oczywiście, potrzebuję co najmniej trzech tygodni na trening.

- Trzy tygodnie, gdzieś od dziesiątego listopada. Ale do tego dnia musisz być ze mną. Słuchaj, ja głupieję bez ciebie. Stałam się nieznośna, nikt nie może ze mną wytrzymać. Mają mnie dość i ja ich rozumiem. Ach, ten cholerny La Motta! To przez niego jesteśmy rozdzieleni tyle czasu. Mam nadzieję, że zemścisz się za to. Posłuchaj, Marcel, mógłbyś wylecieć jeszcze dzisiaj wieczorem i jutro byłbyś w Nowym Jorku.

-Jutro mam pokaz w cyrku w Troyes.

- Nie denerwuj mnie. Czy jesteś kłownem, żeby występować w cyrku? Nie możesz tego odwołać?

- Nie mogłem odmówić, to impreza charytatywna. Nie denerwuj się: jeśli nie dostanę biletu na Samolot, przybędę w pływ!

- Oczekuję cię na lotnisku.

W czwartek 27 października 1949 roku Marcel wsiada do samochodu przyjaciół, którzy wiozą go na Orly.

- Mamy dwie godziny czasu! Po co sterczeć na lotnisku?

- Z takim trudem dostałem to miejsce, wolę się nie spóźnić.

- Nie masz zbyt dużo czasu, to prawda. Przecież tam czekają na ciebie dziennikarze.

- Dajcie mu już spokój. Marcel nie znosi samolotów i lotnisk. Wolałby płynąć parowcem, ale tak mu pilno do Edith.

W hallu Orly dziennikarze i fotoreporterzy otaczają Marcela z entuzjazmem. Przepychanki, każdy chce mieć najlepsze ujęcie, zadać najciekawsze pytanie. Cerdan spokojnie podpisuje dziesiątki autografów, ścisnąc dłonie, i równocześnie odpowiada na liczne pytania.

- Tak, byłem mocno poturbowany podczas walki z La Mottą. Inaczej nie straciłbym tak głupio tytułu. Nie, nie zamierzam przegrać. Muszę odebrać to, co mi się należy. Chcę sprawić satysfakcję mojej drogiej publiczności we Francji i w Maroku. Dla nich właśnie pragnę odzyskać tytuł mistrza świata. Oczywiście, będę walczyć jak lew. Jestem w dobrej formie. Zdaniem mojego menedżera Jo Longmana, ważę trochę za mało, ale wystarczy kilka dni

z hot dogami i przybędzie mi szybko trzy kilogramy. Nie, nie czuję swojego wieku. Mam trzydzieści trzy lata, ale oszczędzałem się w czasie wojny. Chętnie pojechałbym wcześniej, nie mogłem. Musiałem poruszyć niebo i ziemię w Air France, żeby otrzymać miejsce w dzisiejszym samolocie.

Jest jeszcze jedna sławna pasażerka, skrzypaczka Ginette Neveu, która mimo młodego wieku zdobyła światową renomę.

- Czy można powiedzieć, że Ginette Neveu jest Cerdanem skrzypiec?

- Niekoniecznie..

Wspólne fotografie dwojga gwiazd - Ginette ze swoim stradivariusem, Cerdan z rękawicami bokserskimi. Bardzo ciepło, ale ostrzegawczo, prosi fotoreporterów o sensowne podpisy pod fotosami.

- Nie, wcale nie żartuję. Ostatnio byłem fotografowany ze sławną kobietą i prasa sugerowała, że mam z nią dziecko. To była Simone Signoret, z którą odbywałem podróż przez Atlantyk.

Cerdan zaprasza wszystkich do baru na szampana. Mężczyzna w mundurze Air France odmawia.

-Jean de la Noue, kapitan samolotu. Mam honor przebyć dzisiaj z panem Atlantyk. Spotkamy się niebawem na pokładzie.

Kapitan de la Noue ma lat trzydzieści siedem i świetną opinię. W ciągu dwóch lat pokonał samolotami trasę Paryż-Nowy Jork ponad sto razy. Maszyna Constellation, lot FBA-ZN, startuje z lotniska Orly o godzinie 20.54 w kierunku Azorów, gdzie ma międzylądowanie. Na pokładzie jest 48 pasażerów.

Na scenie Versailles Edith śpiewa jak w transie. Pełna euforii myśli o spotkaniu z Marcellem, już niebawem, za kilkanaście godzin. Nareszcie. Wydawało jej się przez te tygodnie, że uschnie z tęsknoty. Nie, to nie może tak dalej trwać. Po walce z La Mottą trzeba sprawę uregulować. „No tak, zawsze do tego powracam, a potem, kiedy widzę oczy Marcela przepelnione rozpaczą na myśl o dzieciach, mięknę jak wosk. Jak to jest, przecież inne kobiety w podobnych sytuacjach potrafią postawić na swoim. Czyja zwariowałam, czy istnieje podobna sytuacja? Nie ma takiej i nie będzie”



Jeszcze po szklaneczce szampana z muzykami i Edith wraca do domu. Dała się przekonać: nie pojedzie po Marcela na lotnisko, to zbyt wcześnie - dziesiąta rano. Położy się dzisiaj wcześnie spać, tak rzadko się to zdarza. „Muszę jutro wyglądać olśniewająco. Pomodłę się do świętej Teresy o szczęśliwą podróż Marcela”.

W czasie gdy śpiewała „Hymn do miłości”, służba naziemna na Azorach traci radiowy kontakt z samolotem Constellation. Marcel Cerdan w ogóle nie lubi samolotów. Kołysanie i wstrząsy powodowane przez turbulencję wprawiają go w stan niepokoju. Zdecydowanie woli majestatyczny rytm wielkich transatlantyków, nowoczesnych i wygodnych. Poprzednio, gdy leciał na walkę z Tonym Zale, samolot lądował awaryjnie z powodu złej pogody. Portugalskie pismo „Mundo Desportivo” dwa lata wcześniej ogłosiło śmierć Marcela Cerdan w katastrofie lotniczej. Dla kogoś tak przesądnego to stanowczo zbyt wiele. A ostatnio, w filmie *Mężczyzna o żelaznych pięściach*, zagrał swoją własną, przypadkową śmierć. To ujęcie niebawem obiegnie cały świat. Mogło być równie dobrze zdjęciem z miejsca katastrofy.

Komunikaty radiowe, depesze agencyjne, wydania specjalne. Wiść o katastrofie wnet dotarła do wszystkich wielbicieli boksu oraz muzyki skrzypcowej. Nowy Jork także poznał feralną wiadomość. Edith Piaf śpi. Pokojówka Geneviève telefonowała na lotnisko La Guardia i wie o wszystkim, tym bardziej nie chce budzić swojej pani.

O godzinie czternastej, trzaskając drzwiami sypialni, Edith wpada jak furia do salonu. Włosy zmierzwiłone, nie dopięty szlafrok. W salonie zdenerwowany Loulou Barrier i pianista Robert Chauvigny.

- Co wy sobie wyobrażacie! Jak ja wyglądam! Gdzie Marcel?
- Musisz być odważna, Edith...
- Gdzie on jest?
- Nikt nie wie. Jego samolot zaginął.
- Co to znaczy?

- Nie wylądował.
- Widzieliście samolot punktualnie lądujący?
- Samolot odnaleziono na Azorach.
- Chyba żartujecie.
- Bardzo byśmy chcieli.

-Ale przecież nikt nie wie... Marcel na pewno przeżył! Muszą nas informować na bieżąco.

- Będą telefonować z nowymi wiadomościami.

- Marcel zawsze wychodzi cało z każdej opresji! Wiem to na pewno!

Wkrótce wiadomo na pewno, że zidentyfikowano ciało Cerdana dzięki zegarkom na każdym z przegubów: jeden wskazywał czas paryski, drugi nowojorski.

Edith chodzi nerwowo z pokoju do pokoju. Siada, wstaje, znowu siada. Uderza pięścią o poręczę foteli. Pije wodę, łyka tabletki na uspokojenie. Powtarza: Marcel, Marcel... Dlaczego on wszedł do tego samolotu? Sama go o to prosiłam. Boże, Boże, to moja wina.

Wokół niej najbliżsi przyjaciele, nie odchodzą na krok, pilnują, gdy podchodzi do okien.

Przyjechał dyrektor Versailles, Nicholas Prounis.

- Załatwię wszystko z dzisiejszym wieczorem, Edith. Ludzie rozumieją, cały Nowy Jork zrozumie. Odpocznij, musisz odpocząć.

Edith zastanawia się przez chwilę.

- Dziękuję ci, Nicholas. To ładnie z twojej strony. Aleja zaśpiewam dzisiaj dla Marcela. Jestem mu to winna.

- Rzeczywiście chcesz tego? Zapewniam cię, nie musisz się czuć zobowiązana.

- Będzie jak postanowiłam. Najlepsze, jedyne co mogę dzisiaj zrobić, to śpiewać. W ten sposób on wróci do mnie.

Zachwiała się.

- Ona nic nie jadła dzisiaj. Zjedz cokolwiek!

- Dobrego sandwicza z pastrami.
- Naprawdę?
- Z Marcelem, w tym sklepiku za rogiem. Żartuję, nie jestem w stanie nic przelknąć.
- Nie możesz śpiewać z pustym żołądkiem.
- Masz rację. Zrób mi trochę zupy jarzynowej. A potem poćwi-czymy, dobrze, Robercie? Zagraj mi coś, proszę. Co ci przyjdzie do głowy. Może być Czajkowski, Beethoven. Tylko nie marsz ża-łobny!

W Versailles frekwencja bije wszelkie rekordy. Do posiadaczy miejsc dołączyły hordy dziennikarzy żądnych sensacji, ale artystka nie udziela żadnych wywiadów. Jest pilnie strzeżona przez Lolou Barriera i jego pomocników. Wyczerpana, u kresu sił, trzyma się na nogach dzięki zastrzykowi, który zaaplikował jej lekarz. Czy jest lekarstwo na takie nieszczęście? Edith funkcjonuje tylko dlatego, że nadal nie przyjmuje do wiadomości śmierci Marcela.

Akordeon z fortepianem grają wstęp do „La vie en rose”. Edith wynurza się z ciemności w krąg światła reflektorów. Jej twarz wydaje się bledsza niż zwykle. Ucisza jednym gestem owacje. Cisza. Jej głos brzmi dziwnie obco.

- Dzisiaj zaśpiewam dla Marcela Cerdana. Śpiewam tylko dla niego.

Chauvigny i Morel podejmują melodię, obaj ze łzami w oczach. Światła przygasają. Edith wyciąga ręce, jakby za chwilę miała objąć ukochanego. Rozpoczyna śpiew głosem delikatniejszym niż kiedykolwiek, z niebywałą słodyczą, na granicy szeptu. Jakby znalazła się tylko z nim. We dwoje. Podobnie wykonuje pozostałe tytuły. Szósty to „Hymn do miłości”. Nie wiedziała, pisząc ten tekst, że okaże się proroczy.

*Niechaj dni przywdzieją nagle czerń  
z ramion mych cię wyrwie nagle śmierć  
co mi tam, ho moja miłość sprawi że odejdę też*

*wtedy już na zawsze złączy nas  
piękny i nieustający blask (...)*

Życie i sztuka stapiają się w jedność. Powoli zaczyna rozumieć, że nigdy już nie zobaczy Marcela. Nigdy. Przestaje śpiewać. Opiera się o fortepian, błagalnym wzrokiem patrzy na Roberta Chauvigny, który zrywa się gwałtownie. Edith osuwa się w jego ramiona.

„Tak, kochałam Cerdana - wspomina Edith Piaf w memuarach *Ma vie*. - Wielbiłam go jak Boga. Dla niego robiłam wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby żył, żeby świat wiedział, jaki jest niezwykły i wartościowy. Całemu światu oznajmiłabym najchętniej: Marcel Cerdan odmienił moje życie. Zanim go spotkałam, byłam niczym. O, przepraszam, byłam sławną śpiewaczką, nawet bardzo sławną, poza tym jednak kobietą bez cienia nadziei. Myślałam, że życie nie ma sensu, że wszyscy mężczyźni to zwierzęta, a najlepsze, co mogę robić, to śmiać się, pić, robić głupstwa i umrzeć wreszcie. Im prędzej, tym lepiej.

Wcześniej tylko Raymond Asso pokazał mi inne życie, ale zdradziłam go. Był nie dość silny, żeby zatrzymać mnie przy sobie. Szczerze mówiąc, nie kochałam go wcale, skoro nie wezwałam jego pomocy. Marcel uczył mnie na nowo życia. Oczyszczył mnie z gorczy i wątpliwości, które zatruwały moją duszę i ciało. Odkrył mi, że istnieje dobroć, szlachetność i delikatność. Świat stał się od razu jaśniejszy. Wielu przyjaciół pytało: jak możesz kochać boksera! To brutalna bestia. A ten brutal mógłby wielu z nich nauczyć wrażliwości. Zauważcie, że nawet ja nieprędkiem odkryłam jego tajemnice, mam na myśli pomoc, jakiej dyskretnie udzielał innym. Był bogaty, sławny, uwielbiany. Najmniej myślał o sobie. Niejedną swoją gażę ofiarował na cele dobroczynne. Kiedyś tak było z domem opieki dla dzieci chorych na gruźlicę. Zatelegrafowałam z Nowego Jorku: »Czemu to robisz? A co będzie z tobą, kiedy zaczniesz przegrywać? Kto się o ciebie zatroszczy?«. W długim liście

wyjaśniał: »Odwiedziłem te małe biedactwa, poczułem dotyk ich rączek. Pomyślałem: jak to cudownie być komuś potrzebnym! (...). To, co ty ludziom dajesz, Edith, jest lepsze od mojego sportu, powtarzał. Dajesz im radość i szczęście«. Ja lepsza od niego? To był najpiękniejszy komplement, jaki usłyszałam od mężczyzny. Komplement, na który na pewno nie zasłużyłam. Kiedy opowiadam o Marcelu, wydaję się sobie lepsza niż jestem. Był szlachetniejszy od wszystkich mężczyzn. Przy nim nawet niemożliwe stawało się możliwe. (...)

Tamtego wieczoru w Versailles powiedziałam, że śpiewam tylko dla niego. Być może uratowało mnie to przed samobójstwem. Nie powiem, żeby wszystko, co robiłam później, było lepsze... Ale nasze życie nie należy do nas. Odwaga polega na tym, żeby iść swoim życiem do samego końca. Od tamtej chwili Marcel nie zostawił mnie nigdy samej. Gdy miewam wątpliwości, zadaję sobie pytanie: co zrobiłby na moim miejscu Marcel?

Sceptycy sprawiają mi przykrość. Możecie śmiać się ze mnie, ale od czasu śmierci Marcela wierzę w spirytyzm. Chcecie dowodów? Siadłam kiedyś przy stoliku wywołującym osoby z innych światów i spytałam, czy mogę spodziewać się odrobiny radości w moim utrapieniu. Było to 17 lutego, ponad dwa miesiące od śmierci Marcela. Stolik odpowiedział: tak. Dwie godziny później posłaniec przyniósł telegram: »Edith, proszę przyjechać do Casablanki. Musimy się spotkać - Marinette«.

Najbliższym samolotem udałam się do Maroka. Marinette oczekiwała mnie na lotnisku. Padłyśmy sobie w ramiona.

-Jeśli mogę ci pomóc w czymkolwiek, Marinette, jeśli jestem w stanie zastąpić ci Marcela w jakimś stopniu, jeśli mogę ci się przydać - jestem do twojej dyspozycji. I będę zawsze.

Życie nabrało na nowo sensu. Niebawem zajęłam się najstarszym synem Marcela. Jeśli ktoś mnie nie rozumie, to znaczy, że nigdy nie kochał i nie stracił ukochanej osoby tak tragicznie. Marcel przemienił nas obie - Marinette i mnie”.

Prasa światowa pisze: „Lecąc po zwycięstwo, spotkał śmierć”. Renomowane pismo sportowe „l'Equipe”, piórem Jacques'a Godeta zamieszcza na pierwszej stronie nazajutrz po katastrofie wspomnienie:

„Wszystko już wiadomo, ale uwierzyć będzie można znacznie później. Marcel Cerdan nigdy nie upadał. Był zwycięzcą, nawet gdy przegrywał. Każda publiczność, na całym świecie, składała mu hołd za jego elegancję. A kiedy wygrywał, w jakim stylu wygrywał.

Był samym życiem. W jego cielesności, mięśniach, we wszystkich przejawach jego jestestwa, pod pozorami chłodnego spokoju kryła się natura szeroka, wspaniałomyślna, lojalna, ufna. Przyszłość swoją widział jasno i klarownie. Można powiedzieć, że nie ma nic bardziej doskonałego i niezwykłego zarazem jak życie ludzkie, które zdaniem Jeana Giraudoux, jest spełniane pomiędzy otchłanią, jaka dzieli narodziny od śmierci. Marcel Cerdan, urodzony w skromnej rodzinie marokańskiej, zginął w absolutnej glorii. Zdażył doskonale wypełnić swoje stanowczo zbyt krótkie życie”.

Strata Marcela to początek całkowitej utraty równowagi Piaf. Wszystkie nieszczęścia, o których śpiewała, nagle stają się rzeczywistością. Przed Marcelem sama prowokowała dramaty, zerwania, sceny. Były jej potrzebne jak chleb powszedni, jak powietrze. Wzbogacały jej sztukę. Śmierć Cerdana staje się punktem zwrotnym. Odtąd artystka żyje w stanie bliskim obłąd, świadomie zmierza do kresu. Można zaryzykować twierdzenie, że idylla Piaf-Cerdan dlatego pozostała nieskazitelna w legendzie życia gwiazdy, ponieważ tragiczne fatum urwało ją w apogeum. A gdyby przeznaczenie zrządziło inaczej? Czy Cerdan nie podzieliłby losu swoich poprzedników i następców, porzuconych przez zaborczą i okrutną w swoich poczynaniach kobietę?

Oddajmy jej sprawiedliwość. Marcel był w życiu Piaf jedynym mężczyzną dorównującym jej, a może nawet przewyższającym ją sławą i majątkiem. Pierwszym, któremu nie musiała pomagać, który niczego jej nie zawdzięczał. Każde z nich posiadało własną, niezależną pozycję, co zapewniało obojgu psychiczną równowagę. Miało to ogromne znaczenie, zwłaszcza dla Piaf. Jedynie Cerdan sprawił, że jej profesjonalne sprawy zeszły przez dwa lata na dalszy plan. Wzajemna fascynacja trwała niczym nie zmacona. Wydaje się nawet, że niemożność oficjalnego zalegalizowania związku dodawała mu zarówno mocy, jak i atrakcyjności. Mieli czyste natury wiecznych dzieci, co sprawiało, iż podziwiali wzajemnie swoją pracę, sukcesy, swoje widownie.

Po śmierci Marcela w śpiewie Piaf zabrzmiał nowy element: pełna tragizmu determinacja. W „La belle histoire d’amour” (Pięknej historii miłości) znowu uwiecznia swoje uczucia.

*już nie zapomnę, nie  
jak kochaliśmy się  
biegnąc razem co tchu  
przez tę miłość ze snu...*

Piaf coraz częściej powtarza: *śmierć nie istnieje*, albo: *śmierć to początek czegoś innego*. Popada w mistycyzm. Podpiera się wywoływaniem duchów, wzmacnia się i ratuje, w swoim pojęciu, alkoholem i całym mnóstwem środków uspokajających, po których musi brać inne, pobudzające, co doprowadza organizm do całkowitej ruiny. Zajmuje się także okultyzmem. Zwierza się z tych spraw w autobiografii *Ma vie*:

„Jak nisko upadłam, nie miał nikt wątpliwości. Pół roku po śmierci Marcela zeszałam na samo dno. Wmówiłam sobie w tym czasie, że Marcel nie opuścił mnie, że z innego świata kieruje mną i ochrania. Mówiłam sobie także, iż muszę być dzielna, tak

jak mu zawsze przyrzekałam. Ale nie dotrzymałam słowa. Wszystko, co niegdyś niedobrego przeżyłam, było niczym w porównaniu z piekłem, jakie teraz stało się moim udziałem. Być może narkotyki podkopały moje zdrowie. Nie jest wykluczone, że umrę przedwcześnie, nawet jeśli powiedzie się kolejna kuracja odwykowa. Przez cztery lata żyłam jak szalona, nie istniało nic poza chwilą, kiedy wbijałam w siebie igłę strzykawki, by uwolnić się od bólu. Moi przyjaciele byli świadkami, jak z pianą na ustach żebrałam o dozę morfiny. Widzieli także, jak za kulisami w panice wbijałam igłę w udo poprzez sukienkę, bo nie byłam w stanie wystąpić bez kolejnej porcji. Mimo wszystko za nic na świecie nie przestałabym śpiewać. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Nawet przed samą śmiercią będę myśleć o swoich piosenkach. Gdybym mogła dokonać wyboru, z rozkoszą umarłabym na scenie, aby tam pozostać.

Nienawidzę tych czasów, kiedy byłam bezwolna wobec swojego głodu alkoholu i narkotyków i ostrzegam przed takimi środkami wszystkich tych, którzy szukają w nich zapomnienia. Nie byłam świadoma tego, co mnie czeka, kiedy wstrzykiwałam sobie pierwszą dawkę”.

Bezsensowność dochodzi do zenitu. O jedzeniu nie ma mowy. Próbuje chwilami walczyć. Zdarzają się dni, kiedy postanawia dźwignąć się z depresji. Kupuje wtedy nowy zeszytyk w kratkę i pisze: „Od dnia dzisiejszego rozpoczynam nowe życie”. Dobre chęci nie trwają jednak dłużej niż jeden dzień. O zmroku myśli już o tym, że trzeba porozmawiać z Marcelem przy pomocy zaklętego stolika. Ta ponura i groteskowa historia rozpoczęła się po rozmowie telefonicznej z panią Neveu, matką skrzypaczki Ginette, która zginęła w tej samej katastrofie. Zrozpaczona, na wpół obłąkana po utracie córki kobieta wdała się w konszachty z jasnowidzami, magami. Powiedziała Edith, że udało się jej przy pomocy stolika skomunikować z przebywającą w zaświatach Ginette.



Od tamtej chwili Edith cierpi na idée fixe: musi za wszelką cenę porozumiewać się z Marcelem. Podczas koncertów jej osobisty zastarowany stolik znajduje się za kulisami, by artystka mogła przynajmniej na chwilę położyć na nim dłonie. Stolik zastępuje teraz świeczki zapalane dawniej dla świętej Teresy. W szaleńczej mieszaninie bólu i poczucia winy stolik staje się doradcą we wszystkim, nawet w sprawach finansowych. Stolik jednak jest okrutny wobec Edith. Zarzuca jej skąpstwo, a porady finansowe w tajemniczy sposób wspomagają stale te same osoby. Stolik troszczy się także o zdrowie gwiazdy. Marcel nakazuje ukochanej, że powinna jeść.

Żeby zmazać swoje winy wobec żyjących, Piaf opiekuje się wdową Cerdan i dziećmi Marcela. To właściwie zbyteczne, bo dawno zadbał o solidne zabezpieczenie rodziny. Rzecz polega raczej na gestach, których artystka pragnie, których sama dla siebie potrzebuje.

Marinette Cerdan przebywa w Paryżu jako gość Piaf, oprowadzana przez nią po salonach fryzjerskich, wielkich domach mody, poznawana z jej przyjaciółmi. Artystka ofiarowuje Marinette futro, które otrzymała od jej męża. Wdowę jednak bardziej od tych wspaniałości interesują wielbiciele gwiazdy, której natura była tak przekorna. Kobiety zazdrościły jej sławy, a Edith pragnęła mężczyzn, należących do innych. Gdy Marinette Cerdan zachowuje się już nazbyt wyzywająco i zuchwale, Edith, która szczerze liczyła na wspólne opłakiwanie ukochanego mężczyzny, odsyła ją czym prędzej do Casablanki i kończy definitywnie znajomość.

Dopiero śmierć Marcela Cerdana pozwala ujawnić światu wielką miłość, jaka ich łączyła. Staje się to niezamierzoną reklamą. Publiczność jeszcze tłumniej przychodzi na występy Piaf, jakby odejście Marcela dodało jej sławie blasku. W gazetach pisał: „Przynosiła mu same nieszczęścia; przez nią tracił tytuły, przegrywał walki”. Każdy chciał się przyjrzeć bliżej tej demonicznej istocie. Piaf stała si *a femme fatale* w pełnym słowa znaczeniu.

Upływający czas nie umniejsza jej miłości do człowieka, który jest już tylko cieniem. Nie przestaje o nim obsesyjnie myśleć. W tym czasie jej sztuka osiąga szczyty. Ma przed sobą czternaście lat życia.

# 11

Pozostała w Nowym Jorku jeszcze kilka miesięcy. Nikt przedtem ani potem nie podpisał tak długich kontraktów, jak Edith Piaf w Versailles. Zmieniła obyczaje. Przyjeżdża na swój recital w ostatniej chwili, przedtem Loulou Barrier telefonuje, że artystka przybędzie za pięć minut. Od tej chwili orkiestra taneczna przestaje grać. Wchodzi na scenę w absolutnej ciszy, ta tradycja panuje od czasu recitalu, który śpiewała dla Marcela. Wykonuje dziesięć piosenek, towarzyszy jej fortepian i akordeon, czasami niewielki chórek. Przed każdą piosenką sama opowiada publiczności, o czym będzie mowa w kolejnej. Ulubioną pozycją stała się ostatnio „Mon amour, je te retrouverai dans l'éternité” (Mój kochany, odnajdę cię w wieczności). Słowa napisała sama, muzykę skomponował młody Amerykanin. To powolny blues. Śpiewa nieruchoma, kończy, ukrywając twarz w dłoniach. Kiedy publiczność domaga się, chętnie śpiewa ten utwór jeszcze raz. Nigdy przedtem nie bisowała. Po zakończeniu recitalu wraca natychmiast do siebie.

Po gigantycznym sukcesie w słynnej nowojorskiej sali koncertowej Carnegie Hall Piaf wraca do Paryża. Zmęczona nieustanną mobilizacją codziennych występów w Versailles, popada w zbytne odprężenie, co osłabia jej i tak nadwątłony organizm. Jedyne ratunek to wielkie, odpowiedzialne recitale w sali Pleyel, które śpiewa 14, 16 i 18 marca. Premiera. Ogromna sala wypełniona do ostatniego miejsca. Nazajutrz Jean Antoine w „Paris Presse” informuje:

„To nie kobieta, to Bóg! - szepnęła kobieta siedząca rząd przede mną. To już nie jest recital Edith Piaf. Ona sama, na tle wielkiej kotary, prezentuje cały spektakl, daje życie kolejnym heroinom swoich piosenek. Cała cierpiąca ludzkość wyraża się w jej pięknej twarzy. Oczy chwilami we łzach pod bladym, wysokim czołem. Czy można się na moment zastanowić, jak ona śpiewa: dobrze, czy źle? Nie ma mowy. Publiczność cierpi fizycznie razem z nią. Gdy wykonuje niewielki gest dłonią, by musnąć kosmyk włosów, kobiety na widowni drżą, a mężczyźni gwałtownie zmieniają pozycję w fotelu, by ukryć wzruszenie.

Każdy jej powrót z Ameryki zadziwia nas tymi samymi refrenami. Dajemy się ponieść, szczęśliwi, że znowu jest z nami. Doskonała w każdym detalu. Nie ma recitalu tak bezbłędnie skomponowanego jak ten, który zaprezentowała wczoraj dla trzech tysięcy słuchaczy. Orkiestracje, grane za kotarą przez zespół muzyczny Roberta Chauvigny, są bez zarzutu. Każda piosenka na właściwym miejscu, wejścia, zejścia, fermaty, dyskretne oświetlenie, zwyczajna suknia, zarazem skromna i wykwinna, wszystko jest bezbłędne. Perfekcja.

Edith Piaf ma cechy geniusza. Pozwala nam zapomnieć, że po powrocie z krainy dolara akordeonista z jej piosenki może teraz jeździć cadillakiem. Mimo triumfów w nowojorskim Versailles, artystka zachowała pokorę pensjonariuszki Hotel du Nord. Takiej owacji nie miał w tej sali nikt, nawet ona przed laty.

Śpiewa dwadzieścia piosenek, z których siedemnaście to przeboje, pozostałe trzy będą nimi jutro. Na widowni jej główni twórcy - Marguerite Monnot, Michel Emer i Henri Contet, których poprosiła na scenę. Napisali dla niej czternaście piosenek, które słyszeliśmy w tym recitalu.

W sali Pleyel byli wczoraj wszyscy: przyjaciele, branża, snobi, krytycy - bezradni wobec perfekcji bohaterki wieczoru. I ogromna publiczność, która w najwyższym skupieniu, w ciszy bolesnej i ciężkiej, słuchała jej spiżowego głosu. Maurice Chevalier w nie-

nagannym smokingu szepnął wzruszony: idę ją uściskać. W ma-lutkiej garderobie, gdzie Piaf tonęła w powodzi kwiatów, zrobił czule to, co zapowiedział, i co chętnie uczyniłby każdy z trzech ty-sięcy uczestników niezwykłego koncertu”.

W „Combat” z 15 marca 1950 roku Jean-François Noël traktu-je wydarzenie bardziej poetycko:

„Edith Piaf to upadek anioła, w całej nędzy i zarazem ogromie. Ona uosabia istoty bez dowodu tożsamości, wyciera kurze nędzy, a także popioły, którymi Kościół znaczy ich czoła raz w roku. Raz w roku tańczy nam swojego walca. Jej historia jest zwyczajna: dzieli się miłością, dochodzi do śmierci. To historia każdej dziew-czyny prostej, urodzonej z przemocy, nienawiści albo z przypad-ku. Serca takich dziewczyn budzą się wcześniej, umierają równie szybko, bo kochały swoje chimery wśród obojętności”.

Tu autor wylicza dziesiątki postaci z wielkich dzieł literatury i sztuki, uosabiające odwieczne cierpienia dziewczyn, młodych kobiet.

„Wszystko to znamy i rozumiemy, odczuwamy, ale nigdy nie zapomnimy Edith Piaf z bladym obliczem, rozpaczliwie wykrzy-kującą swój ból za utraconym akordeonistą. To krzyk wszystkich dziewczyn świata, tych z przeszłości, dzisiejszych i tych, które na-staną. Krzyk świata do obojętnego Boga”.

Bała się tego recitalu. To nie kwestia tremy. Przywykła do niej. Trema jest nieodłącznym, wiernym towarzyszem artystów. Go-rzej, gdy tej tremy brak. Wtedy może sparaliżować nagle na sce-nie, odbierając głos, oddech, wprawić w drżenie ręce i nogi. Zda-rzyło się tak kilka razy, ale z powodu złej formy fizycznej. I tego się właśnie obawiała. Recital wymaga kondycji sportowca - tu znowu przypomina sobie Marcela i jego żelazną dyscyplinę, o której może jedynie marzyć. Dzięki Bogu, już po wszystkim. Nie spodziewała się nawet, że będzie w takiej formie.

Po powrocie z Ameryki nie jest w stanie mieszkać w wielkiej



willi w Boulogne. Wszystko tutaj kojarzy się z Marcelem. W ogromnym pokoju przeznaczonym na salę treningową pozostały jego rękawice, szlafrok, tenisówki, ciężarki, hantle. Mnóstwo sprzętu. Tak jak za jego życia. Nie zamierza tego zmieniać, nawet ruszać. Na wszystkich przedmiotach pozostały ślady jego dłoni. Wchodzi od czasu do czasu w ten lekki nieład. Gdy znalazła się tu sama po powrocie z Ameryki, wydawało się przez chwilę, że wszystko było koszmarnym snem, z którego obudzi się szczęśliwa. Za chwilę wejdzie Marcel i powie: *ça va, Didil*

Przez kilka tygodni poprzedzających recital w sali Pleyel, mieszka w hotelu rezydencjalnym Claridge przy Polach Elizejskich. Początkowo czuje się tutaj wspaniale. Personel traktuje ją z należytym szacunkiem, przesadnie nawet. Mili, serdeczni, gotowi na każde wezwanie. Rozpacz i samotność sprawiają, że powraca z różnych bankietów w stanie godnym pożałowania. W Claridge wszyscy udają, że tego nie widzą, że nic się nie stało, ale kilkakrot-

nie przy pomocy alkoholu i środków farmaceutycznych artystka doprowadza się do stanów bliskich delirium. Lou Barrier musi wzywać lekarzy. Piaf wstydzi się potem bardzo, nie można jednak odwołać tego, co się stało.

Postanowiła wrócić do siebie, do Boulogne. W Claridge wszyscy odetchnęli z ulgą. Przy całym uznaniu dla wielkiej artystki trzeba przyznać, że nie była łatwym gościem.

Szofer Emil wiezie milczącą Edith do domu. Po wyjściu z samochodu Piaf patrzy na okazałą budowlę w stylu dyrektoriatu. Nie czuje się właścicielką tej ogromnej willi. W świetle księżyca ozdobne kolumny czynią dom jeszcze bardziej obcym. Kupiła go rok temu, gdy doszli z Marcellem do wniosku, że muszą mieszkać we własnym, a nie w kolejnych, wynajętych mieszkaniach. Gdy po raz pierwszy oglądali tę rezydencję, w ich oczach błyszczał zachwyty. Nareszcie ich miłość zyska stosowną oprawę.

Wybitna dziennikarka Françoise Giroud opisuje postać Piaf:

„W dziwnej budowli, pozbawionej mebli i pełnej przypadkowych osób, telefon dzwoni nieustannie. »Nie ma mnie!« - krzyczy artystka.

Ten, kto znajduje się najbliżej aparatu, podnosi słuchawkę i szepcze swoje imię. Kończy się zwykle tym, że Edith odpowiada swoim głosem chropawym, ponieważ nigdy nie umie powiedzieć nie, zamknąć swoich drzwi, zamknąć swojego serca ani portfela.

Bywają ludzie, których nie sposób traktować poważnie. Jej nie można traktować inaczej niż tragicznie, w pełni dramatu. A przecież potrafi być wesoła, zabawna i nawet jeśli nie bardzo umie się śmiać po śmierci Cerdana, robi wszystko, żeby ten śmiech brzmiał w miarę szczerze.

Piaf, wielka melancholiczka, blada i delikatna? Ależ nie. To dziecko Paryża, silnie stojące na swoich szczupłych nogach, istota niezmordowana, z wiecznie zatroskaną miną i zapadniętymi policzkami, pogodna, o oczach koloru mgły. To nie jej wina, że promieniuje ciemnym blaskiem nędzy, że łatwiej wyobrazić ją sobie

na szpitalnym łóżku niż w atlasie małżeńskiego łoża. Jest naznaczona wszelkimi stygmatami nieszczęścia.

A przecież robi wszystko, by wydobyć się z otaczających ją cieni. Ubiera się w słynnych domach mody, nosi norki, fryzuje swoje niesforne włosy, mieszka w Lasku Bulońskim, ma kucharza Chińczyka i czytuje Homera. Lecz jej norki wyglądają jak króliki, u fryzowane loki nadają jej wygląd zbitego chłopca, a wielka willa robi wrażenie dekoracji ustawionej w ubogim teatrze. Z pewnością zniknie za chwilę na znak technika. Chiński kucharz wydaje się jedynie statystą, a Homer poucza, że dziewięć wieków przed Chrystusem poeci też śpiewali o cierpieniu. Tak jak ona.

Gdyby starczyło jej odwagi, porzuciłaby swoją słynną małą, czarną sukienkę i okryła się pajetami. Zastanawia się chwilami, co by się stało, gdyby w dniu, kiedy kupowała swoją pierwszą suknię na scenę, w sklepie zaproponowano jej czerwoną albo błękitną. Zapewne wybrałaby mniej kosztowną i jaśniejszą, bardziej pogodną.

Nie lubuje się w nieszczęściu. To nieszczęście gustuje w niej, i jeśli zawdzięcza temu swoją pozycję najlepiej opłacanej gwiazdy świata, nieszczęście wystawia jej regularnie rachunek. (...)

Na pytanie, czy naprawdę śpiewała na ulicach, zanim odkrył ją Louis Leplée, wyczuć można jej myśli - tak, może to się wyda komu okropne, ale było pięknie... Miałam swoje ulice, swoją publiczność, która oczekiwała mnie. Mieszkałam na Pigalle i w gorszych dzielnicach, bywałam na ulicach rozpusty i rozkoszy. Czasami głodna i zmarznięta, ale wolna. Wolna we wszystkim. Nie musiałam się kłaść spać ani wstawać. Mogłam się upijać, marzyć, mieć nadzieję. Marzyć na przykład o tym, że zostanę wielką artystką piosenki...

Ulica nie była najgorszym złem. Nie była nią nawet mleczarnia, do której szła pracować o czwartej rano, ani nędzny pokój, w którym mieszkała z pierwszym mężczyzną, ani fabryka, gdzie malowała obuwie. Zawsze i wszędzie miała przyjaciół. Nawet naj-



gorsi oczekiwali jej śpiewu. Zawsze i wszędzie była kochana, bo sama kochała, bo z samego dna nędzy wylaniała się bogata w łzy, uśmiechy i miłość. Była zawsze tą niezwykłą istotą, do której inni lgną, ponieważ ich wznosi. I ten jej ogromny obszar czułości, z aureolą jeszcze jaśniejszą, gdy nie miała nic do oddania.

Stokroć gorszy od ulicy był szpital, urodzenie dziecka, niemowlę bez wyprawki, bez mleka. Płakało w jej ramionach, a ona musiała iść na ulicę i śpiewać, by zarobić na lada przyodziewek i pokarm dla niego. Miała wtedy szesnaście lat. Gdyby dzisiaj, kiedy tego pragnie, urodziła, dziecko leżałoby w kołysce z koronek, w pokoju wypełnionym kwiatami. Tysiące głosów by szeptało: czego potrzebujesz, dziecino? Może wtedy zapomniałaby o dwuletniej umierającej Marcelle.

Niech was to nie zmyli. Jeśli wzruszą najbardziej oschłe serca, śpiewając skargi biednych dziewczyn i uniesienia zakochanych, to nie tylko dlatego, że sama była biedna i zakochana. Jej historia jest odwieczna. Gdy śpiewa teraz, tego wieczoru, w jakimś szpitalu jęczy z bólu i rozpaczy młoda matka. Inna patrzy w niebo i błaga je, żeby pozostał przy niej ten, którego kocha. (...)

Od kilkunastu lat przeżywa najbardziej przypominającą tyranie historię miłosną, jaka może być udziałem gwiazdy music-hallu i jej publiczności. Publiczność, tak jak mężczyznę, trzeba najpierw zdobyć, utrzymać, znosić to, że zdarza mu się kochać inne, bywać oszukaną, zdradzaną i ciągle walczyć. Tak jak mężczyzna, publiczność widzi, że się starzeje, a on tego nie chce, jest znudzony. Tak jak mężczyznę, trzeba ją wciąż i od nowa zdobywać. Ale sam sukces staje się obciążeniem, gdy nie można go ofiarować temu, dla kogo jest przeznaczony.

Nowy Jork 11 stóp. Zapelnia największe sale. Dzieci biegają za nią, wołając: *Idiss*. Sprzedawcy gazet gwizdzą »La vie en rose«. Miss PAIAF podpisuje nowy kontrakt w kabarecie w Hollywood, budują jej dolarowe mosty. Ale pieniądze przeciekają jej przez palce.

Ona musi śpiewać, dużo śpiewać, tak jak dzieci muszą płakać, kiedy jest im źle.

Ze swoim smutnym uśmiechem, okrutnymi żartami, ze swoją sekretarką, szoferem, dwiema limuzynami, pokojówką, przyjaciółmi z dzieciństwa, ogromnym domem, trzema telefonami, akompaniatorem, impresariem i mężczyzną, na którego ramieniu opiera głowę, kiedy bywa u kresu sił, z nowym berłem błazna, walizkami pełnymi upominków dla dzieci Cerdana, swoimi rendez-vous, kontraktami i obrazkami świętej Teresy, Edith Piaf jest najbardziej zrozpaczoną i samotną istotą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Niegdyś tak bardzo obawiała się śmierci. Dzisiaj nie boi się niczego. Dla straszliwej ciszy jej serca niezbędny jest grzmot oklasków”.

Tyle Françoise Giroud.

Niewiele czasu zdążyli spędzić z Marcelem w olśniewającej posiadłości. Architekt wewnątrz zdążył urządzić jedynie sypialnię obitą błękitnym jedwabiem i przylegającą do niej łazienkę z wanną w podłodze. Całość wyłożona biało-czerwonymi kafelkami. „W życiu nie wejść do tej wanny. Za duża dla mnie - grymasiła do rozpromienionego Marcela. - Wiesz, kupimy złote rybki, niech sobie tu pływają”.

Dozorca z żoną, kucharką, mieszkali od niedawna w domu ogrodnika. Edith zainstalowała się w dawnym pokoju dozorczy. Tutaj czuła się najlepiej. Przytulnie w nim, i łóżko takie wąskie, w sam raz dla samotnej osoby. Wypiła dwie butelki piwa. Nie ma ochoty na alkohol, ale to jedyny sposób na sen, który nie chce przyjść. Jeśli obudzi się za godzinę, wypije znowu trochę i jakoś do rana przeżyje.

W południe przyjdzie kochana Marguerite z tym dużym Amerykaninem. Mimo ospowatej twarzy Eddie Constantine jest bar-

dzo przystojny. Typowy *ricain*. Nie można żyć w wiecznej samotności, przekonała się o tym podczas pobytu w Claridge. Niech się dzieje co chce, ale ma już dość zapijania się czerwonym winem i innymi trunkami. I łyknięcia garściami tabletek.

Eddie zapowiedział, że ma dla niej bulwersującą niespodziankę repertuarową. Powtórzył to kilkakrotnie, jakby nie rozumiała, o co chodzi. *Ricains* nie grzeszą nadmiarem inteligencji.

Wysiłki, jakie włożyła w strój i makijaż, były praktycznie żadne. Nie zależy jej na wyglądzie, a *ricain* z fizjonomią filmowego gangstera przyjdzie ubrany jak zwykle, czyli byle jak. Też typowe dla Amerykanów, tak zwany luz. Chyba że wielkie przyjęcie, wtedy wkładają smokingi i wyglądają niczym w przebraniu. Marguerite zawsze wystrojona tak, że na nic starania innych kobiet.

- Hallo - uśmiechnął się szeroko Constantine. - How are you, Idiss!

- Hallo! Posłuchaj mnie uważnie, *ricain*. First, co musisz zrobić, to nauczyć się naszego języka najpiękniejszego na świecie. i wbij sobie wreszcie do głowy, że mam na imię Edith, Edith! Słyszysz, powtórz!

- Idiss.

- Żadna Idiss! Czy wy wszyscy jesteście głusi, czy też uważacie, że cały świat powinien mówić tym waszym bełkotliwym slangiem! Musiałam się go uczyć w Nowym Jorku, co też niewiele mi pomagało, bo tam u was każdy mówi innym, własnym językiem. Jak wy się możecie porozumieć między sobą?

-Jesteś czarującą, kiedy się złościś.

-Jednak znasz kilka słów po francusku. Chwała Bogu, może będą z ciebie ludzie. Powiedz wreszcie, co to za niespodzianka repertuarowa, którą się tak odgrażałeś?

- Przetłumaczyłem na angielski i chcę ci zaśpiewać twój piękny „Hymn do miłości”.

- O nie, nie! Nie chcę nawet słyszeć o tym!

Po co tłumaczyć obcemu człowiekowi, czym jest dla niej

„Hymn”. Napisała go dla Marcela, o Marcelu i o sobie. O nich obojgu. A ten cholerny gangster ośmiela się go traktować jak jakąś piosenkę. Jakim prawem? Lepiej o tym nie mówić. Poza tym jednak jest całkiem sympatyczny. Czy to jego wina, że się urodził w Ameryce?

Eddie Constantine urodził się przed trzydziestoma trzema laty w Hollywood, w rodzinie śpiewaków operowych. Wydawał się przeznaczony do kontynuowania tradycji i odpowiednio debiutował, śpiewając w *Fauscie* i *’Iasce*. Poznany w Paryżu Yves Montand stwierdził, że ma głos Binga Crosby i powinien się zająć lepszym gatunkiem. Piaf usłyszała go w jakimś kabarecie i zostali przyjaciółmi. Constantine wyznał kilkanaście lat później w wywiadzie dla „France-Soir”:

„Nikt nie mógł się jej oprzeć. Gdy tylko postanowiła, w jednym momencie oczarowała każdego. Jednym spojrzeniem mogła spowodować runięcie wysokiego budynku. Taka była w niej siła i magia. Zrobiła dla mnie wiele dobrego. Nauczyła mnie walczyć, tłumaczyła, czym jest ambicja, by odnieść sukces. Nie rozumiałem tego, uważałem ambicję za coś zbytecznego. Życie jest błahe, tak czy owak. A ambicja to płonący ogień, pożerający istoty ludzkie. Nie lubię tego. Mimo to nauczyła mnie i zachęciła do tej walki i zwyciężania, śpiewania, poszukiwania piosenek. Dzięki niej grałem na scenie i przed kamerą. I zrobiłem karierę”.

- Słuchaj, Eddie. Za chwilę przyjdzie moja przyjaciółka Marguerite Monnot.

- To ona skomponowała „Hymn do miłości”.

- Nie całkiem ona, powiedzmy raczej - my obojwie, ale nie w tym rzecz. Usłyszysz fragmenty jej muzyki do libretta Marcela Acharda *La petite Liii*. Będę śpiewać partię Liii, moim partnerem jest Robert Lamoureux, modny amant filmowy. Dla ciebie mamy rolę gangstera.

- Wonderful.
- Miałaś mówić po francusku.
- Okey.
- Ja cię zabiję.
- Lepiej pokochaj, potem możesz zabijać.

Nie lubi takich gminnych żartów. Podoba się jej u Constantine'a jego skłonność do mistycyzmu. Krótko przed przybyciem do Europy (chciał przyjechać, jego rodzice byli rodowitymi Austriakami) przeszedł okres fascynacji judaizmem. Zagłębiał się w naukach talmudycznych, które przydają mu się teraz, gdy jest rozdarty między dwiema kobietami. Zony chyba nie może opuścić. Ale Piaf, taka wielka, silna, obiecała mu sławę i na pewno słowa dotrzyma. Eddie ma naturę niedojrzałego chłopca, uwielbia popisywać się mądrościami.

- Sztuka życia to sztuka przegrywania - rzuca.
- Och, jak dobrze jest z tobą rozmawiać. Mów mi, mów, tak bardzo tego potrzebuję. Przy tobie wiele się nauczę. Bardzo mi tego brakowało ostatnio. O tym życiu i przegrywaniu to także z Talmudu?

- Oczywiście.

- Zawsze byłam przekonana, że Żydzi wiedzą znacznie więcej od nas.

- To życie... - kontynuował dumnie. - Życie to seria strat, aż się całkowicie zagubimy razem z naszymi kłeskami.

- Jakie to mądre! Że też ciebie wcześniej nie spotkałam, Eddie. Powiedz, jakie jeszcze perły znalazłeś w Talmudzie?

Nie przypuszczał, że jego nikła wiedza może robić podobne wrażenie.

- Talmud poucza, że nie można marnować życia na jakieś tragizmy. Życie należy traktować poważnie. Przede wszystkim trzeba rozumieć, uczyć się tego rozumienia. W pogłębianie tych nauk wchodzisz z jednym pytaniem, a wychodzisz z wieloma.

Edith napawa się tymi okruchami obcej dla niej wiedzy.

- Święte słowa. Rozumiem doskonale. Im dłużej żyjemy, tym mniej wiemy. Wokół nas rozpościera się odwieczna mgła tajemnicy. Początek naszego życia to wiek dwunastu, trzynastu lat; potem szesnaście, dwudzieścia albo czterdzieści, gdy spotykamy niespodziankę w postaci kogoś, kto uczy nas miłości. W tym momencie rodzimy się naprawdę, nasza biologia schodzi w cień, by oddać miejsce duszy, która wydobywa się z otchłani niewiedzy.

Edith tłumaczy wszystko na swój własny sposób, kroczy po ziemi z Eddiem, nie tracąc nic ze swojej siły lirycznej. Przecież Bóg ostrzega nas na każdym kroku, na licznych zakrętach naszego życia, że nie możemy uniknąć łez ani zaciskania zębów. Dlatego pesymiści nazywają Matkę Naturę bezlitosną dziewczką, bo nie oszczędza nam groteskowych ani tragicznych doznań.

Edith Piał przeżywa w pełni spotkanie z Amerykaninem, choć starym zwyczajem lubi się z nim droczyć. Nie dopuściła do siebie myśli, że dalsze życie z Cerdanem mogło się okazać bezlitosne. Teraz czeka ją także przebudzenie z cudownego snu, po pierwszych czarownych chwilach inkubacji miłości. Póki co, odczuwa jedynie radość jutrzeńki swojego serca, bo oto spotkała znowu mężczyznę, jedyne (na razie), który rozpościera wokół niej obietnice nowych, wspaniałych dni. Dostarcza jej duszy nowych wrażeń, niemal boskich.

Uszczęśliwiona, odrzuca maskę wdowy, która stała się już męcząca. Constantine ofiaruje jej siebie w postaci gliny, gotowej poddać się radosnemu kształtowaniu. Wydaje się początkowo niepewny, bezbarwny, czyżby miał pozostać wiecznym debiutantem? Fasadowy optymizm przypomina nieco młodego Montanda. Ze swoją permanentną radością życia, Eddie robi wrażenie istoty bez uczuć, a kryje zwyczajny lęk istnienia.

-Jestem debiutantem, tłumaczę ci, Didi.

- Doskonale, to najlepsze. Zrobię z ciebie wielkiego artystę. W tym celu powinieneś wystartować od zera. Nauczę cię wszystkiego.

Miłość konkretyzuje w piosence. Jego wdzięk publiczność akceptuje już teraz, na początku. Ale Piaf kształtuje go na swój sposób. Mężczyzna, który zajmuje ważne miejsce w jej sercu, sercu odwiecznego wróbla, stanie się ulubieńcem jej własnej publiczności.

Jak zwykle zaczyna od potężnych porcji nauki francuskiego. Wszystko powtarza się regularnie. Wizyty u sławnych krawców, którzy ubiorą go w zawsze ten sam kostium amanta: błękit morski. W tym garniturze zaprezentuje go paryskim salonom. Nieśmiały i wystraszony, nabierze w tym przebraniu pewności siebie. Wyraźnie mu jej dotąd brakowało. Edith zachowuje się w takich sytuacjach jak biedne dziecko, które pokazuje rówieśnikom luksusową zabawkę. Jej uczucie nabiera cech zmysłowych, co ujawnia całkiem nową Piaf. To już nie jest Edith paryskich chodników, to wersja pałacowa.

Ale kostium *blue marine* nie wystarczy, by dużego Amerykanina przeistoczyć w księcia salonów. Musi on jeszcze posiadać ową pozłotę, która stanowi o glorii jego protektorki. Piaf pozostaje, mimo wielu starań, małą zaczarowaną istotą w skromnej, czarnej sukience swojego życia. Kolejny mężczyzna musi u jej boku błyszczeć w sposób widoczny. Żeby nikt nie miał wątpliwości: to jej mężczyzna.

Eddie Constantine, najpierw zażenowany, potem rozbawiony, daje się obsypywać prezentami. Edith z rozkoszą wydaje pieniądze ze swojego konta na wybranka. Mnóstwo obuwia z krokodylowej skóry, to robi wrażenie, zapamiętała jeszcze z czasów Pigalle. Złote zegarki od Cartiera (znowu!), okazałe, podobnie jak ziole spinki do mankietów (także powtórka z Cerdana!). Eddie chwilami miewa odruchy sprzeciwu, ostatecznie jednak poddaje się, ulega jak rozpieszczone dziecko. Więzień w okowach salonowej galanterii, bliskiej ekstrawagancji, nieco karykaturalnej przy jego męskości najwyższego kalibru.

Piaf musi sobie przywłaszczyć tego cudownego mężczyznę. On nie może odmówić jej niczego i pozwala się uszlachetniać miło-

ścią, która staje się despotyczna. W wytwornych restauracjach, w których bywają co wieczór, gdy on skromnie zamawia proste dania, ona zamienia je natychmiast na wykwintne, bogate i kosztowne, pod pozorem, że służą jego strunom głosowym. Na ten temat nie miał złudzeń, gdyż pamiętał doskonale słowa ojca, który był śpiewakiem operowym: „Nie masz, synu, ani strun głosowych, ani majestatu operowej gwiazdy”. Podobnie mówiła matka, obdarzona pięknym, świetnie wyszkolonym sopranem.

Niewola u Piaf była słodka, ale nieco męcząca. Musiał towarzyszyć jej nieustannie. Nie miał nawet chwili wolności, by wyprać sobie koszulę; zwyczaj z lat, gdy posiadał tylko jedną. Jednocześnie, momentalnie spadły na Eddiego sława i fortuna. Stał się znany w całym Paryżu. Dla Edith był manekinem życia, manekinem miłości, towarzyszem życia, który przewyciężył przedwczesną cudzą śmierć. On akceptował wszystko, mając świadomość, że nie doszedłby do niczego o własnych siłach.

„Aurorę” z 21 sierpnia 1950 roku donosi:

„Edith Piaf zamierza poślubić swojego partnera, Eddiego Constantine’a. Gdy poznała go kilka tygodni temu, nie podejrzewała, że stanie się mężczyzną jej życia. Wszystko wskazuje na to, że ich ślub jest jedynie kwestią czasu. Każde z nich mówi o tym swoim przyjaciółom, prawie oficjalnie. Jediną przeszkodą jest żona Amerykanina, przebywająca za oceanem. Czy musimy przypominać, że niegdysiejsze dziecko ulicy jest od lat królową piosenki realistycznej, co daje preteksty, prawdziwe albo fałszywe, by Edith Piaf stawała się od czasu do czasu bohaterką pasjonujących romansów, bywa, że tragicznych, lecz zawsze frapujących?”

Edith zwierza się bliskim, że zarówno głos, jak i uroda Amerykanina, zrobiły na niej ogromne wrażenie. Przebywają na wspólnej trasie koncertowej. Występują w różnych miastach Francji. Piaf zapowiada Constantine’a jako swojego wielkiego przyjaciela.



Nadchodzi jesień i nowy sezon artystyczny. Love story z Amerykaninem jest całkiem przyjemna, ale jego aktorstwo doprowadza reżysera Raymonda Rouleau do stanów bliskich apopleksji.

- Edith - pieni się Rouleau - błagam cię! Na naszą przyjaźń! Wiem, wiem, teraz najważniejsza jest dla ciebie przyjaźń z twoim Amerykaninem od siedmiu boleści. Wiem, że płacisz mu ze swojej gaży, wiem, że to dla niego tajemnica, ale na litość boską! Niech on chociaż jak najmniej mówi na tej przeklętej scenie, która przyprawi mnie chyba o przedwczesny zgon. Najlepiej, żeby zagrał rolę niemą, bo wygląd ma gangsterski w każdym calu. Zrozum, ja chcę jak najlepiej!

Na próbach bywa autor Marcel Achard, spokojnie filozofujący okularnik.

- Dobrze, tę kwestię też mu skreślimy.

Achard zgadza się na wszystko, byle tylko zobaczyć wreszcie swoje dzieło na scenie. Ma jedno dziwactwo: straszliwie przesądny, uznaje kolor zielony za nieszczęśliwy. Scenografce de Nobili postawił twardy warunek: kolor zielony nie istnieje. Ani w dekoracjach, ani w kostiumach. De Nobili trzyma się nakazu ucziwie, choć nie jest to łatwe.

W spektaklu gra epizod modelka Praline. Cira siebie, modelkę. Olśniewająca piękność, szalenie punktualna i solidna w pracy. Któregoś dnia wkracza na scenę w przepięknym, wytwornym, ZIELONYM płaszczu.

- O nie, Praline, nie! Wszystko, tylko nie to. Błagam cię, zejdź ze sceny. Zdejmij czym prędzej to okrycie! Za każdym razem, kiedy ktoś włoży coś zielonego w moich sztukach, kończy się to katastrofą.

Wszyscy uśmiechają się pobłaźliwie. Ach, ten autor ze swoimi przesadami! Praline posłusznie zdejmuje swój piękny płaszcz. Wszyscy zapominają o zajściu.

Nazajutrz Praline jedzie na weekend do Deauville. W drodze powrotnej ginie w wypadku samochodowym. W poniedziałek Achard zwierza się Edith.

- Sama widzisz. Kolor zielony przynosi nieszczęście. Mówiłem. Dlatego Praline nie żyje.

- To zwyczajny zbieg okoliczności - tłumaczy artystka.

- Być może - godzi się uprzejmie autor. - W takim razie nie lubię zbiegów okoliczności.

Edith ma nowe zmartwienie. Związała się z Eddiem Constantinem, aby wypełnić jakiś trudny okres życia, i dlatego sfinansowała jego obsadzenie w *Liii*, o czym nie wiedział. Myślała, że to ich bardziej zbliży. Eddie jest duży, przystojny, łagodny. Chyba nawet trochę przypomina Marcela. Trochę. Może przy nim uda jej się zapomnieć o swoich przeżyciach. Eddie mówił, że jest rozwiedziony, można z nim wiązać jakieś plany na przyszłość. Korzyści, jakie czerpie z tego romansu, są niewątpliwe, ale nic za darmo. Edith obsesyjnie powtarza: „W tej sytuacji Marcel zrobiłby tak. Marcel zrobiłby inaczej”.

Marcel to, Marcel tamto. Amerykanin znosi wszystko cierpliwie jak baranek. Odplaci jej najgorzej, jak można sobie wyobrazić.

W wieczór próby generalnej przyszedł do garderoby swojej protektorki. Padł gwałtownie na kolana.

- Nie mówiłem ci o tym, Didi, ale moja żona Helena, sławna w Ameryce tancerka, jest już w drodze do Francji. Kocham ją. Nie wiem, co robić. Mamy córeczkę Tanię, dziecko chce zobaczyć swojego ojca.

Ostatnie słowa zamieniły się w szloch. Wybiegł z garderoby.

Wpadła w furję.

-A to bezczelny kłamca! Kretyn! Nie chcę więcej oglądać tej ospowatej gęby! Przeklęty *ricain!* Tak mnie okłamać! To najgorsze świństwo, jakie można wyrządzić bliźniemu. Wolałabym, żeby mnie zabił. Niech go piekło pochłonie!

Dobrze mi tak. Wrócę do swojej samotności. Nie muszę już oglądać rozrzuconych części jego garderoby. Nie muszę już wachać tej obcej skóry, potu, tytoniu i whisky. Zawiódł mnie. Za-

wiół? Czego się właściwie spodziewałam po takim kretynie? Tylko Marcel kochał mnie naprawdę. On, sławniejszy ode mnie, bogatszy ode mnie. Kochał mnie dla mnie samej. A ci wszyscy inni? Kochają tylko moją sławę. Podnieca ich neon z moim nazwiskiem, a nie ognie i tajemnice mojej duszy. Marcel, mój najukochańszy, śmieje się teraz w zaświatach. I ma rację. Jestem skończona idiotka. Eddie był dla mnie żalonym epizodem. Te jego szerokie bary... E tam. Do diabła. Pełno takich facetów na bulwarach.

Helena Constantine, żona Eddiego, nie miała w sobie nic z wielkiej tancerki, którą zresztą nie była. Chodząca przeciętność, taka sobie kurka, w dodatku mało sympatyczna. I dla takiego NIC ten dureń narobił jej przykrości i doprowadził do łez? Z zażenowaniem przygląda się parze Constantine. Nicość, bezosobowość Heleny ułatwia Edith sytuację. Nie cierpi, chyba w ogóle nie cierpiała. Kiedy Eddie przyjechał do Boulogne po swoje rzeczy, przyjęła go spokojnie. Żadnego wstrząsu, a w każdym razie dużo mniejszy, niż mogła się spodziewać.

Eddie Constantine przestał istnieć. Zupełnie jakby przestał żyć. To straszne, pomyślała. Wylansowała kolejnego artystę. Wkrótce zostanie wziętym aktorem filmowym. Zachowa na zawsze wdzięczność za jej wielkoduszność. Piaf nie wybaczy mu nigdy upokorzenia, jakie stało się jej udziałem.

Recenzje z *La petite Liii* są jednogłośnie entuzjastyczne. Przede wszystkim to triumf Edith Piaf. „Przeistoczyła się w ciągu tego wieczoru w teatrze ABC w jedną z naszych najwrażliwszych i zachwycających aktorek. A na pewno najbardziej szczerą. Biegnijcie oglądać ją - pisze Georges Ravan w „C'est la Vie”. - To właśnie ona w finale spektaklu, wśród burzliwych owacji, obdarza publiczność swoimi świetlistymi uśmiechami zamiast ukłonów”.

Krytycy mają teraz zmartwienie, czy ta sztuka Acharda osiągnie tysiąc przedstawień, czy zaledwie dziewięćset? Zapominają o tym, że Edith Piaf jest niewolnicą swoich kontraktów i nie może grać w *La petite Liii* więcej niż kilka miesięcy rocznie. Podobno

mają dublować aktorka Marie Ventura, ale to przecież nie będzie to samo. Musical Marcela Acharda z muzyką Marguerite Monnot został skonstruowany bardzo zręcznie, z dziesiątkiem piosenek czy arii, czy jak je nazwać, przeplatanych miłosnymi scenami i zabawnymi dialogami. Robert Lamoureux zacznie od *Liili* swoją świetną karierę filmową, a Eddie Constantine zbiera także dobre noty. Edith Piaf okazuje się doskonałą aktorką komediową i jeśli nawet rola pisana była z myślą o niej, nie zmienia to postaci rzeczy. Śpiewa z tą samą mocą co zawsze, a jej twarz przybiera chwilami wyraz bliski tragedii greckiej.

W tym samym sezonie artystycznym, w lutym 1951 roku, Piaf debiutuje w telewizji francuskiej, która stawia swoje pierwsze kroki w programach variétés (Teatr XYZ). Transmisja, jak wszystko początkowo, odbywa się na żywo. Artystka udziela ostatnich uwag swojej orkiestrze pod dyktando Roberta Chauvigny. Ma tak nikły wzrost (metr pięćdziesiąt trzy centymetry), że technicy muszą ustawić specjalne podium, aby znalazła się na wysokości mikrofonu. Transmisję przekazują cztery kamery, co szalenie komplikuje zmiany dekoracji i planu. Telewidzowie najczęściej mają na swoich ekranach zbliżenia twarzy artystki. Ogromne wrażenie: w żadnym teatrze i oświetleniu nie można być tak blisko i tak intymnie śledzić głębi przeżyć pieśniarki o wyrazistym obliczu. Edith Piaf ma za sobą doświadczenia telewizji amerykańskiej, ale tam wygląda to całkiem inaczej od strony artystycznej. Można powiedzieć, że Amerykanie na razie traktują nową muzę bardziej dokumentalnie i reportażowo. Być może dlatego ten telewizyjny występ Piaf potraktowała z całą powagą i jak zwykle wiele się przy okazji nauczyła.

Życie osobiste Edith wygląda żałośnie w czasie, gdy jej poczynania artystyczne osiągają kolejne szczyty. W lipcu 1951 roku przeżywa wypadek samochodowy. Przy kierownicy był Charles Aznavour, ale to nie jego wina, że nadjeżdżający z przeciwnej

strony samochód wpadł w poślizg, co groziło zderzeniem czołowym. Artystka doznała lekkich stłuczeń. Miesiąc później kolejny wypadek, z którego wychodzi w znacznie gorszym stanie. Po przewiezieniu do szpitala w Paryżu przechodzi operację dla ustawienia stawu barkowego, po czym jest unieruchomiona w gipsie na kilka tygodni. „Paris-Soir” oznajmił dużym tytułem: ŚMIERĆ NIE CHCE PIAF! Ta gorzka ironia satysfakcjonuje licznych wrogów, którzy złośliwie powtarzają: Wystarczy! Piaf, do kasy.

Tym razem za kierownicą siedział kolarz zawodowy, André Pousse. Skazana na dwumiesięczną bezczynność, Piaf przeżywa ciężkie rozterki. Jej samotność musiała być dojmująca, skoro decyduje się na przygodę miłosną z kolarzem. Trzeba przyznać, że opiekował się nią z oddaniem, spędzając w willi w Boulogne dni i noce. Jego obecność koła ból fizyczny i pozwalała inaczej patrzeć na świat. Czy jednak każdy inny na miejscu Pousse'a nie odegrałby takiej samej roli?

„Był troskliwy i bezwiednie uwodzicielski - wspomina Piaf w *Ma vie*. - Najbardziej urzekło mnie jego smutne spojrzenie. Znany, popularny sportowiec, miał na swoim koncie sukcesy. Pewnego wieczoru wyznał: »Kocham cię, ale to wszystko nie ma sensu, ponieważ jestem żonaty. Myślę o tobie bez przerwy i nigdy nie przestanę myśleć«. Byłam także zakochana i związałam się z nim na jeden rok, co przysporzyło mi mnóstwa cierpień. Nie chciał sprawiać przykrości żonie, nie chciał czy nie mógł się rozwieść. Kiedy jechałam na tournée, wracał do swojego domu, ale natychmiast był przy mnie, gdy tylko znalazłam się w Paryżu. Kochałam go mimo wszystko”.

Kolarz ten wkrótce zagra bez sukcesu w kilku filmach. Najwyraźniej protektorka wycisnęła na nim swoje kreatorskie piętno.

Następcą Pousse'a w życiu artystki był jego kolega, także kolarz, Toto Gerardin, który wślawił się tyleż brzydko, co grotesko-



Michele Emer, Charles Aznavour, Edith Piaf

wo. Jego zazdrosna żona wynajęła prywatnego detektywa, ten zaś posunął się tak daleko, że włamał się do posiadłości Piaf i zabrał nie tylko pozostawione tam chwilowo medale i inne trofea sportowca, ale również futro z norek, kupione przez artystkę za własne pieniądze. Przy okazji zniknęły sztabki złota, które nieostrożna gwiazda trzymała w byle jakiej szufladzie.

Tych banalnych romansów nie warto by nawet opisywać, gdyby nie to, iż dowodzą one, jak bardzo artystka nie umie być sama, choć otaczają szeroki krąg przyjaciół, czyli jej osobisty dwór. Zdomowił się w nim na dobre Charles Aznavour, pozbywszy się ormiańskiej końcówki nazwiska. Za namową Piaf rozstał się z partnerem od duetu, Rochem. Niezbyt urodziwy Charles nie miał szans na przelotny nawet flirt ze swoją przyjaciółką. Pozostają w sferze koleżeństwa. Ambitny młodzieniec komponuje i pisze teksty, ale na razie jest to margines jego działań, bo stał się chłopcem do wszystkiego. W zależności od potrzeby chwili bywa szoferem, mechanikiem, akustykiem, elektrykiem, akompaniatorem, inspicjentem, lokajem i sekretarzem. Godzi się na każdą rolę. Wspaniałomyślna Edith finansuje mu bardzo kosztowną operację nosa, co pozbawia młodego Aznavoura resztek kompleksów. „A to, że jesteś wzrostu mniej niż średniego - powtarza mu uparcie - to naprawdę żaden powód do zmartwień. Pomyśl o Napoleonie. Zresztą, co tak daleko sięgać: sama jestem najlepszym przykładem, czego można dokonać”.

Niebawem wybitny krytyk Jean-Paul Carrière nazwie Aznavoura Napoleonem piosenki francuskiej. Na razie Charlie tłucze godzinami na fortepianie stojącym w całkowicie pozbawionym mebli olbrzymim salonie. We wszystkich jej mieszkaniach lat sławy i bogactwa fortepian jest centralnym punktem, reszta w ogóle nie ma znaczenia.

Od lat Piaf usypia dopiero o świcie, a kiedy już zaśnie, żadne hałasy nie są w stanie jej obudzić. Pewnej nocy Charles zawołał triumfalnie:

- Nareszcie stworzyłem piosenkę godną ciebie. Posłuchaj.

Zaśpiewał „Nienawidzę niedziel”. Słuchała, jak zawsze, z najwyższą uwagą. Kiedy skończył, powiedziała po dłuższym zastanowieniu.

- Będę z tobą szczerą. Muzyka jest bardzo dobra - intrygująca, poza tym ostra, agresywna, tak jak lubię. Podoba mi się, wierz

mi. Ale tekst jest nie do przyjęcia! Zastanów się tylko. Niedziela to dzień odpoczynku od pracy. W niedzielę wszyscy, no, może nie wszyscy, ale mnóstwo ludzi udaje się do kościoła. To dzień rodzinny. Siódmy dzień tygodnia jest dniem świętym, jak poucza nas Kościół. Chyba zgodzisz się ze mną, Charlie, że takim dniem jest niedziela we Francji i we wszystkich krajach cywilizowanych, chrześcijańskich krajach. A ty mi każesz śpiewać, że nienawidzę niedziel! Gdybym to zaśpiewała, moja publiczność znienawidziłaby *mnie* zamiast niedziel. Przykro mi, mój kochany, ale nie chcę tej piosenki.

„Nienawidzę niedziel” wylansowała niebawem bardzo modna w okresie powojennym Juliette Greco. Tym efektownym utworem wygra konkurs w Deauville, otrzymując tam nagrodę imienia Edith Piaf! Kilka tygodni później wyraźnie zirytowana Piaf nagrywa „Nienawidzę niedziel” na płyty. „To ze złości” - komentuje Greco. „Muszę pokazać, jak się to powinno śpiewać” - deklaruje Piaf. Ostatecznie piosenka stała się popularnym przebojem, ale w pamięci słuchaczy pozostała w interpretacji Juliette Greco, bardziej dynamicznej. Trzeba przyznać, że to jedno z najlepszych nagrań muzy egzystencjalistów w całej jej karierze.

Rok później, po powrocie z Ameryki, Aznavour zaproponował Piaf własną adaptację meksykańskiego utworu „Jezebel”. Po historii z piosenką „Nienawidzę niedziel” Edith przykazała mu tonem nieznoszącym sprzeciwu, że ona pierwsza musi znać jego próby twórcze.

W luksusowej rezydencji w Boulogne życie toczy się trybem dość dziwnym, w zależności od nastrojów i potrzeb właścicielki. Wraz z przypadkowymi lub zaproszonymi gośćmi, dwór spędza noc do białego świtu w wielkim salonie wokół fortepianu. Wszyscy siedzą na podłodze. Poza dozorcą, który pełni funkcję ogrodnika, i jego żoną, zajmującą się kuchnią, jest jeszcze kucharz, Chińczyk Czang. Pozostał z czasów Paula Meurisse’a i zalicza się do świąt artystki. Gotuje kiedy chce.



Któregoś wieczoru, po powrocie z teatru, Piaf oznajmia uro-  
czyście:

-Jutro gościmy Michele Morgan i jej pięknego męża Henri  
Vidała. Trzeba pomyśleć o jakiejś kolacji.

- Z tym nie będzie kłopotów - zapewniają Czang - ale czy po-



myślała pani, że takich szacownych gości nie można podejmować na podłodze?

- Masz rację. Pojedziesz do Chaloma i wypożyczysz meble do jadalni. Najdroższe, jakie mają w magazynie.

Chałom jest jednym z najbardziej ekskluzywnych dekoratorów wnętrz.

Przed przyjazdem gości Edith wydaje ostatnie dyspozycje.

- Pamiętajcie, musi być tak wytwornie, żeby poczuli, z kim mają do czynienia. Po to przecież pożyczylam od Chaloma te wspaniałe meble, jakich w życiu na oczy nie widzieliście, a mają jeszcze przywieźć kilka posągów greckich. Oczywiście kopie, ale wyglądają jak prawdziwe.

Wieczór upływa w atmosferze elegancji i serdeczności. Michele Morgan gratuluje Piaf gustu, z jakim urządzony jest dom. Dodać należy, że srebrne sztuce i porcelana też są wypożyczone.

Po kolacji Aznavour śpiewa kilka nowych piosenek przy akompaniamencie Marguerite Monnot. Państwo Morgan-Vidal są szczerze zachwyceni. Przy pożegnaniu Piaf mówi z czarującym uśmiechem:

- Specjalnie na waszą cześć wynajęłam umeblowanie i zastawę. Ale fortepian jest moją własnością.

- Och, zupełnie, jakbym brała udział w premierze - uśmiecha się wyrozumiale Morgan. - Dziękuję, że pani to tak szczerze wyznała. Pani jest nie tylko wielką artystką, ale również niebanalną i żywołową osobą.

W końcu Piaf sprzedała ze stratą wielki dom w Boulogne, w którym czuła się coraz gorzej. Zbyt wiele tam zostało wspomnień związanych z Marcelem.

# 12

„Pić... zapomnieć...” - to tytuł jednego z rozdziałów autobiografii *Ma vie*.

„Pijemy zawsze - wyznaje artystka - aby coś lub kogoś zapomnieć, aby zapomnieć o swoich kłopotach, słabościach, cierpieniach i troskach. Ja także piłam, aby zapomnieć. Zapomnieć o jednym czy drugim mężczyźnie, na którym się zawiodłam. Wiedziałam, że to mi szkodzi, ale nie byłam w stanie przestać. Alkohol zabijał mnie. Przeciw niemu prowadziłam najbardziej gorzką i najdłuższą walkę mojego życia. Gorszą niż przeciw narkotykom, biedzie i mrokom przeszłości oraz innym demonom. Nigdy nie żartuję, ani nie mówię źle o wrakach ludzkich, które pokonał alkohol. Zbyt dobrze znam ich piekło. Wraki. Omal sama nie stałam się wrakiem. A jednak wyzwoliłam się. Jestem żywym dowodem, że można się z tego wydobyć.

Pierwszy raz w życiu napiłam się po powrocie z cmentarza, gdzie włożono do czarnej jamy moją małą córeczkę. Poszłam do znajomej knajpy i wypłam duszkiem, z wielkiej szklanki, cztery nie rozcieńczone anyżówki. Po ostatnim łyku zakręciło mi się przed oczami. W głowie poczułam ostry ból i padłam na podłogę, totalnie pijana. Kiedy o świcie odzyskałam przytomność, zrozumiałam, że alkohol łagodzi cierpienie i pomaga zapomnieć. I natychmiast napiłam się znowu.

Nie widziałam w tym nic nadzwyczajnego. Tam, gdzie się urodziłam, pije każdy. Kiedy byłam mała, babcia otwierała rano butelkę czerwonego wina i nalewała mi do szklanki, z odrobiną wody. Żeby mnie wzmocnić, tak mówiła. (...) Alkohol wydaje się czasami cudownym środkiem, ale to cudowność diabelska.

Kiedy więc odkryłam, że alkohol pomaga zapomnieć, byłam zgubiona. Zawsze istniało w moim życiu coś, o czym piagnęłam zapomnieć. Gdy byłam biedna, ale także kiedy stałam się bogata. Nie przestałam pić, gdy mogłam biedę odrzucić jak starą koszulę. Kiedy jest się bogatym, można nadal cierpieć i marzyć o zapomnieniu.

Najgorzej zachowywałam się w Nowym Jorku. Najpierw po śmierci Cerdana, ale potem zawsze znalazły się jakieś powody. Porzucił mnie po gwałtownej scenie młody mężczyzna, dla którego uczyniłam wiele. Cierpiałam tak potwornie, że się ohydnie upiłam. Nazajutrz wstydziłam się przeokropnie. Poszłam do kościoła, uklękłam przed Najświętszą Panią i mówiłam do Niej: »Ty wiesz, dlaczego piję. Ty, która znasz moje cierpienie, proszę, pomóż mi«. Przynęłam Jej, że nie będę pić przez cały rok. Ale nazajutrz pojawił się kolejny mężczyzna i wszystko zaczęło się od początku.

Zdarzały się okresy, kiedy zamykałam się w swoim mieszkaniu z niezliczoną ilością butelek i piłam do upadłego. Gdy mi zabrakło alkoholu, wychodziłam na ulicę w rannych pantoflach, w środku nocy, w poszukiwaniu baru. Potem udawało mi się wyleczyć, wielokrotnie w szpitalach, dzięki okrutnym kuracjom. Nigdy nie zapomnę męki i upokorzenia tych szpitalnych pobytów”.

Jesienią 1951 roku Edith Piaf włącza do repertuaru piosenkę, która pozostanie jedną z najpopularniejszych na świecie: „Padam, padam”. Tekst napisał wierny przyjaciel Henri Contet, mu-

zykę skomponował Norbert Glanzberg, pochodzący z Kresów przedwojennej Polski. Czy można w rzewnej melodii tego walca doszukać się słowiańskiej nostalgii? Jak kto woli. Piosenka jest tak pełna ekspresji, że artystka wprowadziła dzięki niej nowe gesty, bardzo wyraziste i ostre.

Kilka miesięcy w Paryżu kończy dłuższym kontraktem w kabarecie Drap d'Or. Śpiewa tam trzynaście piosenek; zmuszona przez publiczność, wykonuje dodatkowo kilka następnych. Właściciel kabaretu błaga, by została jeszcze, aż do odlotu do Ameryki. Zwierza się dziennikarzowi „Aurore”, że zbyt skromne są jej honoraria w tym kabarecie.

No tak, ale z drugiej strony, jestem w Paryżu. A właściciel jest taki uprzejmy. Któregoś dnia ofiarował mi złotą bransoletę od Cartiera.

- Brawo, umieją się zachować u nas, nad Sekwaną!

- Nad Hudsonem także. Dyrektor Versailles, po moim kolejnym długim kontrakcie, ofiarował mi najnowszy model luksusowego cadillaka. Podziękowałam, ale zauważył cień wątpliwości w moich oczach. »Może wołałaby pani pieniądze?«

- I pani oczywiście odpowiedziała: ależ skąd!

- I ja oczywiście odpowiedziałam: tak, proszę pana.

Artystka śpiewa na kontraktach w wielu krajach i miastach, ale najważniejsze pozostają Paryż i Nowy Jork.

- Lubi pani brzegi Sekwany, uliczki Monmartre. Jakie miasto jest najważniejsze, po Paryżu?

- Po Paryżu... jest tylko Paryż. Zwłaszcza teraz.

Ostatnie słowa nabierają szczególnego znaczenia w jej ustach, ponieważ, jak mi zdążyła wyznać, jest zakochana. Mówi o tym z akcentem zarówno powagi, jak i komizmu, jak zawsze szczerza. Miłość jest dla niej za każdym razem czymś w rodzaju katastrofy, a przynajmniej niebezpiecznego żywiołu. Z tej paplaniny wyłania się niezwykła postać.

-On jest bardzo inteligentny. Nigdy się z nim nie nudzę, jest zabawny. Posiada wszystko to, co powinien mieć mężczyzna.

- Nie przesadza pani? Ani trochę?

-Ani odrobinę. To jedyny mężczyzna, dla którego poświęciłabym karierę.

- Byłby to gest znaczący. Wielkie poświęcenie. Czym zajmowałyby się pani, jak wypełniałaby czas?

- Niczym. Byłabym jego żoną, to wystarczy.

-Już miewała pani takie zamiary?

- Nie, nigdy! Nigdy!

- Kto to jest?

- Nie ma takiego. To moje marzenia”.

A jednak bywają marzenia spełnione. Dzieje się tak, gdy się tego nie spodziewamy. Edith żyje w stanie zawieszenia, zadowolona, że chwilowo panuje nad sobą i swoimi słabościami. Wynajęła apartament przy bulwarze Perreire w nadziei, że mniejsza przestrzeń to mniejsze zagubienie w nieznośnej samotności. Mieszkanie przytulne w porównaniu z willą w Boulogne. Bez zbytku. Fortepian w wielkim salonie, jak zwykle żadnych innych sprzętów. To już tradycja, ale także pewna symbolika. W nowym miejscu czuje się nieco lepiej, jednak bezsenność nie ustępuje. Łyka proszki, popija alkoholem. Miewa dni niespodziewanej witalności i zaraz potem wpada w apatię. Nie chce nikogo widywać. Spędza dni i noce bez krzty pożywienia. Wysiadauje godzinami na balkonie. Spogląda tępo, bezmyślnie na przechodniów, samochody. Milcząca, daleka, prawie nieobecna. Nie jest w stanie pracować. Z przerażeniem myśli o jesiennym kontrakcie w Nowym Jorku. Nie może sobie wyobrazić podróży samolotem, sceny, publiczności. Szuka intensywnie pretekstu, który pozwoliłby wycofać się z umowy. Na razie nie rozmawia o tym z Lou Barrierem, ale on sam widzi, że sytuacja jest niedobra.

Dzwoni imprésario Jacques’a Pillsa. Niespodziewanie Edith godzi się na spotkanie. Sama nie rozumie, dlaczego.

- Oczekuję go jutro wieczorem.

Dawno nie była tak ożywiona. Pillsa spotkała kilka lat temu w Nowym Jorku, ale nie zrobił na niej zbytniego wrażenia. Zapamiętała go raczej ze swojej młodości, kiedy jego zdjęcia były widoczne wszędzie. Już wtedy podobał jej się uśmiech tego przystojnego mężczyzny. Był ceniony w paryskich music-hallach.

Nadszedł wieczór. Nie musi się malować. Jej piękne oczy błyszczą, ma nieco gorączkowe rumieńce i wygląda bardzo ładnie, choć ostatnio zmizerniała.

Pillsowi towarzyszy pianista, przystojny południowiec o smagłej cerze. Nazywa się Gilbert Bécaud. Wrócili z amerykańskiego tournée. Napisali razem piosenkę, która powinna się mademoiselle Piaf podobać. Jest jakby dla niej stworzona.

Pianista zasiadł przy klawiaturze. Pills uśmiecha się słynnym uśmiechem i śpiewa „Je t'ai dans la peau” (Mam cie we krwi). Edith wydaje się zainteresowana piosenką. Prosi, żeby zaśpiewał drugi raz, trzeci, czwarty. Dziesięć razy. Czas upływa.

Wreszcie mówi bez entuzjazmu:

- Biorę to.

Mężczyźni wychodzą.

Znużona udaje się do sypialni. Leży pogrążona w myślach. Jaki on piękny, chyba piękniejszy niż dwadzieścia lat temu. Jego uroda wysubtelniała. Wszystko w nim jest pełne finezji. Oczy, włosy, dłonie. Ciągle widzi Pillsa oczami osiemnastolatki.

Jacques Pills przychodzi codziennie. Początkowo pod pozorem prób. Edith promienieje. Jej cera nabiera blasku. Po tygodniu, nieoczekiwanie, prosi ją o rękę.

- Mój drogi - uśmiecha się z rozrzewnieniem - czy ty nie przesadzasz? Przeżyłam trzydzieści siedem lat, w moim życiu byli różni mężczyźni, co dla nikogo nie jest tajemnicą. To wszystko stało się nieistotne, gdy spotkałam Marcela. Po jego śmierci czułam się jak wdowa. A teraz mam brać ślub? Nigdy czegoś takiego nie robiłam. Chyba nie lubię tych pretensjonalnych ceremonii.

Ale to nieprawda. Oczy jej błyszczą. Marzy o długiej, jasnobłę-

kitnej sukni, o mszy z organami w ogromnym, gotyckim kościele i o podróży poślubnej.

Na razie podróżują na trasach koncertowych. Piją dużo wina. Zbyt dużo. Zdarzyło się, że po koncercie i kolacji wsiedli w Lyonie do samochodu i zajechali aż do Nicei. Nazajutrz Jacques otworzył okno hotelowego apartamentu.

- Didi, czy Lyon leży nad morzem?

Nie pamiętali podróży.

Gastronomiczna strona trasy koncertowej niepokoi menedżera. Nieświadomy kłopotów narzeczonej z alkoholem, Pills do każdego posiłku zamawia wina, piwa, koniaki. Pije chętnie, nie nadużywając alkoholu. Lou Barrier próbuje go dyskretnie przestrzec.

- Edith nie powinna pić. To dla niej niebezpieczne.

Gilbert Bécaud trzyma się z daleka od gwiazdorskiej pary. Ma świadomość swoich możliwości artystycznych, ale wie również, że nie wybiła jeszcze jego godzina. Podziwia Piaf i docenia jej wielkość, jednak dostrzega wady, drażni go jej wybuchowy charakter. Nie ulega kaprysom gwiazdy i nie należy do jej świty. Nie chce należeć. Niczego jej nie zawdzięcza. Zalicza się do tych niewielu artystów epoki, którzy nie ulegli jej magicznemu urokowi.

Tournée po Lazurowym Wybrzeżu dobiega końca. Choć wszyscy traktowali trasę nieco wakacyjnie, ekipa czuje się zmęczona. Narzeczeni wracają do Paryża. Gdy nie ma już dyscypliny, jakiej wymagają wieczorne występy, artystka chętnie pije wino, uważając je za lekarstwo na nieznośne bóle reumatyczne, które dają się we znaki po dwóch wypadkach samochodowych. Leki w połączeniu z alkoholem wprowadzają artystkę w stan niezdrowej euforii.

Ale co to wszystko znaczy w porównaniu ze szczęściem, jakie jest jej udziałem. Nareszcie jest oficjalną narzeczoną, wkrótce będzie legalną żoną. Każda kobieta w skrytości ducha marzy o zamążpójściu, a co dopiero tak sławna kobieta. Dopiero teraz rozumie swoje fatalne sytuacje związków z żonatymi mężczyznami.



Nie chodzi o Marcela, to była sprawa wyjątkowa, ale wszystkie pozostałe... Lepiej zapomnieć o tym, co było niedobre i bolesne.

Dwudziestego dziewiątego lipca 1952 roku podpisują kontrakt ślubny w merostwie szesnastej dzielnicy Paryża. Panna młoda ma trzydzieści siedem lat, jej partner dziesięć lat więcej. Nazajutrz po ślubie lecą samolotem Air France do Nowego Jorku, gdzie Edith będzie śpiewać w Versailles po raz piąty. Jacques Pills rozpoczyna próby w kabarecie »La vie en rose«. Nie gniewa się, gdy przyjaciele i znajomi nazywają go żartobliwie panem Piaf.

- Dla mnie to zaszczyt. Jestem dumny z mojej żony i dla niej mógłbym nawet zmienić nazwisko. Zresztą, jak wicie, Pills to też pseudonim, nazywam się Ducos.

Dla Edith, istoty pobożnej, ważniejszy jest ślub kościelny. Najchętniej widziałaby go w kościele pod wezwaniem swojej ulubionej świętej Teresy z Lisieux, ale w Nowym Jorku ani okolicach nie ma takiego. Niejako w jej zastępstwie wystąpi święty Wincenty a Paulo, w którego neogotyckiej świątyni odbędzie się skromna ceremonia zaślubin. Na życzenie panny młodej uroczystość będzie intymna, z minimalnym udziałem najbliższych. Dziennikarze wykluczeni. Wśród uprzywilejowanych znalazło się dwięciu Les Compagnons de la Chanson, którzy wydają się bardziej wzruszeni od swojej koleżanki. Kilka osób z konsulatu Francji, liczni właściciele francuskich restauracji w Nowym Jorku.

Promienna Edith wypowiada swoje TAK głosem zadziwiająco pewnym i dystyngowanym. Pills raczej nieśmiało. Panna młoda w błękitnej, długiej dżersejowej sukni tuli do serca bukietik róż, który otrzymała od Marleny Dietrich, świadka ślubu. Jacques Pills ma na sobie ciemnobłękitny garnitur i biały goździk w butonierce. Gdy tylko wyszli z kościoła i znaleźli się w samochodzie, uściśnął czule i pocałował tklawie swoją żonę.

Edith powtarza: „Jestem szczęśliwa... jestem szczęśliwa. Nie pytajcie mnie o nic więcej”. Wieczorem śpiewa w Versailles, gdzie

oczekuje ją wielki tort weselny, który przeżegna znakiem krzyża. Za trzy dni cywilny ślub amerykański.

- Podróży poślubnej nie planujemy, chyba że zaliczyć trasy taksówkami między jednym a drugim kabaretem - uśmiecha się Pills.

Do apartamentu w Waldorf-Astoria wnosi ją na rękach, tak jak w filmach amerykańskich. W tym momencie zapomniała o wszystkich nędzach i nieszczęściach swojego życia.

Po kilku tygodniach wspólne już występy w Miami, Chicago, w Kalifornii. W USA popularny tam od lat Jacques Pills nosi przydomek Monsieur Charme albo Mister Smile. Z okazji ślubu tak popularnych artystów, prasa amerykańska i francuska rozpisują się na ich temat. W Paryżu przypomina się, że Edith Piaf jest jedną z największych osobowości epoki. W swojej profesji stała się pierwsza. Jedyna. Wspięła się na takie wyżyny, że dookoła niej wytworzyła się pustka. Która piosenkarka francuska dosięga jej do pięt? W Ameryce, gdzie jest zrozumiała zaledwie dla garstki słuchaczy, jej honoraria są niebotyczne. Nazywają Edith Piaf czarnym słońcem piosenki. Jej królowanie wydaje się wieczne. Nikt nigdy nie zajmie jej miejsca. Gdy odejdzie któregoś dnia, piosenka francuska straci sens istnienia. Nikt nie będzie tak jak ona śpiewać o straconych miłościach, rozpacz rozstania i samotności porzuconych dziewczyn.

To istota wyjątkowa. Wszyscy, którzy ją otaczają, grzeją się w ciepłe jej osobowości. Ona przemienia ich, pomaga im być sobą. Zdarza się, że towarzyszy jakiemuś mężczyźnie, którego sława dorównuje wkrótce jej glorii. Trochę jak George Sand. I to właśnie bardzo dziwi, nawet irytuje inne kobiety. Ona wyzwala cudzą inteligencję i wrażliwość, swoją magiczną siłą rozpętuje wokół niesłychanie silne namiętności, a przecież nie ma urody Elisabeth Taylor czy Marilyn Monroe. W czym tkwi tajemnica?

Może coś wie o tym mąż artystki, dzięki któremu, jak sama mówi, odkryła prawdziwe szczęście. Nigdy o tym nie myślała, spotykając go przed laty w Nowym Jorku jako męża Lucienne

Boyer. Ostatecznie, kończy swój artykuł w „Photo-Journal” Maurice Fleury, ta jedyna i nadzwyczajna Edith Piaf jest przecież kobietą jak inne...

Madame Ducos upaja się życiem legalnej małżonki. Tego jeszcze nie zaznała. Bardzo przyjemne uczucie, nie spodziewała się, że aż takie. Hotel Waldorf-Astoria to legendarna siedziba milionerów i gwiazd. Czy może być pełniejsze szczęście? Jeszcze w takiej oprawie! Edith wierzy święcie, że obraz ukochanego człowieka, jaki stworzyła sobie na własny użytek, będzie silniejszy od niej samej. Ale to niemożliwe.

Jacques to mężczyzna subtelny, delikatny. I słaby. Gdy zorientowała się, że jest zazdrosny, robi mu niespodzianki. Siedzi przez trzy seanse w kinie, bo wie, że nękania podejrzeniami mąż zrobi po powrocie scenę zazdrości. Bawi ją to. Jest nadal szczęśliwa i spokojna.

W liście do paryskich przyjaciół pisze z Ameryki w dniu 19 października 1952 roku:

„Już blisko siedem tygodni od naszego odlotu z kraju, a jutro miesiąc od ślubu w kościele świętego Wincentego. Czas biegnie jak szalony. Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Im lepiej się poznajemy, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, do jakiego stopnia siebie potrzebujemy. Jacques otrzymał wspaniałą propozycję na dwanaście tygodni do kabaretu Quartier Latin w Miami, ale nie chce słyszeć o naszym rozstaniu nawet na dwadzieścia cztery godziny.

Zrezygnowaliśmy z tak znakomitego kontraktu w imię miłości. To jedyna ciemna strona naszego wspólnego życia: trudno nam zsynchronizować terminy kontraktów, ale jestem przekonana, że jakoś się wszystkim ułoży”.

Pod koniec stycznia 1953 roku małżonkowie pracują w Las Vegas. Potem Kalifornia, skąd Edith pisze do przyjaciół:

„Jacques zrobił kolosalną furorę w San Francisco i to na takiej scenie, która uchodzi za najtrudniejszą w Ameryce. Dziennikarze pisali, że był rewelacją spektaklu i że będzie w tym roku numerem jeden. Mój kochany mąż chodzi dumny jak paw. Mamy masę propozycji z całej Ameryki. Zgadza się we wszystkim oboje, rozumiemy się coraz lepiej i kochamy coraz mocniej. Gdybyśmy mieli dziecko, Jacques i ja, byłibyśmy najszcześliwsi na świecie”.

W liście Pillsa na papierze listowym tego samego hotelu czytamy:

„Moja mała wife odnosi wszędzie takie sukcesy, że to nie do opisanego. Z tej przyczyny zdarza się nam czasami wracać do hotelu zygzakiem. Jej spektakl ma ogromną reklamę. To moja ukochana maestra. Uwielbiam ją. Jestem najszcześliwszym z ludzi”.

Ona jest także szczęśliwa, ciągle spragniona akceptacji, zgody. Jacques ofiaruje jej to wszystko ze swojego dobrego serca, z nieodłącznym uśmiechem. Lecz Piaf-gwiazda chwilami przeraża zbliżającego się do pięćdziesiątki mężczyznę.

Zmęczeni Ameryką wracają do ukochanego Paryża. Kupują luksusowy apartament przy bulwarze Lannes, gdzie goście będą wszystkie znakomitości epoki. Artystka przeżyje tam ostatnie lata życia.

„Paris-Match” publikuje reportaże z życia sławnych małżonków. Poczytny tygodnik zapełniony jest fotosami, można ich obejrzeć nawet w pościeli, przy pierwszym śniadaniu. Edith stała się nałogową klientką wielkich domów mody, w których wykupuje całe sterty. I tak nie nosi tych kreacji. Po prostu lubi zakupy, kiedy kręcą się przy niej całe tabuny dyrektorów i sprzedawców, a każdy mówi: „Ach, jak pani w tym pięknie!”. Sprawia jej to przyjemność, cieszy się, że oni wydają się tak tym wszystkim pochłonięci.

Wierny przyjaciel Jean Cocteau namawia do wznowienia jednoaktówki *Piękny i nieczuły*. Jacques Pills zastąpi Paula Meurisse’a.

Żaden dyrektor teatru nie chce ryzykować. Piaf wynajmuje za własne pieniądze teatr Marigny. Próby nie idą najlepiej. Edith męczy się szybko, a lekarstwa, które pochłania od lat w ogromnych ilościach, powodują osłabienie pamięci.

Emile Vuillermoz informuje 24 kwietnia 1953 roku w „Paris Presse”:

„Wczoraj wieczorem w Marigny zebrała się wyjątkowa publiczność, elegancka i mieszczańska, pragnąc zanurzyć się przez dwie godziny w świecie najślawniejszej muzy trotuaru - Edith Piaf - i jej męża Jacques'a Pillsa. Okazało się to nieporozumieniem, bo słuchali śmiałych piosenek realistycznych na poziomie dworów książęcych.

Realistyczna Piaf? Kolosalna pomyłka. Czy nie widzicie, że przeciwnie, zawdzięcza ona swój sukces maestrii, z jaką wydobywa z życia codziennego wszelkie zawarte w nim cząstki poezji? Ta poszukiwaczka złota znajduje je na przedmieściach, przybiera chwilami głos przekupki, mówi czyli śpiewa językiem ludu i grzebie w śmietnikach. Przyjrzyjcie się jej koronkowej pracy: znajdziecie tam marzenia i jeszcze raz marzenia w różnej postaci, ideały, litość, współczucie dla nędzy ludzkiej, czułość dla małej Marii, dla porzuconych kochanków, refren akordeonu, który uwiecznia drogie wspomnienie, kłowna ze złamanym sercem i parę biednych ludzi, którzy ze stopami zanurzonymi w miednicy marzą o Wenecji. Wszystko to czysty, ledwo zakamuflowany romantyzm. Ludzie, Eclith oszukuje was: ona uprawia zazdrośnie mały, błękitny kwiatek poezji.

Piosenkom Piaf towarzyszy w sposób arystokratyczny i luksusowy doskonała orkiestra. Nie żartujcie z tych wzniosłych przymiotników. Słuchajcie melodii, które płyną z wdziękiem, idealizowane niesłyszalnymi głosami, słuchajcie pereł arpedżiów harfy. Powtórzę za Verlaine'em: jest w tym anielskość. Mówię wam!

Na chwilę sprowadza nas na ziemię czarujący Jacques Pills,

który w swoim recitalu, ciepłym i familiarnym, prezentuje delikatność i poczucie humoru, odnosząc bardzo żywy sukces osobisty. Wznowienie komedyjki Jeana Cocteau pozwala małżonkom przypomnieć nam, do jakiego stopnia strzały słów łamią się na pancerzu milczenia”.

Z mężem Edith przeżywa pierwsze chyba w życiu prawdziwe wakacje! Cisza, wypoczynek i żadnych dziennikarzy. Nie zawsze się to udaje, ale tym razem tak, w rodzinnym domu Ducosów w okolicach Mont-de-Marsan. Ojciec Jacques'a zmarł cztery lata wcześniej, dom trzeba na nowo zaludnić. Wakacje typowo wiejskie, z dala od problemów zawodowych i służby sławie. Zasłużyli na te wakacje po piętnastu miesiącach amerykańskiego tournée i dalszego ciągu w Europie.

Wyjątek uczyniono dla Georges'a Dubos z „Sud-Oest”, który składa im wizytę. Rozmowa toczy się w salonie urządzonym w starym stylu, przy płomieniach kominka. Choć przybył niespodziewanie, w charakterze intruza, przyjęto go zwyczajnie, nawet przyjaźnie.

Pan rozumie - mówi Edith uprzejmie, jakby się usprawiedliwiała - przyjechaliśmy tutaj pooddychać czystym powietrzem, dlatego nie przyjmujemy dziennikarzy. Musimy odprężyć się po męczącej turze koncertów.

Pierwsze lody stopniały i dowiaduję się, że tuż przed wyjazdem z Paryża brali udział w pokazie filmu, którego są gwiazdami. Kręcili go tego lata w towarzystwie kilku znajomych aktorów i wokalistów. Obsada imponująca, żeby wymienić choćby tylko Lucienne Delylle, Jacqueline François, Mouloudjiego, Micka Michel. Premiera przewidziana na początku zimy. Jest nadzieja, że spodoba się publiczności.

- Plany, projekty?

- W tej chwili absolutnie żadne. Jak mówiła Edith, żadnego

obowiązku podczas pobytu tutaj. Pełny miesiąc wypoczynku. Od czasu do czasu jakiś ping-pong czy badminton. Być może pod koniec lata napiszemy jakieś piosenki”.

Dziennikarz kończy wizytę. Jacques Pills z uśmiechem przeprasza, że nie poczęstował go jakąś szklaneczką.

„-Jesteśmy na ścisłej diecie, z powodu moich kłopotów z wątrobą. Żeby uniknąć pokusy, w domu mamy jedynie wodę. Ale nie jest to dieta stuprocentowa. Nie sposób nie próbować tutejszej kuchni. Edith uwielbia borowiki, wszelkie marynaty i wątróbkę z winogronami. W ogóle nie myślimy o nadchodzącym sezonie”.

Sezon zaczyna się bardzo przyjemnie. Z okazji pierwszej rocznicy małżeństwa dyrekcja wytwórni płytowej Pathé-Marconi ofiarowuje Edith Piaf upominek w postaci odlewu jej dłoni (połączany brąz). Na intymnej uroczystości zgromadziła się niewielka grupa przyjaciół w rotundzie pawilonu Pałacu Elizejskiego. Gdy otwarto kuferek z połączanymi dłońmi, uśmiechnięty Pills zaskoczył wszystkich:

- Rok temu prosiłem cię o rękę. Dzisiaj proszę o obie!

Po krótkiej kolacji małżonkowie udali się samolotem do Marsylii. Niebawem Edith śpiewa wielki recital w Alhambrze, tym razem sama, bez udziału męża. Doszli do wniosku, że nie należy przesadzać z ekspozycją ich związku na afiszach. Zanim się pobrali, każde miało swoją pozycję, po co tworzyć wrażenie, jakoby jedno pomagało angażować drugie. Premiera w wielkim music-hallu jest bardzo uroczysta, na widowni mnóstwo sławnych osób, także Eddie Constantine oraz Jacques Pills. Wszyscy spotykają się w garderobie artystki, żeby złożyć jej gratulacje. Zmęczona, ale szczęśliwa z odniesionego sukcesu, triumfu nawet.

Inna jest publiczność Bobino, gdzie niebawem Piaf śpiewa recitale. Tutaj spotykają się intelektualisci i malarze z Montparnasse, ale bywają także robotnicy i klasa średnia. Audytorium ideal-

ne, sala ma swoje wieloletnie tradycje. Wrażliwi i sentymentalni, uwielbiają żarty. A publiczność tańszych miejsc wysoce sobie ceni, że może oglądać i słuchać z bliska gwiazdę światowego formatu. Artystka czuje się doskonale, ta widownia różni się zdecydowanie od snobów z renomowanych kabaretów. Tragiczka numer jeden piosenki francuskiej prezentuje z właściwym sobie szlachetnym patosem nowe i poprzednie piosenki. Ten krzyk serca dociera do publiczności w Bobino jak rzadko gdzie.

Jean Renoir angażuje artystkę do widowiskowego filmu w technicolorze *French-Cancan*, gdzie wystąpi w roli pieśniarki realistycznej końca XIX wieku - Eugenie Buffet. W stylowym czarnym kostiumie Piaf wygląda zjawiskowo i śpiewa wspaniale piosenkę Georges'a Van Parysa „La romance du pavé”. Ten film to jedna z pierwszych superprodukcji francuskich, która obiegnie ekrany całego świata.

Od kwietnia do lipca 1954 roku małżonkowie występują w wielkim tournée międzynarodowego Super-Circus. A jednak występują razem, zauważają dziennikarze nie bez zdziwienia.

- Ale udział w wielkim programie variétés to zdecydowanie co innego niż wspólny recital. Ostatnio w Marsylii śpiewałam w drugiej części i wierzcie mi, to nie było łatwe. Jacques wystąpił w pierwszej części z ośmioma piosenkami. Jedna lepsza od drugiej, i jak on je śpiewa! Po co tworzyć dodatkowe ryzyko?

To zdanie Edith Piaf, które wypowiada z zapalem. Całkiem inaczej widzi rzecz Pills.

- Moja sytuacja wygląda gorzej. Ludzie przychodzą dla Edith. Przez całą pierwszą, *moją* część zastanawiają się, co ja w ogóle robię na scenie, i mają jedno życzenie: żebym czym prędzej z niej zszedł.

Edith protestuje z całym przekonaniem. Sytuacja nie jest prosta. Niejedna para pragnie występować razem. Piaf i Pills są jednak solistami musie hallu z definicji i chcą być razem, ale nie za wszelką cenę.



W styczniu 1955 roku Piaf rozpoczyna cykl recitali w Olympii, której właścicielem i dyrektorem artystycznym jest od niedawna Bruno Coquatrix, wywodzący się z rodziny artystycznej (bratanek Mistinguett). Wykształcony muzyk, zajmuje się kompozycją, nie zdobywając w tej dziedzinie szczególnych laurów. Wyjątkiem jest przebój „Clopin, clopant”, co jednak nie satysfakcjonuje ambitnego światowca. W krótkim czasie ze starego kina, które wybudowano przy bulwarze Capucines, stworzył najbardziej prestiżowy music-hall na kontynencie europejskim i jeden z ważniejszych w świecie. Bruno Coquatrix pierwszy otworzył swoją scenę dla artystów ze wschodniej Europy, w tym także polskich. Był prawdziwym przyjacielem naszego kraju.

Spektakle w Olympii przygotowuje się bardzo starannie, wymagania najwyższe. Coquatrix drukuje za każdym razem piękne programy. Z okazji recitalu Piaf czytamy następujący tekst:

„Edith Piaf posiada tę mroczną urodę, która jest widoczna wyraźnie dopiero w wielkich światłach. Ilekroć śpiewa, można powiedzieć, że wrywa swoją duszę po raz ostatni. To słowa Jeana Cocteau, który w ten sposób opisuje naszą pieśniarkę numer jeden, największą damę piosenki. Jej siła przekazu nie ma sobie równej w skali światowej. Wzbudza entuzjazm publiczności na całym świecie, podbiła wszystkie serca. Ale to, co cudzoziemcy rozumieją gorzej od Francuzów, to ranga, jaką Edith Piaf nadała życiu artystycznemu. Jest nie tylko wielką interpretatorką piosenki, ale także ogromną osobowością. Napisała wiele piosenek, które stały się przebojami światowymi. Stworzyła zupełnie nowy styl interpretacji, przemieniła piosenkę. Mnóstwo artystów zawdzięcza jej wszystko, czego dokonali najlepszego. Od wielu już lat Edith Piaf stoi na czele naszych gwiazd piosenki. Wylansowała Yves Montanda, Les Compagnons de la Chanson, Eddiego Constantine’a i wiele innych nowych gwiazd. Piosenkę ma we krwi. Od paryskiego wróbelka do ambasadora na świecie, jej karierę wyznaczają

wielkie nazwiska. Maurice Chevalier, pierwszy admirał. Raymond Asso, pierwszy autor tekstów. Kompozytorzy: Michel Emer, Marguerite Monnot, pomagali jej w pierwszych latach. Zanim los się uśmiechnął, musiała zaciekle walczyć. Nie zapomniała o tym nigdy, że do siódmego roku życia była niewidoma. Także o tym, iż zarabiała na życie, śpiewając na ulicach. Być może dlatego w jej śpiewie pobrzmiewają akcenty bolesne, rozdzierające wyznania miłości i nadziei. Rozpacz i radość wyraża, poruszając wszystkie serca. Publiczność uwielbia Edith Piaf”.

Z okazji recitali w Olympii znowu ogromne poruszenie prasy, zainteresowanej wszystkim, co się dzieje w życiu gwiazdy. „La Presse” z 24 stycznia 1955 roku zamieszcza duży artykuł, w którym czytelnik poznaje bardziej prywatne strony życia artystki. Bardzo lubi parterowe mieszkanie, którego okna wychodzą na Lasek Buloński. Chętnie przesiaduje tu w ogródku. Mieszkanie w zabytkowej kamienicy z XIX wieku ma dziewięć pokoi, ale można powiedzieć, że zamieszkują tylko trzy: sypialnię, salon i kuchnię. Dwa ostatnie pomieszczenia w miarę potrzeby spełniają rolę living roomu. W pozostałych są jakieś sprzęty, trochę mebli, ale głównie kufry i walizy.

Głównym meblem w salonie jest fortepian, obok którego adapter, magnetofon i inne sprzęty elektryczne. W rogu wielka zielona kanapa, na ścianach malarstwo Jacques’a Pillsa. Tutaj Edith pracuje nad piosenkami. Rzadko po południu, najczęściej późną nocą, między drugą a szóstą rano. Zachowała sympatyczny sposób bycia cyganerii artystycznej i nie poddaje się tyranii czasu. W okolicach północy czuje się w najlepszej formie. I właśnie o tej porze spożywa główny posiłek. Przeważnie w kuchni, zawsze w licznej, czasami bardzo licznej kompanii. Goście i bywalcy apartamentu przy bulwarze Lannes zmieniają się nieustannie. Istnieje jednak stała „ekipa” Edith Piaf, na jej czele imprésario (od dziesięciu lat) Loulou Barrier, pianista i szef muzyczny Robert

Chauvigny z muzykami, Charles Aznavour, Michel Emer i Marguerite Monnot. To najważniejsze osoby. Ten swój dwór Piaf traktuje despotycznie, na co reakcje bywają zaskakujące. Najczęściej oburza się Pills; spokojny z natury, miewa wybuchy prawdziwej złości. Ale uspokaja się szybko. Edith narzuca swój sposób i rytm życia wszystkim. Każdy musi się w nim odnaleźć. Nie ma innego wyjścia.

Co najbardziej zdumiewa w drobnej kobiecie, to jej cudowna witalność. Waży czterdzieści pięć kilogramów, i kiedy siłacze padają ze zmęczenia i senności, ona jest tak ożywiona, jakby dopiero co wstała. A trwa na nogach od kilkunastu godzin, czasami dłużej. Nadchodzi świt? To doskonała pora na próbę najnowszej piosenki.

Po recitalach w Olympii udają się z Jacques'em do USA na kilkumiesięczne tournée. Tym razem w wielkiej ekipie variétés. Wiosną, po powrocie do Francji, jadą natychmiast do swojej posiadłości w Bretanii. Edith jest honorową obywatelką Bretagne-de-Marsan, gdzie nowa szkoła, wybudowana głównie dzięki hojności artystki, będzie nosić jej imię.

# 13

Trasa koncertowa po Stanach i Kanadzie jest nieco męcząca. Olbrzymie sale, wielka ekipa. Piaf zdecydowanie lepiej czuje się w recitalach, na które przychodzi publiczność dla niej samej. Ale nie na tym kontynencie. Tu można usłyszeć idiotyczne komentarze:

- Niesłychane! Ona ma na sobie sukienkę z zeszłego roku! Podobno dostaje najwyższe na świecie honoraria i nie stać jej na nową kieckę? We łbie się tym żabojadom przewracało.

- Już wołę jej męża! Przystojny, a jaki elegancki! Co on w niej widzi? Chyba tylko te pieniądze, bo przecież nic innego!

Z Toronto Jacques Pills pisze korespondencję dla jednej z paryskich gazet.

„Jest już rok 1956. Wiele miesięcy temu opuściliśmy Francję i jeździmy z Edith po wielkich miastach ogromnego kontynentu. Jestem mistrzem ceremonii wielkiego spektaklu o międzynarodowej obsadzie. *Master of ceremony* - to tradycja ulubiona przez Amerykanów, a mistrzem w tej dziedzinie jest bezkonkurencyjny Bob Hope. Śpiewam minirecital na zakończenie pierwszej części, Edithi wypełnia całą drugą część spektaklu. Przedtem śpiewała w swoim ulubionym Versailles, a 4 stycznia odniosła prawdziwy triumf, śpiewając w Carnegie Hall. Pierwszy raz w dziejach artystka music-hallu miała recital w tej świątyni muzyki. Edith śpiewała ponad dwadzieścia piosenek w wypełnionej po brzegi

ogromnej sali, w której zgromadziły się nie tylko największe gwiazdy amerykańskiego filmu i najbardziej liczący się impresariowie, ale cała elita towarzyska Nowego Jorku. Edith wróci do Francji w marcu i zaśpiewa na scenie Olympii w maju. Ja muszę jeszcze pozostać po tej stronie wielkiej wody, co mnie wcale nie cieszy, ale taka dola nas, artystów, często rozdzielonych przez sprawy zawodowe. Edith powróci do USA we wrześniu (Versailles). Czy przyjadę z nią? Trudno mi powiedzieć, mam na razie plany sceniczne i filmowe. Do zobaczenia”.

Krótki czas bez Jacques'a wystarczy, by artystka wpadła w nieciekawe towarzystwo. W jej otoczeniu pojawia się Claude Ficus. Młody homoseksualista jest gorącym, chorobliwym wprost wielbicielem pieśniarki. Jeszcze w czasach *Liïi*, kiedy miał lat trzynaście, kręcił się za kulisami. Bywał na kursach dramatycznych, asystował Charles'owi Trenetowi, nachodził Alaina Delon. Marzył o karierze artystycznej, będącej udziałem jego idoli. Nie zdziałał nic. Teraz jest obecny wszędzie. Edith darzy go sympatią, bo dostarcza jej narkotyków, bez których nie może się już obejść. Stała się tak dalece uzależniona, że za kulisami teatrów pielęgniarka musi jej robić zastrzyki. Bez nich nie skończyłaby spektaklu.

Obiecała mężowi, że po skończonych kontraktach uda się na kurację odwykową do kliniki w Meudon, ale teraz odmawia kategorycznie. Pills wraca z USA, jednak nie ma żadnego wpływu. Ostateczną decyzję podejmuje imprésario Loulou Barrier i wiozą artystkę do Meudon siłą. Pozostaje tam przez dwa tygodnie. To pierwsza pełna kuracja, chodzi o alkohol i narkotyki łącznie. Wizyty surowo zabronione. Kurację zakończono, ale zdaniem lekarzy, pacjentka nie jest wyleczona. Przypadek wyjątkowo ciężki. Piaf nie chce pozostać dłużej w ponurej lecznicy. Wspomnienie straszliwych katuszy, jakie przeżyła, gdy pozbawiono ją wszelkich używek równocześnie, będzie ją prześladować nawet we śnie. Miewała halucynacje, była bliska obłądu.

Leży w domu pogrążona w depresji. Odmawia przyjmowania posiłków. Nie chce widzieć przyjaciół. Nie słucha muzyki, co lekarze oceniają jako najgorszy z symptomów choroby. Sen nie przychodzi. Spogląda na swoje zniekształcone reumatyzmem dłonie wzrokiem tak obojętnym, jakby należały do kogoś innego. Nie zdaje sobie sprawy, jak długo wegetuje w stanie niemal letargu.

Któregoś dnia uśmiecha się słabo.

-Jacques, nie mogę tak dłużej żyć. Oszaleję albo umrę. Muszę znowu śpiewać, to mój jedyny ratunek.

Ich finanse są w stanie katastrofalnym. Kuracje pochłonęły nieliczne oszczędności. Wyruszają w trasę koncertową po kraju. Pills jest wokalistą typowo lirycznym, Edith postanawia uczynić ich wspólny recital bardziej jednolitym i rezygnuje ze swoich żelaznych pozycji repertuarowych na korzyść lekkich, pozbawionych dramatyzmu. Osłabia swoje entrées. W miarę kolejnych piosenek publiczność jest zdziwiona, zaskoczona, wreszcie rozzarowana. Co się stało z ich wielką, drapiezną, do bólu dramatyczną Piaf? Można podejrzewać, że jest fizycznie tak osłabiona, iż nie byłaby w stanie śpiewać co wieczór utworów wymagających maksymalnego wysiłku, z czego może nawet nie zdaje sobie sprawy. A może jednak?

Trasa koncertowa nie zapowiada się dobrze. Małżonkowie zamawiają do obiadów i kolacji alkohole. Pills jest zdrowy i silny, przekonany święcie, że jeśli Edith wypije trochę wina, przestanie myśleć o narkotykach. Sam pozwala sobie na jedno i drugie, ale w stopniu mniej groźnym. Zdarza się kilkakrotnie, że Piaf przekracza miarę i jej stany są widoczne. Zapomina teksty, myli się. To smutne widowiska. Publiczność jest zażenowana, choć nie do końca pojmuje, co się dzieje. Trudno uwierzyć.

Po powrocie do Paryża już wiadomo, że postanowili się rozwieść. Edith potwierdza oficjalnie decyzję. Po czterech latach tego związku Paryż posmutniał. Publiczność życzliwie obserwowała nadzieje szczęścia powszechnie uwielbianej gwiazdy. Wydawało

się, że to dziecko ulicy znalazło wreszcie oparcie i ufność w swoim pierwszym mariażu. Czy to jednak możliwe w jej wieku, po tytu nieszczęściach? Wszyscy wiedzą, że Piaf jest heroiną własnych piosenek, które opowiadają o nieszczęśliwych miłościach. W smutnych piosenkach odnajduje się zawsze bardziej samotna niż w życiu. Jak to możliwe, że obdarzała siłą i inwencją swoich kolejnych przyjaciół i amantów? Tylko jeden związek, z Marcellem, zakończył się tragicznie. Dlaczego? Czy już nic dobrego jej nie czeka? Dalej śpiewa piosenki o niemożliwych, niespełnionych miłościach. Nie każda publiczność wie o rozwodzie, domagają się „La vie en rose”. Śpiewa ten pełen szczęśliwości utwór ze smutkiem i myśli o tym, że kiedy go pisała, była równie beznadziejnie samotna jak dziś i nie widziała swojej przyszłości w żadnych barwach. Ach, to było tak dawno. Upłynęły lata i znowu jest to samo.

„Nie mogę, nie umiem żyć bez miłości - zwierza się w wywiadzie radiowym. - Miłość, przyjaźń... Mam dwie wielkie miłości: kochanie i śpiew. Muszę je mieć równocześnie. Kiedy nie kocham, nie umiem śpiewać, a bez śpiewania nie jestem w stanie kochać. Nie, nie żałuję nigdy swoich decyzji. Zdarzało się, że chciałam być bardziej rozsądna, ale to też nie kończyło się dobrze. Ani dla mnie, ani dla kogoś. Kilkakrotnie zabrakło mi energii, nie byłam sobą. Ale żałować czegokolwiek? Przecież to są moje postanowienia! Nie mogę być kimś innym. Jestem jaka jestem i bardzo mi z tym dobrze. Lubię swoje zmartwienia i radości. Wszystko jest człowiekowi potrzebne, żeby czuł smak życia w całej pełni. Inaczej nie warto żyć. Nie boję się śmierci. Tutaj, na tym świecie, jest się ciągle niewolnikiem swojego ciała: katar, niewygodne buty, jakies bóle. Potem już nie ma takich kłopotów. Czego się zatem bać?”

Kolejna podróż do Nowego Jorku. Która z kolei? A czy to ważne? Za kilka dni Nowy Rok 1957. Edith Piaf leci jak zwykle luksusowym rejssem Air France, traktowana niczym królowa. Jej ekipa

jak zawsze niewielka. Tylko pianista i szef muzyczny Robert Chauvigny oraz akordeonista Marc Bonel, którego żona Monique bywa garderobianą artystki. Także przyjaciółką od serca, przecież trzeba z kimś pogadać. Nieodłączny Loulou Barrier. W USA wynajmowani są do orkiestry tamtejsi muzycy. To nie to samo co Francuzi, uważa Piaf, ale związkowe prawa tego wielkiego kraju nie pozwalają na omijanie ich. Może to i słuszne, chociaż na pewno nie w sensie artystycznym.

W ciągu długich godzin lotu jest czas na rozmyślanie. Mija ósmy rok od śmierci Marcela. Od tamtego czasu żaden inny samolot nie rozbił się. Dlaczego więc ten, lecący z Marcellem, musiał spotkać taki los? Chociaż to przecież nic pewnego, samoloty ulegają katastrofom, nie każdy jednak o nich wie. Na razie jestem wypoczęta, w dobrej formie, mogę żyć bez narkotyków, wystarczy odrobinka wina. Muszę uważać. Jestem spokojna, ale co za beznadziejna pustka, kiedy nie ma przy mnie nikogo, kto by mnie kochał i troszczył się. Może niepotrzebnie rozstałam się z Jacques'em? Może zrobiłam to zbyt pochopnie? Na dobrą sprawę, mało który z moich mężczyzn był tak łagodny i dobry, tak spokojny i wyrozumiały. Boże, ile on wytrzymał ze mną! Jestem naprawdę nieznośna, wiem o tym, ale moje odruchy są silniejsze ode mnie. Nie umiem panować nad nimi. Czy muszę? Chwilami chciałabym nawet, bo sama sobie robię na złość, a potem zostaję bez nikogo. Zupełnie sama, tak jak teraz. Czeka mnie kilka miesięcy ogromnego tournée w obydwu Amerykach i koncerty na Kubie, w Hawanie. Bardzo jestem ciekawa, to takie egzotyczne, ale przecież i tak nie mam czasu ani ochoty na jakieś zwiedzanie. Co tam zwiedzanie! Jestem nieszczęśliwa! Po co mi te pieniądze, które tu zarobię? I ta publiczność, która tak niewiele rozumie, choć na pewno ma najlepsze intencje. Może spotkam jakiegoś człowieka, który mnie zachwyci? Tak bardzo mi tego brak.

Dopiero po śmierci Edith Piaf wypowiadać się zaczęły różne osoby bliskie. W obszernej księdze *Piaf - le livre d'Edith* Silvain



Reiner dokonuje głębokiej analizy artystki i kobiety. Czytamy m.in.:

„Zdaniem kilku amantów, nie było w ogóle namiętności w jej przygodach miłosnych. Wszyscy opisują Edith jako kobietę zimną, bardzo zimną. Akurat to grono panów robi wrażenie, iż nie zasłużyli na uwodzicielkę wyższego formatu. Kolarz Pousse opowiada, że zdarzało mu się uderzyć ją, na co wcale nie reagowała. Wszyscy oni opowiadają o swoim ogromnym rozczarowaniu, psychicznym rozczarowaniu, jakie jest udziałem mężczyzny zachwianego w swojej dumie samca.

Piaf wypowiadała się na scenie gwałtownie, wszystkimi wibracjami swojego ciała, potęgą głosu, sublimacją zmysłów, tańcem miłości na wulkanach. Może była w stanie przeżywać miłosną ekstazę jedynie na scenie? Przy każdym kolejnym mężczyźnie usiłowała walczyć z chłodem, jaki ją wypełniał, co nie pozwalało jej być partnerką egzaltowaną. Ponadto - czy mogłaby się manifestować tak dziko gorąca, tak cudownie czuła na scenie, gdyby swoje niesamowite pragnienia wyrażała gdzie indziej? Zdradliwe związki doprowadziły ją w końcu do aberracji płynącej z pustki. Pustki ciała, chłodu duszy. »Oni polują na okruchy mojej sławy - zwierzała się przyjaciółce. - To ich pociąga. Chcą iść do łóżka z moim nazwiskiem, ale sami angażują się jedynie na poziomie własnego pępka«”.

Po sylwestrowej gali w superluksusowym hotelu Romanoff w Hollywood, podróż do Nowego Jorku wagonem sypialnym i prawie od razu próby w Waszyngtonie przed recitalem w Constitution Hall. Na razie Robert próbuje z samą orkiestrą. Doszli wspólnie do wniosku, że muzycy, nie przywykli do akompaniowania soliście, grają zbyt głośno.

- To najlepsi, wszyscy oni grają w orkiestrach symfonicznych
- tłumaczy ktoś miejscowy.

- Wierzę, oczywiście, na pewno są znakomitymi muzykami, ale orkiestra symfoniczna to coś zupełnie innego od zespołu, który towarzyszy pieśniarce i musi być na drugim planie. Zawsze! - tłumaczy cierpliwie łagodny Robert Chauvigny.

Nie wiedzą, że w Europie istnieje osobna grupa muzyków do akompaniowania piosence, gatunkowi odmiennemu od symfonii, choć orkiestracje - zwłaszcza w pewnych utworach Piaf - są bardzo bliskie klasyce.

Tymczasem ona sama siedzi w dość przygnębiającej garderobie. W Stanach nie ma tradycji urządzania takich pomieszczeń na miarę człowieka, który przeżywa tu najgorsze, najtrudniejsze chwile oczekiwania. To czas ogromnej samotności i wtedy właśnie potrzeba ciepła w jakiegokolwiek postaci. Można te mury ocieplić, ale nie każdy to potrafi. Gospodarze są pełni entuzjazmu i najlepszych chęci, nieświadomi jednak takich delikatnych spraw.

Lou Barrier uprzedził ją, że reakcje mogą być niespodziewane, odmienne niż w Nowym Jorku, gdzie widownia jest bardziej międzynarodowa, bo taki charakter ma metropolia nad Hudsonem. Tu, w Waszyngtonie, będzie na sali ogromna grupa dyplomatów, ale czy to wystarczy, by wyrównać poziom? Tego nigdy nie wiadomo na pewno. Publiczność to za każdym razem, zawsze i wszędzie, zbiorowe, tajemnicze zwierzę, nieprzewidywalne i kapryśne. Żaden, najwybitniejszy nawet znawca nie jest w stanie prorokować w tej materii. Może to i lepiej.

Barrier wolał swojej artystce nie mówić o fatalnej akustyce tej wielkiej sali, która budowana była do innych potrzeb. Na próbie tego nie słyhać, ale gdy przyjdzie publiczność... Impresario zna swoją przyjaciółkę jak mało kto i wie na pewno, że taka sytuacja nieświadomości jest dla niej lepsza. Zdecydowanie.

Po paru latach amerykańskich kontraktów Edith Piaf jest doskonale przygotowana, umie nawiązać kontakt z widownią, język opanowała zdumiewająco. Tworzy się zupełnie inna atmosfera, gdy ona sama streszcza w kilku zdaniach treść piosenek, które bez

tego nie miałyby sensu. Entuzjazm niebywały. Nawet „córy rewolucji”, jak nazywa się tutaj odziany w nieszczęśliwe kostiumy personel, nawet one oszalały i biją brawo, czego właściwie nie powinny robić, ale nikt nie zwraca uwagi. Być może te kobiety zrozumiały jakoś, że to właściwie ich koleżanka, to dziecko paryskiej ulicy, które tak rozdzierająco śpiewa o złych miłościach, zdradach, rozpacz, nędzy i wstydzie. Jedyne wielki talent Edith Piaf zdolny jest sprawić, że oklaskują tutaj repertuar tak przeciwstawny wiecznemu amerykańskiemu optymizmowi, zauważa żydowski dziennikarz, urodzony w Europie.

Po koncercie wielkie przyjęcie wydane przez ambasadę Republiki Francji, z udziałem korpusu dyplomatycznego i przewagą, jak tu zwykle, elit biznesu oraz pieniądza. Piaf męczy się i nudzi szybko obowiązkową porcją komplementów, której musi wysłuchać z takiej okazji. Z kłopotu wybawiają przemiły Henry Pleasant, krytyk muzyki klasycznej z „International Herald Tribune”. Ten elegancki mężczyzna mówi pięknie po francusku, z czarującym, rzadko spotykanym u *ricains*, akcentem.

-Jestem szczęśliwy, że mogłem panią usłyszeć. Płyty nie oddają nawet w części tego wszystkiego, co pani przekazuje na scenie. Na żywo! To całkiem inna sprawa. Obserwuję panią od lat i widzę pewną konsekwencję repertuarową, która zbliża panią coraz bardziej do klasyki.

- Nic bardziej pochlebnego nie mogłam usłyszeć! Jestem panu wdzięczna, ogromnie wdzięczna. Nie spodziewałam się usłyszeć czegoś podobnego właśnie tutaj, w Stanach. Widzi pan, u nas w Paryżu dzieją się sprawy dziwne i ciekawe, one mogą panu wyjaśnić wiele z fenomenu piosenki francuskiej, która tak podbija w ostatnich latach świat. Większość naszych kompozytorów posiada klasyczne wykształcenie muzyczne, jak mój pianista i szef muzyczny Robert Chauvigny.

- Zauważyłem podczas koncertu. To wirtuoz!

- Otóż to. Zapewne pan nie wie, ale „Les feuilles mortes”,

które tak się podobają publiczności, nie tylko dlatego, że śpiewam w przekładzie angielskim, skomponował zamieszkały od lat w Paryżu Węgier, Joseph Cosma, uczeń Beli Bartoka. Takich jak on jest więcej i chyba dlatego piosenka paryska jest czymś tak bardzo wyjątkowym.

- Czy pani zauważyła, jak krytycy kręcą nosem na muzykę pani pięknego kraju? Chodzi im o to, że po Ravelu i Debussym muzyka francuska prawie przestała istnieć. Obawiam się, że krytycy, jak zwykle zresztą, słuchają złej muzyki, w niewłaściwych miejscach. Wydaje mi się, że kraj, który w krótkim czasie powojennym może się poszczycić takimi talentami jak pani, jak Charles Trenet, Gilbert Bécaud, Jacques Brei czy Juliette Greco i Yves Montand, o! taki kraj nie musi się martwić o stan swojej muzyki.

Przy nazwisku Greco gwiazda nieco zmarkotniała, jednak szybko odzyskała dobry nastrój. Nikt nie jest wolny od drobnych zawiści. Ale i tak nie polubi nigdy swojej młodszej rywalki. Nie musi. Zresztą, ją też nie każdy lubi i ona o tym wie, a przecież się nie zamartwia.

Wkrótce drugi recital Edith Piaf w nowojorskiej Carnegie Hall. Sala na dziesięć tysięcy miejsc. Śpiewanie tutaj wymaga dodatkowego wysiłku, doskonale wie o tym. Na domiar wszystkiego publiczność przybyła w nadkomplecie i część ulokowano wzdłuż boków olbrzymiej sceny. Wszystkie znaczniejsze amerykańskie rozgłośnie radiowe transmitowały fragmenty tej gali, a francuska Europe 1 zrobiła to samo, ku wielkiej radości wielbicieli Piaf. Sukces, triumf nawet. Tym większy, iż występujący tu dzień wcześniej z orkiestrą Igor Strawiński mógł mówić zaledwie o *succès de grande estime*.

Wychodząc z Carnegie Hall, westchnęła z uśmiechem: zafundowałam sobie dzisiaj najpiękniejszą tremę mojego życia.

# 14

W gronie „chłopców Piaf”, jak nazywany bywa złośliwie dwór gwiazdy, pojawia się Felix Marten. Wyróżnia się spośród innych wzrostem - metr dziewięćdziesiąt siedem. Przystojny, szczupły, elegancki, jest chronicznym uwodzicielem. Zachowuje się bez zahamowań na terenie pozbawionym potencjalnych rywali. Podczas pierwszego spotkania zaproponował Edith Piaf: byłbym w sam raz na pani afiszu, w pierwszej części. Artystka prosi go o próbę. Śpiewa jedną, może dwie zwrotki z lekką niepewnością, że może go natychmiast odrzucić. Miłość? Namietność? Nie warto o czymś takim mówić. W jego życiu kłamstwo sprzedaje się lepiej niż prawda. Piaf zastanawia się nad olśniewającym amantem, wahając się między głodem ciała i pustynią ducha.

Podobne rozterki nie trwają u niej długo. Co za fascynujący dryblas! Szerokie bary i lodowate spojrzenie zuchwalca. Piaf widzi siebie ulokowaną w ramionach pięknego olbrzyma. A ona pozostaje malutka w swojej czarnej sukience, w stałym deficycie męskiego ciepła.

Sprawa załatwiona. Felix Marten wkracza do ścisłego kręgu kotła przy bulwarze Lannes, przybierając od początku manieri właściciela. Piaf udaje, że tego nie dostrzega, pochłonięta powtórzeniem nowej piosenki. W byle jakim szlafroku, jedna ręka oparta na biodrze, włosy w nieładzie. To jej typowa poza w pracy, także poza sceną.

Z Martenem nie pójdzie łatwo. Młodzian wie doskonale, że musi przyłożyć się do tej nowej pracy. Ma, czego chciał. Może ją objąć, mówić, że kocha, i nawet na złość wszystkim pozostałym pocałować ją tu czy tam. Nie zamierza jednak posuwać się zbyt daleko. Będzie jego mistrzynią w sensie czysto profesjonalnym. Marten na afiszu Piaf. Cel osiągnięty bez jednego pocałunku. Żadna artystyczna korzyść nie każe mu się zbliżyć do niej fizycznie. Przeciwnie - raczej oddala. Wątle ciało divy nie stanie się pociągające za sprawą jej druzgocącego głosu. Marten nie jest wrażliwy na piękno, które emanuje ze śpiewającej kobiety, silnej, dominującej, spychającej w cień tandetne żądze.

Felix Marten wytrzyma w kotle na bulwarze Lannes równo rok. Białe noce, w których ma obowiązek uczestniczyć, doprowadzają go do szału. On potrzebuje snu. Inni wydają się odzwyczajać od spania, stają się bezsenni na wzór swojej władczyni. Nazwał ją żartobliwie „królową sów”. Czas u boku Piaf, który przyprawił go o nerwowe tiki, Marten ujmie lapidarnie: „Przez ten rok z nią nie widziałem ani razu światła dziennego”. Powiedzenie obiegnie cały Paryż. Usypiał w ciągu dnia jak zwierzę juczne, co w niczym nie przeszkadzało Edith. Sypiał w którymś z licznych pokojów. Budziła go, kiedy chciała, żeby poćwiczył głos. Żeby się zemścić, krytykował bezlitośnie jej nowe piosenki. Bez skutku. Najbardziej nie znosił tłumu pasożytów, który nieustannie nachodził apartament Piaf. Jedli tu i pili, ucztowali bez opamiętania. Dla niego, nie uznającego alkoholu, był to koszmar, obok permanentnego niewyspania. Wytrzymał, ile był w stanie. Żeby zrezygnować z raj-glorii Piaf, trzeba było przejść przez jej piekło. Spokojnie, choć z niesmakiem.

Pewnego wieczoru, po koncercie w Marsylii, zrobił jej awanturę: odejść natychmiast, jeśli nie przestaniesz wyrzucać pieniędzy na bankiety dla tych drani, którzy cię rujnują! Odpowiedziała tym samym tonem: co ciebie to obchodzi, to nie twoje pieniądze!

Marten wniósł znaczące zmiany do legendy romansów Piaf. Odmówił śpiewania piosenek o miłości. Jakby się bał, że może się zainfekować. A ona miała nadzieję, wierzyła, pragnęła przynajmniej jego obecności. Potrafił doprowadzić ją do furii swoimi talentami buntownika. Trzaskał sucho drzwiami, co brzmiało jak rewolwerowy wystrzał, gdy uciekał, by odpocząć w mieszkaniu żony. Pozostawił w sercu Piaf głęboką, nieuleczalną ranę. Zgromadziła tych ran całą kolekcję. Były pozornie podobne do siebie, lecz każda inna, zależnie od tego, kto je zadał. Żadna z tych fałszywych przygód nie przyniosła jej odrobiny szczęścia. Jedyne miraze i kolejne rozstania, po których była jeszcze bardziej samotna, bardziej smutna, choć jakże romantyczna na tym pustkowiu serca.

Felix Marten nie zdążył na dobre opuścić apartamentu przy bulwarze Lannes, gdy nowy pretendent pojawił się u wrót majestatycznego piekła. Nazywa się Georges Moustaki. Nie ma w nim fizycznie nic z atletyzmu Montanda, Cerdana czy Constantine'a. Normalny Grek, przeciwieństwo mgławicowego Felixa. Absolutnie sentymentalny, ulepiony z ludzkiego ciepła.

W roku 2000 Moustaki wydał tomik wspomnień zatytułowany *Les Filles de la mémoire* (Dziewczyny pamięci), w którym dwa krótkie opowiadania poświęcił Edith Piaf. Oto one.

## Piaf, spotkanie

Aleksandria, prowincjonalna i uniwersalna, ukształtowała mnie, wykarmiła, nadała formy To, co tam przeżyłem i poznałem od urodzenia do siedemnastego roku życia, zdecydowało o wszystkim, co odkryję i kim pozostanę w przyszłości.

Od zakończenia wojny Europa przysyłała nam statki pełne grup teatralnych, baletowych, śpiewaków i piosenkarzy, którzy wypełniali sale swoimi pięknymi wieczorami. Jouvét, Trenet, Les Compagnons de la Chanson oraz wiele innych nazwisk i nazw zdobiło afisze. Radio nadawało mnóstwo melodii z Paryża. Gazety francuskojęzyczne informowały nas o modzie, o Tour de France, o Festiwalu w Cannes, o Prix Concourt. Wertując regularnie gazety i magazyny w księgarni Nessima, żyłem życiem Francji.

1947. Moja siostra Sarah zabrała mnie na koncert Edith Piaf. Jej repertuar znała publiczność Aleksandrii z radia i płyt. Pamiętny wieczór, który nabierze znaczenia, gdy jako paryżanin i kompozytor wkroczę w życie Piaf jedenaście lat później. Zwierzy mi się, że była zaskoczona swoją popularnością.

1958. Od jakiegoś czasu zajmuję się muzyką. Występuję w małych kabaretach. Moje podróże nie sięgają poza Belgię, zarobki bardziej niż skromne. Radosna cyganeria z takimi kompanami podróży, jak Jean Ferrat, Brel, Barbara, Anne Sylvestre. Debiutanci, tacy jak ja. Gitara, dzinsy i czarny golf to moje sceniczne akcesoria. Fiat 500 za sto pięćdziesiąt franków w trzech ratach, prze-



mieszczam się nim z miejsca na miejsce. Mój recital nie trwa dłużej jak dwanaście minut. (...) W tym czasie poznaję gitarzystę z zespołu Yves Montanda. To on, Henri Crolla, proponuje któregoś wieczoru:

- Mam spotkanie z Piaf, poszedłbyś ze mną? To cudowna kobieta, jestem pewien, że się polubicie.

Piaf otaczają dworzanie, bufoni, sekretarka oraz cały legion autorów i kompozytorów, którzy chcą jej prezentować swoje produkcje. Apartament prawie bez mebli, wypełniony ludźmi po brzegi. Fortepian, kilka foteli, filiżanki z kawą na niskim stoliku, wszystko to ginie w ogromnej przestrzeni. Czuję się zagubiony. Trzymam się blisko Crolli. Co ja tu robię? Nagle Crolla przedstawia mnie Edith jako genialnego kompozytora, którego powinna natychmiast wysłuchać. Uśmiecha się łobuzersko.

- Zamieniam się w słuch.

Sięgam po gitarę, kładę palce na strunach, wydobywam kilka byle jakich dźwięków. Jestem spocony. Crolla przybywa na pomoc, wrywa mi gitarę i zaczyna grać. To mnie jeszcze bardziej wytrąca z równowagi.

- Przepraszam, madame, nie wiedziałem, że się znajdę tutaj...

Wstydzę się swojego ubrania. Nie ogoliłem się. Otoczenie przygląda mi się skonsternowane, zdumione. Edith śmieje się. W życiu nie byłem w gorszej sytuacji. Nie mam najmniejszej szansy, by przekonać ją do swojego „geniuszu”. Próbuję inaczej, idę do fortepianu. Tam jeszcze gorzej, dłonie drętwieją, głos się załamuje. Marzę o ulotnieniu się po angielsku, zanim umrę z upokorzenia. Ale Piaf zatrzymuje mnie.

- Proszę nie odchodzić. Wiem, to zawsze trudno prezentować swoje piosenki. Proszę przyjść wieczorem, śpiewam w Olympii. Może wpadnie panu do głowy pomysł na piosenkę dla mnie. Poza tym chętnie posłucham raz jeszcze tego, z czym pan się tak męczył przed chwilą.

Troskliwość czy pobłażanie? Albo zwykła ironia. Ale słowa Piaf

podnoszą mnie na duchu. Wieczorem jestem w Olympii. Dotychczas znałem ją tylko od frontu, teraz podchodzę do wejścia dla artystów. Loulou Barrier, imprésario Piaf, przygląda się wchodzącym.

-Jestem zaproszony przez madame Piaf.

Odprowadza mnie do jej garderoby. Ciągłe otoczona chmurą ludzi, ale tym razem ja czuję się lepiej.

- Loulou posadzi pana na widowni. Po spektaklu jedziemy do mnie na kolację.

Razem z grupą zaproszonych siadam w pierwszym rzędzie.

- Z towarzyszeniem orkiestry Roberta Chauvigny, przed nami

- Edith Piaf!

Publiczność wyje, bije brawo, eksploduje. Pojawia się Edith. Nie widziałem jej na scenie od czasów Aleksandrii, kiedy miałem lat trzynaście. Jestem, jak wszyscy, poruszony, uniesiony entuzjazmem. Gdzieś głęboko sekretne uczucie, że śpiewa trochę bardziej dla mnie niż dla innych. Czy nie należała, żebym przyszedł?

Kiedy powracam do garderoby z jej przyjaciółmi i wielbicielami, nie wiem, co powiedzieć. Czy można gratulować artystce tej wielkości? Poszukuję wyrażań, które byłyby szczerze, oryginalne... i nie znajduję. Gdy otwierają się drzwi, milczę. To ona przejmuje inicjatywę.

- Przyjdzie pan na kolację? Ma pan samochód?

- Tak. (Mam swojego fiata 500).

-Jadę z panem. Proszę poczekać, kończę się ubierać.

Co za dzień, jaki wieczór! W ciągu kilku godzin zbłąźniłem się przed Piaf i jej dworem, miałem honor siedzieć w pierwszym rzędzie Olympii jako osobisty gość gwiazdy, a za chwilę będę u niej na kolacji. Co więcej, to ja mam ją zawieźć moim gruchotem, który brzęczy, kiedy rusza, i nabiera wody, gdy pada deszcz. Jest problem. Usiłuję jej wytłumaczyć.

- Wie pani, Edith, mój samochód jest malutki, niezbyt wygodny...

Nie zwraca uwagi. Może ma ochotę zadrwić sobie z tych, którzy walczą o przywilej wiezienia jej, i kieruje się w stronę swojego fiata 500.

Łowcy autografów, warujący przy wyjściu, patrzą zdumieni, jak gwiazda mija swój kabriolet marki Packard z białymi oponami, i woła do szofera:

- Proszę zabrać resztę, Robercie, spotkamy się w domu.

Gdy widzą ją wciskającą się do fiata, słyszą pomruk dezaprobaty. Odjeżdżamy. Silnik wydaje piszczące dźwięki, karoseria drży, woda dostaje się przez każdą szczelinę. Też miałem pomysł z takim samochodem! Edith nie mówi nic. Jest wyraźnie zafascynowana tym miniaturowym gratem, który jednak dowozi nas do celu.

Wieczór kończy się o świcie. Gdy wychodzę, Edith szepcze:

- Kolacja jest każdego wieczoru po Olympii. Proszę przyjść, zna pan drogę.

Dzień to dzień. Zaraz odnajdę swoją codzienność, ruszę w pogoń za jakimś kontraktem. Odwiedzę wydawców, może dostanę jakąś zaliczkę. Przede wszystkim mam ochotę pójść na Montparnasse do przyjaciół, by opowiedzieć im swoje wyczyny.

Odnajduję ich jak zawsze w Sélect, przy stoliku mojego rodaka Andréasa. (...) Jego stolik jest ostatnim salonem, gdzie się żarcie rozprawia, naprawia społeczeństwo, śmieje z kolejnych historii każdego z nas. Tego wieczoru ja jestem gwiazdą. Opowiadanie o mojej przygodzie z Piaf odnosi prawdziwy sukces.

- Zamierzasz tam wrócić? - pyta Tony Kreteńczyk, przyjaciel od zawsze.

- Raczej nie. To było dobre na jeden raz. Nie ma sensu powtarzać.

Jestem szczery. Prześniłem sen, nie chcę go kontynuować.

- Zwariowałaś, musisz tam iść. Nie zdajesz sobie sprawy, że to twoja szansa?

- Szansa nie szansa, lepiej mi tutaj.



Edith Piaf i Georges Moustaki

Resztę wieczoru spaceruję z Tonym. (...) Na pożegnanie rzuca mi ostatnią pokusę:

- Zadzwoń do Edith, być może oczekuje tego...

Tony zna się na kobietach. Prawdopodobnie ma rację. Posłucham go.

Nazajutrz dzwonię do Piaf z nadzieją, że odbierze sekretarka i pozostawię wiadomość. Ale to Głos, który mówi: „Oczekiwałam pana wczoraj... Proszę koniecznie przyjść. Koniecznie!”.

Tony nie mylił się. Towarzyszy mi tego samego wieczoru do Edith.

Ceremonia kolacji właśnie się rozpoczęła. Areopag prawie w komplecie. Tony szczęśliwy, że się tutaj znalazł, przy stole gwiazd. Zazdroszczę mu dezynwoltury. Edith sadza mnie po swojej prawej stronie. Usiłuję okazać się godny tego przywileju, a jednocześnie nie wzbudzać zazdrości tych, którzy i tak mi zazdroszą, robić dobrą minę, być zabawnym albo interesującym.

Wieczór kończy się przy fortepianie. Edith, niczym pobłażliwy monarcha, pozwala się zabawiać ripostami, plotkami, pochlebstwami. Od czasu do czasu wybucha dźwięcznym śmiechem, równie legendarnym jak smutek jej piosenek.

Robi się późno. Apartament opustoszał. Goście wyszli dyskretnie, gdy kazała mi słuchać płyt z muzyką jazzową, które przywiozła z Ameryki. Jestem zafascynowany. Nie wyobrażałem sobie, że pieśniarka innego pokolenia może mieć takie same gusty jak ja. Muzyka zbliża nas. Oczarowanie trwa, aż świt zacznie się sączyć przez kotary na wielkich oknach.

- Chyba pójdziemy spać - mówi spokojnie.

Zmieszany, zmęczony, idę za nią do jej pokoju

## Edith, ciąg dalszy

Odkrywam Amerykę w styczniu 1959 roku. Towarzyszę Piaf, która będzie śpiewać serię recitali w Nowym Jorku. Samolot Super-Constellation pokonuje przestrzeń nad Atlantykiem w ciągu dwunastu godzin. To rekord epoki. Dla mnie ewenement. Znałem dotąd jedynie pociąg, statek i autostop.

Od roku żyjemy z Edith miłością i muzyką. Różnica wieku wyrobiła mi, zdaniem pewnych osób, reputację zigołaka. Nie wzrusza mnie to. Nasza namiętność kpi sobie z takich nieżyczliwości. Cieszę się szacunkiem jej impresaria i muzyków. To jedyne osoby z jej otoczenia, z których opinią się liczę. Moje wyjścia w pierwszej części jej recitali nie wzbudzały entuzjazmu. Gorzej, napotykały chłodną obojętność. Pewnego dnia, dla podtrzymania mojego występu, zaśpiewała zza kulis drugim głosem. Publiczność rozpoznała jej głos i ożywiła się. Zirytowany, że odniosłem sukces dzięki jej interwencji, wybuchnąłem złością. Rozegrała się surrealistyczna scena, w której debiutant-ja, czynił wyrzuty gwiazdzie, że popsowała mu minirecital. Zrobiła to z miłości. A ja zareagowałem z powodu ambicji. Wspominam ten wypadek z czułością.

Nowy Jork tamtej zimy 1959 roku poraził moje zmysły. Edith pokazała mi jego lśniące fasady, komedie muzyczne, kabarety jazzowe, Broadway, Piątą Avenue. Ja prowadziłem ją do metra, odkrywałem Brooklyn i Village.

Mieszkaliśmy w części starego pałacu w hiszpańskim Harlemie. Ta dzielnica, niegdyś wytworna, rezydencjalna, stała się terenem walk między Portorykańczykami i Jankesami, w najczystszej formie *West Side Story*. Zdarzało mi się wracać późno i spotykać nos w nos z jedną czy drugą bandą. Tolerowali mnie z powodu mojej nieświadomości i przynależności do gatunku europejskiego gringo.

Piaf kochała i nauczyła mnie kochać tę dzielnicę o fatalnej reputacji. Mieszkała tu na początku swojej nowojorskiej kariery i pozostała jej wierna, odmawiając apartamentu, który jej proponowano w hotelu Waldorf-Astoria.

Bywaliśmy w tym luksusowym przybytku jedynie wtedy, kiedy tam śpiewała. Amerykański show-biznes tłoczył się tam, by ją okłaskiwać. Geniusz Piaf budził niekłamany respekt wyfiokowanej publiczności, olśnionej tą dziwną „Frenchie”. Edith, dziecko ulicy, zachowała coś ze swojej niegdysiejszej nędzy, mimo garderoby kreowanej przez czołowych mistrzów. Lecz ani alkohol, ani nieprzespane noce nie zniszczyły jej naturalnej, wrodzonej elegancji. Gdy jeden z dyrektorów amerykańskich sal zaproponował fryzjera, został obdarzony spojrzeniem gorszym od policzka. Nigdy więcej nie odważył się interweniować w cokolwiek, co miało związek z wyglądem Piaf.

Recitale w Nowym Jorku były łąbędzimą śpiewem artystki. Zrujnowana zbyt wcześnie rozpoczętym życiem, przeżywszy niemożliwe miłości i nadludzkie próby, zmiażdżona przesadnymi pochlebstwami jednych i marną zawiścią innych, z trudem opierała się erozji.

Zemdlała na scenie Waldorf-Astории. Powstała z własnych popiołów, by odbyć kilka triumfalnych tournées, zanim znalazła odpoczynek na Pere-Lachaise, odprowadzona przez płaczący tłum i „cały Paryż” tłoczący się na jej ostatniej „premierze”.

Jej omdlenie w Nowym Jorku zbiegło się ze zmierzchem naszego romansu. Wyjałowienie, zużycie, antagonizmy i znużenie

podkopały powoli naszą namiętność. Moja bezkompromisowa młodość źle akceptowała jej alkoholizm. Ona z kolei nie znośiła być osądzana, nie uznawała pomocy. Absurdalny konflikt, który doprowadził do naszej bolesnej separacji po roku szalonej miłości.

Wróciłem do Europy statkiem. Klęska okazała się także finansowa. Edith nie ofiarowała mi powrotu samolotem. Kupiłem bilet trzeciej klasy na pokładzie Liberté. Za cenę występów podróżowałem w kabinie pierwszej klasy. Wśród podróżnych był John Steinbeck, któremu dedykowałem swój recital. Podziękował miłym uśmiechem i autografem. Marne to było pocieszenie w tym mało triumfalnym powrocie.

Zerwanie z Piaf zasmuciło mnie, ale zarazem uwolniło. W przeciągu roku przeżyłem ogrom wydarzeń, spotkałem osobistości nie tylko z almanachu gotajskiego, poznałem luksus i glorię, sukces i tragiczny wypadek samochodowy, mordercze trasy koncertowe, nędzne kulisy, wspaniałe sceny. Napisałem piosenki, które podbiły świat, zetknąłem się z życiem gwiazd ze wszystkich stron, z ich dworzanami, służbą, dostawcami narkotyków... Wyszedłem z tego oglupiały, zmordowany, uspokoiony. Z trudem oswajałem się z tym, że nie będę już słyszeć ani trzymać w ramionach mojego małego, złośliwego wróbla.

Aktor Michel Simon, wielki przyjaciel Piaf, któremu zwierzałem się ze swoich rozterek, stwierdził z wrodzoną uszczypliwością: „Nie przejmuj się, to banalne. W każdym związku jest zawsze ktoś, kto rozpacza, i drugi, który ma to w nosie”.

Ta bezlitosna sentencja powraca często w myślach.

Część dziennikarzy potępiała moją dezercję, niewdzięczność. Inni przeciwnie, stawali po mojej stronie, młodego debiutanta, tyranizowanego przez starzejącą się gwiazdę.

Wspomnienia poety należą do najbardziej szczerych, czułych i delikatnych, jakie kiedykolwiek napisano o Edith Piaf, a litera-



tura powstała już ogromna. Sięgam do jego nowszego tomu (wyd. 2000) i znajduję miniaturę, w której zawarta jest historia powstania wielkiego przeboju Piaf, „Milorda”. Ze względu na wartość literacką materiału, zacytuję.

## Kot z Aleksandrii - rozdział V

Podczas podróży koncertowych, w samochodzie czy restauracji, namawiała mnie stale do pisania, proponując tematy. Myślała wyłącznie o swoich kolejnych piosenkach.

- Marzy mi się historia, która dzieje się w niedzielnym Londynie. W niedzielę Londyn jest najsmutniejszym miastem świata. Nieszczęśliwa miłość w niedzielnym Londynie to murowana rozpacz - szepnęła mi któregoś dnia.

Zacząłem kreślić jakieś zdania na serwetce w restauracji. Poszukując rymu, doszedłem do słowa MILORD. Edith spoważniała w jednej sekundzie.

-Tu właśnie jest piosenka. Zapomnij o innych pomysłach.

Miała bezbłędny instynkt. Wiedziała, że słowo Milord jest kluczem i że zanoszą się na wspólny temat. Dwa dni później, w hotelu Majestic w Cannes, otworzyłem brulion z magicznym słowem. Pomyślałem, co to słowo może za sobą pociągać.

Piosenka, w znanej formie trzech zwrotek, napisała mi się bez wysiłku, nie wiadomo kiedy. Zdumiony tą łatwością, pospieszyłem do apartamentu Piaf. Oczekiwała mnie, siedząc na wprost drzwi.

- Wiedziałam, że zajrzysz do brulionu, który ci podrzuciłam. To co, dzwoniły do Marguerite Monnot?

Co to za szczęście pracować z Marguerite! Ta kobieta miała wszystko: inspirację, pomysł na melodię, harmonię, klimat. Miśtrzostwo jej kompozycji było absolutne. Gdy tylko zagrała frag-

ment na fortepianie, już słychać było, co zagra orkiestra, czy będą to smyczki, czy blacha.

(...)

„Milord” stał się przebojem, zanim nagrała go na płyty. To było przed odlotem do USA, siedzieliśmy z grupą dziennikarzy u Maxima. Chciała im zaprezentować nowe piosenki, przy okazji przedstawić mnie, ich autora. Do tej pory interesowała się moja osobą jedynie prasa brukowa. Miałem prawo do epitetów typu: nowa miłość Piaf, albo młody żigolo.

Kiedy zaśpiewała „Milorda”, wybuchł entuzjazm. Byłem oczyszczony w jednej chwili ze wszelkich złośliwych zarzutów.

Nazajutrz po tym wydarzeniu, na prowincji, tuż przy restauracji „Grace de Dieu”, co znaczy Łaska Boska, Georges Moustaki prowadzi samochód z szybkością 120 kilometrów na godzinę. Gwałtowne hamowanie w ulewnym deszczu, żeby uniknąć zderzenia z wielką ciężarówką, która wpadła w poślizg. Ale los czuwał i graniczy z cudem, że dwoje pasażerów uszło z życiem z tego wypadku. Ciężko ranna, siedząca obok kierowcy, Edith Piaf była nieprzytomna, z pokrwawioną twarzą. Nazajutrz wybierali się do Nowego Jorku, gdzie miała się odbyć prezentacja najnowszych piosenek, między innymi Georges’a. Wyjazd i kontrakt anulowano.

Kilka tygodni wcześniej Piaf wróciła nagle samolotem ze Sztokholmu, gdzie zasłabła podczas recitalu w teatrze Berms. Uniknęła tym razem szpitala. Odpoczywała w swoim mieszkaniu przy bulwarze Lannes, czasowo niedostępnym dla dziennikarzy. Pieśniarka przekroczyła czterdziesty rok życia. Zimą przerywała dwukrotnie serię recitali w Olympii.

Z okazji premiery filmu *Les Amants de demain* (Kochankowie jutra) „Paris Presse” z 26 sierpnia 1958 roku zamieszcza artykuł pt. „Edith Piaf gra rolę, która jest podobna do jej piosenek”.

„Jej miłości umierają, podobnie jak inne się rodzą, nagle, ni-

czym grom z jasnego nieba. Wychodzi z każdej namiętności tak jak wąż ze swojej skóry, gładka, obojętna i gotowa do następnego spotkania. Nie wraca nigdy do starych zabawek. Jedyne pamiątka, jaka pozostaje po kolejnej miłości, to kolejna przyjaźń i czasami piosenka.

Ona nie uwodzi, ona zdobywa. Robi wrażenie odmienionej, stworzonej na nowo przez człowieka, którego pokochała. Urzeczona, kryje się w jego cieniu. Pewnego dnia ten, który uważał się za czarodzieja, postrzega, że był zaledwie wynajętym czarownikiem. Jego ofiara zniknęła. Pozostał mu jedynie błękitny garnitur, który noszą wszyscy kolejni amanci, a on sam czasami staje się gwiazdą”.

Ta diagnoza nie całkiem przylega do Georges’a. Świadomy od pierwszej chwili, nie stał się bezwolny pod jej czarem. Stał się ważnym partnerem. Jak mało który z poprzedników potrafi ją rozumieć, zarówno kobietę, jak i artystkę. Jego relacje o romansie z Edith są bardzo piękne, lecz siłą rzeczy subiektywne. Ze strony otoczenia widać to nieco inaczej. Sama Piaf wyznaje, że ich nocne rozmowy miały niemal teatralny charakter. „Zdarzało się nam całą noc spędzić na kłótni. To było wspaniałe!” - mówiła zachwycona.

Tworzyli sobie nawzajem klimat cudownej dzikości, z domieszką swobody kreowania jedno drugiego. Tym razem to on usiłuje ją przemodelować. Pragnie widzieć ją w bardziej atrakcyjnych sukienkach. Zmusić ją, skromną, pochodzącą z ulic nędzy, do przemiany w królową. W sposób wyraźny, widoczny, nie pozostawiający wątpliwości. Nie chce artystki w małej, czarnej sukience. Pragnie gwiazdy błyszczącej, jedwabistej, obwieszanej perłami, w diamentach od stóp do głów.

Pełnokrwista pasja nowego towarzysza życia przynosi Piaf odrodzenie, którego już się nie spodziewała. Jest absolutnie pierwszy wśród jej dworu. Jedynego właściciela uderzeń jej serca. Stworzył dla niej kilka najlepszych piosenek w repertuarze,

a przede wszystkim przywróci jej chęć do intymnych potyczek, tak bardzo twórczych.

Lubi pokazywać się z Georges'em publicznie. Jadają u Maxima i w innych snobistycznych lokalach. Artystka podejmuje największe wysiłki, żeby się korzystnie prezentować u boku szalenie młodego Greka. Odczuwa ciężar swoich lat i próbuje z tym walczyć. Często nakładem ogromnych pieniędzy. Efekt bywa odwrotny. Nowe wcielenie Piaf, grającej światową damę, zasmuca najwierniejszego przyjaciela, Jeana Cocteau. Jakież to niepodobne do Didi, której największym urokiem była naturalność. U boku pięknego Greka widać, jak bardzo jest schorowana, zmęczona, jak sztuczne jest jej podniecenie.

Ile ona właściwie ma lat, zastanawia się Cocteau. Chyba nie skończyła czterdziestu dwóch, a wygląda na dużo więcej. Jakie to smutne. Myślał, że Didi pozostanie wiecznie młoda i szalona, jak wtedy, kiedy się poznali. Cóż to była za orgia wdzięku!

Prasa amerykańska ma niezły żer w postaci przygód paryskiej gwiazdy. Dwa kolejne pobyty w szpitalu nowojorskim, poważna operacja żołądka. Pierwsza konferencja prasowa, z której paryska „Liberation” przynosi informacje 13 marca.

„Edith Piaf należy do pacjentów filozofów. Przyjęła dziennikarzy, nie przerywając robienia na drutach swetra. To jej ulubiony odpoczynek. »Za każdym razem, gdy cierpię, odkrywam nowe radości« - deklaruje. Rzucając od czasu do czasu aforyzmy typu: »Dla każdego znajdzie się skrawek błękitnego nieba!«, zdumiewa nowojorskich dziennikarzy. Niebawem opuści szpital i po krótkim wypoczynku uda się na koncert do San Francisco”.

Wychodząc ze szpitala, gwiazda oświadcza, że czuje się jeszcze nieco słaba, ale jest ogólnie bardzo dobrze. Schudła piętnaście kilogramów, waży teraz zaledwie trzydzieści sześć! Uśmiechnięta,

idzie powoli korytarzem szpitala, o własnych siłach wsiada do taksówki.

Czeka ją dalsza trasa koncertowa. Po Kalifornii Kanada, potem Meksyk. W większości będą to jednak recitale w niewielkich klubach oraz kilka występów telewizyjnych, w tym udział w bardzo prestiżowym programie Ed Sullivan Show.

Dwudziestego pierwszego czerwca o godzinie 9.30 na paryskim lotnisku Orly oczekujący przyjaciele witają uśmiechniętą radośnie Edith Piaf, uwieszoną u ramienia wysokiego, bardzo młodego Amerykanina. To Douglas Davis, malarz.

Nazajutrz „Paris-Journal” publikuje fotografie najważniejszych amantów gwiazdy, podając ich wzrost: Cerdan - 170 cm, Constantine - 176, Pills - 180, Moustaki - 182, Montand - 188, Marten - 197, Davis - 199. Sama Edith Piaf mierzy 153 centymetry.

Tytuł artykułu w rubryce „Paris Cancane”: „Piaf kocha bardzo wysokich albo bardzo silnych”.

„Na swój sposób ona jest genialna. Jej interpretacje bulwersują, ponieważ wiadomo, że na wątłych ramionach niesie ciężar fatalnych miłości, a serce ma umęczone przeszłością przedmieść i plebejskich jarmarków.

Jej życie jest ciągiem wzlotów i upadków. Nieustający flirt z triumfem i śmiercią. To dlatego kochamy Edith Piaf. Dookoła siebie rozsiewała zawsze dobro i powodzenie. Wszyscy, którzy znaleźli się w jej intymnym kręgu, wychodzili zeń wielcy i sławni. Można ułożyć całą listę: Yves Montand, Eddie Constantine, Felix Marten, Jacques Pills i Georges Moustaki. Jutro przyjdzie kolej na Douglasa Davisa, malarza, którego przywiozła nam z Ameryki.

Warto zauważyć, że wszystkich łączy jedna cecha: wysoki wzrost”.

Skąd wziął się młody Amerykanin? Po rozstaniu z Georges'em przestała marzyć o nowym amancie. Musi dokończyć kontrakt, ten amerykański wydaje się wiecznością. Nie może jeść, zamiast tego pije. Pije regularnie. Wychodzi na scenę, gdzie witają wierna publiczność, ten odwieczny kochanek. Na scenie jest szczęśliwa.

Omdlenie na estradzie to próba generalna śmierci. Artystka nie chce kapitulować. Nie ma czasu na odpoczynek, ani na nadzieję. Dopiero choroba zmusza ją do zaprzestania morderczej pracy. Loulou Barrier codziennie po południu odwiedza ją w szpitalu. Na szpitalnym korytarzu oczekuje go niezmiennie wysoki młodzieniec, który z niepokojem pyta o jej stan. Gdy zagadnął po raz pierwszy, Barrier zamierzał go odprawić. Obawiał się, że to jakiś wścibski dziennikarz. Ale młodzian wyprzedził go.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Douglas Davis, jestem malarzem i gorącym admiratorem pani Piaf. Mam wszystkie jej płyty. W dzieciństwie uczyłem się francuskiego. Byłem kilkanaście razy na recitalach w Versailles.

- Pamiętam pana.

Davis przynosił czasami bukietki fiołków. Zanosił je Piaf jej imprésario, aż pewnego dnia zdecydował.

- Najlepiej proszę jej te kwiaty wręczyć osobiście.

Blask w oczach szefowej utwierdza go w przekonaniu, że pomysł był zbawienny. Od tego momentu rekonwalescencja artystki postępuje błyskawicznie. Chodzą razem do kina i na spacer. Kilka dni przed odlotem z USA Edith odwiedza rodziców Douga w Atlancie. Sprawa, jak widać, poważna.

Nie umie być sama. Szuka oparcia w mężczyznach, bardziej niż uczucia poszukując przyjaźni, którą przyjaciółka Marlena Dietrich nazywa najczystsza formą miłości. Dziennikarzom na lotnisku, pytającym, co przywozi z USA, powiedziała ze śmiechem:

-Amerykanina! Nie widzicie? Jestem z niego dumna. Gdy leżałam w szpitalu, Doug spędzał co dzień dwie godziny w metrze, żeby mnie odwiedzić. Przynosił fiołki i czekoladki. Zrobiłam mu

na drutach sweter. Jestem zakochana. Nie mogę przysiąc, ale mam nadzieję, że to wielka miłość.

Edith Piaf wydaje się naprawdę szczęśliwa. Francja odetchnęła z ulgą. Najpierw krótki odpoczynek na wsi pod Paryżem, potem wyjazd na Lazurowe Wybrzeże, gdzie każdy może oglądać gwiazdę na plaży i podziwiać intensywne lekcje pływania, jakie pobiera, by się przynajmniej nieco upodobnić do swego wysportowanego wybranka.

Doug maluje z wielkim zaangażowaniem portret Edith. Zaskoczenie, zdumienie. Czy sztuka nie powinna wyrażać, przynajmniej do jakiegoś stopnia, prawdy czyli rzeczywistości? Portret nie podoba się nikomu, ani jednej osobie. Niektórzy uważają autora portretu, Amerykanina, za głupca. Edith na obrazie nie ma nic ze swojej osobowości, ani jednego elementu. Opuszczone powieki, jakby wypatrywała swojego miejsca w grobie. Głębokie cienie pod oczami. Wychudzona, z grymasem ust, wygląda na tym portrecie jak antyczne bóstwo wyobrażające śmierć. To nie jest portret kobiety odrodzonej, to maska ni to żywej, ni martwej osoby, wyraźnie nie pogodzonej z sobą.

Kupiła ukochanemu chevroleta, wielki amerykański samochód. Nie chodzi już o buty, garnitury, spinki do krawatów, ale o coś okazałego, masywnego, aby udokumentować swoją wdzięczność konkretnie, na amerykańską modłę. Od tej pory Doug jest szoferem gwiazdy. Jedzie z nią na tournée. Edith zachwyca się jego dłońmi na kierownicy.

*W piekle mojego życia  
Jesteś małym kącikiem rajy...*

nuci artystka. Zjeżdżając z łagodnego wzgórza, limuzyna wpada w poślizg na smudze smoły. Zgrzyt karoserii. Douglas płacze, Edith traci przytomność. Na tylnym siedzeniu zakrwawiony autor tekstów, Michel Rivegauche.



W szpitalu Edith wykazuje niesłychaną żywotność.

- Nie ma mowy o łóżku! Muszę natychmiast jechać do Divonne. Czekają na mnie, za chwilę mam koncert w kasynie.

Kontrakt w kasynie jest wyjątkowo wysoko płatny. Miejsce nietypowe, widownia wprawdzie nieliczna, ale za to bogata. A Piaf potrzebuje dużo pieniędzy, ma jeszcze kilka pomysłów na prezenty dla Douga. Lekarz stara się zrozumieć żelazną, nie znoszącą sprzeciwu wolę artystki, ale ma obowiązek ostrzec.

- Madame, pani igrza ze swoim życiem.

- Śpiewam, aby żyć.

Publiczność kasyna w Divonne zobaczy gwiazdę w bandażach. Nie szkodzi, pokaże im, jaka jest silna. Przed występem zastrzyk morfiny i szklaneczka wina. Napięcie nerwowe staje się także narzędziem, jednym z elementów wspomagających wyraz artystyczny. Nie wolno kapitulować przed słabością ciała, to nie w jej stylu. Piaf zaśpiewa do końca swój recital, ale otoczenie jest w panice. Część za kulisami, reszta na widowni, wszyscy zastanawiają się, do jakiego stopnia można być panią tak wątłego ciała. Za chwilę padnie bez zmysłów, to bardzo możliwe. Czy podniesie się raz jeszcze? A jednak nie, wytrzymuje. Musi, to konieczność czysto finansowa. Mało kto wie, że najlepiej wynagradzana pieśniarka Francji żyje z dnia na dzień, zrujnowana przez kosztowne kuracje w szpitalach w kraju i za granicą, zwłaszcza w USA, gdzie najczęściej zarabiała. Zostawiła tam w ostatnich latach sporą część swoich honorariów.

Najgorzej czuje się sprawca wypadku, Douglas Davis. Jest doskonałym kierowcą, co mu się stało? Czy w podświadomości tkwi chęć pozbycia się kapryśnej gwiazdy, tej niebywałej kobiety, z którą życie jest barwne i bujne, ale na dłuższą metę nie do zniesienia? Podobnie jak Pousse czy Moustaki, Douglas żyje w konflikcie ze sobą. W obliczu nieustannego zagrożenia. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie miała dość kolejnego amanta. Jej bez-

brzeźna adoracja kończy się wcześniej czy później bolesnym upadkiem obiektu tej adoracji.

Dla Edith gra o życie ma rozmaite oblicza. Potrzeba dominacji nakazuje ostrożność w postępowaniu. Jeśli porzuci amanta w porę, nie grozi jej nic z jego strony. Musi być pierwsza. Jedyńy, który opuścił ją nieodwołalnie, Marcel, padł ofiarą losu. Kochał ją bezgranicznie. Los sam rozwiązał dylemat podwójnego życia uczciwego człowieka.

Romans z Davisem trwa najkrócej. W sierpniu gwałtowne zerwanie. Davis ucieka pociągiem, budząc żal Edith, połączony ze złością, lak się nie robi. Nie można go posądzać, jak wielu próbowało to czynić, o chęć skorzystania z okazji i zrobienia malarskiej kariery u boku największej artystki Francji. Przy okazji sprzedał kilka płócien, ale nie przeszedł do historii sztuki. Przyznać mu natomiast należy, że ofiarował Edith kilka miesięcy szczęścia, spokoju i pogody ducha.

Po tym rozstaniu Piaf przeżywa głębokie załamanie. Nikt nie porzucił jej w sposób tak okrutny. Nie spodziewała się tego i to boli najbardziej dotkliwie. Pożera tabletki na wzmocnienie, nie odmawia żadnego kontraktu, a te są coraz mniej zobowiązujące, głównie na prowincji, gdzie każdy chce zobaczyć na żywo i usłyszeć chodzącą legendę, która może w każdej chwili umrzeć na scenie. To podnosi atrakcyjność występów w tandetnych kinach małych miasteczek. Obwiesza się amuletami, przekonana, że pomogą przetrwać słabości ciała, jakże marnego. W domowym zaciszu poddaje się całkowicie tym słabościom. Trzeba ją karmić, chwilami nie jest w stanie utrzymać w ręku szklanki. Piłgułki podawane do ust przyjmuje z zamkniętymi oczami, niczym hostię. W takich okolicznościach wzmagają się religijność Piaf. Modli się bez przerwy, a jednocześnie czujnie obserwuje otoczenie. Nie ufa nikomu. Każdy kryje jakieś knowania, najbardziej boi się wysłania siłą na kurację, do czego i tak dochodzi coraz częściej.

- Przestańcie szeptać, przecież nie śpię! Co wy tam spiskujecie, można się dowiedzieć?
- Naprawdę myśleliśmy, że Madame śpi - szemrze Danielle.

„Moja kochana Przyjaciółko - pisze wierny druh Cocteau. - Jesteśmy od narodzin naznaczeni piętnem śmierci. To nasz osobisty, intymny problem. Zmagamy się z nim w całkowitej samotności. Oczywiście, masz mnie, chociaż nie na wyciągnięcie ręki. Jestem z tobą zawsze i wszędzie. Twój Jean”.

W tym okresie Piaf nagrywa kilka znakomitych piosenek: adaptację meksykańskiej piosenki „Tlum” z rewelacyjnym tekstem Michela Rivegauche’a oraz „Mon vieux Lucien”. Osiąga w nich wyżyny interpretacji. Na płytach znajdzie się także wersja „Starego Lucjana” z pomyłką tekstową, na wzór podobnego nagrania Eivisa Presleya. Wdzięczni za moc wzruszeń, jakich dostarcza im sztuka uwielbianej Piaf, Francuzi darują jej wszystko.

Rok 1959 był wyjątkowo fatalny. Podczas jesiennej trasy koncertowej Edith kilkakrotnie odwołuje swoje występy, podobnie w grudniu. Zasłabnięcie na scenie w Dreux i jazda karetką do Paryża. Leczenie snem niewiele pomaga, bo ostatniego dnia feralnego roku kolejna hospitalizacja, tym razem z powodu żółtaczki.

Gdyby dokonać bilansu tego roku, więcej w nim smutku i cierpienia, a radości krótkie i przelotne. Po dwukrotnym pobycie w klinice w Meudon Piaf zostaje przeniesiona do szpitala amerykańskiego w Neuilly, który uchodzi za jeden z najnowocześniejszych w Europie. Spędzi tu trzy tygodnie pod opieką profesora Caroliego. Wynik badań ogólnych jest tak fatalny, że ktoś z personelu medycznego spytał: czy ta osoba jeszcze żyje?

Samotność szpitalnej separatki, gdzie mogą ją odwiedzać jedynie najbliższe, bardzo nieliczne osoby. Wychodzi stąd wyleczona, ale bardzo słaba. Siedzi w swoim salonie, otoczona ścisłym gro-

nem przyjaciół. Odstawia filiżankę na stolik, a potem kryje twarz w dłoniach i cichutko płacze. Marguerite Monnot obejmuje ją czule, także bliska łez. Loulou Barrier powtarza słowa, które tyle razy słyszała w ciągu siedemnastu lat ich współpracy:

- Proszę się uspokoić, Edith. Wróci pani szybko do formy. Jak zawsze...

- Nie tym razem, Loulou, nie tym razem. To już koniec, już po mnie.

Milkną pograżeni w smutku.

- Marguerite, pomóż mi.

Z trudem wstała o własnych siłach, rzuciła przyjacielom spojrzenie pełne rozpacz i opuściła salon oparta o ramię kompozytorki, która wróciła po chwili.

- Co z nią? - spytał Michel Rivegauche.

- Nigdy nie widziałam jej w gorszym stanie. Teraz będzie spać, ale znowu połknęła całą garść tych cholernych tabletek, które ją wykańczają. Nie mogę jej tego wytłumaczyć, nie mam już siły. Ona robi, co chce. Jutro, gdy się obudzi, znów pochłonie kolejną porcję tego świństwa. Nic na to nie poradzimy. Ale cóż, bądźmy dobrej myśli. Nie mamy innego wyjścia.

Tym razem dość długo powraca do zdrowia. W pierwszych dniach marca jedzie do swojej wiejskiej posiadłości w Hallier, gdzie pozostanie przez blisko dwa miesiące. Pracuje od jakiegoś czasu, przygotowuje nowe piosenki, a także zamierza nagrać muzykę do komedio-baletu Michela Rivegauche'a i Claude'a Leveillé pt. *Glos*.

Na wsi długa, kilkugodzinna wizyta: przybył Yves Montand z żoną, Simone Signoret, która jest śliczna, witalna i ogromnie miła. Widać, że to bardzo udane małżeństwo, na pewno przewaga leży po stronie znakomitej aktorki. To silna kobieta, pije i pali sporo, jak mężczyzna. Ale Yves patrzy na to spokojnie, widocznie mu nie przeszkadza. Wiele czasu w rozmowie poświęcili wrażeń z koncertów w Związku Radzieckim.

- Didi - mówi pełen entuzjazmu Montand - musisz tam pojechać. Nie wyobrażasz sobie, jaka to fantastyczna publiczność. Nie ma takiej na świecie.

- Komuniści tak kochają muzykę?

- Komuniści czy nie komuniści, to normalni ludzie, jak wszyscy. Co ja mówię! To wspaniali ludzie! Jacy serdeczni, gościnni. Słuchaj, przyjmowali nas jak parę królewską, co prawda nagrali z koncertów specjalną płytę, za którą mi nie zapłacili, ale to właściwie mniej ważne, bo powiem ci, Didi, takich przeżyć nie będę miał już nigdzie na świecie, nawet w Hollywood! Tak, tak. Ty nie masz pojęcia, jakie tam mają piękne sale koncertowe! I do tych sal przychodzą zwyczajni ludzie, skromnie ubrani, ale jak oni słuchają, jak chłoną. To coś niebywałego. Pojechałem tam jako pierwszy z nas, piosenkarzy paryskich. Odważyli się na ten krok, wiedząc, że byłem robotnikiem od dziecka, a teraz jestem wielką gwiazdą. To był dla nich najlepszy dowód na to, że kapitalizm także miewa zalety. No i jeszcze to, że byłem członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Ostatnio wypisałem się od nich, ale to inna historia. Didi, nie wyobrażasz sobie, jaki miałem koncert w hali fabrycznej. Myślałem wtedy o tobie, o kostiumie scenicznym, który mi kiedyś wymyśliłaś - tylko spodnie i koszula. Pamiętasz, byłem temu przeciwny, nie mogłem zrozumieć, o co ci chodzi, a ty tłumaczyłaś jak dziecku: będą cię wielbić miliony zwyczajnych ludzi na całym świecie. Zapamiętałem twoje słowa. Wiesz, oni na pewno oklaskiwaliby także Chevaliera w jego słomkowym kapeluszu i białym smokingu, ale na pewno nie byłby im tak bliski jak ja.

- Kupiłam sobie piękne futro - włącza się Simone - a ponieważ był okropny mróz, włożyłam na głowę wełnianą chustę, jak tamtejsze kobiety. Nie masz pojęcia, jak mi było do twarzy. Tak, Didi, musisz tam pojechać koniecznie. Oni cię znają i bardzo chcą usłyszeć.

- Wiem, opowiadał mi Coquatrix, on ma z Rosjanami bardzo

dobre kontakty. U nich występowało już sporo naszych, ostatnio była nawet Dietrich i Gilbert Bécaud, Lucienne Boyer, no i mój mały Aznavour. Podobno zrobił tam prawdziwą furorę, chyba po raz pierwszy w swojej karierze. A po drodze mają jeszcze występ w Polsce, też za sprawą Coquatrixa. Podobno także nadzwyczajna publiczność. Muszę o tym poważnie pomyśleć.

Pod koniec maja konieczność nagłej hospitalizacji w szpitalu amerykańskim w Neuilly, gdzie pozostanie wiele tygodni. Sytuacja poważna. W połowie czerwca ciężki kryzys, utrata przytomności. Powolny powrót do zdrowia, bardzo wątłego. Pod koniec sierpnia wyjeżdża do posiadłości Loulou Barriera w Richebourg, towarzyszy jej pielęgniarka. Wzywany jest tam lekarz, tym razem z powodu bólów kręgosłupa.

We wrześniu artystka ma się znacznie lepiej. Odwiedzają Jean Noli, który spisze i zredaguje wspomnienia Piaf *Ma vie*. Nagrywa z przyjaciółmi audycję dla radia Europe 1.

# 15

Na paryskim firmamencie muzycznym zaczyna błyszczeć Charles Dumont, lat trzydzieści jeden. Komponuje między innymi do tekstów Michela Rivegauche'a, który prezentował już kilka ich piosenek Edith Piaf, ale nie uzyskał akceptacji artystki. Stwierdziła nawet, że nie może ich śpiewać, ponieważ kompozytor zanadto się stara tworzyć „pod nią”. To największy błąd, jaki może popełnić twórca.

- Nie, nie, to stanowczo niedobre. Zresztą ten Dumont też mi się nie podoba, ma puciołowate policzki i spuchnięte powieki. Może pije, albo jest chory? Nie chcę mieć z nim do czynienia.

Dwudziestego czwartego października czuje się na tyle marnie, że po wizycie swojego ortopedy poleca sekretarce Danielle odwołać spotkanie z Michele Rivegauche'em i Charles'em Dumontem, ale nie udaje się ich telefonicznie zastać. Przychodzą punktualnie o godzinie siedemnastej. Piaf każe im czekać godzinę, po czym zjawia się w salonie. Ma na sobie stary, pognieciony i poplamiony szlafrok w kolorze błękitnym. Zmierzwione włosy schowała pod czepkiem kąpielowym. Twarz ściśnięta grymasem cierpienia.

- Sami widzicie: jestem wykończona. Dlatego chciałam odwołać spotkanie. Szybko, do fortepianu. Ale posłucham tylko jednej piosenki. Na więcej nie mam siły.

Zdenerwowany Dumont myli klawisze, śpiewa tekst Rivegau-

che'a tak jak potrafi swoim niewielkim głosem. W jego wykonaniu „Non, je ne regrette rien” brzmi dość mizernie. Mimo to artystka wydaje się zainteresowana i prosi o powtórzenie. Potem jeszcze i jeszcze raz. Zbliża się godzina dwudziesta trzecia.

- Przepraszam, muszę jechać do domu, mam ważną sprawę - kłamię Dumont.

W rzeczywistości jest zmęczony i senny. Nie będzie mu dane się wyspać, bo o północy telefonuje Claude Figus:

- Madame Piaf oczekuje pana niezwłocznie. Proszę natychmiast przyjechać.

W salonie Piaf tłum dworzan, których ściągnęła, żeby opowiedzieć o nowej piosence.

- Fantastyczna, mówię wam. Zresztą zaraz usłyszycie.

Półprzytomny z senności Dumont gra swój utwór, śpiewa go jeszcze gorzej niż przedtem, ale Edith zaczyna mu coraz pewniej towarzyszyć i wszyscy już wiedzą na pewno, że ich gwiazda wzbogaciła repertuar o nową, wspaniałą pozycję. Potem idą gromadnie do kuchni, żeby się posilić. Spotkanie kończy się o siódmej rano. Dla „kliki” Piaf (jak coraz częściej złośliwi nazywają jej dwór) to rzecz normalna, ale Dumont ślania się na nogach. Tak czy owak, jego piosenka będzie wykonana podczas najbliższego recitalu w Olympii. Aż trudno mu uwierzyć, bo do tej pory nie znajdował uznania w jej oczach, czy raczej uszach. Co się stało?

W ciągu kilkunastu godzin w artystce dokonała się przemiana, którą wszyscy przypisują magicznemu działaniu sztuki. Nikt nie podejrzewa, że kryje się za tym coś więcej. Spotkanie nazajutrz po słynnej nocy z „Non, je ne regrette rien” natychmiast zdemaskowało charakter tej zmiany. Przyjęła Dumonta, otwierając mu osobiście drzwi. Uśmiechnięta szeroko, ma na sobie bardzo elegancką sukienkę, na pewno kosztowną. Włosy prawie uczesane. Pachnie dobrymi perfumami.

- Czego się pan napije? Zresztą pan, pan! Charles, mówmy sobie po imieniu, dobrze? Przepraszam, że tak od razu, ale z powodu tej



pięknej piosenki stałeś mi się bardzo, ale to bardzo bliski. Mam wrażenie, że znamy się już długo. Wiesz, myślałam o tobie dużo. Zastanawiałam się, dlaczego nie zrobiliśmy nic razem wcześniej.

- Michel mówił...

- Wiem, wiem, o co ci chodzi, ale to jakieś nieporozumienie czy raczej moja wina. Wiesz, miałam ostatnio kłopoty nie tylko ze zdrowiem. To żadna tajemnica, wszystkie gazety o tym pisały. I może przez te zmartwienia nie byłam w stanie ocenić twoich piosenek, tak jak na to zasługują. Wybacz mi i zapomnijmy o tym. Bardzo jestem zadowolona z tej najnowszej piosenki, ach, jak mi się podoba! Ten drań Michel zna mnie lepiej niż ja sama. Sama nie napisałabym lepszego tekstu, przysięgam ci.

*Nie, nie żal mi  
nie, nie żal mi tamtych dni  
dobro, zto, śmiech i szloch,  
pokrył kurz, nic nie liczy się już!  
Nie, nie żal mi,  
nie, nie żal mi ani krzty,  
nie chcę znać, nie i cześć,  
dawnych spraw, przeszłość nie liczy się!*

- Edith, może nie mam prawa się wtrącać, ale czy to nie jest trochę wulgarne?

-Ale skąd! Właśnie to mi się podoba u Michela, że jego teksty są takie jak nasza codzienna mowa. Od lat walczyłam o to, bo widzisz, piosenka uliczna była kiedyś taka, z życia wzięta, a potem teksty zaczęli pisać autorzy tak zwani profesjonalni i forma literacka zabiła autentyzm, prawdę treści. Cały problem tkwi w tym, żeby oblec prawdę w literacki kształt, nie niszcząc tętniącego życia, bez którego piosenka nie istnieje.

Nazajutrz Charles przynosi jej dwie piosenki, z których zrezygnowali Les Compagnons de la Chanson. Zarówno „Toulon”, jak i „Le Havre” podobają się Piaf, ale od strony muzycznej.

- Nie mówię, że to są niedobre teksty, w żadnym wypadku. Rzecz w tym, że ostatnio nagrałam kilka kawałków o portach, morzu i marynarzach, na przykład „W Hamburgu”. Widzisz, o takich sprawach też muszę pamiętać, chyba przyznasz mi rację. Ale Michel obiecał już na jutro nowy tekst do piosenki „Mon Dieu” (Mój Boże). Uważam, że muzykę napisałeś tak cudownie patetyczną i wzniosłą, iż tekst musi pójść w tym samym kierunku. Na pewno Michel sobie świetnie z tym poradzi.

I rzeczywiście. Wkrótce Edith włączy „Mon Dieu” do stałego repertuaru. Będzie to jedna z najwspanialszych pozycji ostatnich jej nagrań.

*Mój Boże, Boże spraw  
bym mogła śnić, miłością żyć, zatrzymać czas!  
na dzień, na dwa, na pięć  
z mym ukochanym pozwól być choć dzień  
wspomnienia słodkie daj zachować mi  
niech miłość nasza trwa po wszystkie dni  
mój Boże, Boże spraw, niech życie me  
niech spełni się choć raz!*

Edith roztacza swoje rozliczne wdzięki. Stroi się nieustannie, a skoro się stroi, to potem należy się pokazać, zwłaszcza w takich miejscach, gdzie bywa kto trzeba. Tylko nowy mężczyzna potrafi obudzić w niej tę dziecinną próżność. Jest jednak poważny problem. Zdarza się często, że na propozycję kolacji czy pójścia do teatru Charles odmawia, tłumacząc się obowiązkami wobec rodziny. Gdy Edith słyszy złowróżbne słowo ZONA, natychmiast traci humor. Ale jest cierpliwa, co nie zdarza się często. I ma rację, bo Dumont orientuje się, że jego zawodowe sprawy są ściśle związane z prywatnymi. Kontakt z Piaf to konsekracja kompozytora, musi dbać o wszystko, także o stosunki towarzyskie z wielką gwiazdą, której życzenie jest po prostu rozkazem. Zresztą tak bardzo

się Charles nie broni przed urokami artystki i kobiety, to raczej jego nawyki wyniesione z dobrego, mieszczańskiego domu.

W Paryżu wszyscy chodzą teraz na znakomite spektakle Théâtre National Populaire, który pod dyrekcją Jeana Vilara osiąga poziom dawno niespotykany, nawet we Francji. Nie chodzi tylko o profesję. Teatr uprawiany jest, zwłaszcza w Paryżu, z pietyzmem, sporo tu awangardy i eksperymentowania. Vilar jednak uczynił coś nadzwyczajnego: tchnął nowe życie w historyczne dramaty, obsadza młodych, utalentowanych aktorów (na przykład słynny *Cyd* Corneille'a z tytułową rolą Gérarda Philippe'a). Jego przedstawienia są nienagane, a przy tym mają urok, którego nie sposób wyjaśnić wyłącznie poetycką aurą tej sceny.

- Posłuchaj, Charles, wczoraj byłeś zajęty, poszłam do Alhambry na koncert w towarzystwie Yves Montanda, ale brakowało mi ciebie. Nie bądź taki okrutny. Dzisiaj porywam cię do Palais de Chaillot. Vilar wystawia tam rewelacyjną sztukę Bertolta Brechta *Kariera Artura Ui*. Wiesz, to historia o Hitlerze. Podobno wspaniała! Cudem dostałam bilety, Jean Cocteau załatwił, powiedział mi: „Musisz to zobaczyć, Didi! Teatr Brechta to coś dla ciebie, dla twojej sztuki. Bo właściwie to wszystko, co robisz na scenie, jest teatrem. Ty, tak jak Brecht, sprawiasz, że sztuka jest życiem, a życie sta je się sztuką. Więc rozumiesz, że to jest dla ciebie, przede wszystkim dla ciebie!”.

Z kalendarza zajęć wynika, że Piaf była na dwóch pod rząd spektaklach *Artura Ui*, w towarzystwie Charles'a Dumonta. Nie wiadomo, do jakiego stopnia artystka była urzeczona spektaklem, a na ile miała ochotę pojawiać się częściej w towarzystwie najważniejszej aktualnie osoby. Jedno i drugie było ważne, bo w tamtych dniach nagrywa „Non, je ne regrette rien”. Słuchając tej wersji studyjnej, nie można mieć wątpliwości, że zarówno głosowo, jak i duchowo Edith Piaf znajduje się w formie, w jakiej nie była od dawna.

Kilka dni później, w salonie przy bulwarze Lannes otrzymuje Blason d'or de la Chanson Française (Złoty herb piosenki francu-

skiej) za nagranie „Milorda”. Uroczystość transmituje telewizja w programie *Toute la chanson* (Cała piosenka). Następują dalsze nagrania płytowe, między innymi „Les mots d’amour” (Słowa miłości). W trakcie jednej sesji zwykle rejestruje dwie piosenki. Nagrania tego okresu należą do najlepszych pod każdym względem, zwłaszcza „Mon Dieu”, w którym pełna patosu ekspresja zdumiewa wszystkich. Zdawało się, że dawno osiągnęła szczyty swojej sztuki, ale każda kolejna pozycja w repertuarze Piaf zdaje się ujawniać jej nowe, nieznanne możliwości, tak jakby otwierała jakieś niewyczerpane, ukryte pokłady wyrazu.

W grudniu rozpoczynają się próby recitalu, który będzie miał swoją premierę w Olympii pod koniec miesiąca. To nie tylko wielka szansa artystki, mającej śpiewać tam nieprzerwanie do początków kwietnia. To także ratunek w finansowych kłopotach właściciela tej sławnej sali, Bruna Coquatrixa. „Paris-Presse” donosi 31 grudnia 1960 roku:

„Podwójny cud Edith Piaf - tej nocy uratowała człowieka! Oklaski trwały długo, nikt nie pamięta, jak długo. To nie była umierająca Piaf z ubiegłych miesięcy, drżąca, budząca litość widokiem obrzękłej twarzy. To Edith Piaf sprzed dziesięciu lat, z dłońmi na biodrach, z burzą włosów wokół jasnej twarzy, z odrobiną zuchwałości w triumfalnym uśmiechu. Za kulisami nareszcie odprężony Coquatrix, który niedawno przeżył kryzys zdrowotny. Między nim i Edith trwa cicha umowa zaufanych przyjaciół. Ona stała się ratunkiem, ale też on należy do nielicznych, którzy nigdy nie zwątpili w jej zmartwychwstanie, także artystyczne”.

W ozdobnym jak zwykle programie Olympii tym razem tekst bohaterki wieczoru.

„Mój drogi Bruno - wyznaje Edith Piaf - oto znowu jesteśmy razem, co jest dla mnie tym bardziej wzruszające, że po dłuższym

czasie powracam do mojej Paryskiej Publiczności. Bruno, znamy się już tyle długich lat, przeżyliśmy wspólnie wiele różnych wydarzeń i dlatego wiem na pewno, że tego wieczoru, za kulisami, będzie Pan blisko mnie, oddychając moim rytmem, przeżywając te same co ja emocje, te same obawy i wspólne radości.

Z tych powodów, które są najważniejsze dla artysty, zawsze lubiałam i będę pragnęła pracować z Panem, czego życzę wszystkim innym artystom prezentowanym przez Pana, dyrektora pochłoniętego do głębi swoją pracą. W istocie Pańska profesja jest namiętnością, której ofiaruje Pan wszystko, czasami wręcz ponad rozsądek, podejmując często wielkie ryzyko, by osiągnąć cel, czyli realizować wszystko, co najlepsze i najpiękniejsze.

Mój drogi Bruno, Paryż potrzebuje Pana, bo jest Pan prawdopodobnie ostatnim wielkim dyrektorem naszego music-hallu. Wiem, że mimo ogromnych trudności naszej epoki szczęście uśmiechało się do Pana, i myślę, iż nadal będzie się uśmiechać i że będziemy razem bardzo długo kontynuować drogę pełną wprowadzie zasadzek, ale także cudownych rekompensat, które stanowią część naszej pięknej profesji. Edith Piaf”.

Na sąsiedniej stronie publiczność czyta tekst Bruna Coquatrixa:

„Dziękuję, Edith, że jest Pani tutaj tego wieczoru. Dzięki za wolę walki, za wiarę w zwycięstwo nad wszelkim złem, to dlatego odnosi Pani triumf swoim ukochaniem piosenki oraz życia, które są tak silnie związane ze sobą.

Dzięki za to, że jest Pani coraz piękniejsza, coraz silniejsza, coraz wspanialsza - wielka! Albowiem ciężkie przeżycia sprawiają, że ci, którzy z nich wychodzą, są właśnie tacy: piękniejsi, silniejsi i więksi! Dzięki, że nie zachowała Pani z tych złych momentów ani goryczy, ani urazy, ani żalu czy rozpacz.

W naszych szarych czasach, gdy pasja, entuzjazm i wspaniałość są rzadkością, jakże cudownie jest uczestniczyć w tej zwycięskiej

rezurekcji, będącej przede wszystkim triumfem osobowości. Nie mówiłem jeszcze, droga Edith, o Pani sztuce ogromnej, przed którą chylę czoło z respektem, jak również przed jej odwagą, wiarą, miłością do Boga, życia i ludzi. Wszystko to czyni z Pani istotę wyjątkową. Merci, Edith. Bruno Coquatrix”.

PIAF NIEŚMIERTELNA, czytamy w „Les Lettres Françaises”: „Edith Piaf, na szczęście, nie umrze nigdy. Ani dla nauki, ani dla sztuki”.

„France-Dimanche” opatrzyło sprawozdanie z recitalu tytułem: OCALONA DZIĘKI MIŁOŚCI, a niżej, drobniejszymi literami, można przeczytać: „Gdyby umarła na naszych oczach, byłoby o czym opowiadać wnukom!”.

Szczęśliwa i promienna, Edith czyta te słowa razem z Charliem przy śniadaniu. W tej sytuacji wydają się raczej zabawne niż oburzające. Gdy tylko odzyskała zdrowie, odczuwa wraz z dziką radością życia ogromną potrzebę śmiechu, z którego jest znana. Znowu zdarzają jej się wybuchy dźwięcznego, dzieciennego wręcz śmiechu, który wypełnia teraz apartament przy bulwarze Lannes. Odrodziła się jak feniks z popiołów. Dumont ma żonę i dwoje dzieci. Sam nie wie, kiedy stał się kochającym niewolnikiem, dzięki któremu odradza się cudem artystka. Na razie nie ma pojęcia o apokalipsie, jaka stanie się jego udziałem, gdy ukochana odzyska wszystkie siły i ukaże swoje oblicze bezlitosnego tyra.

- Charles, jak się cieszę, że przyjechałeś wcześniej. Czekałam na ciebie.

-Jak spałaś tej nocy?

- Trudno uwierzyć, ale znacznie lepiej niż zwykle. Bez żadnych proszków.

- Obiecałaś mi, chérie.

- Tak, nie mówmy o tym. Nie ufasz mi?

- Boję się o ciebie, Didi. Jesteś taka krucha i delikatna. Tylko twój głos pozostaje zawsze ten sam - dźwięczny, olśniewający.

- Mów tak, mów! Ale sam wiesz, że nie mam tej siły co dawniej. Jestem ruiną.

- Ruiny, jak wiesz, są niezniszczalne. A ty nieśmiertelna. A teraz wyjdź, proszę, ze mną na balkon. Okryj się, najlepiej pledem, bo jest chłodno.

- Co za pomysły? Chcesz mnie przeziębić?

- Przestań. Spójrz lepiej na ten piękny samochód przed domem. Prawda, jaka imponująca alfa-romeo. Podoba ci się?

- Lubię czerwone samochody. I co z tego?

- To, że zaraz zawiozę cię tą czerwoną limuzyną, dokąd zechcesz. Kupiłem ją przed godziną, a właściwie otrzymałem od ciebie, za naszą piosenkę.

-To ty zrobiłeś mi królewski prezent, Charlie! Piosenka jest przepiękna. Nie, to za małe słowo. To moja najwspanialsza piosenka.

- Bo tyją tak śpiewasz.

- Mój kochany pochlebco. Dokąd jedziemy?

- Na kaczkę do Tour d'Argent. Jeszcze nigdy tam nie byłem. Ty za to zjadłaś u nich całe stado kaczek!

- Nie przypominam sobie. Zresztą z tobą wszędzie czuję się cudownie.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, Didi.

- Mów szybko, umieram z ciekawości.

- Czy chcesz pojechać ze mną na kilka dni do Chamonix?

- Och, Charlie, ja chyba śnię! Marzyłam o tym, żeby z tobą wyjechać gdziekolwiek. Bez najmniejszej nadziei, że to się kiedyś spełni. A twoja rodzina?

- Wysłałam ich na cały miesiąc do Szwajcarii. Już dawno chciałem to zrobić. No co, nie cieszysz się? Myślałem, że sprawię ci tym choć malutką radość!

- Malutką? Ogromną! Zastanawiam się tylko, czy nie robisz tego z litości?

Patrzy na nią wzrokiem zakochanego chłopca.

Edith zapala w kościele kilka świeczek dla świętej Teresy za szczęście, jakie ją spotkało.

Nie robi tajemnicy ze swojej nowej miłości, ale ze względu na rodzinę Dumonta, czyni wyznania dyskretnie. „Paris-Presse” z 21 stycznia 1961 roku informuje, że w życiu Edith Piaf pojawił się nowy mężczyzna, dlatego jej recital w Olympii był tak niezwykły.

„Śpiewam dobrze tylko wtedy, kiedy kocham, kiedy jestem zakochana. Dwa miliony widzów było świadkami tych wyznań podczas popularnego programu Discorama. Wszyscy zauważyli spojrzenie, jakie skierowała do pianisty, towarzyszącego jej przy piosenkach »Non, je ne regrette rien« i »Mon Dieu«, których jest kompozytorem. Chciała, żeby wszyscy zobaczyli jego twarz, kiedy informowała:

-Odkąd śpiewam jego piosenki, nie jestem w stanie wykonywać żadnych innych. To ja poprosiłam, by mi akompaniował. Graj jak potrafisz, uspokoilam jego wątpliwości, dostosuję się do ciebie. Damy sobie radę, zobaczysz”.

Koncertuje na prowincji. Piosenkę w duecie z Charles'em Dumontem pt. „Les Amants” (Kochankowie), nagrywa w Brukseli, ponieważ personel techniczny w Paryżu od dłuższego czasu strajkuje. Pod koniec maja odczuwa zmęczenie i ból. Hospitalizowana w amerykańskiej lecznicy w Neuilly, przechodzi operację. Diagnoza: zwężenie jelit. Dwa tygodnie później ponowny zabieg, znowu problem jelit, wkrótce kolejne pobyty w szpitalach, także nagle, na prowincji. Mimo letniego wypoczynku w posiadłości Lou Barriera w Richebourgu, dalsze hospitalizacje.

Na początku października umiera przyjaciółka od lat, kompozytorka Marguerite Monnot. Była wprawdzie dużo starsza od Piaf, ale cięń zgonu osoby tak bliskiej przytłacza artystkę i czyni spustoszenia w jej psychice. Udziela wywiadu radiowego, w którym słyhać wyraźnie, że jest przybita i z trudem panuje nad



sobą. Trudno się dziwić. Marguerite była jedyną wierną przyjaciółką przez pół życia. Delikatna, subtelna, sprawiała, że Edith przy niej stawała się łagodniejsza. Nikt nie umiał tak słuchać jak Guitte. Obok Marleny Dietrich była to jedyna kobieta w najważniejszym kręgu Piaf, która zawsze wołała w swoim otoczeniu mężczyzn. I jaka z Marquerite kompozytorka! Gdy się dobrze zastanowić, to ona stworzyła na początku największe przeboje Piaf, dla nikogo innego nie potrafiła takich wspaniałości wymyślić. Musiało to także wynikać z ich duchowej bliskości, tak, na pewno. Do takich wniosków doszła Edith Piaf, opowiadając długo o swojej przyjaciółce w wywiadzie radiowym.

Poza tym nie jest źle, gdy porównać z tym, co działo się w życiu gwiazdy ostatnimi czasy. Paryska „l’Aurore” sporządziła zestawienie, z którego wynikało, że Edith Piaf w ciągu trzydziestu miesięcy przebywała osiem razy w szpitalach i przeszła pięć poważnych operacji.

W listopadzie artystka bierze udział w telewizyjnej „Ecole de vedettes” (Szkoła gwiazd), gdzie prezentuje swoich młodych przyjaciół i współpracowników: Claude Figus, od czasu do czasu jej osobisty sekretarz, który nigdy nie zrobił kariery, niebawem zginie, o czym Piaf nie zostanie poinformowana. Kompozytor Francis Lai wkrótce zasłynie z kilku przebojów i zdobędzie światową sławę.

Charles Dumont nie zamieszkał nigdy przy bulwarze Lannes, wracał do rodziny każdego dnia. Edith czuła się samotna. To była nowa dla niej sytuacja, ale Dumont od początku narzucił własne, niepodobne do poprzedników warunki. Nie usiłował kierować Edith, ani rządzić nią, nie pozwalał też, by nim dyrygowano. Choć wylansowany jako kompozytor przez Piaf, z miejsca zdobył równą jej pozycję artystyczną. Skomponował dla niej około trzydziestu piosenek, z których kilka stało się przebojami, nigdy jednak takiej rangi jak „Non, je ne regrette rien” czy „Mon Dieu”. Związek z Charles’em Dumontem miał całkowicie odmienny cha-

rakter od pozostałych, co irytowało Piaf, ale miało swoje dobre skutki.

Sytuację próbuje wykorzystać Claude Figus, który wyłania się z cienia. Wzrusza Edith swoim bezgranicznym oddaniem, niewolniczym uwielbieniem. Gdy tylko Piaf czuje się lepiej, on niczego więcej nie pragnie. Zwłaszcza, że artystka odkrywa w nim predyspozycje do śpiewu, a on trochę gra na gitarze. Kiedy proponuje mu jakieś piosenki, młody człowiek jest w siódmym niebie. To typowe dla istot niezbyt uzdolnionych. Swojej ukochanej artystce przychyliłby nieba. Podczas nocnego spaceru, na który namówił ją, gdy nie mogła zasnąć, doszli aż do Łuku Triumfalnego.

- A teraz niespodzianka dla mojej bogini!

Wyciągnął z torby patelnię, wbił do niej jajka.

- Za chwilę będzie jajecznicza usmażona na płomieniu znicza. Takiej nie jadł nikt, historia Francji odnotuje ten fakt złotymi zgłoskami.

Patrol policyjny przerwał zabawę. Figusowi groziło więzienie za profanację pomnika narodowego, ale Edith załagodziła sprawę.

Koncerty tego okresu pozostają w pamięci uczestników jako samobójcze tournée, tak opisała je prasa. Wszyscy wiedzą, że Piaf nie powinna występować w swoim stanie totalnego osłabienia, czego ona nie przyjmuje do wiadomości. Postanowiła śpiewać, tak jakby jej życie od tego zależało i do pewnego stopnia tak jest, bo na kolejne kuracje potrzebne są pieniądze. „Kiedy przestanę śpiewać, umrę” - zwierzyła się kiedyś dziennikarzowi.

Była to konstatacja niezwykle szczerą, choć miała podwójne znaczenie, czego wtedy nawet Piaf nie była świadoma. Teraz lęk, że nie będzie w stanie śpiewać, potęguje obawa, iż zabraknie pieniędzy na lekarzy i szpitale.

Trasa koncertowa zaczęła się w Reims, w ogromnej sali. Gdy Piaf weszła na scenę, publiczność zgotowała jej gorącą owację na

stojąco. Ponieważ owacja zdawała się nie mieć końca, muzycy kilkakrotnie próbowali grać wstęp do pierwszej piosenki, ale za każdym razem krzyki widowni zagłuszały ich. Wreszcie Edith udało się zaśpiewać, lecz ze zdenerwowania miała tak wysuszone gardło, że w połowie piosenki zamilkła. Za kulisami wszyscy skamienieli, a muzycy na scenie nie wiedzieli, co robić. Ale to trwało moment, bo artystka podjęła piosenkę i od tej chwili wszystko potoczyło się gładko. Ostatnią „Non, je ne regrette rien” była zmuszona powtarzać trzykrotnie.

- Sami widzicie, dam sobie radę! - powiedziała, schodząc ze sceny.

Przeliczyła się jednak ze swoimi siłami, bo nazajutrz zmęczenie i osłabienie wezmą górę.

Zaśpiewa cały koncert od początku do końca, ale mechanicznie, bez zaangażowania wewnętrznego, na które brak jej energii. Publiczność zareaguje podobnie: chłodno.

Gdy patrzy na długą listę miast, w których ma śpiewać w ciągu najbliższych kilkunastu dni, ogarnia ją przerażenie. Jednak musi wytrzymać, nie ma mowy o przerwaniu trasy koncertowej. Używa delikatnych tabletek ożywiających. Ma tyle siły, by odmówić przyjęcia zastrzyków, które powinny, zdaniem otoczenia, jej pomóc. Zaciska zęby: wytrzymam, tak postanowiłam.

Ale dyrektorzy sal wiedzą już, że podejmują ryzyko niedokończonego koncertu. Po raz pierwszy w karierze Edith Piaf odwołane zostają występy w Nancy, Metz i Thionville.

W Maubeuge przyjęcie jest ciepłe. Trzeba jednak opuścić kurtynę w trakcie spektaklu i ogłosić wzburzonej publiczności:

- Madame Piaf zasłała. To nic poważnego. Prosimy o chwilę cierpliwości.

W sali rozlegają się pojedyncze okrzyki: „Do szpitala! Do inwalidów!”. Edith słyszy je, podnosi się dumnie:

- Zastrzyk, błagam was! Dajcie mi zastrzyk, poradzę sobie.

Muzycy i pracownicy techniczni protestują.

- Nie wolno tego robić. Pomóc jej śpiewać, to pomóc się zabić.

-Jeśli nie chcecie, pójdę sama.

I wychodzi przed kurtynę. Wszyscy zajmują w pośpiechu swoje miejsca na scenie i przy stanowiskach. Wytrzymała do końca, ale jakim kosztem.

Śpiewanie, które było jej życiem i szczęściem, stało się teraz męczarnią i udręką. Bohatersko walczyła i wytrzymała, ale w ostatnim momencie nastąpiła katastrofa. Dziennikarze jeździli za nią, wiedzieli, że to nieuniknione. Hieny goniły za swoim łupem. Edith była tego w pełni świadoma. Miała ochotę powiedzieć im: „Jeszcze nie dzisiaj, panowie!”.

Gdy uniosła się kurtyna, na scenie widniała drobna, czarna sylwetka o twarzy obrzękłej od leków. Wyglądała jak karnawałowa marionetka z głową Piaf. Groteskowa i tragiczna. Umierająca i deliryczna.

Loulou, Charles Dumont i muzycy błagali, by zrezygnowała z występu. Dyrektor sam zaproponował, że przeprosi publiczność i opróżni salę. Edith natomiast łyknęła pół opakowania tabletek, dawkę końską. „Pozwólcie mi śpiewać” — błagała.

Opiera się o fortepian, żeby nie upaść. Zimny pot spływa jej po plecach. Śpiewa, a potem mówi do zdumionej publiczności:

- Kocham was, jesteście moim życiem...

Jest to tak szczerze, że publiczność urządza jej owację. Dodaje jej odwagi, jak bokserowi:

„Dalej, Edith, śmiało! Dasz radę!”.

Okrutne zwarcie, walka wątłej kobiety przeciwko chorobie. Pragnie za wszelką cenę ofiarować publiczności to, co jeszcze pozostaje jej z życia. Publiczność rozumie to i docenia. Za kulisami wszyscy mają łzy w oczach. Ale to zbyt wiele dla niej. W trakcie ósmej piosenki osuwa się bez zmysłów.

Publiczność w milczeniu opuszcza salę. Ludzie są przybici nie-szczęściem, bólem tej istoty, która chciała do ostatniej chwili dać im to, co ma najlepszego: swoje piosenki, swoje życie.

# 16

Otworzywszy oczy, ujrzała, że siedzi przy niej zatroskany Charles. Uśmiecha się nieśmiało.

- Kochana moja, musimy natychmiast gdzieś wyjechać. Tyle razy ci to proponowałem, ale zawsze miałaś ważniejsze zajęcia. Ty nie jesteś chora, Edith, ty jesteś nieludzko zmęczona, musisz wreszcie solidnie odpocząć. Pojedziemy w góry, tam jest wspaniałe powietrze, nabierzesz sił. Zaczyniesz jeść, spać i wrócisz do formy Zapewniam cię.

- W góry! Może razem z twoją żoną i dziećmi? Będziemy razem jeździć na nartach! Daj mi spokój, jedź sam! Mam ciebie dość!

Co się stało z jego miłą, kochaną Didi? Coś niedobrego. Jest gorzej niż myślał. Po kilku bezskutecznych próbach porozumienia Charles odjeżdża czerwoną alfą romeo. W domu oczekuje go spokojna, wierna żona, która wiedziała, że wygra tę batalię. To była tylko kwestia czasu.

Po kilkudniowym pobycie w szpitalu w Meudon Piaf ucieka stamtąd razem z pielęgniarką. Była tu już kilkakrotnie. Zapomniała, że leczono ją w miarę skutecznie z alkoholizmu i lekomanii; pamięta tylko najgorsze chwile, męki odwyku. A najbardziej nie lubi atmosfery beznadziei tej lecznicy, którą nazywa się oficjalnie ośrodkiem rekonwalescencji, podczas gdy bywalcy używają raczej nazwy: dom śmierci. Wynika to z nawracających stanów de-

presji chronicznych pacjentów. Nawet pielęgniarka nie wierzy w cudowne ozdrowienie artystki, której stan jest poważny, i bez obecności lekarza może w każdej chwili popaść w śpiączkę, albo - po nadużyciu innego typu lekarstw - w ostry kryzys nerwowy.

Najlepiej czuje się w swoim mieszkaniu przy bulwarze Lannes. Tutaj może robić, co chce. Po powrocie z Meudon żyje w stanie ustawicznego przygnębienia. Dużo myśli o tym, co ją spotkało. Może naprawdę już nie ma szans na dalszą pracę? Może jest zbyt schorowana? Niezdolna do jakiegokolwiek lektury czy słuchania muzyki, zastanawia się, co mogłoby ją uratować. Nie widzi takiej możliwości. Modlić się o szczęśliwą śmierć? Jeszcze nie, nie teraz, nie dzisiaj ani nawet jutro. Na pewno nie wróci nigdy do Charles'a, to nie miało sensu, chociaż na początku tak jej się zdawało. Może nie tylko zdawało, bo jednak dzięki niemu wróciła na jakiś czas do formy. Nie może żyć samotnie, mając przy sobie tylko wiernego Claude'a Figusa, który czuwa dzień i noc.

- Wiesz, Claude, mój dobry przyjacielu, chwilami mam wrażenie, że moje życie nie ma sensu. Po co ta dalsza vegetacja, skoro nie mogę śpiewać!

- To tylko chwilowy kryzys, Madame. Tyle razy już pani wychodziła, i to nie z takich tarapatów! Tak samo będzie i tym razem, nie wolno tracić nadziei. Nigdy, przenigdy. Jeszcze przed panią wiele wspaniałych koncertów! Przecież w Nowym Jorku czekają niecierpliwie na sygnał, kiedy przyleci pani do Versailles! Obiecała pani nawet zabrać mnie ze sobą...

- Masz to jak w banku szwajcarskim. Wiesz, mały, ty masz chyba rację! Jak to dobrze, że jesteś ze mną w tych okropnych chwilach, kiedy nie mam nawet siły zaprosić przyjaciół do domu. Zauważ, Claude, że moi najbliżsi przyjaciele nie bardzo się mną interesują! To przykre uczucie, kiedy pomyślę, że jeszcze niedawno bywały tutaj tłumy. A teraz, kiedy nie ma kolacji, nie ma baterii szampanów, nie ma i przyjaciół.

- Madame, nie jest tak źle. Pani jest zbyt surowa. Jednak tele-

fonu ją, nawet przychodzą czasami, ale pani nie zawsze sobie życzy Przysyłają kwiaty.

-Claude, może i tak jest, ale nie do końca. Pamiętają o mnie tylko niektórzy, mała grupa: Charlie Aznavour, Henri Contet i Raymond Asso. O, ten jest bardzo pamiętliwy. Do tego stopnia, że zżera go gorycz. Nie mówi o tym, ale daje do zrozumienia, że nie wybaczy mi nigdy, iż go porzuciłam. Raymond wróciłby do mnie w każdej chwili. I w każdej sytuacji, to chyba najlepiej o nim świadczy. Tak, nie mam wielu przyjaciół. Fortepian milczy. Salon stał się smutny, tak smutny, że nawet tam nie wchodzę. Lepiej mi tu, w moim pokoju, jest znacznie mniejszy i dlatego nie czuję się w nim aż tak bardzo samotna i nikomu niepotrzebna. Wiem, na pewno jest w tym także moja wina. Nie liczę się z nikim. To ja powinnam się zmienić. Wszystko musi się zmienić. Jak to jest? Dawno powinnam umrzeć, a jednak żyję. I chcę żyć. Powiem ci, że ostatnio miewam dobre sny. Tej nocy w moim śnie dzwonił telefon. Słuchaj, a może on dzwonił naprawdę?

- Nie, Madame, przykro mi, ale gdyby zadzwonił, usłyszałbym na pewno jeden z trzech aparatów.

- To znaczy, że śnił mi się dzwoniący telefon i bardzo byłam z tego powodu szczęśliwa, ale nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Mniejsza z tym. Wiesz, Claude, może byś mi przyprowadził jakąś dobrą wróżkę? Tak dawno nie byłam u żadnej, a tyle razy dowiadywałam się od nich dobrych rzeczy!

Nazajutrz Edith z płonącymi oczami wpatruje się w kostyczną, trochę niesamowitą niewiastę, która nie ma wprawdzie szklanej kuli ani czarnego kota na ramieniu, a jedynie talię do tarota i nieustannie każe artystce przekładać to te, to inne karty. Ostatecznie wychodzą rzeczy bez znaczenia, albo wróżka coś kręci, bo może zobaczyła czarną kartę śmierci? Przecież takie osoby wiedzą, co i komu mówić.

-Ale widzę tutaj, szanowna Madame, waleta kier. To znak, że spotka pani, i to już wkrótce, pięknego, wysokiego młodzieńca. On

jest tuż, tuż. Pojawi się bardzo szybko. No, może nie aż tak szybko. Musi się pani nauczyć cierpliwości. Tak, szanowna Madame, cierpliwość jest mądrością duszy. Ona gwarantuje wartość spotkania z tym młodym mężczyzną. Proszę, otwieram tom świętego Augustyna w dowolnym miejscu i co czytam? Jest tylko jedna miłość, twierdzi wielki myśliciel. To będzie pani jedyna miłość, Madame.

Wróżka odeszła sownie wynagrodzona. Ech, nie sztuka wywróżyć wysokiego młodzieńca. Każde dziecko we Francji wie z gazet, jakie są ulubione typy Edith Piaf. Jeden i wciąż ten sam.

W poniedziałek 23 stycznia 1962 roku (jak nie zapamiętać tak ważnej daty?) o godzinie trzynastej do apartamentu przy bulwa-





rze Lannes Claude Figus przyprawdza bardzo pięknego, młodego Greka.

- Madame, pani pozwoli, mój przyjaciel Theophanis Lamboukas.

Ach, pomyślała natychmiast, to pewnie ten z wróżby. Wszystko się zgadza. Ale pierwsze spotkanie minęło bez echa. Grek usiadł na dywanie, krzyżując nogi po turecku, i przez pół dnia nie odezwał się słowem. Pożegnała go późnym wieczorem, myśląc: coś niezbyt zabawny ten mały.

Zapomniała o nim. Doszła do wniosku, że wróżba się nie udała, albo że to jeszcze nie ten chłopiec z tarota. Zadzwoił do drzwi dwa tygodnie później. Leżała jeszcze osłabiona antybiotykami po zapaleniu oskrzeli i ucieszyła się szczerze na jego widok.

- Proszę mi mówić Theo, Madame.

- Nie mów mi Madame. Mogłabym być twoją matką, to prawda, ale nie czuję swoich lat. Czy to nie dziwne? A może trochę śmieszne?

- Nie, Madame... przepraszam. Edith. U pani nic nie może być śmieszne.

-Ja uwielbiam się śmiać, ale trafiłeś akurat na mój fatalny stan. Stan ciała, bo z duchem wszystko w porządku. To kwestia paru dni, zobaczysz.

Jest piękny jak grecki bóg z Olimpu. Odwiedzają codziennie. Czyta jej książki, przynosi lalki i kwiaty. Czują się razem coraz lepiej. Niebawem posypią się gromy na jego głowę. Ona ma czterdzieści siedem lat, jest zniszczona, schorowana i sławna. On, kompletnie nieznany, lat dwadzieścia siedem, i piękny, bardzo piękny. Będą mówić, że jest ubogi, a to nieprawda. Państwo Lamboukas prowadzą salon fryzjerski na przedmieściu, interesy nie idą ostatnio najlepiej, ale zdążyli coś odłożyć na czarną godzinę i żyją całkiem dostatnio. Edith natomiast, uważana za bogatą, jest zrujnowana. Loulou Barrier podpisał w jej imieniu kontrakty na półtora miliarda (w starej walucie) franków, częściowo pobranych w za-

liczkach. Umierając, Edith zostawi mężowi długi w wysokości 45 milionów. Theo będzie zmuszony występować za granicą, bo we Francji wszystkie jego zarobki zagarnąłby fiskus, jak regularnie będzie to czynić z prawami autorskimi Piaf w SACEM, rocznie około 10 milionów franków.

Miłość i pieniądze rzadko idą w parze. A miłość rodzi się między tymi dwojgiem nieuchronnie. Bardzo niewinna. Nieoczekiwana i cudowna. Nic więcej na razie. Żadnych planów na przyszłość, wbija sobie do skołatanej głowy Edith.

„Czułam się - wspomina w *Ma vie* - jak ktoś, kto jadąc pociągiem, zobaczył nagle za oknami krajobraz swoich marzeń. Idealne miejsce, gdzie chciałby żyć i zbudować dom. Ale wiedziałam, że pociąg nie zatrzyma się tutaj i krajobraz zniknie. Theo spotka inną kobietę, w swoim wieku, i przeżyje z nią całe życie. To normalne. Jednak na razie mam jego uczucie. Nieważne, na jak długo. Jestem szczęśliwa”.

Teraz czas upływa na wspólnych próbach i nagraniach Edith.

-Theo, ty seplenisz jeszcze bardziej niż ja!

- Nie żartuj sobie ze mnie.

- Zawsze potrafiłam to wyczuć. Sama sepleniłam, bo mam nieprawidłowy zgryz. W młodości nawet bardziej, później musiałam się kontrolować. Raymond bardzo mi pomagał, uczyłam się na nowo mówić. Wystarczyło, bym na chwilę zapomniała i znowu sepleniłam. Nikomu to jednak nie przeszkadza. Teraz będę jeszcze bardziej seplenić, staniemy się przez to podobniejsi. Jak brat i siostra. Starsza siostra, naturalnie.

- Przestań o tym ciągle mówić. Jakie to ma znaczenie? Skończyłem dwadzieścia siedem lat. To poważny wiek. A ty jesteś taka dziecinna. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na scenie, budziłaś we mnie uczucia ojcowskie. Jesteś słaba i bezbronna. Wiem o tym, znam cię z twoich piosenek. Powtarzają się w nich

ciągle te same słowa: rozpacz, tęsknota, łzy, ból, śmierć, żal. Jak to dobrze, że mogę poświęcić ci tyle czasu. Muszę cię trochę rozpo-godzić.

- Czy rodzice nie mają pretensji, że jesteś u mnie przez cały czas?

- Ciesz się, że mogę ci się przydać.

- Theo, czy oni mieliby ci za złe, gdybyś tutaj zamieszkał? Do-jazdy zajmują tyle czasu.

- Z tym nie będzie kłopotu. Mama bardzo lubi twoje piosenki. Mówi, że jesteś dobrym człowiekiem. To słyhać w twoim śpiewie. Ona ci ufa.

- Robert zawiezie cię zaraz. Pozdrów rodziców ode mnie i po-wiedz, że od tej chwili mieszkasz przy bulwarze Lannes.

Theo jest fryzjerem. Na samym początku proponował, że ją uczesze.

- Nie, nie, dziękuję. Szkoda twojego wysiłku. Ja zawsze mam taki nieład na głowie.

To prawda, ale niecałkowita. Edith nie chce, by zajmował się resztką włosów na jej głowie. Nie wie jeszcze, że przemawia przez nią kokieteria. Pierwszy znak, iż nie jest jej obojętny. Kupiła mu elektryczną kolejkę dla dzieci, teraz wszyscy mężczyźni się tym ba-wią.

Nocą 2 marca karetka wiezie artystkę do kliniki Hartmana w Neuilly. Spędzi tutaj dwa tygodnie. Theo wychodzi z jej sepa-ratki późnym wieczorem i wraca wcześniej przed południem.

Długie, bezsenne noce sprzyjają refleksjom. Najważniejszy jest teraz Theo. Edith widzi w oczach przyjaciół, którzy powoli wraca-ją do salonu przy bulwarze Lannes, może nie dezaprobatę, ale wyraźny niepokój o swoją, dotychczasowych dworzan, pozycję. Od momentu wejścia Greka do salonu Piaf wszyscy zdają sobie sprawę, że tym razem sprawa jest poważna, odmienna od wszyst-kiego, co działo się w życiu artystki ostatnimi laty. Rola dworu zdecydowanie się kurczy, bo najważniejszy staje się piękny mło-

dzieniec o twarzy dziecka i zachowaniu poważnego, dojrzałego mężczyzny.

Z wizytą do kliniki przybył Jean Cocteau, który teraz mieszka głównie w swojej wiejskiej siedzibie na południu kraju.

- O, mój kochany Jean! Jak to cudownie, że jesteś. Teraz, po śmierci Guite, pozostałeś mi tylko ty. Theo, nie gniewaj się, sam rozumiesz. Jean to dla mnie i przyjaciel, i niemal ojciec.

- Dlatego zostawiam was samych.

Edith miała blask w oczach. Rzuciła czule spojrzenie w stronę Theo.

- Sam widzisz, jaki on jest. Delikatny, taktowny. Mogę się od niego bardzo wiele uczyć. Wiesz, Theo ma rację. Otacza mnie opieką i troską. Chyba nigdy nie czułam się tak bezpieczna. Nawet przy Marcelu, bo on zawsze nosił głęboko w sercu i sumieniu swoją rodzinę. Wiesz, Jean, dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że gdyby Marcel żył, prędzej czy później zostawiłby mnie, albo ja bym sama odeszła, nie wytrzymując tej sytuacji. On nigdy nie zostawiłby żony i dzieci. Wiem na pewno. To mentalność południowca, inna od twojej czy mojej. I teraz, mój drogi, rozumiem coraz lepiej, że jeśli Marcel był do niedawna mężczyzną mojego życia, to Theo jest tym, na którego całe życie czekałam. Tak, Jean, nikt nie był dla mnie tak dobry, tak oddany, tak wpatrzony niespokojnie. Nawet Marcel, wierz mi. I powiedz mi uczciwie, co ja mam robić? Przecież jestem starsza od matki Theo!

- Didi, a cóż to ma do rzeczy! Dlaczego sprowadzasz całą sprawę do trywialnej oceny tępaków: patrzcie, diva upatrzyła sobie faceta, który może być jej synem. Nikt nie chce myśleć kategoriami dobroci i życzliwości ludzkiej! Przecież Theo kocha w tobie człowieka, artystkę, być może kobieta jest tu na ostatnim miejscu, wybacz! Widzę, że jesteś dla niego najważniejsza na świecie. Myślałam kiedyś, że taką rolę będzie spełniać Dougy Davis, ale...

-Jean, a czy ty wiesz, że Dougy nie żyje?

- Co ty mówisz!

- Niedawno telefonował do mnie dyrektor restauracji Versailles w Nowym Jorku. Prasa informowała kilka tygodni temu, że były narzeczony francuskiej gwiazdy Edith Piaf, malarz Douglas Davis, zginął w katastrofie małego samolotu, który sam pilotował. Dzięki mnie miał nekrolog na pierwszych stronach! Ech, takie tylko zarty. Lubiłam go, choć sprawi! mi ból, ale co tam. Było, minęło. No tak, wróćmy do Theo. Co mam robić?

- Chyba sama wiesz najlepiej!

- Moja rozmowa z tobą, Jean, to jak rozmowa ze sobą. Przecież myślimy podobnie. Dlatego pytanie jest retoryczne, nie spodziewałam się twojej odpowiedzi. Ale, zrozum, tak mnie zaskoczyło to niespodziewane, niesamowite szczęście, jakim stał się dla mnie Theo, że nie mogę uwierzyć. Chwilami wydaje mi się, że śnię. Naprawdę.

- Nie dziwi mnie to. Trudno spotkać dzisiaj istotę tak czystą i szlachetną. To wielkie szczęście. Dla niego także, Didi. Przecież i ty jesteś kimś nadzwyczajnym pod każdym względem, chociaż zapominasz o tym. Toteż mówię ci to, żebyś nie miała wątpliwości. Bierz to, co ci los ofiarowuje, i ciesz się, ciesz. Zasłużyłaś na to, na pewno.

- A ja myślę, że to moja święta Teresa przysłała mi Theo, by się mną opiekował.

- Możesz myśleć jak chcesz. Ważny jest Theo, jego istnienie przy tobie. Bądź szczęśliwa, dziecko, i miej w nosie ludzkie gadanie. Nasi bliźni potrafią być zawistni, nawet ci, którzy udają przyjaciół. Wiem coś o tym. Pa.

-Nie idź jeszcze, Jean. Pamiętajsz, wspominałam ci o mojej rozmowie z Yves Montandem i jego żoną o koncertach w Rosji. Wiesz, naprawdę mam ochotę tam pojechać, skoro jest tak wspólnie jak mówią. Co ty na to?

- Pamiętajsz, Didi, jak mi zarzucano sympatię do komunizmu, bo od lat podziwiam tych ludzi i ich gigantyczną sztukę? Cały Paryż był u stóp Baletów Rosyjskich Diagilewa, a cóż on czy Niżyń-

ski mieli wspólnego z komunizmem? Byli raczej jego ofiarami, co z drugiej strony pozwoliło im zaistnieć w zachodniej Europie i stworzyć niebywałe rzeczy. Oczywiście, moja droga, musisz tamjechać koniecznie, jak tylko nabierzesz sił. Radziłbym ci jednak wtedy zastanowić się nad swoim strojem scenicznym. Wiem, że jesteś przywiązana do swojej małej, czarnej sukienki, którą zna cały świat. Ale jadąc do Rosji, pamiętaj, że ludzie tam żyją bardziej niż skromnie, chyba nawet dość biednie, i tacy właśnie przychodzą na koncerty do swoich pięknych, luksusowych sal. Oni nie chcą, żebyś wyglądała jak jedna z nich. Zrozum mnie dobrze. Nie chodzi o to, byś nagle włożyła diamenty, nie, tylko twoja mała, czarna sukienka musi mieć odrobinę jakiegoś dyskretnego połysku, który by cię wyróżniał od kobiet na widowni. Porozmawiaj o tym z Coquatrixem, on tam był. Sądzę, że powie ci to samo. A teraz biegnę.

Po wyjściu z kliniki Edith oficjalnie powiadamia zebranych w salonie przyjaciół, że jesienią wychodzi za mąż. Wkrótce Theo występuje z minirecitalem w kabarecie Chez Patachou na Monmartre, gdzie Edith śpiewa z nim nowy, specjalnie napisany dla nich duet „A quoi ça sert l’amour” (Czy jest w miłości sens). Piosenka staje się przebojem, jeszcze zanim zostanie nagrana na płytach.

Marlena Dietrich występuje z recitalami w Olympii. Na premierze obecna jest Edith Piaf, w towarzystwie narzeczonego. Po piosence „La vie en rose” Marlena wita swoją przyjaciółkę i zawiadamia publiczność o mającym się odbyć w październiku ślubie. Dzika owacja. Publiczność paryska szczerze kocha swojego wróbla.

W czerwcu ruszają z Theo i Figusem na trasę koncertową, którą wkrótce trzeba przerwać, bo Edith ma kłopoty z gardłem. Tego się nie spodziewała. Inne organy mogą sobie odmawiać posłuszeństwa, ale żeby stracić głos! To kolejny sygnał, że trzeba uważać, jednak Edith jak zwykle wierzy w swoje niezmożone siły i kilka dni później stoi znowu na scenie, razem z Theo. Śpiewanie

w duecie sprawia im ogromną przyjemność. Za każdym razem gdy Edith zapowiada Theo, tłumaczy potem publiczności, że nazywa się Lamboukas, ale wymyśliła mu pseudonim Sarapo, co po grecku znaczy: kocham cię.

W tym okresie ktoś sfilmował z ukrytej kamery recital Edith Piaf z udziałem Theo Sarapo w brukselskim teatrze Ancienne Belgique. Dokument ten, jako ważki artystycznie, ostatni zapis koncertu artystki, zatwierdzono oficjalnie i udostępniono w niewielkim nakładzie. Poruszający jest widok Piaf, która wkracza na wielką scenę kroczkiem drobnym, niezbyt pewnym, z nieśmiałym uśmiechem na ustach, jakby chciała przeprosić obecnych, że nie jest już taka jak przed laty. Niemłoda, schorowana, zmęczona życiem. Dopiero śpiew otwiera w niej inną przestrzeń. Twarz się rozjaśnia, w oczach błyskają światełka innego świata, świata jej wielkiej sztuki. Jednak to już zaledwie echo niegdysiejszej potęgi. Śpiew wymaga fizycznej siły, a tej nasza bohaterka nie posiada. Pięknieje w śpiewie, lecz to raczej wspomnienie dawnego śpiewu. W repertuarze recitalu brak wielkich przebojów, na które wołała się nie decydować. Fizycznie może sobie pozwolić jedynie na pozycje lekkie, liryczne. Dramatyzm wykluczony, pozostaje tylko w jej fizycznej postaci. To cień dawnej Piaf. Na koniec zaprasza na scenę swojego Theo i razem śpiewają słynny już przebój „Czy jest w miłości sens”. W trakcie pierwszej zwrotki, wykonywanej przez Edith, Theo patrzy czule na ukochaną istotę, tak kruchą i całkowicie na niego skazaną. Potem, gdy on śpiewa kolejny wers, wpatrzona w jego twarz artystka powtarza za nim tekst, co widać po ruchach warg. Jest w tym coś dziecinnego, wzruszającego w swojej szczerości.

*Ty jesteś aż po kres miłością moją dziś  
ostatnia pierwszą jest, nie było przed nią nic,  
potrzebny jesteś mi dziś ty i tylko ty  
ja ciebie tylko chcę, w tym jest miłości sens!*

W tym momencie wszyscy zdają sobie sprawę, że ten młody mężczyzna stał się dla dogasającej artystki opoką, że będzie przy niej do końca. Ich związek stanowi znacznie więcej niż to bywa zwykle z mężczyzną i kobietą. Takie jest powszechne przekonanie po wspólnym występie Edith i Theo. Nikt nie ma najmniejszych wątpliwości.

Artystka w przyпыwie dobrego nastroju udziela żartobliwego wywiadu dla „Paris-Jour” w marcu 1962 roku. Tytuł: „Jak moi sekretarze robią karierę”.

„Przyzna każdy, że to prawdziwe szczęście mieć tylu amantów. Niejedna kobieta może mi pozazdrościć. Każdy z tych amantów jest młody, piękny, uwodzicielski. Gdy mnie poznają, okazuje się, że jeszcze do tego są utalentowani. Oto najnowszy, Theo. Mój sekretarz. Wygląda na dziewiętnaście lat, cera brzoskwiniowa, rumieni się często. Gazety ogłosiły już, że to nowa miłość Piaf.

- On nie jest moim kochankiem - śmieje się artystka - nie jest jeszcze nawet moim sekretarzem. Za kilka tygodni usłyszycie go w Olympii. Na razie pracuje dużo i ma talent. Można powiedzieć, że jestem największym dobroczyńcą music-hallu. Brakuje gwiazd? Zaraz je wyprodukuję. Oto recepta, bardzo prosta. Przyprawicie mi młodego mężczyznę, który chce śpiewać i jest utalentowany. Angażuję go w charakterze sekretarza. Rzecz odbywa się w obecności fotoreporterów, kiedy młody człowiek znajduje się w moim towarzystwie. Nazajutrz czytamy we wszystkich gazetach: »Piaf ma nowego kochanka«. Dla młodego mężczyzny to reklama na wagę złota.

Tym systemem pomogłam już wielu, oto oni: Yves Montand, Charles Dumont, Felix Marten, Claude Figus, Georges Moustaki, Charles Aznavour itd. Wszyscy oni zasłużyli na to i poradzili sobie potem beze mnie.

Jeśli chodzi o moje życie prywatne, prawdziwe, nie zna go nikt. Ludzie wiedzą jedynie to, co sama chcę, żeby wiedzieli. A pan, redaktorze, może ma pan ochotę śpiewać?”



Po takiej lekturze nie wiadomo, co myśleć, ale Piaf uwielbia żarty. W sierpniu stateczny „Paris-Match” zamieszcza artykuł pod tytułem: „Wszystko zaczyna się z nim”, co jest trawestacją fragmentu tekstu „Non, je ne regrette rien” - zacznym od zera.

„Piaf zakochana, zawiadamia o swoim bliskim ślubie z Theo, lat dwadzieścia siedem. Skandaliczne? Być może. Ale, wczoraj umierająca, odnajduje na nowo swoje dwadzieścia lat i śpiewa. Schodząca ze sceny Pałacu Festiwalowego w Cannes, szalenie wzruszona, ogłosiła rzecz publicznie. Próbowała śmiać się, w oczach miała łzy.

Żeby śpiewać, należy być zakochanym albo nieszczęśliwym. Bez tego nie ma życia, nie ma piosenki. Pewnie, że to skandal! Ona taka sławna, on wczoraj był fryzjerem. Ale dla Piaf to rzecz normalna. Nie pierwszy raz demonstruje nam takie historie. Miłości naszego monstre sacré są ponad wszelką normą. Nie tylko miłości, także narkotyki, konieczne dla kolejnego cierpienia i tych dramatycznych wyznań, które uczyniły z dziecka ulicy wielką artystkę naszej epoki. Zaledwie kilka miesięcy temu, w kolejnym szpitalu paryskim, przekonana, że już nigdy nie zaśpiewa, pragnęła śmierci”.

Alain Spiroux w „Paris-Jour” z 29 września 1962 roku informuje w tonacji lirycznej:

„Dzisiaj wieczorem Piaf przedstawi swojego Theo całemu Paryżowi na scenie Olympii. Gdyby żyła markiza de Sévigné, napisałyby: jest to para najbardziej nierówna, nieprawdopodobna, zadziwiająca, wzruszająca, śmieszna, irytująca, sympatyczna i niemoralna, jaką w ostatnich latach można było spotkać w Paryżu. Ta para, którą tworzą Edith Piaf i Theo Sarapo, podpisze kontrakt ślubny 9 października, w merostwie XVI dzielnicy”.

Wieczór, jakiego Olympia nie zaznała w swojej bujnej historii. Spektakl niby halucynacja, nieprawdopodobny w swoim wymia-

rze. Edith Piaf, lat czterdzieści siedem, wąła w swojej czarnej sukience babuni, ze zniszczoną twarzą, twarzą podobną do jej piosenek, tych dramatycznych, najbardziej bolesnych. Na dłoniach i całym ciele stygmaty choroby i cierpienia. Theo Sarapo, lat dwadzieścia siedem, ogromny chłopiec, promieniejący witalnością.

Hall Olympii przypomina cyrk, brak w nim jedynie zapachu dzikich zwierząt. Ten paryski cyrk naprawdę kojarzy się z antycznym Rzymem: każdy przyszedł, by zobaczyć, jak pogromca daje się pożreć, jak Edith Piaf umiera na scenie. Wielu panów założyło czarne krawaty, najlepiej poinformowani przekazywali sobie wiadomości: Widział pan jej ostatnie fotografie? Obrzękła twarz, jeszcze nigdy nie było z nią tak fatalnie...

Nie sprawdziły się żadne czarne scenariusze. Na scenę wkroczył wulkan! Długie minuty owacji, okrzyki, już po pierwszej piosence powszechne delirium. Okrzyki: »Edith, znowu wygrałaś!«

Uśmiechnięta, czeka, aż entuzjazm nieco przygaśnie. Wiedziała, że musi wygrać, zawsze wygrywa. I potem ten rumor za kulisami! Krawaty czarne wydają się czerwone i błękitne. Każdy chce gratulować, zadusić ją w radosnych uściskach. Wszyscy bliscy są obecni. Yves Montand z Simone Signoret, Charles Dumont i inni. Ale ona widzi tylko jednego: Theo.

Kilka dni później policja paryska ogłasza stan gotowości bojowej. Najbardziej bulwersujący mariaż stulecia gromadzi w okolicach merostwa szesnastej dzielnicy tysiące ciekawskich. Krzyki, przepychanki, podarte ubrania, histeria, pokrwawieni fotoreporterzy, korki uliczne, gwizdki policjantów, którzy nie są w stanie opanować rozszalałego tłumu. Większość przybyła, by wyrazić radość, że Edith Piaf znowu jest szczęśliwa. Piaf, ich mały wróbelek. Tu i ówdzie słychać oburzone szepty starych dewotek: „Jak mu nie wstyd! Żigolak”.

Panna młoda tego dnia czuje się słaba i ma spuchnięte nogi, wyszła z domu w pantoflach swojego narzeczonego. Bała się, czy ktoś tego nie zauważy. Na własny ślub w kapciach męskich! Ale

w takim tłumie nikt nie myśli o drobiazgach. Po ślubie cywilnym pojechali do cerkwi prawosławnej przy ulicy Georges'a Bizeta, gdzie pop włożył im na głowy złote korony. Po wyjściu z cerkwi kolejny tłum rzucał kwiatki, sypał ryż na szczęście, tu i ówdzie spontaniczne okrzyki:

- Niech żyją państwo młodzi! Niech żyje nasza Edith, nasza kochana Edith!

Część prasy jest bezlitosna. Nazajutrz po obydwu ślubach w „l'Aurore” ukazuje się obszerny materiał, podpisany przez François Brigneau, pod wymownym tytułem: „Dla Madame Edith Piaf z wyrazami ubolewania”.

„Wczoraj, w merostwie XVI dzielnicy, Edith Piaf została panią Lamboukas. Można ten fakt traktować rozmaicie, bo małżonkowie należą do świata sceny, w którym jest zwyczaj pobierania się w poniedziałek, by brać rozwód kilka dni później, gdyby nie fakt, że panna młoda mogłaby być matką swojego męża. Ta oryginalna cecha nowego małżeństwa sprawiła, że ceremonia stała się bardzo paryska. Zaprezentowano nam Lolitę w drugą stronę.

Edith Piaf była przez ćwierć wieku nadzwyczajną pieśniarką realistyczną, największą we francuskim music-hall u. Jej głos i piosenki należą do historii Francji. Wystarczy posłuchać »Mojego legionisty«, by zrozumieć okres przedwojenny, ostatnie lata pokoju, defilady białych kepi i tłumy tańczące na ulicach z okazji 14 lipca. Gdy rozbrzmiewa »Non, je ne regrette rien« mamy przed oczami tych, którzy opuścili koszary. Przy pomocy ascetycznych słów, poruszając tematy czasami śmieszne, Edith Piaf dzięki swojej namiętej prawdzie, swojej bardzo osobistej sztuce, umiała tworzyć cud przemiany widowni w jedno bijące serce.

Tego nie można zapomnieć, podobnie jak nie można zapomnieć odwagi tej drobnej kobiety, która walczyła przez ostatnie lata przeciwko śmierci, która odradzała się radosna, bardziej otwarta po każdej ciężkiej próbie. I być może dlatego, że nie da

się zapomnieć jej wielkości, ten ostatni wyczyn powoduje niemiłe uczucie. We wszystkich czasach zdarzało się, że damy w pewnym wieku ulegały uczuciom do młodych ludzi, odkrywały ich talenty, próbowały pomóc. Czasami robiły to dla przyjemności, kiedy indziej spodziewały się znaleźć szczęście. Ale miały zwykle świadomość, że takie związki mogą być żenujące i nie obnosiły się z nimi po estradach. Wystarczy sięgnąć do przykładów, od których roi się w literaturze i w filmie. Jeśli Edith Piaf robi sobie żalostną reklamę małżeństwem z młodzieńcem, który biegał w majteczkach, gdy ona śpiewała »Le fanion de la Legion« (Sztandar legionu), świadczy to o nieświadomości albo obsesji.

To zrozumiałe, że komedianci potrzebują publiczności. Można jednak wyrazić żal, iż artystka tej miary co Edith Piaf uznała za konieczne zaprosić wszystkich do swojej sypialni”.

Okrutna opinia jest odosobniona. Rodzice Theo szczerze pokochali synową i traktują ją nadzwyczaj ciepło, jak tylko ludzie południa potrafią. Pod koniec stycznia małżonkowie występują w La Frette sur Seine, gdzie mieszkają państwo Lamboukas, aby utworzyć fundusz pomocy miejscowej szkole. W tym czasie artystka zdążyła zrobić na drutach ciepłe rękawiczki dla teściowej. Po serii koncertów na prowincji, w lutym, Edith urządza dla teściów uroczystą kolację w mieszkaniu przy bulwarze Lannes. Przygotowują się do recitalu w music-hallu Bobino na lewym brzegu Sekwany. Edith zaangażowała w charakterze prezenterki siostrę Theo, Christie Laume, którą nazwała kolibrem. Oczekiwana jest z ogromnym zainteresowaniem. Wszyscy wiedzą, że Theo zrobił ostatnio znaczne postępy.

Po kilkunastu spektaklach Edith leży zaatakowana silnym katarrem. Z tego powodu odwołuje koncert w hiszpańskiej Walencji. Wkrótce znowu wraca do koncertowania, także w kabarecie Chez Patachou.

Ostatni raz w życiu wystąpi Piaf dwukrotnie na scenie Opery

w Lille w końcu marca, reszta trasy koncertowej zostaje anulowana z powodu ostrego bronchitu piosenkiarki. Kwiecień spędza w łóżku, Theo występuje sam w Étoile. Przy akompaniamencie swojego pianisty i Francisa Lai, Edith rejestruje w domu robocze nagranie piosenki Francisa „L’homme de Berlin”. Zostanie wysłane do Berlina w celu napisania niemieckiej wersji, która jest potrzebna artystce na planowany koncert w Niemczech. To bardzo smutne nagranie. Głos Piaf całkowicie pozbawiony blasku, słychać wysiłek fizyczny, trudności z oddechem. Brak ekspresji. Trudno w „Człowieku z Berlina” poznać wielką artystkę. Ale może warto poznać i taką interpretację, żeby sobie uzmysłowić minioną bezpowrotnie przeszłość? Gdy usłyszała nagranie, powiedziała do Francisa Lai:

- Przykro mi, naprawdę zasłużyłeś na coś lepszego.

Nagranie „Człowieka z Berlina” umieszczono na płytach z okazji pięciolecia śmierci artystki, razem z innymi nieznanymi piosenkami.

Kilka dni po nagraniu następuje hospitalizacja z powodu zapalenia i śpiączki, spowodowanej ciężkim stanem wątroby, zniszczonej lekami. Pobyt w lecznicy trwa tym razem blisko półtora miesiąca. Nie znosi swojego pokoju numer 510, ale nie ma siły na bunt. Odczuwa bolesne zmęczenie i lęk przed każdym kolejnym dniem. Theo podpisał kontrakt na dużą rolę filmową, co pozwala podjąć ważną decyzję. Trzeba wynająć willę na południu, w której Edith spędzi całe lato.

Nie ma ochoty opuszczać apartamentu przy bulwarze Lannes. Spędziła w tym ogromnym mieszkaniu dwanaście lat. Nigdzie tak długo nie mieszkała. Theo zrobił jej niespodziankę i w dniu ślubu zastała apartament umeblowany jak nigdy. Od tego czasu lubi jeszcze bardziej to swoje gniazdo z ogródkiem za drzwiami.

Loulou Barrier sporządził bilans jej dramatycznych przeżyć tych lat: cztery ciężkie wypadki samochodowe, próba samobójstwa, cztery kuracje odwykowe, kuracja snem, trzy zapalenia, atak

nerwowy, dwa ataki delirium tremens, siedem operacji, dwukrotne zapalenie płuc, rozedma płuc. Cud, że nadal żyje.

Jeśli zgodziła się wyjechać na południe, to jedynie z lęku, że w Paryżu nie odzyska szybko zdrowia i sił, a przecież latem zaczyna kontrakt w USA. Jest tam oczekiwana. Zaplanowano recital w Białym Domu, dla prezydenta Johna Kennedy'ego. Marzy o tym, by go poznać. Co za wspaniałe mężczyzna! Ma wszystko - odwagę, inteligencję, a przy tym, jaki przystojny. Skąd Edith może wiedzieć o ciężkim schorzeniu kręgosłupa prezydenta, o jego gorszej ortopedycznym? Rzecz trzymano w głębokiej tajemnicy. John F. Kennedy zginie w zamachu krótko po śmierci Piaf.

W ostatni dzień maja Edith odlatuje do Nicei w towarzystwie Theo i pielęgniarki Simone Margantin. W najlepszej wierze i za ogromne pieniądze Theo wynajął willę Serena w Cap Ferrat, nie konsultując sprawy z żadnym lekarzem. Tymczasem morski klimat okaże się zabójczy dla Edith, zarówno jej płuca, jak nerwy znoszą go gorzej niż źle. Gdy sprawy przybiorą fatalny obrót, Theo przewiezie żonę bliżej gór, ale będzie już za późno.

Odwiedza ją zawsze wierny Raymond Asso, któremu wydaje się, że tylko on mógłby uratować jedyną miłość swojego życia.

Trzeba anulować amerykański kontrakt. Ta decyzja pogrąża Edith w cichej rozpacz. Teraz nie ma już wątpliwości, że jej życie dobiega końca. Pobyt w klinice w Cannes, gdzie lekarze nie wierzą, by mogła stąd wyjść o własnych siłach. W ciągu ośmiu dni i nocy trwa walka ze śmiercią. Theo jest przy niej nieprzerwanie. Nic go nie zniechęca, nie oddala od niej. Opiekuje się nią, pielęgnuje, jakby była jego matką, dzieckiem i żoną, wszystkim razem.

Po wyjściu z kliniki Edith porusza się w wózku. Waży trzydzieści trzy kilogramy, twarz ma zniekształconą obrzękiem. Oczy koloru fiołkowego zszarzały i straciły blask, tylko spojrzenie pozostało dziecinne i ufne. Chyba ciągle nie przyjmuje do wiadomości zagrożenia życia. Intelktualnie, moralnie, pozostaje taka sama. Jest nadal nieznośna. Nie chce być rozsądna. Odrzuca wszelkie

reżymy, godziny snu i posiłków. Chce co wieczór oglądać jakiś film. Theo przywiózł z Paryża projektor i spełnia każde życzenie żony.

Edith nie dowie się nigdy, że 5 września popełnił samobójstwo jej faworyt i oddany przyjaciel, Claude Figus. Miał dwadzieścia dziewięć lat. Można powiedzieć, że otworzył wrota śmierci dla swojej gwiazdy, którą kochał jak nikogo na świecie. Nie ukrywał przed bliskimi, że uważa swoje życie za zmarnowane i zamierza je zakończyć jak najprędzej.

Theo depezuje do „France-Soir” i prosi o niekomentowanie śmierci Figusa w powiązaniu z jego żoną, która nie powinna wiedzieć o tej tragedii. Przy okazji, na prośbę redakcji, informuje o stanie zdrowia Edith Piaf. „Po raz pierwszy w życiu jest posłuszna lekarzom. Całkowicie odizolowana od świata, madame Piaf potrzebuje absolutnego spokoju. Nie ma tutaj żadnych muzyków i prób. W czasie gdy przebywałem w Paryżu na zdjęciach filmowych, nudziła się bardzo. Przyjmowała licznych przyjaciół i nrobiła trochę głupstw, ale teraz przestrzega ściśle wskazówek lekarza”.

- Theo, jesteś tutaj?
- Tak, Didi, przez cały czas.
- Nie musisz nigdzie wyjeżdżać?
- Ani na chwilę.
- Wiesz, trochę się boję, dlatego chcę, żebyś był ze mną. Jestem zmęczona, chyba zasnę.

To kolejna zapaść. Gaśnie z każdą chwilą. W pochmurny poranek 11 października 1963 roku odeszła w ostatni sen.

Siedem lat później, kiedy już pospłacał prawie wszystkie długi, Theo Sarapo zginął w wypadku samochodowym. Edith kazała mu wynająć kierowcę, bo wróżka ostrzegła, żeby unikał samochodów.

# Spotkanie z legendą

[Wstęp do poprzednich wersji książki *Hymn życia i miłości - opowieść o Edith Piaf*]

Przebywająca w Afryce w roku 1987 francuska wyprawa naukowa zainteresowała się plemieniem Pigmejów, żyjących w warunkach zbliżonych do epoki kamiennej. Demonstrowano im nowoczesne urządzenia: telewizor, wideo, magnetofon, radioodbiornik. Odtwarzano rozmaite nagrania muzyczne: folklor, pop i rock, muzykę klasyczną i, jak na Francuzów przystało, piosenki. Pigmeje słuchali spokojnie. Interesowały ich raczej przedmioty niż dźwięki. Gdy zabrzmiał głos Edith Piaf, rzucili się w popłochu do ucieczki.

Nie wiem, czy znał tę historię Steven Spielberg, ale powtórzył ją w swoim filmie *Szeregowiec Ryan*, w scenie, gdy żołnierze amerykańscy na europejskim froncie wojennym słuchają płyt na zdobyczym patefonie. Na głos Piaf reagują identycznie jak Pigmeje i uciekają z krzykiem.

Czytając w prasie informację o Pigmejach, a potem o filmie Spielberga, nie byłam zaskoczona. Reakcja wydała mi się właściwa. Poeta Jean-Paul Fargue w 1938 roku napisał, że Mademoiselle Piaf jest spokrewniona z siłami natury.

W dwadzieścia pięć lat po śmierci artystki, w roku 1988, ogłoszonym we Francji Rokiem Piaf, okazało się, że pozostaje ona wciąż najpopularniejszą pieśniarką. Wydaje się nawet, że upływający czas utwierdził Francuzów w przekonaniu, iż ich ukochana



artystka była zjawiskiem wyjątkowym, niepowtarzalnym i że nie pojawi się już nigdy nowa Piaf, której oczekiwano jak Mesjasza.

Nagrywając dla programu IV Polskiego Radia siedemnaście audycji, które stały się materiałem wyjściowym do tej książki, spędziłam z Editb Piaf w zaciszu studia około 700 minut, następnie kolejnych 200 minut poświęconych miniserialowi pt. *Wielka Nieobecna* w programie I Polskiego Radia. Intymność studia radiowego pozwoliła mi wsłuchać się uważnie, jak nigdy dotąd, w nagrania artystki. W miarę słuchania uświadamiałam sobie z całą wyrazistością, że śpiew Piaf jest jak przed laty przejmujący, głęboko ludzki, w swojej wielkiej prawdzie ponadczasowy. Śpiewając, dokonywała procesu samounicestwienia. Jej śpiew to płonąca pochodnia. Wybrańcy bogów umierają młodo, Piaf zapłaciła przedwczesną śmiercią za swoją sztukę. Choroby, alkohol, narkotyki - to sprawy wtórne. Spłonęła na stosie własnej wielkości. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć trwałość zjawiska, któremu na imię Piaf.

Śmierć artystki zastała mnie w Pradze podczas pierwszego kontraktu zagranicznego. Śpiewałam w klubie U Manesu, położonym malowniczo na cyplu na Weltawie. Jak większość początkujących wokalistów, nie miałam własnego repertuaru. Czerpałam ze światowej muzyki wszystko, co było mi bliskie. Nie gardziłam muzyką amerykańską czy bardzo modną w owym czasie włoską, z twistami włącznie. Pierwsze miejsca zajmowała jednak piosenka francuska.

Dzieciństwo w macierzystej Rumunii ukształtowało we mnie silnie kult Francji. Język francuski był drugim, którego nauczyłam się po rumuńskim. Potem dopiero poznałam niemiecki i polski. Tłumaczy to moje fascynacje muzyczne i literackie. Nauka gry na skrzypcach u profesora Iona Perlea, ucznia George'a Enescu, to pierwsze kroki w kierunku profesji. Miałam jedenaście lat, kiedy w Liceul Oltea Doamna w Jassach uczyła mnie śpiewu drobna, siwa jak gołąbek Francuzka. Dzięki jej pracowitości, peł-

nym zapału poczynaniom śpiewałam na szkolnych popisach śliczne starofrancuskie „Trois jeuns tambours” (Doboszów trzech) i „Montagnes Pyrenées” (Góry Pireneje). Po latach, kiedy odeszłam z teatru pochłonięta bez reszty piosenką, bazą mojego repertuaru stały się utwory francuskie. Słuchałam z zapartym tchem tych największych, lecz nie Edith Piaf była dla mnie wówczas ideałem, choć na jedną z pierwszych moich piosenek wybrałam „Padam, padam”, jej wielki przebój. Nie rozumiałam Piaf, naiwna młodość nie pozwalała mi pojąć głębi jej dramatyizmu. W przeciwieństwie do Pigmejów, nie uciekałam od jej śpiewu. Słuchałam uważnie, chciałam koniecznie wiedzieć, dlaczego właśnie ona została uznana za największą pieśniarkę Francji.

Objawiła mi się w nader banalnych okolicznościach. Przed rozpoczęciem studiów aktorskich pracowałam przez kilka miesięcy jako maszynistka we wrocławskim wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, czyli „Ossolineum”. Do domu wracałam zwykle przez plac Biskupa Nankiera, gdzie w tamtych czasach kupowało się tak zwane ciuchy z paczek zagranicznych. Na targowisko zarzucone masą szmat oraz staroci przychodziły elegantki z całego miasta.

Dzień był pochmurny, wiał silny wiatr. Na placu nie było drzew ani roślin, mimo gwaru miejsce sprawiało wrażenie dość smętne. Na wysokich, ulicznych lampach wisały tak zwane gigantofony, duże głośniki w kształcie i kolorze metalowych wiader, z których niosły się skrzeczące dźwięki muzyki, przeważnie ludowej, bo taka była najchętniej akceptowana poza pieśniami masowymi w epoce pochodów i wieców.

I nagle zabrzmiał głos Piaf w przejmującej pieśni „Jezebel”. Rozpaczliwe wołanie sprawiło, że zatrzymałam się na wietrze, który sterował głosem pieśniarki. Śpiew to zbliżał się, to oddalał. Wszystko inne przestało istnieć. Na wielkim gwarnym placu pozostała tylko ONA, dramatycznie wołająca, i ja wsłuchana w ten rozpaczliwy głos. Znacznie później dotarło do mnie, że usłysza-

łam Piaf w takich warunkach, w jakich rodziła się jej wielka sztuka. Na ulicy, wśród szarości tłumu.

W praskim klubie U Manesu śpiewałam między innymi po francusku „Non, je ne regrette rien”. Kelnerzy i kucharze mówili, że śpiewam ten utwór przepięknie, że im się moje wykonanie podoba dużo bardziej niż Piaf. Byłam bardzo młoda i próżna, co nie przeszkadzało mi pojmować istoty rzeczy. Poczcivi moi adoratorzy okazali się nieco pigmejsey w odczuciach. Śpiew Piaf był dla nich zbyt dramatyczny, zbyt brutalny w swojej wymowie. Moje śpiewanie, zgodnie z kanonami mody owych lat, miękkie, liryczne, miłe dla ucha.

Sądzę, że tamta jesień 1963 roku była progiem mojej dojrzałości.

Wiadomość o śmierci Edith Piaf zaskoczyła mnie. Jej odejście odczułam jak stratę kogoś, kto był mi potrzebny, kto istniał w moim życiu, i dopiero jego zniknięcie uświadomiło mi wielkość po-



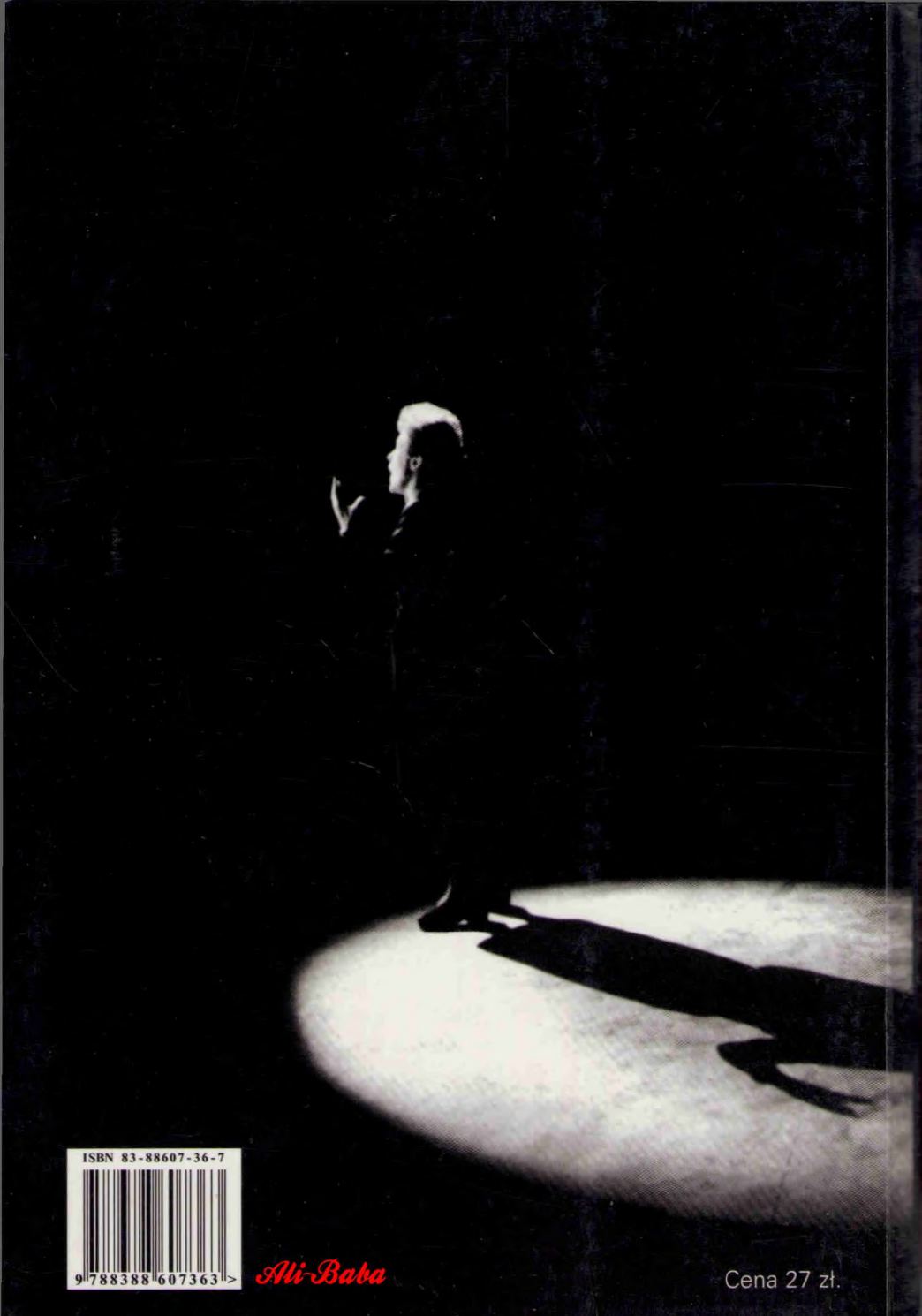
niesionej straty. Chodziłam ulicami nocnej Pragi i płakałam. Na stępnego wieczoru śpiewałam „Non, je ne regrette rien” już inaczej.

Wtedy chyba zrozumiałam Edith Piaf-człowieka.

Kolejne, bardzo ważne dla mnie spotkanie z Piat odbyło się na cmentarzu Père-Lachaise, w dniu mojej premiery w Olympii. W ciągu trzech dni prób Grand Music-Hall de Varsovie przeżywałam upiorne lęki. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ta słynna sala zapełni się publicznością, a ja stanę na legendarnej scenie, na której jeszcze nie tak dawno śpiewała ONA. To niemożliwe. Cos się musi stać. Chyba ziemia zapadnie się razem ze mną. Postanowiłam odbyć pielgrzymkę na cmentarz.

Stałam nad grobem Legendy. Lipcowy dzień był pochmurny, mżył lekki deszcz, który z wolna stawał się coraz obfitszy. Wraz z nim spływał na mnie błogi spokój.

Książka ta jest skromnym hołdem dla Artystki, która nauczyła mnie, że życie i sztuka to jedno.



ISBN 83-88607-36-7



*Ali-Baba*

Cena 27 zł.